

ZESZYT OSIEMNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1970

ZESZYT OSIEMNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1970

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 192

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

S. POPKIEWICZ

ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA Z KRAJEM PO POWSTANIU WARSZAWSKIM

W S T Ę P

Dotychczasowe zainteresowanie łącznością radiową z Krajem w II-giej Wojnie Światowej ograniczało się do okresu Powstania Warszawskiego włącznie.

Odnosiło się wrażenie, że po upadku Powstania łączność ta zanikła. Tymczasem, co prawda przechodziła ona przeorganizowania i zmiany, ale tym niemniej istniała i pozwalała na obustronne przekazywanie wiadomości.

Zdobyte doświadczenie pozwoliło na utrzymanie tej łączności w znacznie trudniejszych warunkach pracy tak w Polsce jak i na Zachodzie; w końcu była ona obustronnie zakonspirowana. Ze względu na odmienną organizację i samą technikę tej łączności, dzielę ją na dwa okresy.

Okres I — zawiera opis łączności radiowej z Armią Krajową po Powstaniu Warszawskim do chwili jej likwidacji przez władze brytyjskie.

Okres II — omawia przygotowania i obustronnie tajną łączność z Krajem.

Opis okresu I-go oparty jest na dostępnych dokumentach w Studium Polski Podziemnej i Instytucie Historycznym gen. Sikorskiego. Dokumentacja okresu II-go właściwie nie istnieje, chociaż niewątpliwie duża jej część znajduje się w Warszawie ale jest obecnie niedostępna, zaś części, która powinna być w archiwum b. Oddziału Specjalnego i b. Oddziału Inf. Wyw. Sztabu N.W. nie udało mi się odnaleźć. Odtworzenie więc wyśiłku i osiągnięć w tym okresie oparte jest na strzępach własnych

obliczeń i notatek, zrobionych w czasie przygotowań i organizacji sieci radiowych, rozmowach z niewielu pozostałymi współpracownikami i własnej pamięci.

O k r e s I-szy

ŁĄCZNOŚĆ PO POWSTANIU WARSZAWSKIM I JEJ LIKWIDACJA

Zadania i organizacja

Po upadku Powstania Warszawskiego ośrodek kierujący ruchem podziemnym w Polsce, z dowództwem Armii Krajowej włącznie, uległ rozbiciu. Szereg radiostacji, wchodzących w skład sieci radiowej walczącej Warszawy, zostało zlikwidowanych. W tym samym czasie radiostacje znajdujące się na terenach zajmowanych przez wojska sowieckie milkły wraz z likwidacją oddziałów i jednostek A.K. Dla nowego dowództwa Armii Krajowej została zorganizowana nowa sieć radiowa a na obszarach kraju okupowanych jeszcze przez wojska niemieckie powstawały nowe stacje, częstokroć odtworzone z poprzednio zwiniętych i nie przewidziane w planach łączności.

Aresztowanie Gen. Okulickiego zmusiło do jeszcze jednego przeorganizowania sieci radio A.K. Dopiero po cofnięciu uznania Rządowi Polskiemu w Londynie przez Anglosasów łączność ta uległa całkowitej likwidacji.

Cały ten okres był dla łączności radiowej próbą sprawności, wymagającą szybkich zmian sieci, nawiązywania i utrzymania łączności z radiostacjami pracującymi, w dużo trudniejszych, niż uprzednio, warunkach konspiracyjnych. Pod okupacją niemiecką Armia Krajowa miała poparcie i mogła liczyć na ochronę ludności, natomiast na terenach zajętych przez wojska sowieckie na taką współpracę i pomoc nie można już było liczyć.

Uznając niecelowość dalszej walki podziemnej z nowym okupantem, Armia Krajowa została rozwiązana, przy czym łączność radiowa pozostała czynna aż do likwidacji ostatnich jej oddziałów. Zadaniem łączności radiowej w tym całym okresie było zapewnienie porozumiewania się:

- 1) Dowództwa Armii Krajowej z naczelnymi władzami wojskowymi za granicą;
- 2) Dowództwa Armii Krajowej ze swoimi jednostkami;
- 3) Jednostek Armii Krajowej między sobą.

Łączność ta musiała zapewnić w szczególności:

- a) Dwustronną wymianę wiadomości między:
 - Dowództwem Armii Krajowej;
 - Naczelnymi władzami wojskowymi w Wielkiej Brytanii;
 - Bazą przerzutową nr 11 we Włoszech;
 - 5-ma placówkami zagranicznymi Oddziału Specj. Szt. N.W.;
 - Jednostkami A.K.
- b) Jednostronne przekazywanie wiadomości od naczelnych władz wojskowych do Kraju.

Do utrzymania tej łączności zostały użyte:

- a) Stacje radiotelegraficzne:
 - Batalionu Łączności Szt. N.W. w Wielkiej Brytanii;
 - Bazy nr 11 Oddziału Specjalnego Szt. N.W. we Włoszech;
 - 5 placówek zagranicznych Oddziału Specjalnego.
- b) Stacja radiofoniczna „Wawer” w Wielkiej Brytanii.

Sprawy łączności z Krajem należały do bezpośredniego zakresu działania Oddziału Specjalnego Sztabu N.W. Do zadań Wydziału Łączności w tym okresie należało:

- 1) Taktyczna organizacja sieci radiowych w oparciu o wskazania i żądania otrzymane z Kraju;
- 2) Kierowanie ruchem radiotelegraficznym skierowanym do Kraju.
- 3) Zaopatrywanie w sprzęt radiokomunikacyjny tak agencyjny jak i stacji (central) na Zachodzie.

W dziale wyszkolenia Wydziałowi Łączności podlegał Ośrodek Wyszkolenia Łączności Oddz. Specj. a w dziale produkcji — Polski Wojskowy Warsztat Radiowy (P.W.W.R.).

Obrót materiałowy Wydziału Łączności za czas od 1. IV. 1943 do 26. X. 1944 roku był następujący (patrz tabela na str. 6).

Większość sprzętu radiokomunikacyjnego agencyjnego została wykonana w P.W.W.R. natomiast część, którą można było nabyć na rynku amerykańskim lub brytyjskim została zakupiona za gotówkę i z kredytów *Lease and Lend* lub dostarczona przez władze angielskie (S.O.E.).

Zakup sprzętu w U.S.A. odbywał się za pośrednictwem Biura Zastępcy Szefa Sztabu N.W. w Waszyngtonie, D.C.

Batalion Łączności Sztabu N.W.

Batalion Łączności Sztabu N.W. powstał dnia 25. VIII. 1944 roku w drodze rozwoju poprzez Oddział Radio Sztabu N.W.

| Typ sprzętu | Dostarczony dla: | | | |
|--|------------------|-----------------------------|---------------------------|----------------------------------|
| | A.K. | Baonu Łączn. Sztabu N.W. | Bazy nr 11 we Włoszech | Ośrodka wyszkol. Łączności |
| Radiostacje nad.-odb. (agencyjne) | 877 | 3 | — | 24 |
| Odbiorniki | 407 | 26 | 13 | — |
| Radiostacje „Eureka” .. | 5 | — | — | — |
| Przetwornice | 210 | — | — | — |
| Zespoły spal. elektr. .. | 107 | 13 | 5 | 4 |
| Prądnice ręczne | 592 | — | — | 2 |
| Wibratory | 592 | — | — | — |
| Kwarce | 4.723 | 115 | — | — |
| Lampy elektronowe .. | 3.331 | — | — | — |
| Nadajniki (400 W — 3 kW) | — | 14 | 13 | 4 |
| Urządzenia telegrafii maszynowej Boehme | — | 1 | 1 | 2 |
| Urządzenia automatycz- nej telegrafii „Mc Elroy” | — | 20 | — | — |
| Urządzenia do nagryw. płyt „Presto” | — | — | 1 | — |

z Ośrodka Radiowego Sztabu N.W. Zadania Batalionu były szersze, niż utrzymywanie radiokomunikacji z A.K., a mianowicie:

- a) Prowadzenie radiokorespondencji dla:
 - Oddziału Specjalnego Sztabu N.W.;
 - Oddziału Inf. Wywiad. Sztabu N.W.;
 - M.O.N.-u.
- b) Prowadzenie radiowywiadu dla Oddziału Inf. Wywiad. Sztabu N.W.
- c) Doszkolenie i doskonalenie personelu eksploatacyjnego.

Od dnia 1. VII. 1945 roku sprawy techniczne i ruchu radiotelegraficznego należały do 1-go zastępcy D-cy Batalionu. Do zakresu jego działań należało ponadto obliczanie, dobór i rozdział częstotliwości. Dowódcą Batalionu do 15. IX. 1945 r. był mjr inż. T. Lisicki a następnie mjr K. Zieliński, a 1-szym zastępcą D-cy Batalionu do dnia 18. XII. 1945 r. był kapitan inż. S. Popkiewicz.

Praca korespondencyjna skupiała się w dwu centralach nadawczo-odbiorczych — Kings Langley / Chipperfield i Conington, zorganizowanych początkowo w jedną, a od dnia 1. VII. 1945 r. w dwie kompanie radiotelegraficzne.

Do dnia 1. VII. 1945 r. dowódcą Kompanii Radiotelegraficz-

nej był kpt. inż. S. Popkiewicz, a po utworzeniu dwu kompanii, dowódcą 1-szej był kpt. mgr S. Kisiel a 2-giej por. B. Skrobański.

W skład każdej kompanii wchodził pluton korespondencyjny i stacyjny.

Pluton korespondencyjny posiadał:

- kierownictwo ruchu dla spraw radiokomunikacyjnych;
- kontrolę przekazywania telegramów;
- stanowiska odbiorcze (radiotelegrafistów);
- obsługę dalekopisów;
- kontrolę własnego nadawania na automatycznych aparatach samopiszących Creeda lub Boehme.

Pluton stacyjny posiadał:

- dwie drużyny obsługi nadajników;
- zespół konserwacji i napraw nadajników i odbiorników;
- drużynę obsługi zespołów spalinowo-elektrycznych i sieci elektrycznej;
- drużynę antenową do budowy i konserwacji urządzeń antenowych;
- magazyn sprzętu technicznego.

Centrala w Kings Langley/Chipperfield zaprojektowana była w 1942 roku na 10 stacji.

Nie przewidywano wówczas użycia anten kierunkowych rombów a budowano tylko anteny dipolowe. Stacje krajowe słyszane były słabo, a mało czułe odbiorniki nie zawsze mogły odbierać nadawania z Londynu. Polepszenie radiokomunikacji w obu kierunkach uzyskano przez zastosowanie anten kierunkowych rombów i wzmacniaczy szerokostęgowych. W 1944 roku centralę nadawczo-odbiorczą powiększono do 16 stacji ale budowane anteny rombów były w dużej odległości od nadajników i odbiorników co zmuszało do umieszczania przy nich stacji nadawczo-odbiorczych, zainstalowanych w przyczepach samochodowych.

Potrzeba budowy nowej centrali istniała już w roku 1943, ale realizacja nastąpiła za późno jeżeli chodzi o łączność w Powstaniu Warszawskim. Ogólny plan opracowany był w lipcu 1944 r., a budowę jej w Conington koło Cambridge, ukończono w grudniu 1944 roku. Wszystkie anteny były rombów, skierowane na Polskę w taki sposób by razem pokrywały cały obszar kraju. Centrala odbiorcza miała tylko cztery anteny doprowadzone do wzmacniaczy szerokostęgowych przez które można było dołączyć 15-cie odbiorników (centrala miała ich tylko 8). W centrali nadawczej osiem anten podłączonych było poprzez sprzęgacze antenowe do

ośmiu nadajników, z czego siedem o mocy 400 watów a jeden o mocy 3 kilowatów.

Tereny pod anteny nadawcze zajmowały powierzchnię 800.000 a pod odbiorczą 320.000 metrów kwadratowych. Po wybudowaniu tej centrali możliwości techniczne i korespondencyjne znacznie wzrosły. Łączność była pewna i szybka.

Wszystkie słabiej słyszane stacje krajowe przejmowała centrala Conington, gdzie nasłuch 24 godzinny nawet wszystkich abonentów był możliwy.

Po Powstaniu Warszawskim część radiostacji biorących udział w walkach została zlikwidowana, część natomiast zaczęła pracę z innych miejsc w nowej sieci Komendy Sił Zbrojnych. W tym samym czasie znikwały stacje pracujące na terenach zajmowanych przez wojska sowieckie. Z powyższych względów w październiku 1944 roku zaprzestano wołań Wand Nr. 1, 2, 7, 13, 96 i 311 działających w Warszawie i jej okolicach oraz Wand Nr. 20, 33, 37, 38, 62, 71, 78 i 79, pracujących dla Komend Okręgów — Wilno, Wołyń, Tarnopol, Lwów, Stanisławów i Krasne oraz dla oddziałów partyzanckich Wilno. W listopadzie zlikwidowano nadawanie radiostacji San dla celów szkolenia radiotelegrafistów drogą radiową.

Z drugiej strony, w tym samym czasie nawiązano łączność z nowymi radiostacjami Komendy Sił Zbrojnych i Komend Okręgów Dęblin, Poznań i Śląsk; były to Wandy Nr. 06, 11, 12, 14, 15, 25, 47, 55A, 78, 81, 88, 171, 172 i 189.

W końcu grudnia 1944 roku centrale kompanii radiotelegraficznych miały do obsłużenia 40 radiostacji krajowych i 26 w innych państwach Europy i Bliskiego Wschodu.

W roku 1945, w miarę opanowywania środkowych i zachodnich obszarów Polski przez wojska sowieckie następuje kolejna likwidacja dalszych radiostacji A.K. I tak, w styczniu 1945 roku zlikwidowano łączność z Wandami Nr. 30, 41, 41A, 42A, 46, 49, 53, 59, 77 i 87; w lutym z Wandami Nr. 19, 31, 43A, 55A, 68, 78, 79, 80, 171 i 172; w marcu z Wandami Nr. 14, 15, 20, 21, 23, 25, 28, 33, 37, 38, 43, 54, 58, 60, 63, 72, 85, 88, 89, 189 i 318; w kwietniu z Wandami Nr. 11, 40, 52, i 56 a w czerwcu z 55 i 97. Jak widać z powyższej numeracji Wand, pewne z nich, po zlikwidowaniu na jednym terenie pojawiały się znowu w innym miejscu, nawiązywały łączność z centralą w Londynie na nowo, by wreszcie po oficjalnym rozwiązaniu Armii Krajowej i niemożliwości dalszej pracy zamilknąć zupełnie. Z dniem 17 lipca 1945 roku, na skutek zarządzeń władz brytyjskich musiano zaprzestać nadawania telegramów do wszystkich radiostacji obsługiwanych przez kompanie radiotelegraficzne a więc i do

Wand oraz placówek zagranicznych. Radiokomunikację ograniczono wówczas tylko do nawiązywania łączności i odbioru telegramów z reszty niezlikwidowanych jeszcze stacji. Na żądanie War Office, z dniem 4 września 1945 roku zlikwidowano i tę jednostronną łączność.

Praca Batalionu Łączności Sztabu N.W. dla łączności z Krajem ustała wówczas zupełnie i nastąpiła likwidacja obu central nadawczo-odbiorczych.

Ośrodek Łączności Bazy Nr 11 - Mewa

Ośrodek Łączności, zorganizowany przez Oddział Specjalny Sztabu N.W. w jesieni 1943 roku, w m. Mesagne pod Brindisi we Włoszech, zapewniał radio-komunikację Bazy Nr 11, której zadaniem były przerzuty personelu, sprzętu i pieniędzy do kraju.

Ośrodek ten, o kryptonimie „Mewa”, w Kraju posiadał nazwę „Jutrzenka”, utrzymywał łączność radiową z radiostacjami w Kraju, centralą w Londynie i placówkami zagranicznymi Oddziału Specjalnego Sztabu N.W. Miał on również zorganizowaną łączność wewnętrzną operacyjną dla przekazywania specjalnych sygnałów (*crack-signals*). Posiadał sekcję korespondencyjną i warsztat radiowy, a dysponował 12 radiostacjami nadawczymi, antenami rombowymi i odbiornikami radiokomunikacyjnymi. Przydział personelu dla Ośrodka oraz wyposażenie w sprzęt łączności odbywało się normalnie z Wielkiej Brytanii. Kierownikiem tego Ośrodka Łączności był por. inż. Iwanicki, a jego zastępcą por. inż. Goczałkowski.

W okresie od stycznia do października 1944 roku „Mewa” nawiązywała nowe łączności z radiostacjami A.K. a ruch radiotelegraficzny wzrastał się gwałtownie. W ostatnich miesiącach 1944 i początku 1945 roku, tak samo jak w centralach w Wielkiej Brytanii, łączność radiowa z jednymi stacjami była likwidowana a z innymi — nowymi lub odtwarzanymi na zachodzie Polski — nawiązywana. Po zaprzestaniu zrzutów, ruch radiotelegraficzny „Mewy” stopniowo zmniejszał się tak, że od dnia 6. X. 1944 roku kierownictwo wszystkich sieci radiowych objęła centrala Londynu. W listopadzie i grudniu 1944 roku „Mewa” zakończyła łączność z Wandami Nr 07F, 09, 21, 28, 29, 36, 40A, 40B, 40C, 41, 42, 43, 49i 188. Radiostacje te pracowały dla Komendy Sił Zbrojnych w Kraju i dla Komend Okręgów wschodnich i południowo-wschodnich Polski.

W tym samym czasie nawiązano łączność z nowymi radiostacjami Wand o numerach 26, 47, 81, 83 i 89. W końcu 1944 roku

„Mewa pracowała jeszcze z 22 radiostacjami w Kraju. W okresie październik-grudzień 1944 roku nadano 188.284 grupy a odebrano 132.853 grupy. Od roku 1945 władze angielskie coraz energiczniej nalegały na likwidację radiokomunikacji Ośrodka Łączności Bazy Nr 11, tak że łączność radiową z Krajem zakończono w dniu 1 kwietnia 1945 roku, a z Londynem w czerwcu 1945 roku.

Stacja radiofoniczna „W a w e r”

Potrzeby operacyjne Oddziału Specjalnego Sztabu N.W. wymagały uruchomienia stacji radiofonicznej dla przekazywania pewnych wiadomości szyfrowych do Kraju w drodze ich dyktowania. Dawało to możliwość odbioru przesyłanych wiadomości niewykształconemu personelowi w odbiorze znaków Morse'a, nie narażając przy tym odbierających na niebezpieczeństwo namierzania przez nieprzyjaciela. Czynnikiem ten stał się szczególnie ważny po zajęciu obszarów Polski przez wojska sowieckie.

W drodze porozumienia z angielską organizacją S.O.E., na konferencji w dniu 4. VIII. 1944 roku i następnie w rozmowach uzupełniających między ppłk. inż. A. Krzyczkowskim z Oddziału Specjalnego Sztabu N.W. i ppłk. Perkinsem z S.O.E., zdecydowano uruchomić ten nowy środek łączności z A.K. i rozpocząć próbną nadawanie dnia 12. VIII. 1944 r. celem zorientowania się w możliwościach odbioru tej radiostacji w Kraju. Radiostację foniczną „Buttercup” o mocy 2·5/5 kW dostarczył S.O.E. a obsługę angielska jednostka I.S.R.B. Częstotliwość tej stacji była 8515 kHz a seanse audycji ustalono na godz. 06.00-07.00, 11.30-13.00 i 17.00-18.00 czasu środkowoeuropejskiego (M.E.Z.).

Cały program nagrywano na płyty przy czym tekst jawny nadawanych wiadomości był dostarczany do S.O.E. do cenzury na 24 godziny przed audycją. Sprawiało to duże trudności ze względu na stosunkowo duży czas, konieczny na przewożenie płyt. Wiadomości pośredniczone, zaszyfrowane i zakodowane oraz muzyka cenzurze nie podlegały. Kierownictwo tej stacji o kryptonimie „Wawer” objął w dniu 5. VIII. 1944 kpt. D. Tarnowski.

Radiostacja „Buttercup” zainstalowana była w Gorhambury koło St. Albans. Studio początkowo mieściło się przy Batalionie Łączności Sztabu N.W. w Woodcroft koło Watford, a następnie w Dower House w Stanmore. W dniu 25. VIII. 1944 r. przeniesiono je do Oddziału Specjalnego przy 13 Upper Belgrave Street, London, S.W.1.

Program audycji Wawra składał się z:

— sygnału stacyjnego (pierwsze takty marsza Sobieskiego);

- wiadomości szyfrowanych i
- muzyki z płyt (z możliwością przesyłania haseł).

Każda zapowiedź i wiadomość nadawane były dwukrotnie, celem zapewnienia dobrego odbioru. Niekiedy, w zależności od ważności wiadomości i ilości materiału, niektóre wiadomości powtarzane były w kilku seansach. Celem jak najlepszego wykorzystania przydzielonej stacji nadawczej, RCA model AVT-22-B, użyto anteny kierunkowej rombowej, o takim kierunku promieniowania, by środek fali odbitej od jonosfery, dla częstotliwości 8515 kHz, wypadł w pobliżu Warszawy.

Pierwsza próbna audycja nadana została 12. VIII. 1944 o godz. 06,00 M.E.Z., po czym nadawanie wznowiono od dnia 15. VIII. 1944 z audycjami nadawanymi trzy razy dziennie.

Odbiór tej stacji w Polsce był dobry i bezpieczny tak, że coraz częściej przychodziły żądania o nadawanie przez nią telegramów. Trudnością w odbiorze „Wawra” był brak dostatecznej ilości odbiorników o zakresie częstotliwości powyżej 8MHz. Wobec tego od dnia 10. I. 1945 zaczęto nadawać na częstotliwości 7165 kHz w dodatkowych audycjach o godz. 08.30 M.E.Z.

Ze względu na brak w Kraju suchych baterii do odbiorników i konieczności ich oszczędzania, z dniem 25. II. 1945 r. wprowadzono zapowiedzi programu, wskutek czego stacje nasłuchowe, dla których wiadomości w danej audycji nie było, mogły wyłączyć się po wysłuchaniu zapowiedzi, a stacje nasłuchowe dla których wiadomości były nadawane wyłączały się po zapowiedzi dla nich końca audycji.

Przy pracy na falach odbitych częstotliwości optymalne zmieniają się ze stanem jonosfery. Utrzymując więc te same godziny audycji należałoby zmieniać częstotliwość nadawania, ale wobec niemożliwości uzyskania nowych częstotliwości od władz brytyjskich, zmieniano godziny pracy tak by być najbliżej częstotliwości optymalnej. Zapewniało to dobry odbiór „Wawra” w Polsce.

Potwierdzenie odbioru wiadomości kwitowano drogą radiotelegraficzną poprzez stacje Batalionu Łączności Sztabu N.W.

W czasie pracy stacji „Wawer”, od dnia 15. VIII. 1944 do 18. VI. 1945 nadano 1.230 wiadomości o 217.593 grupach z tym, że w dniach 13, 14 i 15 lutego 1945 r. żadnych wiadomości nie nadano na skutek zarządzenia władz brytyjskich, wstrzymujących na te dni pracę tej stacji.

W niedługim czasie i ten środek łączności został zlikwidowany na żądanie S.O.E., tak że stacja „Wawer” przestała nadawać z dniem 18. VI. 1945 a jej ostateczna likwidacja nastąpiła w dniu 9. VII. 1945 r.

Ocena wysiłków i osiągnięć

Łączność radio w tym okresie dała nieprzerwaną możliwość porozumiewania się obustronnego Kraju z polskimi władzami w Londynie, z Bazą Nr 11 we Włoszech i placówkami informacyjnymi w Europie i na Bliskim Wschodzie.

Warunki i możliwości pracy radiostacji konspiracyjnych, w miarę zajmowania obszarów Polski przez armię sowiecką stawały się coraz trudniejsze a odtwarzanie i przeorganizowanie kierownictwa ruchu podziemnego zmuszały do ciągłych zmian sieci radiowych. Po rozwiązaniu Armii Krajowej łączność radiowa ciągle umożliwiała przekazywanie zarządzeń likwidacyjnych i ostatnich rozkazów do istniejących jeszcze jednostek i oddziałów A.K.

Z Kraju natomiast łączność ta pozwalała na przekazywanie wiadomości o prawdziwym obliczu, działalności i zamierzeniach tak wojsk sowieckich jak i narzuconych przez ZSSR władz cywilnych. Pomimo trudniejszych warunków pracy konspiracyjnej, możliwości techniczne łączności z Londynem były — szczególnie po ukończeniu budowy centrali w Conington — dużo lepsze niż poprzednio. Nie trzeba już było, dla nawiązania łączności, wołać niezliczoną ilość razy na różnych częstotliwościach. Kierunkowe anteny rombów central, i prawidłowy dobór częstotliwości pozwalały na odbiór nawet bardzo słabych stacji krajowych. Odtwarzane samorzutnie radiostacje na zachodzie Polski, nie były zmuszone przekazywać swoich elementów ruchu przez inne pracujące stacje, gdyż były nasłuchiwane przez 24 godziny na dobę przez co najmniej parę tygodni po zawiadomieniu o zaprzestaniu pracy.

Dla ułatwienia odbioru telegramów z Londynu, uruchomiona stacja radiofoniczna „Wawer” okazała się dobrym i bezpiecznym środkiem łączności, obsługiwanym po stronie odbioru przez niewyszkolony personel.

Wykonywując swoje międzynarodowe umowy i zobowiązania, władze angielskie wywierały coraz większy nacisk na likwidowanie naszej radiokomunikacji tak we Włoszech jak i w Wielkiej Brytanii. Po formalnym zaprzestaniu uznawania polskiego rządu w Londynie jakakolwiek radiokomunikacja z Anglii i terenów przez nią okupowanych została zabroniona. Wszystkie sprzęt radiokomunikacyjny nakazano przekazać do wojskowych magazynów brytyjskich; sprzęt pochodzący z zakupów polskich udało się następnie przekazać Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów (S.P.K.) jako w dalszym ciągu stanowiący własność Polskich Sił Zbrojnych. Personel poprzez P.K.P.R. został zdemobilizowany. Duża część rozpoczęła cywilne życie na emigracji, a reszta wróciła

do Polski. Wszyscy jednak mieli przeświadczenie, że spełnili dobrze, choć z nieoczekiwanym wynikiem, obowiązki Polaka-łącznościowca.

O k r e s II-gi

PRZYGOTOWANIA I OBUSTRONNIE TAJNA ŁĄCZNOŚĆ Z KRAJEM

Przewidywania nowych sieci radio

Po zorientowaniu się w intencjach brytyjskich utrudniania i likwidowania radiokomunikacji z Krajem, Oddział Specjalny Sztabu N.W. już w poprzednim okresie przewidywał tworzenie nowych sieci radiowych dla powstających organizacji ruchu podziemnego w Polsce, jak NIE i WIN. Początkowo zamierzano nie wiązać w jakikolwiek sposób tych nowych organizacji z Armią Krajową, których członkowie mogli bez trudności być zdekonspirowani. Pośrednictwo A.K. okazało się jednak niezbędne, tak że dużo nowych radiostacji powstało z resztek dawnej łączności lub za pośrednictwem jeszcze pracujących z Londynem stacji A.K.

W przewidywaniu niemożliwości korzystania z urządzeń radio-komunikacyjnych tak Batalionu Łączności Sztabu N.W. jak i Ośrodka Łączn. Bazy Nr 11 we Włoszech projektowano uruchamianie tajnych radiostacji na zachodzie Europy zarówno w krajach neutralnych jak i w okupowanych przez jednostki Polskich Sił Zbrojnych. Ponieważ polskie władze centralne znajdowały się w Londynie zachodziła potrzeba uruchomienia radiostacji i w W. Brytanii, nawet wbrew zakazom władz brytyjskich, co doprowadziło do działalności konspiracyjnej i po tej stronie. Ośrodkiem kierowniczym był początkowo Oddział Specjalny a po jego zlikwidowaniu specjalna komórka, kierowana przez gen. Tabora, płk. Nowickiego i ppłk. Utnika z siedzibą na Ealingu przy Montpelier Avenue.

Warunki stworzone w Polsce nie usprawiedliwiały tworzenia jeszcze jednej nowej organizacji podziemnej, chociaż konspiracyjna łączność radiowa umożliwia obustronnie przekazywanie wiadomości do ostatniej chwili jej likwidacji, a wprowadzone ulepszenia techniczne pozwoliłyby na spełnianie jeszcze trudniejszych zadań.

Badania i próby nad ulepszeniem radiokomunikacji konspiracyjnej. Wykrywanie radiostacji agencyjnych przez Niemców

Sztab angielski już dn. 2. XII. 1942 r pismem Nr W/1811/42 zwrócił się do Szefa Oddziału II Sztabu N.W., płk. dypl. Gano, o pomoc w badaniach i rozwiązaniu problemu łączności radiowej z agentami. Oto wyjątki z tego pisma w tłumaczeniu polskim:

„Wykrywanie radiostacji naszych agentów przez władze niemieckie we Francji za pomocą aparatów goniometrycznych przybrało w ostatnich czasach duże rozmiary, jeżeli chodzi o stacje pracujące na falach krótkich. Straciliśmy w ten sposób kilku operatorów; zostali oni wykryci z małej odległości przez aparaty goniometryczne. Rozumie się, że nasi inżynierowie otrzymali już polecenie od naszego wydziału, aby przeprowadzać doświadczenia nad nowymi metodami łączności, ale chciałbym, aby inżynierowie polscy, którzy w tak dużym stopniu przyczynili się w akcji dla Wspólnej Sprawy, również rozpoczęli badania w tym samym kierunku. Wszelkie rezultaty będą przyjęte z największą wdzięcznością przez naszą służbę”.

Prośba ta została skierowana do Szefa Łączności Sztabu N.W., który na konferencji w dniu 14. XII. 1942 r., w sekcji Badań Ośrodka Radiowego Sztabu N.W. przedstawił potrzeby środków zaradczych przeciw wykrywaniu tajnych radiostacji przez Niemców. Za środki służące do utrudniania takiego wykrywania uznano:

- Urządzenia specjalne — nowe systemy radiokomunikacyjne;
- Skrócenie pracy radiostacji;
- Jak największe zmniejszenie mocy nadajników i polepszenie systemu odbiorczego;
- Nadawanie samoczynne bez obsługi.

W 1943 r. Anglicy przysłali dalsze dane o pracy wywiadu niemieckiego i wykrywaniu nielegalnych stacji korespondencyjnych na terenie Francji. Stwierdzono że tajne radiostacje stanowiły jedną z najczynniejszych i najskuteczniejszych broni w organizacji oporu i wywiadu w krajach okupowanych. Toteż Niemcy uruchomili najnowsze zdobycze techniczne dla ulepszenia systemów wykrywających, o których doskonałości świadczyły często dokonywane aresztowania operatorów, przyłapanych przy nadajnikach.

Szef Łączności Sztabu N.W. polecił zebranie materiałów omawiających środki zmniejszające prawdopodobieństwo wykrycia radiostacji nadawczych i opracowanie postulatów w sprawie warunków utrudniających namierzanie tak personelowi Sekcji Badań jak i Wydziałowi Łączności Oddziału Inf. Wyw. Sztabu N.W. Centrali Oddziału Radio Sztabu N.W. nakazano zastosowanie się do wniosków wyprowadzonych z danych o sposobach wy-

krywania radiostacji przez Niemców nie podając właściwie na czym wkład centrali miał polegać.

Opracowane natomiast referaty stwierdzały w zasadzie stan faktyczny i sugerowały raczej sposoby zachowania się operatorów na terenie nieprzyjacielskim, zmniejszenie czasu nadawania i zmniejszenie mocy nadajników; ale nie zainicjowano żadnych badań, doświadczeń lub choćby teoretycznych rozważań nad ulepszeniem sprzętu agencyjnego i nad prawidłowym doбором częstotliwości. Jedynym wyjątkiem była szybka radiotelegrafia — nowy system radiokomunikacji — opracowany niezależnie przez inż. Starneckiego i por. Lalewicza.

Nasze stacje agencyjne w dalszym ciągu używały takiego samego sprzętu i anten oraz pracowały bez zmian od dawna ustalonym systemem. Jedynie centrale komunikacyjne kompanii radiotelegraficznej i stacje Ośrodka Łączn. Bazy Nr 11 ulepszały warunki odbioru przez:

- stosowanie najlepszych i najczulszych odbiorników;
- budowanie anten kierunkowych rombów, co mogło być wykorzystane dla zmniejszenia mocy nadajników agencyjnych;
- obliczanie i dobór częstotliwości optymalnych.

Badania nad ulepszeniem zakomspirowanego nadawania

Pierwszym poważnym omówieniem sposobów technicznych, zabezpieczających przed nieprzyjacielskim namierzaniem, była szczegółowa analiza zagadnienia radionamierzenia opracowana przez por. inż. W. Struszyńskiego, pracującego w Admiralty Signal Establishment nad wykrywaniem niemieckich łodzi podwodnych. Po rozpatrzeniu możliwych sposobów radionamierzenia inż. Struszyński doszedł do wniosku, że nie ma anten, które by całkowicie zabezpieczyły przed namierzaniem, ale pewne urządzenia mogą to namierzanie utrudnić przez skierowanie promieniowania anteny w płaszczyźnie pionowej pod pewnym kątem do poziomu tak, by nie było fali powierzchniowej o natężeniu pola przewyższającym 1 mikrowolt/m. w odległości od nadajnika, którą w danych warunkach lokalnych można uważać za bezpieczną. Pożądane charakterystyki promieniowania można uzyskać przez dipole poziome. Koniecznym jednak warunkiem jest zachowanie symetrii dipola oraz zastosowanie symetrycznego transformatora ekranowego i ekranowanej linii zasilającej. Należy przy tym uniemożliwić powstanie warunków rezonansowych w linii zasilającej powodujących wzrost prądów pionowych. Ponadto należy zapobiec promieniowaniu samego nadajnika przez jego staranne zaekranowanie.

Przy zasilaniu sieciowym należy również odfiltrować przewody doprowadzające moc do nadajnika, by zapobiec promieniowaniu sieci. Żadnych z tych urządzeń nasze radiostacje konspiracyjne nie miały. Dopiero w drugiej połowie 1944 r. kompania radiotelegraficzna samorzutnie przeprowadziła następujące doświadczenia:

- pomiary fali powierzchniowej przy zastosowaniu ulepszeń technicznych wskazanych przez inż. Struszyńskiego;
- komunikację na bliskie odległości (do 400 km) przy wykorzystaniu fal odbitych i małych mocy nadajników.

Uruchomiono ćwiczebne nadawanie ze stacji stałych w Conington i Kings Langley. Użyto radiostacji agencyjnych typu A1, AP4 i BP3 z antenami dipolowymi poziomymi, podłączonymi do linii zasilającej poprzez transformator symetryzujący, wykonany w warsztacie plutonu technicznego Batalionu Łączn. Przy instalacji anten zwracano szczególną uwagę na symetrię całego układu.

Do pomiaru fali powierzchniowej użyto aparatury „Field Strength Measuring Set TME 18” wypożyczonej od władz angielskich, normalnie używanej do pomiarów natężenia pola elektromagnetycznego i wykrywania nielegalnych nadawania.

Okazało się, że przy antenie dipolowej bez transformatora symetryzującego i doprowadzeniu linią zasilającą dwuprzewodową nieekranowaną namiar był możliwy z odległości dochodzących do 20 mil, zależnie od terenu, częstotliwości i mocy nadajników. Natomiast z transformatorkiem symetryzującym i linią ekranowaną namierzanie z trudnością można było wykonać dopiero przy zbliżeniu się do nadajnika na około 0·5 do 1 mili. Zbadano i wypróbowano również drugą część zagadnienia, a mianowicie możliwości radiokomunikacji na bliskie odległości (0 do 400 km) przy wykorzystaniu fal odbitych i małej mocy nadajników (1 do 2 watów). Pomocą w tym wypadku było tajne opracowanie Bell Telephone Laboratories pt. „A method of Inconspicuous Radio Transmission”. Zasadniczym problemem w utrudnieniu radionamierzania stacji nadającej było zniesienie fali przyziemnej. Doskonałymi antenami dającymi małą falę przyziemną w stosunku do fali przestrzennej okazały się anteny z drutu izolowanego, położonego wprost na ziemi. Przy odpowiedniej izolacji łatwo taką antenę zamaskować, a przy pewnych warunkach technicznych promieniuje ona pod dużymi kątami pionowymi, odpowiednimi dla komunikacji na falach odbitych, a przy minimalnej fali powierzchniowej. Taką antenę można wykonać z drutu półfalowego dołączonego wprost do nadajnika, lub — dużo lepiej — dipole z drutu izolowanego podłączone do nadajnika poprzez transformator

symetryzujący. To ostatnie rozwiązanie zmniejsza jeszcze bardziej fałę przyziemną utrudniając namierzanie.

Przeprowadzone próby, od czerwca do sierpnia 1945 r. dały bardzo dobre wyniki, umożliwiając komunikację między stacją stałą w Conington i ruchomą, zainstalowaną w samochodzie, pracującą z różnych miejsc odległych od Conington od 3 do 300 mil (Szkocja). Do prób tych częstotliwości były starannie dobrane, by w danych warunkach jonosferycznych pracować możliwie najbliżej częstotliwości optymalnych. Przeprowadzone pomiary wykazały, że z trudnością można było wykonać namiar z odległości większych niż 200 do 400 jardów.

Zastosowanie powyższego systemu w pracy konspiracyjnej utrudnia nieprzyjacielowi namiar, co zostało wykorzystane w pracy radiostacji po zachodniej stronie w obustronnie konspiracyjnej łączności z Krajem.

Nowe modele radiostacji agencyjnych

Po upadku Powstania Warszawskiego, poza normalną produkcją dotychczasowych typów radiostacji i odbiorników agencyjnych, inżynierowie i technicy Polskiego Wojskowego Warsztatu Radiowego (P.W.W.R.) pracowali nad konstrukcją ulepszonych typów sprzętu radio. Ostatnie zaprojektowane tam i wykonane modele to aparat AP7 i nadajnik NP3. Całość aparatury nadawczo odbiorczej AP7 mieściła się w dwu pudełkach o wymiarach $1\frac{3}{4} \times 5\frac{1}{2} \times 6$ cali o całkowitym ciężarze $2 \times 1\frac{1}{2}$ funta. Aparat ten przeznaczony był do pracy na falach odbitych na odległości do 1.000 km. Zakres częstotliwości nadajnika wynosił od $4\frac{1}{2}$ do 8 MHz a moc około 3 watów. Odbiornik był superheterodyną o zakresie częstotliwości od $4\frac{1}{2}$ do $9\frac{1}{2}$ MHz, o dużej czułości i selektywności. Stacja ta zasilana była z sieci prądu zmiennego o napięciu 220 lub 110 V, przy czym prostownik zasilający był wbudowany w części nadawczej.

Nadajnik NP3 o zasilaniu bateryjnym przeznaczony był do pracy na falach odbitych. Miał on zakres częstotliwości 4 do $8\frac{1}{2}$ MHz i moc około 3 watów. Zasilanie składało się z suchych baterii: trzech o napięciu 67,5 V (Ever-Ready Nr 26) i trzech o napięciu $1\frac{1}{2}$ V (Ever-Ready Nr U2), umieszczonych we wspólnym pudełku z nadajnikiem. Ciężar tego nadajnika wraz z bateriami wynosił 5 funtów, a całkowite wymiary $6 \times 5\frac{1}{2} \times 3\frac{1}{2}$ cala. Mógł on pracować niezależnie lub tworzyć kompletną radiostację w połączeniu z odbiornikiem OP3. Przygotowania do produkcji obu tych typów sprzętu zostały, niestety, w marcu 1946 r., przer-

wane na skutek likwidacji P.W.W.R. W naszej łączności konspiracyjnej aparaty te nie zostały użyte, mimo ich dużych zalet technicznych i eksploatacyjnych.

RADIOKOMUNIKACJA W OKRESIE PRZEJŚCIOWYM

Placówki w Europie

Już w styczniu 1945 r. Oddział Specjalny Sztabu N.W. przewidywał uruchomienie radiostacji w neutralnych państwach Europy i Bliskiego Wschodu.

W tym czasie pracowały tam jeszcze cztery dawne placówki informacyjne, a mianowicie: „Team” w Turcji, „Sara” w Egipcie, „Aza” we Francji i „Stanisława” w Szwecji. Ponadto we Włoszech łączność z „Mewą” istniała do 22. V. 1945 r. Placówki te, poza „Mewą”, dostały polecenie wyrobienia sobie warunków pracy poza konsulatem, poselstwem lub misją i sztucznego wzmożenia korespondencji dla przyzwyczajenia gospodarzy i zamaskowania przyszłej pracy. Ponadto istniał projekt uruchomienia nowych radiostacji w Madrycie lub Lizbonie, Atenach i Watykanie.

W miarę nacisku władz brytyjskich ograniczających radiokomunikację z W. Brytanii, Oddział Specjalny starał się przesunąć część pracy na kontynent. Uruchomiona została więc rezerwowa sieć pośredniczenia z Krajem oparta o placówkę „Team” w Turcji. W skład tej sieci weszły: Stacja Nr 115 — „Leon” (dawny „Team”) i radiostacje krajowe o numerach 119 (dawna 07), 120, 116, 117, 118, 121. Stacja Nr 119 zaczęła wołania już w kwietniu a Nr 120 w czerwcu 1945 r.

Na wypadek likwidacji Bazy Nr 11 wraz z Ośrodkiem Łączności „Mewa”, Oddział Specjalny nakazał ppłk. Hańczy wysłanie por. inż. Goczałkowskiego z dwoma radiostacjami fonicznymi do Rzymu celem przechowania ich dla ewentualnej przyszłej łączności. Mjr Brzozowski uważał za niezbędne uruchomienie radiostacji na obszarze eksterytorialnym. W lutym 1945 r. proponuje on ustawienie takiej radiostacji przy Ambasadzie R.P. w Watykanie; teren ten był poza zasięgiem zakazów radiokomunikacji ze strony wojskowych władz alianckich. Baza Nr 11 miałaby przyjść z pomocą techniczną. W tej sprawie Szef Sztabu 2 Korpusu prosi Naczelnego Wodza — w tym czasie Gen. Andersa — o wyjaśnienie kto ma pertraktować z Watykanem na temat uruchomienia tam radiostacji. Jednocześnie Oddział Specjalny telegramem L.dz. 1230/tjn 45 z dnia 2. III. 1945 r. nakazuje ppłk. Hańczy wysła-

nie 2 nadajników typu Hallicrafters, 2 radiotelegrafistów i 1 radiomechanika do Watykanu dla uruchomienia radiostacji przy Ambasadzie R.P. W pierwszej kolejności przewidziana była łączność z Londynem a następnie rozszerzona na Kraj i inne placówki w Europie. Praca tej radiostacji uzależniona miała być od zgody Ambasady. Jak wynika z telegramu Nr 041 z dnia 10. V. 1945 r. stacja ta przeprowadziła pomyślne próby łączności z Londynem, a od dnia 12. V. 1945 łączność ta działała normalnie bez przerw, przy czym radiostacja w Londynie pracowała już w warunkach konspiracyjnych. Ośrodek Łączności „Mewa” miał ponadto przygotować we Włoszech — w innym miejscu — niezależną łączność konspiracyjną. Miała ona być przygotowana ale nieuruchamiana do czasu wydania specjalnych zarządzeń Oddziału Specjalnego. W sprawie tej Szef Oddziału II Sztabu 2 Korpusu, telegramem Nr 2297 z dnia 21. V. 1945 r. melduje Naczelnemu Wodzowi, że ppłk Hańczy prowadzi korespondencję z Londynem z Rzymu bez upoważnienia władz brytyjskich i że Szef Sztabu 2 Korpusu nakazał ppłk. Hańczy natychmiastowe przerwanie tej korespondencji. Wynika z tego, że Ośrodek Łączności „Mewa” otrzymywał rozkazy z dwu źródeł dyspozycyjnych o sprzecznych intencjach. Ostatecznie cały problem tej łączności zakończyła śmierć ppłk. Haczy, której okoliczności nie są jeszcze wyjaśnione.

Dla innych placówek, jak Madryt, Ateny, Lizbona i Jerozolim, wszystkie elementy ruchu dla łączności radio tak z Londynem jak i Krajem zostały opracowane na lata 1945/46, ale zdaje się że radiostacje w tych miejscach nie zostały uruchomione, chociaż do niektórych z nich sprzęt został wysłany.

Łączność radiowa z Londynu

Początkowy plan tworzenia nowych organizacji konspiracyjnych w Polsce przewidywał całkowite odcięcie się od istniejących jeszcze komórek A.K. Okazało się jednak konieczne pośrednictwo pracujących radiostacji A.K. w zgłaszaniu nowych stacji przewidzianych dla nowych niezależnych sieci. Przerzucanie takie miało odbywać się normalnie lub wyjątkowo. Normalne przejście na nową organizację następowało po zgłoszeniu radiostacji do centrali z podaniem jej fali i terminu rozpoczęcia w nowej, oraz zakończenia pracy w dawnej organizacji. Rozpoczęcie pracy w nowej sieci miało odbywać się już na nowych elementach ruchu.

Przejście wyjątkowe przewidziano w razie nagłego zakazu radiokomunikacji w istniejącej sieci A.K. W takim wypadku auto-

matycznie w ciągu trzech dni centrala Londyn rozpoczynała nasłuch radiostacji zgłoszonych ale jeszcze nie przerzuconych na nową organizację na falach uprzednio zgłoszonych. Nadawanie jednak z radiostacji konspiracyjnych w Londynie odbywało się na nowych falach i nowymi sygnałami wywoławczymi.

W zasadzie radiostacje krajowe miały wołać pierwsze, ale w wypadku ich niesłyszenia radiostacje londyńskie rozpoczynały stopniowe wołanie nowymi elementami ruchu w celu nawiązania łączności. Radiostacje przewidziane, ale nie zgłoszone do chwili zamknięcia centrali Londyn, nie były wołane ani słuchane do czasu zgłoszenia ich przez Kraj do pracy w nowej sieci. Te nowe sieci radio miały nazwę „N” i „Z”.

Zadaniem tej nowej sieci radio było przekazywanie wiadomości o:

- a) przebiegu akcji oddziałów A.K. w czasie wycofywania się Niemców oraz zarządzeń po rozwiązaniu A.K.;
- b) postawie społeczeństwa w Kraju;
- c) stosunku armii czerwonej do członków A.K. i ludności;
- d) zarządzeniach władz administracyjnych;
- e) przejawach działalności NKWD.

W czasie tych zmian i przesunięć, niedokładne stosowanie się stacji krajowych do wydanych zarządzeń wywołało podejrzenia władz angielskich co do nowych przyszłych zamierzeń. Nakazały one Szefowi Łączności Sztabu N.W. wyjaśnienie powodów rozszerzania radiokomunikacji na nieistniejące dotychczas radiostacje o numerach 11, 12, 14, 15, 64, 65, 68 i 86. Powstanie tych stacji umotywowano wykonywaniem istniejącego poprzednio planu łączności A.K., przewidującego zagęszczenie sieci radiowych na ziemiach zachodnich Polski w miarę zbliżania się do nich frontu.

Dla przykrywki nowych radiostacji krajowych wykazywano w raportach fikcyjnie pracę nieistniejących już numerów 07, 22 i 29. Praca radiokomunikacyjna w tym okresie odbywała się z normalnych central Batalionu Łączności Sztabu N.W. w Kings Langley i Conington do czasu przejścia radiostacji krajowych na nową organizację. Wyjątek pod tym względem była praca z radiostacją w Ambasadzie R.P. przy Watykanie a później dla łączności z innymi placówkami w Europie, szczególnie z „Teamem” w Turcji. W tym celu uruchomiona została tajna radiostacja w budynku położonym blisko stacji podziemnej kolejki Gloucester Road, obsługiwana przez ppor. Starzyńskiego. Radiostacja ta wyposażona była już we wszystkie ulepszenia techniczne, utrudniające namierzenie, opisane powyżej.

Radiokomunikacja tajna

Praca z radiostacjami w nowych sieciach, używających nowych elementów ruchu, prowadzona była w W. Brytanii tajnie, sprzętem typu agencyjnego, zainstalowanym najpierw w budynku Barnes Lodge w Kings Langley, w którym była centrala odbiorcza, a po przeniesieniu, 1. VIII. 1946 r. I kompanii Radiotelegraficznej — po likwidacji centrali — do nowego m.p., w Dyrham Park, koło Barnet na północ od Londynu. Obsługę tajnych stacji stanowili zaufani radiotelegrafisci pod kierownictwem por. Brękiewicza.

W przewidywaniu trudności w utrzymaniu tajnej łączności radiowej z terenu W. Brytanii, szczególnie ze względu na dużą odległość do Kraju, w połowie czerwca 1945 r. Oddział Specjalny Sztabu N.W. zorganizował grupę radiową pod dowództwem kpt. Kociołka, w składzie której kierownikiem technicznym został por. inż. Dobrzyński, a kierownikiem radiotelegrafistów st. sierż. Wojciechowski. Grupa ta, wyposażona w sprzęt agencyjny radio, włącznie z uprzednio opisanymi transformatorkami symetryzującymi, została wysłana na teren Niemiec, do I Dywizji Pancerniej w Meppen. Tam uruchomiła ona tajną radiokomunikację, działając jako stacja przekaźnikowa między Polską a W. Brytanią.

Komórka ta działała sprawnie aż do czasu powrotu I Dyw. Panc. do W. Brytanii, pomimo żądań i nacisku władz brytyjskich zaprzestania radiokomunikacji, o której wiedzieli tak z własnych namierzań z samolotów (namierzania naziemne nie dawały wyniku), jak i not sowieckich, domagających się natychmiastowej likwidacji tej łączności.

W W. Brytanii, po utworzeniu P.K.P.R. i rozpoczęciu demobilizacji żołnierzy Batalionu Łączn. Szt. N.W., wynikła potrzeba uruchomienia tajnej radiostacji w innym miejscu. Zainstalowano ją na Ealingu, w budynku przy Montpelier Avenue, W.5., w którym znajdował się ośrodek kierowniczy, po likwidacji Oddziału Specjalnego, z gen. Tatarem na czele. Przechodziła tamtędy korespondencja tajna tak do i z Kraju jak i placówek w Europie.

Adresatami byli przedstawiciele najwyższych władz z Prezydentem R.P. Poza normalnym kierownictwem i pracownikami, Ośrodek na Ealingu odwiedzany był przez nasze czynniki wojskowe jak gen. Kopański i gen. Maczek. Tam więc radiostacja pracowała aż do przejścia gen. Tatara, płk. Nowickiego i ppłk. Utnika na stronę rządu warszawskiego. Ostatnim jej operatorem do początków 1947 r. był kpr. Leszczyński.

Cały sprzęt radio tak zainstalowany jak i zmagazynowany w piwnicy został sprzedany lub przekazany do Warszawy.

Po aresztowaniu gen. Tataru, płk. Nowickiego i ppłk. Utnika, oskarżonych w Polsce o pracę dla wywiadu anglosaskiego, dokumenty znajdujące się w budynku na Montpelier Avenue zostały wykradzione i po odpowiednim zniekształceniu użyte przeciwko oskarżonym w procesie pokazowym w Warszawie. Dokumenty te znajdują się pewnie gdzieś w archiwum bezpieki.

Jeżeli chodzi o samą łączność, to należy stwierdzić, że wszystkie nałożone na nią zadania przez uznawane władze zostały spełnione z pełnym poświęceniem dla sprawy, w której słuszność wykonawcy jej nie zwątpili do końca. Ta tajna łączność wykazała, że była trudną lub niemożliwą do wykrycia metodami technicznymi, a została przerwana z chwilą przejścia najwyższego ośrodka kierowniczo-dyspozycyjnego w Wielkiej Brytanii na służbę rządu warszawskiego.

Bez posiadania dokumentów umożliwiających zbadanie treści przekazywanych telegramów, trudno jest ocenić, czy łączność radiowa, w tej ostatniej fazie, była pomocą w decyzjach naszych najwyższych władz w Londynie, czy informowała Kraj uczciwie, czy wskazania dla Kraju były właściwe i czy przyczyniła się do informowania świata zachodniego o sytuacji w Polsce, za stworzenie której był odpowiedzialny.

S. POPKIEWICZ

Stanisław ŻOCHOWSKI

O SZTABIE GŁÓWNYM I WYŻSZEJ SZKOLE WOJENNEJ

1. *Polski Sztab Główny (szkic historyczny)**

Urząd Szefa Sztabu Głównego powstał w Księstwie Warszawskim w 1808 roku. Nie należy jednak z tą datą łączyć początku istnienia korpusu oficerów tego Sztabu. Cesarz, a jego wola kształtowała organizację wojskową Księstwa, nie chciał tego. Oceniał ujemnie stworzenie zespołu oficerów profesjonalnie wpływających na decyzję wysokiego dowódcy.

Generał Stanisław Fiszer, mianowany pierwszym Szefem Sztabu, miał tylko przekazywać i pilnować wykonania rozkazów napoleońskich. Wymogi życia stworzyły jednak Sztab przy Fiszerze. Jemu również podlegali oficerowie sztabów w dywizjach.

Sztab Główny za gen. Fiszera rozrósł się po opanowaniu przez Księstwo Galicji i pracował uparcie nad podwojeniem wojska i przygotowaniem do kampanii rosyjskiej. Gen. Fiszer był niezmordowany przy biurku, a w 1812 roku wziął udział jako szef sztabu V. Korpusu Wielkiej Armii, którym dowodził ks. Józef. Został odznaczony dwukrotnie Legią Honorową i awansowany. Poległ w bitwie pod Taturinem 18 października, kiedy galopował do zaskoczonych przez nieprzyjaciela dywizji Kniaziewiczza. Tak zginął dawny uczeń Korpusu Kadetów, adiutant Kościuszki i inspektor generalny piechoty.

W Królestwie Kongresowym utrzymał się wprawdzie Sztab Główny pod kolejnym szefostwem gen. Tolińskiego i potem gen.

* Wg. gen. dyw. S. Kopańskiego — *Polski Sztab Główny* — „Bellona”, 1954.

Siemiątkowskiego, ale znaczenie miał okrojone podlegając przybocznemu sztabowi w. ks. Konstantego. Konieczność naginania organizacji wojska do wzorów rosyjskich stworzyła Korpus Kwatermistrzowski. Oficerowie Korpusu sprawowali wszystkie funkcje sztabu generalnego.

Brak przyzwyczajenia dowódców do posługiwania się oficerami Sztabu w czasie pokoju powodował używanie ich do prac nie związanych z ich zadaniami wojskowymi i przygotowaniem.

W kampanii 1831 r. oficerowie Korpusu Kwatermistrzowskiego zostali przydzieleni do dywizyj piechoty i jazdy. Część ich pracowała w Kwaterze Głównej. Starsi oficerowie Kwatermistrzostwa w dywizjach zostali ich szefami sztabu.

Pułkownicy, podpułkownicy i kapitanowie Korpusu Kwatermistrzowskiego byli to oficerowie napoleońscy o dużym doświadczeniu, ale mniejszej podstawie studiów.

Młodszy od 1816 r. szkolili się na tzw. kursach zimowych. W 1820 r. powstała Szkoła Aplikacyjna, do której mogli wstępować konduktorowie Kwatermistrzostwa w stopniach podoficerskich po złożeniu egzaminów wstępnych. Byli to żołnierze z cenzusem, często absolwenci liceum. Kiedy słuchacze kursów zimowych po dwóch-trzech latach byli promowani na podporuczników Kwatermistrzostwa, uczniowie Szkoły Aplikacyjnej studiowali pełne trzy lata, a od 1829/30 r. wprowadzono kurs czteroletni. Dodać należy, że tylko celujący absolwenci dostawali awans na podporucznika Kwatermistrzostwa.

Komendantem Szkoły Aplikacyjnej był gen. art. Sowiński, a dyrektorem nauk płk inżynierii Kołaczkowski. Jednym z wykładowców był gen. Prądzyński, wspaniały znawca historii wojennej i strategii napoleońskiej. O ile pierwsi kandydaci na kursa zimowe pochodzili z artylerii i wojsk inżynierii, Szkoła Aplikacyjna wśród wychowanków miała licznych piechurów i kawalerzystów.

Program obejmował taktykę, strategię, historię wojen, fortyfikację polową i stałą. Kursy zimowe i Szkoła Aplikacyjna były w pewnej mierze poprzedniczkami naszej Wyższej Szkoły Wojennej.

Oficerowie Kwatermistrzostwa nie mieli, by powtórzyć za Tokarzem, praktycznego przygotowania do swej służby.

Generałowie należący do tego osobowego korpusu są twórcami naszych zwycięstw w 1831 r. Gen. Chrzanowski jako Szef Sztabu Głównego i gen. Prądzyński jako Kwatermistrz Generalny przygotowali plany wypraw na gwardię, na Rudigera, przeciw Rosenowi i bitwy pod Dębem Wielkim i pod Iganiami.

Trudno byłoby jednak powodując się stanowiskami wymienio-

nych generałów i pojęciami współczesnymi rozdzielić ich zakres prac. Obaj pracowali nad zagadnieniami operacyjnymi. Gen. Prądzyński, niezwykle zdolny taktyk i operator, jak wielokrotnie podkreślały poważne prace rosyjskie i niemieckie, wydawane aż do pierwszej Wojny Światowej, nie zajmował się pracami kwatermistrzowskimi w znaczeniu współczesnym.



Dopiero za naszych czasów powstał nowy polski Sztab Generalny. Nawiązanie do tradycji po tak długiej przerwie było niemożliwe.

Już 17 października 1918 r. ppłk Zagórski zaczął tworzyć Sztab Generalny w ramach Komisji Wojskowej. W tydzień później Rada Regencyjna zatwierdziła Sztab Generalny, jej bezpośrednio podległy. Uniezależniony od Komisji Wojskowej Sztab Generalny stał się najwyższą polską władzą wojskową.

Pierwszym Szefem Sztabu Generalnego został gen. Rozwadowski, który już po trzech dniach objął armię „Wschód”, by walczyć o Lwów. Zdał swe funkcje gen. Szeptyckiemu.

W marcu 1919 r. Sztab Generalny zostaje przemianowany na Naczelne Dowództwo. Przez pół roku pełni obowiązki Szefa Sztabu N.D. gen. Stanisław Haller, by w lipcu oddać je w ręce gen. Rozwadowskiego.

W wojnie 1918-1920 Piłsudski jako Wódz Naczelny sam pobierał koncepcje operacyjne i niektóre z nich, lub ich części sam wykonywał.

Naczelne Dowództwo pozostając stale w stolicy rozpracowywało decyzje Piłsudskiego dla całości wojska i przekazywało je do wykonania w formie rozkazów i wytycznych. Natomiast sztab ścisły, tworzony *ad hoc*, i zabierany w pole, pomagał Piłsudskiemu w dowodzeniu działaniem, które sobie zastrzegał dla osobistego wykonania.

Ten system dowodzenia ograniczał i odsuwał od operacji właściwy Sztab Generalny.

Mimo to, a raczej właśnie dla tego zwyczaju Naczelnego Wodza, praca Sztabu pod kierownictwem Rozwadowskiego wysunęła się na miejsce niezwykle ważne. Kiedy Piłsudski opuścił Warszawę udając się w pole dla dowodzenia grupą uderzeniową, nad całością operacji polskich czuwał gen. Rozwadowski i Sztab.

W kwietniu 1921 r. zostało zlikwidowane Naczelne Dowództwo, część jego Oddziałów rozwiązana, a pozostałe weszły w skład Sztabu Generalnego, podległego, na wzór francuski, ministrowi Spraw Wojskowych. Szefem Sztabu Generalnego został gen. Wł.

Sikorski, który w okresie do końca 1922 r. ustalił podstawy po wojennej organizacji sił zbrojnych.

Na pół roku Marszałek sam przejął kierownictwo Sztabu. W lipcu 1923 r. widzimy na tym stanowisku gen. Stanisława Hallera. Mając za sobą doświadczenie sztabowe ze służby austriackiej, Haller skonsolidował Sztab i nauczył jednolitych metod pracy oficerów sobie podległych, a mających różną przeszłość.

Po zamachu majowym w 1926 r. Marszałek zreorganizował naczelne władze wojskowe. Odtąd ministerstwo spraw wojskowych miało wyłącznie zadania wyszkoleniowe i administracyjne. Generalny inspektor sił zbrojnych (wódz naczelny na wypadek wojny) odciążony od zagadnień bieżących, jak prawdopodobnie Piłsudski sądził mniejszej wagi, mógł skoncentrować się nad przygotowaniem i pogotowiem obrony państwa.

Oprócz Sztabu Głównego (tak przywrócono nazwę dawną, polską sztabowi generalnemu) powstał Generalny Inspektorat, jako biuro Marszałka. Ta nowa instytucja obejmowała także generałów-Inspektorów, przewidzianych na dowódców armii, z ich sztabami. Część ich rezydowała w stolicy, inni mieli swe biura na terenie swych inspektoratów.

W praktyce Sztab Główny został wyłuskany ze swej podstawowej roli, gdy GISZ przejął „studia i prace operacyjne przewidywanych działań wojska”.

Szefem Sztabu Głównego został mianowany gen. Piskor, oficer bliski Marszałkowi. Nie zmieniło to jednak organicznej niechęci Generalnego Inspektora do Sztabu, któremu coraz bardziej ograniczał kompetencje. Zmusiło to gen. Piskora w 1932 roku do rezygnacji z zajmowanego stanowiska, po odrzuceniu przez Marszałka jego propozycji unowocześnienia i utechnicznienia Sił Zbrojnych.

Ostatnim Szefem Sztabu Głównego za Piłsudskiego był gen. Gąsiorowski. Był raczej likwidatorem Sztabu. Posłusznie przeprowadził redukcję etatów Sztabu o połowę. Sztab nie miał już wpływu na wyszkolenie i nie opracowywał planów operacyjnych. Nastąpiła przerwa w przygotowaniu planów mobilizacji. Pisze gen. Kopański — „Bezład zupełny panował we wszystkich dziedzinach pracy Sztabu Głównego, z wyjątkiem informacyjno-wywiadowczej”.

Po śmierci Marszałka Piłsudskiego, jego następcą przywrócił Sztabowi Głównemu pełne znaczenie. Szefem Sztabu został mianowany gen. W. Stachewicz. Musiał on dużym nakładem pracy osobistej i swoich oficerów przeprowadzić rozbudowę Sztabu i stworzenie nowego systemu mobilizacyjnego i komunikacyjnego, związanych z nowymi planami operacji. Ten Sztab Główny pro-

wadził walkę w 1939 r. zmieniając nazwę na Sztab Naczelnego Wodza.

Po klęsce we własnym kraju, we Francji na czele Sztabu N.W. stanął płk dypl. Kędzior. Sztab zajmuje się stworzeniem Sił Zbrojnych materiałowo w całości zależnych od gospodarzy, ale zachowując zupełnie polskie oblicze oddziałów.

Po upadku Francji rozpoczyna się jeszcze jedno z kolei tworzenie Sił Zbrojnych z rozbitków. Sztab N.W. od połowy 1940 r. kierowany przez gen. Klimeckiego miał ciężką pracę. Przejście na organizację brytyjską, narzucone przez Anglików ze zrozumiałych względów standartowego zaopatrywania W.J., przy zachowaniu odrębnego wyglądu i treści wewnętrznej oddziałów wymagało nieustannego, żmudnego docierania niekończących się detali w konferencjach z gospodarzami.

Praca ta została w dużej mierze dokonana, gdy w lipcu 1943 roku w katastrofie gibraltarskiej gen. Klimecki zginął z Wodzem Naczelnym.

W drugiej połowie tegoż roku gen. Stanisław Kopański został mianowany Szefem Sztabu N.W. przez gen. Sosnkowskiego.

Dawny Szef Oddziału Operacyjnego Sztabu Głównego w Polsce sercem i służbą związany z 3. D. S. Karp. niechętnie odchodził z linii. W Londynie zagadnienia wojskowe i trudniejsze polityczne zarówno go obciążały w okresie szczytowym wojny, zwycięstwa aliansu i klęski polskiego sprzymierzeńca.

Były to sprawy wojskowe Kraju, rozrost Sił Zbrojnych na Zachodzie i użycie ich w walce, pomoc sprzymierzonym w zakresie wywiadu, studia doświadczeń wojennych i kształcenie młodego zespołu oficerów do pracy w sztabach.

Po zakończeniu wojny. Prezydent R.P. przywrócił Sztabowi dawną nazwę „Sztab Główny”.

2. Egzamininy do Wyższej Szkoły Wojennej w 1936 roku

Na początku roku kalendarzowego oficerowie, którzy zamierzali poddać się egzaminom wstępnym do WSWoj. składali podania. Dowódcy dywizyj i brygad, prawdopodobnie na polecenie z góry, starali się przeprowadzić selekcję zwracając uwagę na zdolniejszych poruczników i młodych kapitanów.

Służąc w lubelskim 8. pułku piechoty Legionów, wchodzącym w skład 3.D.P. bardzo się ucieszyłem, kiedy rozkaz organizacyjny do manewrów wyznaczył mnie do dyspozycji dowódcy dywizji, którym był wtedy gen. bryg. Władysław Bortnowski. Uprzednio jeszcze, podczas przelotnych inspekcji generał kilka razy rozma-

wiął ze mną. Podczas trzech tygodni manewrów byłem w jego sztabie używany do prac małej wagi. Generał miał jednak okazję do szeregu pytań, czasem na dość nieoczekiwane tematy, które jeśli nie dawały mu wiele z mej nikłej wiedzy wojskowej, pozwalały się orientować w jakim kręgu obraca się myśl kandydata. Przypuszczam, że w podobny sposób postępowali i inni dowódcy Wielkich Jednostek.

Na wiosnę dostałem rozkaz stawienia się w dowództwie Okręgu Korpusu.

W sali balowej oczekiwało kilku podeksycytowanych oficerów-kandydatów. Wszyscy w stroju garnizonowym, w długich butach, w pasie koalicyjnym, przy szabli i bez orderów, ponieważ była to młodzież oficerska, która wachała proch tylko na strzelnicy, a niektórzy tylko w majowe trzy dni 1926 roku.

Egzaminy trwały dwa dni. Pierwszego pisaliśmy jakieś prace na tematy ogólne, po czym nauczyciel jednego z miejscowych gimnazjów, wyznaczony przez Kuratorium, egzaminował nas z geografii. Nie była to geografia wojskowa Polski i obszarów sąsiednich na co byliśmy nastawieni. Pytania były mało przydatne z tego punktu widzenia, bo odbiegały daleko w plioceny i mlioceny, a powstawanie moren stało w nawałnicy wieków najbliższej naszym czasom. Mimo to nie jeden z nas przewrócił się na tych kamieniach.

Następnego dnia stawiliśmy przed komisją. Dowódcę Korpusu zastępował szef sztabu. Przewodniczył gen. Bortnowski. Byli jeszcze dwaj czy trzej dowódcy W.J., z których pochodzili egzaminowani.

Pytania zadawano z różnych dziedzin. Chodziło o poznanie ogólnej inteligencji i o wachlarz zainteresowań zdającego. Polityka zagraniczna państwa. Teoria Douheta. Organizacja szkolnictwa. Kampania 1920 roku. Cele reformy rolnej.

Odpowiadaliśmy pojedynczo, ale przeegzaminowani pozostawali przed komisją i mogli odpowiadać dodatkowo na pytania, które spotykało milczenie. Kiedy komisja wyczerpała swą amunicję, pułkownik milczący dotąd i przeglądający papiery zapytał kolegę w jakim celu zrobił dyplom prawa, gdy teraz chce dostać się do WSWoj. Czy nie lepiej przenieść się do korpusu oficerów sądowych? — „Panie Pułkowniku! Wojsko jest siłą. Siła łatwo popełnia bezprawia. Znając prawo nie będę popełniać bezprawia”. Po tym wyjaśnieniu dali mu już spokój.

Po naradzie dość długiej komisja podała nam wyniki ustnie.

Kilka następnych miesięcy wkuwaliśmy regulaminy. Podstawowym była taktyka broni połączonych, nadto regulaminy walki piechoty, kawalerii i artylerii. Regulaminy służby łączności i wojsk

saperskich. Te wymiarami nieduże, o bardzo skondensowanym ładunku wiedzy, o stylu drewnianym, nie nadają się do czytania, podobnie jak niektóre uniwersyteckie skrypty. Jesienią zjechaliśmy na drugie sito egzaminacyjne. Czerwone liście klonów wiatr przeganiał po Koszykowej ulicy, gdy z ciekawością przechodziłem bramę Szkoły. Szary, długi, dwupiętrowy budynek stał bokiem do ulicy. Wchodzących witał biust Cesarza ustawiony na niskim cokole.

Zdawaliśmy pisemnie w przeciągu całego tygodnia. Sprawdzano znajomość regulaminów i działań małych związków broni połączonych — batalion, bateria, szwadron. Egzamin z języka francuskiego był bardzo powierzchowny. Ponieważ uczyłem się w gimnazjum niemieckiego brałem lekcje francuskiego u miłej studentki w ciągu roku poprzedzającego omawiany tydzień. Tłumaczenie kilku stron z francuskiego regulaminu na nasz język zrobiłem bez trudności, ciesząc się, że nie żądano tego w porządku odwrotnym. Rosyjski był także sprawdzany miękko przez starego oficera z carskich czasów¹.

Zakwalifikowani do następnego sita znaleźliśmy się w Rembertowie pod Warszawą. Centrum Wyszkozenia Piechoty położone na dużym piaszczystym poligonie potrafiło nam zająć czas tak dokładnie w ciągu dwóch miesięcy, że nie przychodziła na myśl Warszawa pod nosem. Pracowaliśmy od rana do późnej nocy. Wieczorem tylko, po kolacji chodziliśmy na spacer. Wracaliśmy szybko, by przygotować się do następnego dnia.

Głównym przedmiotem była taktyka broni połączonych. Związki większe niż przy egzaminach warszawskich obejmowały pułk piechoty, dywizjon artylerii, dywizjon kawalerii lub szwadron tankietek. Często jako O.W. (oddział wydzielony) rzucany na dzień marszu, liczony nogami piechura — 30 km. przed własne siły idące do boju spotkaniowego, lub na skrzydło dla ubezpieczenia marszu i walki sił głównych. W obronie pułk piechoty z dywizjonem artylerii lekkiej, przy wsparciu artylerii ciężkiej, w związku dywizyjnym.

Wykłady były krótkie. Przypominano podstawowe zasady regulaminowe i rozdawano powielane założenia wraz z kompletami map w skali 1 : 100.000. Załamanie marginesów map, właściwe ich zetknięcie i przymocowanie do dykt zabierało cenny, bardzo oszczędnie wydzielany czas. Naniesienie sytuacji dermatografami na celofanach i odczytanie założenia, by wiedzieć gdzie się jest,

1. Bardzo dokładny był egzamin z terenoznawstwa. Trwał przez cały dzień. Wywieziono nas w płaski, podwarszawski teren, bez wielu punktów orientacyjnych. Przynajmniej pół godziny egzaminowano każdego kandydata.

jakie wiadomości o nieprzyjacielu i czego od nas żądają to druga praca. Często jeszcze nie skończona, a tu już padały pytania. Wykładowca najchętniej uderzał w tego, który jeszcze się woził z mapami. Dokładne określenie położenia oddziałów własnych i nieprzyjaciela. Odczytanie zadania, analiza — częsta dyskusja i wyjaśnienia. Wreszcie przechodziliśmy do pobierania decyzji, którą każdy ze słuchaczy formułował na piśmie — myśl przewodnia, ocena możliwości przeciwnika, wskazówki wykonawcze, czyli dyspozycje użycia oddziałów. Wykładowca zbierał nasze prace dla późniejszej dokładnej oceny, a jedną z nich przekazywał nam jako podstawę rozgrywki na mapie. Oddziały ruszały, wyciągały się kolumny, zjawiał się lotnik, padały pierwsze strzały. I znów — „Co Pan robi w tej sytuacji Panie Poruczniku?”

Tak nerwowo, w ciągłym pośpiechu, poganiani przez wykładowców ciągłymi zmianami działań, co wytwarzało nastrój zbliżony do akcji w polu, posuwaliśmy się z tygodnia na tydzień. Dopinguwała nas pamięć o tym, że stanowimy materiał egzaminacyjny i że nasz wysiłek tylko w części służy powiększaniu wiedzy.

O ile pamiętam kierował egzaminami płk dypl. Karol Ziemiński. Mjr dypl. Stachiewicz o potężnej tuszy, obliczu dużym i bardzo polskim, kierował walką kawalerii. Oprócz taktyki broni połączonych mieliśmy dużo prac z walki piechoty, kawalerii, artylerii, łączności i wiedzy saperskiej. W terenie oddziały ćwiczebne CWPiech. przeprowadzały dla nas ćwiczenia w obronie i natarciu. Broń pancerna zjawiała się tylko marginesowo i nie przywiązywano do niej wagi. Lotnictwo miało tylko zadania rozpoznania i utrzymania łączności.

Tempo prac nawet bez broni motorowych było dla nieprzyzwyczajonych, wolniej myślących — mordercze. Często oddawali prace nieskończone. Tajemnicza tabela punktów obcinała wyniki.

Po raz pierwszy od egzaminów wstępnych do podchorążówki zetknęliśmy się ze sprawdzianami psycho-technicznymi. Proste, lub bardziej zawile pytania, obliczania, rysunki i reakcja na kolory i formy mówiły „magikom” pewne dane o nas. Czy i jak były one trafne nie umiałbym powiedzieć.

Rozjeżdżaliśmy się w pełnej niewiedzy wyników. Dopiero latem powiadomiono nas o wynikach. Przyjętych do Szkoły na rocznik 36/38 było czterdziestu dwóch. W tej liczbie dwóch lekarzy, jeden oficer służby uzbrojenia, jeden oficer kontraktowy, Ukrainiec w stopniu majora. Razem z lekarzami było czterech z dyplomami uczelni wyższych, nie wojskowych.

Po męczącym okresie przygotowań i egzaminów, przy czym w swoich jednostkach spełnialiśmy normalne obowiązki dowódców kompanii lub plutonów, przyszedł okres przyjemny i niemęczący.

Zostaliśmy skierowani na praktykę do innych rodzajów broni niż macierzysta i do lotnictwa.

Część dowódców pułków niezbyt poważnie potraktowała ten *stage*. Niektórzy z kolegów byli tylko obserwatorami i asystowali dowódcom kompanii lub baterii. 2.P.S.K., gdzie zostałem skierowany z jeszcze jednym stażystą, sformował pełne dwa szwadrony z plutonami CKM na jukach i oddał je nam do dowodzenia na trzy tygodnie. Autentyczni rotmistrzowie nam asystowali, byśmy się nie gubili dowodząc z konia.

Praktyka w lotnictwie dała nam szereg lotów na maszynach używanych do rozpoznania dziennego i nocnego. Były to samoloty o kabinie otwartej i zaznajomiły nas z trudnościami obserwacji i wykonania szkiców w powietrzu. *Stage* łącznie z dwoma tygodniami w pułku artylerii lekkiej trwał dwa miesiące i zbliżył nas z kart regulaminu do rzeczywistych broni.

3. Rozważania o naszej doktrynie wojennej.

I. Doktryna

Siły zbrojne każdego państwa, którego potencjał, istotna suwerenność i sytuacja geo-polityczna są tego rodzaju, że może być zmuszone do prowadzenia wojny samodzielnie, powinny opracować swą własną doktrynę wojenną. Przykładowo — obecne siły zbrojne PRL nie mają szans i obowiązku posiadania doktryny, ponieważ bez reszty tkwią w planach i doktrynie sowieckiej. Podobny jest los sił zbrojnych innych państw satelickich.

Doktryna wojenna, jeśli chodzi o danie jednej z możliwych definicji, jest to system zapewniający jednolite dowodzenie i najlepsze działanie sił zbrojnych państwa.

Doktryna, podobnie jak i plany wojny, nigdy nie jest opracowaniem definitywnie zamkniętym. Doktryna jest określeniem zasad według których będzie się prowadzić wojnę. Ponieważ na sposób prowadzenia wojny wpływa szereg czynników zmiennych, doktryna musi ulegać rewizjom. Ona ustala zasady ścisłe dla dowódców działających w obliczu nieprzyjaciela, gdyż ci muszą reagować niemal odruchowo. Dowódcom wyższym, których oddalenie od pola walki jest większe — daje ramy pozwalające pobierać decyzje po rozwadze, gdyż czas na to zezwala, okoliczności są bardziej złożone, a zadanie i odpowiedzialność są bez porównania wyższe.

Doktryna winna zapewniać jednolitość działania całych sił zbrojnych. To znaczy dać zasady postępowania słusznego, wów-

czas gdy rozkaz będzie posiadać luki, albo nie dojdzie adresata. Dla dowódców wyższych (frontów, armii) wytyczne działania są wyjaśnieniem ujętego zazwyczaj zwięźle zadania, wykonanie którego trwa czasem przez długi okres i ma ważny udział w danej fazie kampanii. Winny one omówić nie tylko współdziałanie z sąsiadami, ale i rozważyć prawdopodobny rozwój działań i reakcje — muszą mieścić się całkowicie w doktrynie.

Doświadczenia ostatniej własnej wojny, obserwacje kampanii prowadzonych przez inne, czasem odległe państwa, wnioski wysnute z gier wojennych i manewrów, artykuły w prasie fachowej, rozwój techniczny sprzętu i broni, zaplecze przemysłowe i surowce, a nade wszystko pieniądze preliminowane na wydatki obrony, określają doktrynę.

Żadna doktryna nie zapewni skutecznej obrony jeśli całość sił państwa nie wystarczy do utrzymania w zmaganiach życiodajnej przestrzeni z terytorium państwowego.

Doktryna w czasach Clausewitza, a nawet do I-szej Wojny Światowej dotyczyła wojsk lądowych, a wojna morska w przygotowaniu i wykonaniu podlegała własnej doktrynie.

Współdziałanie trzech części sił zbrojnych, rozwój broni pancerniej, powstanie armii spadochronowych skomplikowały opracowanie doktryn po II-giej Wojnie Światowej. Do tych elementów, zmieniających dawne pole walki, doszła broń atomowa od pocisków taktycznych do międzykontynentalnych. Taka rozpiętość innowacji wpływa obecnie na pełne opracowanie doktryn dwu tylko potęg. Inne państwa mimo ambicji narodowych, jeśli nie od początku konfliktu, to w jego rozwoju, muszą przewidzieć dołączenie do jednego z głównych przeciwników. To będzie ograniczać ich pracę nad własną doktryną.

Po tym rozważaniu materii raczej obcej dla wielu czytelników zapytajmy kto wypracowuje doktrynę?

Normalnie należy to do sztabu generalnego. Szef sztabu najczęściej bywa przewidziany na najwyższego dowódcę czasu wojny. To powinno gwarantować wspólność zasad, identyczność języka i znajomość dokładną poprzednio wspomnianych elementów, z których wyrasta doktryna. Zupełnie specjalne i skomplikowane warunki Polski po odzyskaniu niepodległości stanęły temu na przeszkodzie.

Generał Eisenhower, jeszcze jako najwyższy dowódca aliancki w Europie, po wygaśnięciu wojny dał rozkaz czterem wybitnym kapitanom z poszczególnych części sił zbrojnych, by napisali swoją wizję przyszłej wojny. Ta praca, jeśli została wykonana i miała w sobie ziarna istotnych przewidywań, może jest używana w tworzeniu doktryny wojny globalnej Stanów.

Była w tym rozkazie zdrowa myśl dobrego generała. Starzy dowódcy z ubiegłej i przesunięci na główne stanowiska w przyszłej wojnie tkwią w elementach, których się uczyli i w doktrynie może zwycięskiej, ale już zdewaluowanej. Nie obejmą nowych, szerszych horyzontów.



Kiedy Polska powstawała jako państwo, a wojsko nasze organizowało się z obu stron niknącej linii frontu, oficerowie do niedawna z zaborczych armii przynieśli z sobą poglądy i nauki różnych środowisk. Naczelną zasadą była wojna linearna, którą trudno nazwać sztuką. Ogromne nakłady materiału technicznego i wyposażenia w środki ogniowe stale wyrównywane doprowadziły do bezruchu, który nie dawał się przełamać przez lata. Ofensywa Brusilowa w Małopolsce prawie nieznaną na Zachodzie i zwycięskie, potężne, ale o małym zasięgu ofensywy alianckie przy końcu wojny nie zmieniły okopu, jako głównego sposobu walki w umysłach jego dawnych załóg. Duże obszary naszego wschodu w 1918 r. nie dawały się wypełnić mizerną ilością świeżych, niezgrabnych, źle wyposażonych dywizji. Czerwone siły związane wojną cywilną, przechodzące również szereg kłopotów organizacyjnych nie wydawały się groźne. Dla zamknięcia przejść, dla powstrzymania przechodzących band, czasem dla wygodnego użycia poniemieckich okopów rozprzestrzeniano się w linię, za którą nie starczało na odwody. Dążność do posiadania ciągłej linii od Dźwiny po Dniestr znakomicie ułatwiła Rosjanom przerwanie frontu na północy i rolowanie ku centrum kraju, przeradzające się miejscami w naszą ucieczkę.

Za ten stan rzeczy nie można winić Piłsudskiego. Nie on szkolił swoich ówczesnych generałów i nie posiadał wystarczających sił dla wsparcia upadających frontów. Błąd, do którego się przyznaje w „Roku 1920”, niedoceniaenia armii konnej Budienego, spowodowało poważne doświadczenie własne, zniszczenie dywizji kawalerii rosyjskiej ogniem pod Kostiuchnówką. Była to jednak szarża na solidnie przygotowaną obronę, a nie na piechotę w polu, w marszu. Do tej sprawy jeszcze wrócimy. Piłsudski w linię nie wierzył. Widoczne to nie z jego *ex-post* wypowiedzi w pracach o wiele później wydanych. Dowód takiego myślenia przeprowadził w polu uderzeniem znad Wieprza, ryzykownym, bo słabo od wschodu ubezpieczonym. Inny dowódca z linearnej szkoły myślenia prawdopodobnie przeszedłby do obrony Wisły, dając przeciwnikowi szanse przełamania.

Piłsudski nie mając za sobą żadnej szkoły wojskowej wiele czasu poświęcił studiom operacji na klasycznych przykładach his-

torii wojen. Wyniósł z tych prac głębokie przekonanie o wyższości ruchu nad zaleganiem w okopach. W ruchu tylko widział rozstrzygnięcie, choć poznał trudność określenia momentu uderzenia, zebrania dostatecznej ilości wojsk, nie osłabiania nadmiernego innych części frontu, by nie trzasły grzebiąc całość koncepcji, zanim da się odczuć ulgę wynikłą z operacyjnego zaskoczenia i wreszcie rozbitcia przeciwnika. Ruch szybki i energiczne działanie na skrzydło i tyły po wykorzystaniu przerwy w nieprzyjacielskim ugrupowaniu to było działanie mas kawalerii sowieckiej. Kawaleria polska nie została użyta w jednej masie.

Piłsudski, o czym zazwyczaj się nie pamięta, pierwszy użył piechoty, artylerii zmotoryzowanej i samochodów pancernych dla dokonania zagonów. Na Żytomierz i Kowel. Była to improwizacja. Jednostki dobrane i zmotoryzowane tylko do wykonania tych dwóch akcji. Oba działania uwieńczyło powodzenie.

Zagon na Kowel prowadził major Bochenek 11 września 1920 roku. Dwa bataliony piechoty na samochodach, dwie baterie ciągnięte i szwadron samochodów pancernych miały zadanie uchwycenia Kowla, działając o 1-2 dni marszu przed własną piechotą.

Na Żytomierz poszedł ppłk Biernacki również z dwoma batalionami na samochodach, zmotoryzowaną baterią 75 mm, plutonem saperów zmotoryzowanych i dywizjonem kawalerii. Korzystając z rozpoznania lotniczego zgrupowanie zajęło cel nakazany, przechodząc w walce 80 km. przez półtorej doby.

Wspaniałe uderzenia idące tropami dawnych zagończyków, biorące duży łup, oszczędzające czas, siejące przestraszcach. Praktycznie zapomniane i nie wykorzystane ani w organizacji wojska, ani w szkoleniu dowódców. Dlaczego Piłsudski sprawdzwszy skuteczność działania związku pancerno-zmechanizowanego w wojnie zdecydował przeciw kontynuacji tego typu jednostek w wojsku po 1920 r., trudno dochodzić. Prawdopodobny będzie spłot trudności finansowo-przemysłowych. Motoryzacja jest przedsięwzięciem kosztownym, a produkcja czołgów, samochodów ciężarowych i pancernych i szeregu innych wozów (dla łączności, saperów, dla artylerii) przerastała możliwości rolnej, dopiero sklejaney Polski. Prawdopodobnie trudności motoryzacyjne, świeże i bolesne doświadczenia o skuteczności kawalerii rosyjskiej wraz z obszarami naszych kresów, łączących się w nieobeszłe tereny ukraińskie, i chęć posiadania masy manewrowej szybkiej, przesądziły o powstaniu naszej jazdy.

Z popiołów, które pozostawił po sobie Budienny i Gajchan zrodziła się najliczniejsza chyba w świecie kawaleria, która dotrwała do września 1939 roku. Nie tylko brawurowe, ale i rozsądne

— nie dla wzięcia Lwowa, jako lokalnego tryumfu dowodzącego wachmistrza — działanie mogło przypieczętować nasz los na przedpolu Warszawy. Powrót jazdy na wschodnie przestrzenie musiał się wydać Piłsudskiemu trwały i zdecydował o stworzeniu naszych 40 pułków konnych. Z kampanii 1920 r. powstała nie ujęta w słowa doktryna ruchu. Działań szybkich, energicznych, kierowanych na skrzydło. Ten ruch odbywał się najbardziej prymitywnym sposobem, nogami piechura. Wyżywienie dawał rejon walk, transporty zaopatrzeniowe były nieliczne i nieregularne. Amunicja głównie kolumnami taborowymi. Była wielu kalibrów i różnych typów broni. Ewakuacja rannych kolumnami które odchodziły do tyłu.

W działaniach, a przede wszystkim w zaopatrywaniu pola walki i ewakuacji rannych i sprzętu dużą rolę odgrywała improwizacja. Inaczej było w dywizjach Hallera i wielkopolskich, ale one nie stanowiły większości.

Zwycięstwo zostało osiągnięte dzięki ideowości żołnierza, lepszemu dowodzeniu i łutowi szczęścia. Rozwinęło ono nadmierną ufność w siebie, wiarę w improwizację, niechęć do planowania, wreszcie lekceważenie przeciwnika. To były miękkie poduszki, na których długo spoczywano.



Organizacja pokojowa wojska, jego uzbrojenie, fortyfikacje, szkolenie korpusu oficerskiego, wszystko co się składa na obronę — powinno być konsekwencją doktryny i planów wojennych.

Było to tym bardziej konieczne, że państwo dopiero się organizowało, nie było obciążeń i predyspozycji, które tkwią w starych ministerstwach, wśród bezużytecznych foliów.

Tym bardziej było pilne ustalenie zasad naczelnych, które będą konsekwentnie przestrzegane w całej wojskowej maszynie.

Przyjęta organizacja była skomplikowana. Oprócz ministerstwa Spraw Wojskowych powstał Sztab Generalny (potem zwany Głównym) niezależny od ministra. Nadto powstał urząd Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych (GISZ), który objął Marszałek Piłsudski, przewidziany na naczelnego wodza na wypadek wojny. Generalny inspektor był niezależny od ministra. Miał jako organa pracy inspektorów armii i generałów do prac, z zawiązkami sztabów. Generałowie ci mieli objąć armie z chwilą mobilizacji. Byli *de facto* niezależni. Piłsudski nie miał dość zdrowia i czasu na systematyczną kontrolę inspektorów. Znaczenie Sztabu malało, przy przejściu gros jego funkcji przez GISZ. W Sztapie była duża ilość oficerów pobieżnie tylko zatrudnionych.

Wojsko tworzyło 30 dywizji piechoty o trakcji konnej i 40 pułków kawalerii, łączonych najpierw w dywizje, potem w samo-

dzielne brygady 3 lub 4 pułkowe. Artylerii dyspozycyjnej poza dywizyjną, aż do 1939 r. bardzo mało. Siła ogniowa brygady kawalerii była mniej więcej równa pułkowi piechoty.

W ten sposób armia o pokaźnej ilości dywizji była tylko udoskonalonym i zwielokrotnionym wojskiem z 1920 r. Było to osiągnięcie pierwszego dziesięciolecia. Dało maszynę sprawną i dobrze wyszkoloną, zakładając, że siły zbrojne sąsiadów również doskonalały się tylko na poziomie osiągnięć zamykających I-szą Wojnę Światową.

Podsumujmy. Konieczność organizowania obrony załedwie powstającego państwa dopiero stworzonym wojskiem, wchłonięcie różnego uzbrojenia w walce o życie, nacisk ułamków obcych doktryn, wreszcie bieda własnego obszaru popychały twórcę militarnej przyszłości Polski do decyzji tymczasowych, których nie można było zmienić.

Piłsudski, bo to o nim mowa, koncentrował swoją wizję Polski na terenach, które wydarł Rosji i przewidywał o nie przyszłe zmagania, wykluczał samotną wojnę z Niemcami, niewiele sobie ważył systematyczne wojskowe planowanie, cierpiał na głęboki wstręt do sztabów, nie uznawał techniki i mechaniki wraz z awiatyką, które przejmowały od tradycyjnych broni panowanie na polu walki.

Taki był układ spraw, że nawet jedyny pozytyw — zwycięstwo nad Rosją — obracało się powoli przeciwko nam. Pozostawiło przekonanie o naszej — załedwie koniunkturalnej — wyższości, rosnącej w miarę postępowania lat w proporcje maniakalne.

II. Doktryna w WSWoj.

Francuskie zasady i metody szkolenia panowały niepodzielnie w wojsku naszym po wojnie. Było to zrozumiałe, ponieważ Francja była zwycięzcą, a więc miała autorytet, była naszym sojusznikiem i chętnie przysłała liczną misję wojskową. Wyższa Szkoła Wojenna powstała w 1919 r. i kierownictwo jej objął płk dypl. Ludwik Faury przy pomocy szeregu oficerów misji. Wprawdzie od początku byli wyznaczani komendanci Szkoły — Polacy, ale mieli sobie powierzone tylko funkcje administracyjne.

Płk Faury był rzeczywistym twórcą Szkoły w sensie utrzymania wysokiego poziomu nauczania, przygotowania szeregu przyszłych wykładowców spośród swoich wychowanków i co było najważniejsze stworzenia doktryny wojennej. Wprawdzie należy dodać, że była to doktryna szkolna i nie posiadała oficjalnego stempla przez długi czas, ale stanowiła podstawę studiów i przez

kolejne roczniki słuchaczy przenikała do sztabów wojska i oddziaływała na myślenie operacyjne i taktyczne.

Płk Faury był niepospolitym człowiekiem. Bo zważmy, jako Francuz i to zwycięski mógł oprzeć nauczanie na wzorach wojska swej ojczyzny i przy najmniejszym wysiłku wtłoczyć moich najstarszych kolegów w doktrynę linearną. Doświadczeniom wojny pozycyjnej nie uległ i sam jeden wbrew licznym kolegom Francuzom oddał się podstawom nauki w Szkole, które muszą odpowiadać warunkom polskiemu.

Ponieważ Niemcy zostały pobite i wzięte pod kontrolę, Rosja dominowała jako wróg potencjalnie coraz bardziej groźny.

Odrzuciwszy zasady wojny pozycyjnej, dla powodów, które starałem się wyjaśnić, płk Faury obróciwszy się ku Wschodowi musiał samotnie wypracować system, którego będzie konsekwentnie trzymać się przy nauczaniu w Szkole. Kampanię polską przeszedł w sztabie armii gen. Skierskiego i przez ten czas obserwował zupełnie inną wojnę. Ciągły ruch, niepewność skrzydeł, a czasem i tyłów, brak łączności, tracenie i odzyskiwanie styczności z przeciwnikiem charakteryzowały działania. Znakomity znawca wojen napoleońskich odnalazł łatwiejsze stosowanie ich zasad na polskim teatrze wojny niż we Francji.

Szkołą pierwsze roczniki płk Faury przerabiał z nimi wszystkie fazy jednej z wojen cesarza. Koncentracja, marsz do bitwy, bitwa i pościg strategiczny. Wnikliwość i drobiazgowość studium historycznej armii lub frontu dawała dyrektorowi nauk dwa osiągnięcia. Rocznik starszy — Szkoła od początku była dwuletnia — uczył się myśleć szeroko i rozumieć myśl naczelną i technikę wykonania operacji, w której brały udział dywizje połączone w korpusy i zdążające do wykonania zadania na większym obszarze.

Fragmety takiej operacji, jako działania taktyczne poszczególnych dywizji stanowiły zakres pracy rocznika młodszego. W ten sposób powstawała ciągłość i zwartość studium. Nie stwarzano sztucznych założeń do rozważań. Zadania W.J. logicznie wpływały z działań szczebla wyższego.

Płk Faury był zdania, że wartościowy pomocnik dowódcy musi się orientować w działaniu armii, by rozumieć dobrze rolę dywizji, w której sztabie służy.

Chociaż główną zasadą wojny polskiej był ruch, płk Faury od początku studiów podkreślał element ognia, którego przeznaczeniem jest ułatwienie ruchu i umożliwienie przełamania obrony. Potężny jednak i dobrze przygotowany ogień obrony mógł załamać natarcie.

Wynikał z tych dwóch prawd respekt ognia i wnioski o ko-

nieczności posiadania dużej i ruchliwej artylerii, zaopatrzonej w bogate zapasy amunicyjne.

Szczegółowe studium możliwości ognia w terenie konkretnego zadania doprowadziło do stworzenia teorii wycinków. Bieg grzbietów, lasów skraje, układ miejscowości wytyczały granice wycinków, posuwanie się w których było łatwiejsze dzięki obserwacji i szeregowi stanowisk dla artylerii promującej ruch. Czasem obserwację artylerii trzeba było umieszczać na odcinku sąsiada. Powiązanie wycinków tak w obronie jak i w natarciu decydowało o tym gdzie ma pójść ruch i gdzie będzie zatrzymany, jak i skąd kłaść ogień, by zapewnić jego ciągłą interwencję.

W natarciu na nieprzyjaciela jeszcze nie w pełni zorganizowanego płk Faury wprowadził marsz zbliżania, będący powiązaniem ruchu i ognia. Teren decydował o następnym ruchu piechoty rozczłonkowanej, a posuwającej się pod osłoną własnego ognia. Przesunięcie na nowe stanowiska artylerii i gotowość do rozpoczęcia ognia pozwalały na dalsze podjęcie ruchu.

W obronie nawiązał płk Faury do własnych doświadczeń z początku wojny 1914 r., opartej na systemie ośrodków i gniazd oporu, powiązanych ogniem. System ten pozwalał na obronę dywizji na odcinku do 12 km. przy głębokim ugrupowaniu.

Tylko operacyjna służba sztabów (obecnie znana raczej pod nazwą logistyki z amerykańskich określeń wojskowych) będąca nauką o żywieniu walki, czyli zaopatrywaniu żołnierza w żywność, amunicję, broń, wodę (na pustyni) i ewakuacji rannych i zużytego sprzętu, została wyeliminowana z taktyki ogólnej i jako przedmiot odrębny nie była pod bezpośrednią opieką płk. Faury.

Była to innowacja polska, tworząca nowy przedmiot, który we Francji stanowił nieodłączną część rozważań taktycznych i operacyjnych. Organizację oddziałów do studium w Szkole przyjął płk Faury francuską, zmniejszając ilość artylerii. Było to zgodne z organizacją wojska polskiego, którą wprowadzono po zakończonej wojnie.

Płk Faury w swoim wysokim rozumieniu roli sztabu żądał od oficera dyplomowanego zarówno dobrej znajomości spraw taktycznych jak i operacyjnych. Inteligencją i wiedzą oficer sztabu nie powinien ustępować swemu dowódcy. Wówczas dopiero ich współpraca będzie dawać dobre wyniki, a porozumienie po wzajemnym poznaniu można będzie ograniczyć do niewielu słów. Oceny sytuacyjne, będące niezbędną pomocą dla dowódcy mogą być wykonywane tylko przez sztabowca znającego nie tylko położenie własnej jednostki, ale i sąsiednich a także zadanie i myśl manewru dowódcy wyższego.

Dlatego od początku swej pracy w Szkole ten spolonizowany

doktrynalnie Francuz uczył pojmowania zadań taktycznych wielkich jednostek w ramach operacji prowadzonych przez armię (samodzielną grupę operacyjną).



W 1928 r. marszałek Piłsudski powziął decyzję usamodzielnienia wojska spod decydujących wpływów francuskich, które dzięki licznej misji wojskowej rozprzestrzeniły zachodnie zapatrywania na systemy prowadzenia wojny. Decyzja była słuszna jako obrona przeciwko linii pozycji ciężkich i obrony w miejscu. Należy tylko żałować, że objęła ona i płk. Faury.

Zainteresowanie WSWojenną było bardzo niewielkie w GISZu i prawdopodobnie nie zdawano sobie sprawy, że tam powstaje opracowanie doktryny wprawdzie szkolnej, ale jedynie słusznej i w polu, zwłaszcza na wschodzie Polski.



Komendantem Szkoły został mianowany gen. bryg. Tadeusz Kutrzeba. Podczas wojny 1920 r. był szefem sztabu armii dowodzonej przez gen. Rydza-Smigłego. Uprzednio na stanowisku szefa sztabu dywizji, a potem grupy operacyjnej pod tym samym dowódcą nabył dużo doświadczenia i praktyki sztabowej. Jako generał do prac w GISZu miał łatwe dojście do Generalnego Inspektora, zwłaszcza od 1935 roku. Był przeciążony pracą, gdyż oprócz administracji Szkoły, spraw personalnych zawsze w Polsce skomplikowanych, w Warszawie część czasu zabierała mu reprezentacja. Mimo to kierował studiami sam nie wyznaczając dyrektora nauk. Stworzona przez generała funkcja kierownika rocznika nie odciążała go zbyt. Oficerowie ją sprawujący nie stwarzali koncepcji studiów i nie ich zadaniem było harmonijne wiązanie studiów taktycznych z operacyjnymi.

Od początku nowy komendant otrzymał wytyczne krępujące i utrudniające prowadzenie pracy według zasad ustalonych przez poprzednika.

Wytyczne te narzucały reformę studiów przez: 1) zmianę roli sztabów w praktyce dowodzenia, 2) zbliżenie szkolnej doktryny do polskiej rzeczywistości materiałowej i technicznej. Zajmijmy się najpierw zagadnieniem zmiany roli sztabu. Głównym celem istnienia sztabu jest ułatwienie pracy dowódcy. Już na szczeblu dywizji (brygady) jest to praca złożona i wymagająca zawsze: *a*) przygotowania elementów dla decyzji dowódcy, *b*) przekazania decyzji oddziałom w formie rozkazu lub rozkazów (zależnie od czasu

i położenia), c) dopilnowania by rozkazy były wykonane i cel w zadaniu dla dywizji osiągnięty.

Przygotowanie elementów decyzji to szczegółowa znajomość położenia własnych oddziałów w terenie, ich zaopatrzenia, wypoczynku, zdrowia, nastroju, to zebranie wiadomości o nieprzyjacielu, jego ugrupowaniu, rozpoznaniu, kolumnach zdążających ku frontowi, to rozpoznanie terenu pod kątem ułatwień i utrudnień, które sprawić będzie obu stronom walczącym.

Ta praca sztabu jest wykonywana w dywizji przynajmniej przez czterech oficerów (szef sztabu, kwatermistrz, oficer operacyjny i oficer wywiadowczy) i podczas akcji jest prowadzona w permanencji dla ciągłej gotowości informowania dowódcy o zachodzących zmianach. Zbieranie wiadomości, nakazanie rozpoznania, wysłanie patroli, przerzucenie informatorów, porównanie wiadomości z różnych źródeł dla wyłuskania prawdy to wachlarz uprawnień i obowiązków sztabu.

Dobra decyzja dowódcy zależy od dokładnej znajomości położenia. Relacje oficerów sztabu są mu niezbędnie potrzebne, bo inaczej będzie decydować na ślepo, będzie działać odruchami.

Dobry dowódca, umiejący się posługiwać sztabem, nie przeszkadza swoim oficerom w pracy. Wierzy, że będzie natychmiast poinformowany jeśli zajdą zmiany wymagające jego decyzji.

Jednak, gdy dowódca znajomością sztuki wojennej, wrodzoną bystrością, wreszcie charakterem ulega swemu sztabowi, gdy czas nagli, nieprzyjaciel postępuje, a dowódca w rozterce, sztab, a zwłaszcza szef może mieć wpływ decydujący na pobranie takiej, a nie innej decyzji.

Otóż marszałek Piłsudski uważał, że dowódca (operacyjny, lub taktyczny, tj. armii lub W.J.) powinien wykonać pracę oceny położenia własnego i nieprzyjaciela, kalkulować możliwości i pobierać decyzje — sam. Było to obciążenie jednego człowieka zadaniem niemożliwym do uczciwego wykonania, w praktyce zabrałoby mu czas całej doby, nie dało spoczynku, jednocześnie zaś sprowadzało sztab do roli pisarzy rozkazów i ich wysyłania. To ustawienie dowódcy na przesadnie wyniesionej platformie, a poniżenie sztabu było zgodne z dawną niechęcią Piłsudskiego do oficerów sztabu. Każdego sztabu, włącznie z własnym Sztabem Głównym.

Piłsudski uważał, że sztaby rozrosły się nadmiernie i są przeszkodą, a nie pomocą w dowodzeniu. Że utkwily między dowódcą i oddziałami, że utrudniają wzajemną komunikację. Czy nie było w tym podświadomego kierowania się nabytym przyzwyczajeniem z legionowych czasów, gdy wystarczał jeden „Szef” i niewiele konnych adiutantów?

Łączyło się to z ulubioną ideą Marszałka, to jest „strategią konkretnego wypadku”. Miało to być zaimprovizowane rozwiązanie, nagle zjawiającego się zadania, przez samego dowódcę. Dowódca miał zachować umysł wypoczęty i nie polegając na referatach sztabowców sam, *deus ex machina*, podać gotowy rozkaz, który sztab napisze i rozesłże.

Stałe obserwowanie sytuacji i przygotowywanie kilku możliwych reakcji, które zrealizują się w formie rozkazu przełożonego, czyli ciągle pogotowie sztabowe miały przeszkadzać. Sztab mógł w ten sposób zmęczyć dowódcę, dodajmy przez nieustanne zmuszanie go do myślenia. Tego rodzaju ustalenie spraw skazywało go na odruchowe, nieprzemyślane decydowanie.

Z drugiej strony, sztab planujący i śledzący szereg elementów w ciągłym ruchu, dla krótkiego referatu dla dowódcy, dla dania mu szeregu odpowiedzi, które może postawić — stawał się zespołem manipulantów, dla napisania i wyekspediowania rozkazów.

Wydaje mi się, że znakomita większość ówczesnej generalicji, czując się skrzępowana nieumiejętnością systematycznego podejścia do oceny sytuacji i nieumiejętnością posługiwania się własnym sztabem, wywierała nacisk na Marszałka w GISZU, by w ten sposób ponad nowoczesną praktykę i ponad rozsądek wyniósł ich osoby.

Takie zapatrywanie na bliską i nieustanną współpracę zespołu: dowódca i sztab — szło wbrew dotychczasowej praktyce Szkoły pod płk. Faury. Stąd wynikała konieczność reorganizacji studiów, zwłaszcza skasowanie rozważań operacyjnych na szczeblu armii.

Były to wytyczne krótkowzroczne jeszcze z innego powodu. Należało się liczyć z eliminowaniem przez zdrowie i czas aeropagu najwyżej w sztuce wojenną wtajemniczonych. W razie długo trwającego pokoju — zdarzały się i takie rzeczy w Europie — doszliby do dowodzenia armiami wychowankowie Szkoły zupełnie nie znający operacji.

Miałoby to bardzo daleko idące konsekwencje i utrudniało orientację w prowadzonych operacjach. Wykonane dosłownie doprowadziły do trudności nie do pokonania między dowódcą armii i sztabem, który by tego szczebla nie znał zupełnie, przyjmując pełne przygotowanie dowódcy. Było to doprowadzenie *ad absurdum* zapatrywania, że dywizja jest wystarczającym polem pracy dla słuchaczy, którzy na jej działaniach mieli w sobie wyrobić doprowadzone do perfekcji „rzemiosło sztabowe”. Widocznie w ten sposób określono Komendantowi Szkoły czego od niego żądają przełożeni. Nie jest jasne, czy to były wytyczne otrzymane bezpośrednio od Marszałka, czy pośrednio, z tzw. Komitetu

WSWoj., o którego działalności niewiele się przechowało. Była to instytucja rzadko urzędująca. Dwóch inspektorów armii, jeden z wiceministrów spraw wojskowych, szef sztabu głównego i komendant WSWoj. tworzyli jej skład. Określenie „rzemiosło sztabowe” sam niejednokrotnie słyszałem z ust generała Kutrzeby. Odnosiło się ono do technicznych stron pracy — dokładności, przejrzystości rozkazów, szkiców, czy innych dokumentów przygotowywanych przez słuchaczy, do języka który musiał być precyzyjny a jednocześnie odznaczać się czystością literacką. Jasne jednak było, że to są bardzo ważne formy zewnętrzne wojskowego myślenia, które powinny dawać kształt wnioskowi wywodzącym się z operacyjnego, czy taktycznego rozważania.

Przy tym myślenie operacyjne, za moich czasów (1936/38) było traktowane jako niemniej istotne. Działania dywizji w pewnych sytuacjach wymagają rozważań całości spraw, a więc powiązania z sąsiadami, znajomości ich zadań, a co bardziej ważne orientacji w funkcji W.J. w całości manewru.

Było to już daleko posunięte zliberalizowanie, lub wprost omińnięcie przez gen. Kutrzebę nakazu zwężenia studiów. Płk S. Lityński, na którego pracy głównie opieram się, wspomina, że w 1930 lub 1931 r. komendant Szkoły zwołał konferencję byłych i pełniących funkcje wykładowców taktyki drugiego rocznika i kierowników kursów. Chodziło o zorientowanie się, jak jest oceniana odgórną wytyczna o zaniechaniu studium armii w nauczaniu w WSWoj. Jednomyślnie wszyscy wypowiedzieli się przeciwko takiemu systemowi. Było to — można dodać — jeszcze jedno zwycięstwo nauczania płk. Faury. Mówili bowiem jego wychowankowie, którzy rozumieli organiczne powiązanie operacji i taktyki. Po tej konferencji nauka operacyjnego myślenia w ramach armii pozostała tematem prac drugiego rocznika w teoretycznych rozważaniach i pracach na mapie w sali wykładowej. Po drodze taktyczne kończące studia w Szkole były poświęcone grupie operacyjnej łączącej kilka dywizji w ramach armii dla wykonania zadania taktycznego. Samodzielna grupa operacyjna (S.G.O.) działająca na mniej ważnym kierunku — np. w osłonie skrzydła armii — stwarzała ramy prac operacyjnych. W ten sposób gen. Kutrzeba ominął rozkaz ścieśniający program nauczania słuchaczy i logicznego myślenia wykładowców.

Pozornie więc nie powstały istotne zmiany, ale wobec skasowania przez nowego komendanta stanowiska dyrektora nauk, a wprowadzenie kierowników kursów, roczniki nie były nadal wiązane jedną myślą, która mogła płynąć tylko z założeń operacyjnych.

Dla młodszego rocznika założenia do ćwiczeń były stwarzane

sztucznie. Zadania dla dywizji były czasem naciągnięte, nie powiązane z sąsiadami. Dywizja wisiała w próżni.

Uprzednio płk Faury otoczony swym sztabem wykładowców rozpoczynał przygotowanie studium od stworzenia sytuacji ogólnej, obejmującej Polskę wraz z sojusznikami. Przeprowadzano mobilizację w osłonie, koncentrację sił zbrojnych i ujawniano plan działań. Stąd wypływał podział sił na armie i wynikały ich zadania. Z takiej logicznej i konkretnej podstawy wiążącej całość wybierano armie dla studiów drugiego kursu. Jedna armia była przerabiana w Warszawie i zaczynając od koncentracji przez poszczególne fazy działań doprowadzano do bitwy i jej rozegrania. Inna armia była przedmiotem prac w polu podczas podróży.

Założenia dla nauczania działań dywizyjnych były prostą konsekwencją operacji prowadzonych przez wspomniane armie. Dywizje były w ten sposób organizmami żywymi w pamięci wykładowców, którzy z większym zainteresowaniem prowadzili ćwiczenia dla słuchaczy.

Gen. Kutrzeba zmieniając ten układ przemawiający swą prostotą, szedł widocznie po drodze nakazanej z góry. Widocznie nie mógł jej opuścić całkowicie. Odbiło to się na pracach pierwszego rocznika. Założenia były nienaturalne i czasem powodowały protesty ze strony niewyrobionych jeszcze słuchaczy, co stawiało wykładowców w nieprzyjemnej pozycji.

Takie rozerwanie powiązań tematycznych między rocznikami doprowadzało do niefortunnych wyników taktycznych. Zaniechano marszu zbliżania, a więc posuwania się ku nieprzyjacielowi w pełnym rozwinięciu. Na to miejsce wprowadzono bój spotkaniowy, a więc rozwinięcie następowało z kolumn, co powodowałoby ogromne straty w zmasowanych wojskach od ognia ciężkiej artylerii i bomb lotniczych.

W obronie zarzucono system ośrodków oporu ugrupowanych w głąb i powiązanych ogniem. W ten sposób dywizja mogła żywą siłą zamknąć mniejszy front. Skurczył się on z 12 km. przy systemie ośrodków do 7-8 km.

Tu dochodzimy zresztą do drugiego zadania, które zmuszało komendanta Szkoły do zmian prawdopodobnie nie pochwalanych, ale koniecznych, bo nakazanych.

Mam na myśli zbliżenie doktryny szkolnej do polskiej rzeczywistości materiałowo-technicznej. Zaopatrzenie w amunicję i nowoczesne uzbrojenie (czołgi, artyleria ciężka, lotnictwo) i środki przewozowe stało u nas na poziomie zupełnego prymitywu jeszcze przy końcu pierwszego dziesięciolecia niepodległości. Możliwości te były tak ograniczone, że naginając do nich taktyczne, a tym bardziej operacyjne, rozważania Szkoła musiałaby odstąpić

od sztuki wojennej, a przejść na studium partyzantki, ograniczonych wypadów i działań w nocy.

A więc i drugi punkt rozkazu nie mógł być wykonany. Stworzono tylko pewne prowizorium, które zawieszało naukę w Szkole między rzeczywistością ubóstwa, a uzbrojeniem i wyposażeniem prawdopodobnych przeciwników.

Osiągnięto to przez znaczne zmniejszenie artylerii ciężkiej, wyeliminowanie transportu motorowego i zredukowanie ilości amunicji na wszystkie kalibry broni. W ten sposób zmniejszyła się obronność, lub przebojowość własnych wojsk, kolosalnie wydłużyły się kolumny zaopatrzeniowe i ich czas pracy, a zredukowany, niezbędny tonaż amunicyjny mógł być teoretycznie dowieziony na czas, ale był nie wystarczający do akcji. Co gorsza, pobożna szacherka zmniejszała w rozgrywkach skuteczność broni pancernej nieprzyjaciela i redukowała wyniki bombardowań lotniczych przy bardzo słabej obronie przeciwlotniczej (przyjmowano baterię 9-działową 40 mm na dywizję). Aż do roku szkolnego 1937/38 nie wprowadzano w grach wojennych większych związków spadochronowych. W tak sztuczny sposób umożliwiono kształcenie młodych oficerów sztabów. Miało to cechy ujemne. Część słuchaczy, którym to odpowiadało ze względu na ich charakter, nabierała nadmiernej pewności siebie. Tych było bardzo mało. Znacznie większa liczba odnosiła się krytycznie do papierowych sukcesów na mapie.

Te elementy ważyły ujemnie na powstawaniu realnej doktryny szkolnej. Nawet i w tych, z konieczności naciąganych, warunkach wojny teoretyczne prace profesorów stworzyły ważne innowacje w dziedzinie zaopatrzenia. Powstały stacje rozdzielcze, po jednej na armię, które były hurtownią zaopatrywania i centralą ewakuacji dla wojsk i służb armii. Przy wojnie ruchowej system ten był o wiele bardziej dostosowany do żywienia walki. Był elastyczny w porównaniu z francuskim urzędem komisarzy regulujących. Pozwalał na gospodarkę składami, na planowanie kwatermistrza oparte na rzeczywistych, posiadanych, a nie tylko przyrzeczonych zapasach.

Od objęcia sztabu głównego przez gen. W. Stachewicza zaczyna się współpraca Sztabu ze Szkołą.

Szkoła organizuje i przeprowadza ćwiczenia szkieletowe, tj. obejmujące dowódców, sztaby i etatowe środki łączności. Kolejno są powoływane dywizje i brygady, a porządek przebiegu ćwiczeń, przestrzeganie zasad rozkazodawstwa, przygotowania decyzji dowódców przez referaty oficerów sztabów ujednociają pracę. Zasady podawane na omówieniach pozwalały doktrynie, do tej pory szkolnej, przenikać w głąb wojska. Jaka to była doktryna powtórz-

my za jej głównym twórcą, gen. Kutrzebą. Generał określa ją bardzo skromnie². Dosłownie — powstała „jakby pewna 'doktryna', nie tyle nowa, albo oryginalna, ile zawierająca pewne wytyczne, chroniące poniekąd przed popełnianiem znacznych błędów”. Kto znał Generała i pamięta jego celne, zwarte omówienia ćwiczeń, słowa tryskające energią, będzie uderzony ostrożnym formułowaniem.

Słowo „doktryna” jest w cudzysłowie, a znaczenie jej osłabione przez „jakby pewna”, dalej stwierdza, że nie była nowa i oryginalna. Zaletą jest ustalenie wytycznych, które mają chronić przed „znacznymi” błędami.

Przekonanie o tym jest jeszcze osłabione określeniem „poniekąd”. Prawda, że jest to pisane w niewoli i że Generał miał doświadczenie, które dzielił z wieloma z nas — od niskiego po najwyższy szczebel — nieprzestrzegania ustalonych zasad w działaniach wrześnieowych. „Doktryna” nie przeszła w wojsko, za krótki był czas, by po otrzymaniu oficjalnego zatwierdzenia przeoiła umysły decydujące.

Ale i przed wojną Generał stykał się z niejednorodnym reaganowaniem szkolonych dowódców i sztabów i widział trudności, które piętrzyć się będą w polu.

Jakież to były zasady, które gen. Kutrzeba wymienia jako podstawowe?

1) Natarcie na dobrze zorganizowaną obronę wymaga dużych środków materiałowych, a zwłaszcza amunicji³;

2. Tadeusz Kutrzeba, *Bitwa nad Bzurą*, 1957.

3. Kontynuując nakazane dla Szkoły redukcję materiałowe, a zwłaszcza amunicyjne, przeprowadzono jesienią 1938 r., studium armii działającej w dwóch różnych wycinkach terenowych: otwartym o dobrej i obfitej drożni i zalesionym, bagnistym o złych i nielicznych drogach. Armia miała zadanie zlikwidowania obrony przeciwnika. Wycinek otwarty prowadził do szybkiego opanowania obszaru, leżącego na tyłach obrony i likwidował opór nieprzyjaciela. Po obliczeniu ilości amunicji potrzebnej do natarcia okazało się po porównaniu z danymi z rzeczywistego planu mob., że generalny kwatermistrz mógłby przydzielić tylko połowę zapotrzebowania, przy tym ta połówka będzie stanowić miesięczną produkcję kraju. Z konieczności zwrócono uwagę na odcinek zalesiony i próbowano przez bagna i zle drogi, ale pod osłoną lasu osiągnąć cel operacji przy mniejszym zużyciu amunicji.

Na to ćwiczenie zjechał Generalny Inspektor, marsz. Rydz-Śmigły i Szeft Sztabu Głównego, gen. Stachiewicz.

Bieg ćwiczenia wykazał, że działanie w terenie trudnym będzie wymagać specjalnie wyćwiczonych i wyposażonych oddziałów, będzie się posuwać wolniej i mimo wszystkich ostrożności może utknąć w błocie i bezdrożu. Amunicji zużyto mniej.

„Ćwiczenie to odbywało się w dużym napięciu i miało momenty dramatyczne” — jak wspomina płk dypl. Lityński.

Po ćwiczeniu Generalny Inspektor mówił o ubóstwie kraju, słabym uprze-

- 2) do podejmowania jakiegokolwiek operacji musi być przeznaczony zgrupowanie o właściwej sile przebojowej. Nie może być w tym celu wyznaczona odosobniona dywizja. Musi to być co najmniej grupa operacyjna (korpus) o wystarczającej ilości dywizji;
- 3) dywizja w obronie stałej może zamknąć tylko 7 km. frontu przy spodziewanym użyciu czołgów przez nieprzyjaciela;
- 4) w natarciu na zorganizowaną obronę nieprzyjaciela batalion nie może otrzymać pasa szerszego niż 500 m.;
- 5) w walce z bronią pancerną i pod bombami lotnictwa — pisał Generał — trudno było reglamentować bitwę. Liczono się z większą wytrzymałością piechoty i lepszą wydajnością broni ppanc. Własnego, ani obcego doświadczenia w tym względzie nie było⁴;
- 6) dowódcy armii i dowódcy grupy operacyjnej powinni mieć do swej dyspozycji zmotoryzowane oddziały ppanc., którymi mogli interweniować na zagrożonym skrzydle⁵.

myślowieniu, zalecał osiągnięcie celu skromnymi środkami, podkreślał świętego ducha wojska i zakończył: — „Cokolwiek by było, z amunicją lub bez, bić się musimy i bić się będziemy”.

„Był to powiew prawdziwej polskiej doktryny ubóstwa” — tak określił przemówienie wykładowca i kierownik kursu.

Była to doktryna powstań, zwłaszcza styczniowego, walki bez szans, wyznanie wiary konspiratora, który wojsko przez bliską już klęskę miał znów weisnąć w podziemia, który nie miał odwagi niezależnego myślenia i wyciągania oczywistych wniosków (S.Ż.).

4. Doświadczenie w tym względzie było i to dość obfite w wojnie cywilnej w Hiszpanii. Płk Łowczowski poinformował mnie (*Zeszyty Historyczne* Nr 10 — listy), że nasi obserwatorzy byli po obu stronach i raporty wyczerpujące otrzymywał Oddz. II. Tym gorzej, że je tam upupiono i nie tylko sztaby W.J., ale i Generał do pracy nie miał ich do wglądu. Czy miał je Generalny Inspektor?

5. Nie nie mieli. Gen. Kutrzeba zaprojektował improwizację zmotoryzowanego oddziału ppanc. do dyspozycji dowódcy Armii Poznań z jednostek, które miał otrzymać po rozpoczęciu wojny. Komp.T.K. (2½ T., panc. 10 mm, 1 k.m.), pluton zmotoryzowanych saperów i konna kompania ppanc. typu pułkowego. Zarekwirowane samochody miały przewozić działka ppanc. Próby przeprowadzono w Rembertowie w Centrum Wyszkozenia Piechoty. — Ale ta przyrzeczona kompania działek nie doszła! Piszze Generał: — „Widzę w wyobraźni przebieg bitwy nad Bzurą, gdyby w okresie najechania nas przez dywizję pancerną, dowódca armii posiadał jaki taki odwód przeciwpancerny i chociażby trzy samoloty bombowe. Jestem przekonany, że nasz atak byłby się udał”.

Świetnie rozumiem Generała. Miał poczucie bezbronności absolutnej. Marzenie jego wyrastało z polskiej biedy pola walki.

Ale nie jestem przekonany, że dwanaście działek ppanc., nawet użytych z flanki, zatrzymałoby dywizję pancerną. Wołyńska b.k. w walce z dyw. pancerną z korpusu gen. Hoepnera, przy wsparciu dwóch pociągów pancer-

III. Z doktryną, czy bez?

Wypada się zastanowić po doświadczeniach kampanii wrześniowej czy w ogóle mieliśmy doktrynę wojenną?

Szkolną mieliśmy, a przy końcu studiów, czekaliśmy, że przedstawiciel Sztabu Głównego powie nam o doktrynie, że potwierdzi zasady, których nas uczono i ujmie ją w pewnego rodzaju *resumé*. Nic podobnego. Moi starsi koledzy w szeregu artykułów drukowanych w *Bellonie* udowadniają istnienie tej podstawowej teorii. Autorzy piszą o obronie ruchomej, której to nazwy nie używa w „Bitwie nad Bzurą” gen. Kutrzeba.

Polskie Siły Zbrojne, tom I., część I., na stronie 129 mówią o „doktrynie walki ruchomej” bez bliższego określenia, co pod nią rozumieć. Płk dypl. Porwit pisze, że obrona ruchoma jest to sposób zatrzymania przeciwnika w pasie terenu o pewnej głębokości, dzięki kombinowaniu opóźniania i zwrotów zaczepnych i przechodzeniu na niektórych odcinkach do obrony stałej.

Ogólna Instrukcja Walki, wydana w 1930 r. (w skrócie zwana dalej Instrukcją) i oficjalnie obowiązująca we wrześniu „wychodzi z założenia walki ruchomej, jako podstawowego i rozstrzygającego czynnika wojny” i nieco dalej „Działanie zaczepne stanowi istotę walki”. Instrukcja przewiduje, że dywizja będzie często działała odosobniona, a związki pułku i nawet batalionu wzmocnione artylerią i kawalerią będą mieć zadania samodzielne.

Nauczanie WSWoj. nie kwestionowało zasady ruchu, jako istotnie najprędzej dającego rozwiązanie, ale możliwości organizacyjne i wyposażeniowe były zaprzeczeniem słuszności regulaminu. Działanie dywizji — tym bardziej związków mniejszych w oderwaniu od sił głównych, poza działaniem rozpoznania, było wykluczone.

Pasy natarcia i odcinki w obronie Instrukcja dawała realne, przestrzegane w WSWoj.

Ogólny jednak duch Instrukcji i wyszkolenie wojska szły w kierunku natarcia z wyraźną szkodą dla obrony, a więc umiejętności zorganizowania i utrzymania terenu.

Szczupłość sił w stosunku do przestrzeni uwydatniał nakaz Instrukcji wyciągania z pozycji jednej trzeciej do odwodu, dla działania ruchem. Formalnie obowiązująca Instrukcja nie zgadzała się z „niby doktryną” WSWoj.

Komu była znana nasza doktryna szkolna?

Prawdopodobnie nie znali jej obaj Generalni Inspektorzy.

nych, zniszczyła tylko jedną piątą czołgów niemieckich przy ogromnych stratach własnych w ciągu całego dnia.

Z wyjątkiem dowódcy Armii Poznań nie była ona znana dowódcom armii i samodzielnych grup operacyjnych. Inspektorzy armii nie odwiedzali Szkoły, choćby z tytułu uczestnictwa w Komitecie WSWoj. Część dowódców dywizji i brygad.

Większość oficerów dyplomowanych, raczej roczniki młodsze, gdyż gen. Kutrzeba rozpoczął pracę od 1928 r., a potrzebował kilku lat na jej opracowanie. Przepuszczalnie od 1932/33, tj. w dwa trzy lata po ukazaniu się Instrukcji.

Oficerowie po École Supérieure de Guerre mogli ją znać tylko częściowo, po ćwiczeniach w WSWoj.

We wrześniu tylko gen. Kutrzeba potrafił przejść do zwrotu zaczepnego, opóźniał i bronił się w miejscu, ale wykonując te podstawowe działania nie czuje, bo nie wspomina, by wykonywał obronę ruchową. Inicjatywa była mu wydzierana z ręki, a podkomendnych dowódców nie łączyła z nim jednolitość doktryny.

Wszystkie inne armie miały od początku narzuconą sobie potęgę nieprzyjaciela, nie wytrzymywały i cofały się, lub szły w rozsypkę. Przeciwdziałania były lokalne, wykonywane przez dowódców taktycznych bez operacyjnego kierownictwa dowódców wyższych wyeliminowanych przez szybkość działań, zmiany m.p., brak łączności, zatarasowanie dróg, czy załamania i odcięcie od wojsk.

Obrona stała Warszawy, Helu, Górnego Śląska nie pozostawała w związku operacyjnym z myślą obrony ruchowej, nie była jej częścią. Klasyczną obroną stała, obroną głównej (bo jedynej!) linii oporu było Westerplatte. Dało ją wyszkolenie, dobór ludzi i zrozumienie, że nie ma odwrotu.

Obrona ruchowa, jako doktryna wojenna państwa o małym obszarze była możliwa tylko w oparciu o fortyfikacje stałe, chroniące życiową przestrzeń państwa. Fortyfikacje powinny umożliwiać i osłaniać natarcie odwodów i dawać im schronienie w razie niepowodzenia akcji.

Ponieważ fortyfikacje przerastały finanse Polski obrona ruchowa była rozwiązaniem nierealnym, nie zapewniającym powodzenia. Użycie ruchu, natarcie odwodów powinny mieć siłę przełamującą i szybkość, by zdążyć na czas. Nie miały jej piesze odwody, bez czołgów, silnej artylerii i obrony przeciwlotniczej. Najważniejszą cechą w definicji doktryny uważam jej jednolitość. Ponieważ nie była powszechnie znana, myślenie taktyczne i operacyjne dowódców biegło różnymi i dowolnymi drogami.

Nasza doktryna szkolna była naciągana. Twórcy jej byli zmuszani do świadomego fałszowania przez najwyższych przełożonych.

Możliwości przemysłowe produkcji broni i amunicji pozwalały na rozbudowę i utrzymanie w walce armii nie większej nad 150-

175 tys. Rozbudowa z górą ponad milionowej armii (nie uzbrojonej i nie zaopatrzonej w amunicję) budziła fałszywą pewność siebie i prowadziła do klęski.

4. *Jak nas uczono w Szkole?*

W ciągu dwóch lat pracy w Szkole z trudnością przypominam sobie wykłady, które stanowią podstawę nauczania na uniwersytetach i innych uczelniach. Dopiero przy końcu studiów, w ciągu kilku godzin, przedstawiciel MSWojsk. w stopniu pułkownika (nazwiska nie pamiętam) omawiał organizację przemysłu wojennego i przestawienie całej produkcji państwa na wypadek wojny.

Szkoła — zdaję sobie z tego sprawę lepiej z odległości czasu — stała na stanowisku, że zarówno słuchacze jak i wykładowcy znają teorię wojenną zawartą w regulaminach i instrukcjach. Słuchacze zresztą musieli się wykazać jej znajomością w ciągu rocznych (z przerwami) egzaminów wstępnych. Zadaniem Szkoły było nauczyć nas najlepszego stosowania zasad i wskazań teoretycznych w konkretnych przykładach działań typowych, w terenie różnym, a więc stwarzającym elementy utrudnień i ułatwień, które należało odpowiednio odnaleźć i odczytać.

Wynikło z takich założeń praktyczne podejście do nauki.

Na pierwszym roczniku, i to tylko z początku, poruszaliśmy się po stole plastycznym. Potem przeszliśmy na plany 1 : 25.000 i mapy 1 : 100.000. Plany były biało-czarne, przydatne w studium obrony i natarcia na pozycję umocnioną. Mapy w pięciu kolorach, duma i majstersztyk Wojskowego Instytutu Geograficznego. Było przyjemnością na nich pracować. Teren był wspaniale plastyczny.

Rozdanie map i założeń było wstępem do ćwiczenia. Szybkie załamanie marginesów, przymocowanie do dykty, nakrycie celofanem i naniesienie dermatografami sytuacji wyjściowej własnej wraz z wiadomościami o nieprzyjacielu, dawało gotowość. Wykładowca rozpoczynał pytaniami o położeniu. Przechodził do analizy zadania, jako głównej latarni, która ma oświetlić mroki zawsze niepełnej i częściowo tylko znanej sytuacji przeciwnika. Rozlokowanie własnych oddziałów, z czego należało wysnuć wnioski jak można je przesunąć po znanej drożni. Tu rozpoczynało się studiowanie terenu. Od strony wrogiej i z własnego punktu obserwacyjnego, który należało wybrać. Jakie daje zasłony ukształtowanie i pokrycie? Którędy pójdzie ruch? Dokąd sięga obserwacja artyleryjska, własna i przeciwnika? W ten sposób ustaliliśmy

położenie i sprawdziwszy zorientowanie słuchaczy wykładowca uruchamiał strony.

Sam poruszał oddziały nieprzyjaciela. Ukazywały się błyski lornetki na wzgórzach. Tyraliery przenikały dolinami. Meldowali obserwatorzy. Zrzucali meldunek lotnik.

Kolejno zwywani słuchacze podawali swoje reakcje na wrogie posunięcia. Często należało podać pisemnie decyzje. A więc myśl przewodnią, ocenę sił i możliwości nieprzyjaciela i zadania dla oddziałów podległych. Krótki czas na oddanie pracy, znakomicie ilustrujący konieczność szybkiej riposty w rzeczywistym polu, stwarzał niekiedy dramatyczne napięcia, które po wielu latach pamiętamy. Na taktyce kawalerii mjr Peuker zaskoczył K.D. (dywizjon kawalerii należącej organicznie do dyw. piechoty) nagłym pojawieniem się czołgów, które wyjechały na skrzydła i tyły maszerującej kolumny. — „Decyzja Pana Porucznika?” — błysnęło ku mnie monoklem, bodajże ostatnim w służbie czynnej. — „Do modlitwy — Panie Majorze!”.

Czasem i tylko dla ogólnej orientacji, zwłaszcza, gdy działania toczyły się na skraju setek otrzymywaliśmy mapy 1 : 300.000. Na nich z lotu ptaka widzieliśmy sytuację sąsiadów. Z nimi pokrywały się oleaty rozpoznania lotniczego.

Ćwiczenia jednak i nasze pisemne prace wykonywaliśmy na mapach w skali jednego centymetra równej kilometrowi.

Musiało się już zbliżać przedwiośnie, bo z sopli lodowych za oknami kapała woda, gdy cały budynek szkolny oplatały druty telefoniczne. Pierwsza gra wojenna przy użyciu części rzeczywistych środków łączności. Jednym z celów było wdrożenie nas do możliwie krótkiej, lakonicznej formy rozkazodawczej i meldunku. Szkoła tępiła gadulstwo. Żądała od nas punktowania treści przed podejściem do aparatu.

Ćwiczenia piechoty, artylerii i innych broni toczyły się spokojnie. Nie pamiętam na nich napięć nieodzownych w ćwiczeniu dwustronnym, przy dowodzeniu w warunkach zbliżonych do walki. Wtedy grały nie tylko oddziały i decydująco wpływał na akcje teren. Widziało się wtedy charaktery.

Podróże pierwszego rocznika trwały przez lipiec i sierpień. Pociąg sanitarny — czy nie jedyny w Polsce? — wyjeżdżał z naf-taliny i stanowił nasz dom ruchomy. Na lorach szła mała kolumna samochodowa półciągarówek, na której docieraliśmy ku punktom panującym nad okolicą, skąd śledziliśmy rozwój działań i ciągle „pobieraliśmy decyzje”. W Lubelszczyźnie dołączył pociąg z końmi i luzakami. Konno — o ile pamiętam — ze stacji Motycz przemierzaliśmy powiat. Ppłk art. Tatar prowadził część ćwiczeń. Ruch zwiadu pułkowego, wyszukanie i zmiana stano-

wisk dywizjonów. Zawsze nienagannie uprzejme zwracanie się profesorów do słuchaczy przerwało tatarowe — „Dokąd jedziecie ojciec?” — Tak zapach potu końskiego i nastroj pola zmienił język.

Tu nawiasem wspomnę, że przez dwa lata, do ostatnich w polu ćwiczeń profesorowie i asystenci trzymali się od nas jak najbardziej z daleka. Była w tym demonstracja bezstronności ocen, którym bez przerwy podlegaliśmy, ale i w podobnym stopniu podświadomie działająca zwartość zespołu stojącego wysoko, do którego dopiero mieliśmy niejakię szansę należeć. Czasem, i to bardzo rzadko, wykładowcy kawalerii pozwolili sobie na lekki odcień sympatii w stosunku do słuchacza własnej broni. Piechurzy byli mniej staranni w wyglądzie, zwracaniu się do nas i przestrzeganiu nadmiernym dystansu w ogóle.

W sumie jednak była między nami niewidoczna, a mocno naciągnięta przegroda srebrnych sznurów.

Professores mieli żywot nie lekki. Przygotowanie ćwiczeń, szkiców, omówień, zestawienie tzw. szmyłów to jest proponowanych rozwiązań zabierało im moc czasu. Szkoła nie dawała sztywnych rad. Stano na stanowisku, że dane zadanie może być rozwiązane w różny, byle logiczny i prawdopodobnie słuszny sposób. Dlatego i omówienia musiały być elastyczne, gotowe do uwzględnienia obrony odmiennego rozwiązania.

W wyniku tych przygotowań ćwiczenia biegły bez zacięć, bez niedomówień, i brania „na wiarę”. Bywały wyjątki, za które nie ponosił odpowiedzialności zespół nauczający. Wynikały one z rozziwu, z nożyc nieuchronnych między rozsądkiem rzeczywistej, druzgoczącej przewagi materiałowej i uzbrojenia przeciwnika, a naszą pseudo-tarczą moralnej przewagi i słusznej sprawy. Pamiętam jeden wypadek kiedy w obronie drugorzędnego kierunku katedra kawalerii powierzyła brygadzie 20 km. frontu. Byliśmy oburzeni, a najwięcej Koledzy z broni konnych. Wykładowcy miękko wyjaśniali swe stanowisko.

Podróże miały ogromne znaczenie dla naszej nauki. O wiele łatwiej i mniej realnie walczy się na mapie. Określenie i zachowanie kierunków natarcia, pasów działania dla oddziałów, wyznaczenie punktów obserwacyjnych, zadysponowanie odwodów — jednym słowem wszystko, w każdym typie walki nabierało życia w terenie.

Trębacz grał pobudkę o 4.45. O godzinie 6.00 kolumna samochodowa z wykładowcami i nami odjeżdżała ze stacji. Pokryci pyłem różnych dróg, paleni słońcem i myci nagłym deszczem tkwieliśmy po różnych „kotach” do południa, a często i później. Po powrocie i prysznicu jedliśmy obiad w pyjamach, by niewłocz-

nie potem pisać rozkazy i przygotowywać się do dnia następnego.

Po zakończeniu pewnej fazy prac następowało omówienie, najczęściej w jakiejś szkolnej sali. Po przedstawieniu biegu działań przez kierownika Rocznika, niezbędnych uzupełnieniach katedr, a zwłaszcza operacyjnej służby sztabów zabierał głos Komendant Szkoły. Generał Kutrzeba miał rzadki talent. Są ludzie, którzy dobrze piszą. Są inni gładkiej i zajmującej mowy. Jego książki czyta się jednym tchem, a potem wielokrotnie wraca do niby znanych stron. Omówienia wiązały nas w bezruch natężonej uwagi. Generalskie *résumé* ujmowało całość zagadnienia, podkreślało momenty decydujące, dawało wskazania, które pamięta się mimo upływu długich lat. Wszystko mówione żywo, z iskrą w oku, z humorem, zmianą intonacji. Był to język potoczny i czysty, prawidłowy, wolny od śmieci naniesionych z armii obcych. Zdania krótkie, celne, nie stroniące od porównań z historii wojen. O ile pamiętam Generał nie mówił nigdy dłużej niż godzinę.

Kilka tygodni września spędzaliśmy w sztabach W. Jednostek na manewrach. Pracowaliśmy na stanowiskach oficerów operacyjnych i wywiadowczych dywizji i brygad, lub pomagaliśmy rozjemcom stron.

Następował zasłużony urlop sześciotygodniowy. Była jesień.

Meldowaliśmy się w Szkole z powrotem na początku listopada. Rozpoczął się drugi i ostatni rok pracy. Byliśmy o piętro wyżej.

Przeszliśmy głównie na mapy 1 : 300.000. Pierwsze większe ćwiczenie obejmowało działania armii w natarciu na froncie wschodnim. Mieliśmy dane trzy dni i noce na pracę domową — plan działania dowódcy armii, potem opracowywaliśmy plan kwartmistrza tejże armii.

Sklejenie dziewięciu arkuszy map, o wiele za dużych na warszawskie stoły w naszych mieszkaniach, automatycznie przesunęło nas na podłogę. Tak po napoleońsku dumni z zawrotnego szczebla dowodzenia, nieco przestraszeni tonią nieznaną i dotąd niezmierną, pracowaliśmy w pocie czoła chodząc na czworakach i starając się myśleć po generalsku.

Wprowadzało to zamieszanie w życie rodzinne i oniemiało tzw. pomoc domową, która nie mogła sprzątać normalnie.

Omawianie naszych rozwiązań w Szkole, wręczenie rozwiązań proponowanych, wreszcie podsumowanie całości przez Komendanta trwało do Bożego Narodzenia. Działania obronne armii ciągnęły się dłużej.

Przykłady historycznych operacji z frontu wschodniego podczas I-szej Wojny Światowej były odpoczynkiem. Były to wykła-

dy informujące bez pobierania przez nas decyzji, może zbyt łatwych wobec znanego rozwiązania dowódców rzeczywistych i końcowego efektu działań.

Praktyczną różnicą między nauczaniem na młodszym i starszym Roczniku było położenie większego nacisku i poświęcenie większej ilości czasu pracy myślowej dowódcy i szefa sztabu.

Mniej ważną stała się praca poszczególnych katedr z wyjątkiem operacyjnej służby sztabów. Tą niezbyt szczęśliwą nazwą, obejmującą kwatermistrzowskie przygotowanie i żywienie walki, było w Szkole spojone z operacyjną i taktyczną pracą bardzo ściśle.

Techniczna strona działań reprezentowana przez katedry poszczególnych broni stała się oczywiście zagadnieniem drugiej ważności. Było jasne, że zadysponowane przez dowódcę i przez sztab przygotowane wytyczne znajdują się w rozkazie armii czy grupy operacyjnej dosłane przez dowódców broni i służb jako ich punkty.

Nasze studium, co Szkoła bez przerwy ale bez nudzenia, z niezmiennym zainteresowaniem nam dawkowało było zrozumienie i powiązanie w umyśle różnych sił, które grają na polu bitwy i ujęcie słowne działania w rozkazie przejrzystym, kompletnym i szybko gotowym.

Tak w pracy bez przerw czas biegł.

Hitlerowski *Anschluss* Austrii, który groźbą wojny zawisł nad Europą był przez nas kwitowany na marginesie papierowych walk.

Lato znów nas witało w pociągu. Tym razem obchodziliśmy się bez koni. Było to w zgodzie z kilkoma godzinami nauki prowadzenia samochodu, które Szkoła wcisnęła w program. Było tego tak mało, że nauczyłem się panować nad samochodem dopiero w Caterick Camp. Jeden z kolegów wylądował w wystawie sklepowej.

Podróże były prowadzone pod znakiem Zachodu. Był rok 1938.

Jedną grę prowadzono przez pełne trzy dni i noce, przy nieustannym nadzorze profesorów dla sprawdzenia naszych reakcji w przemęczeniu i bez snu. Obawiam się, że we wrześniu wiele sztabów działało w podobny sposób. Wszyscy na nogach. Potem wszyscy z nóg. Nie było to jednak intencją Szkoły.

Po ćwiczeniu, na torach paliliśmy nasze rozkazy i kalki. Popiół wirował na wietrze, ale niebo było spokojne i pogodne. Jeszcze rok nas dzielił od pożogi i wojny i ostrego egzaminu.

Byliśmy na wybrzeżu i poznaliśmy umocnienia Helu. Odpo-

czeliśmy w Gdyni. Byliśmy na Śląsku i widzieliśmy rozmieszczenie przemysłu.

Ostatnia gra wojenna wypadła w Poznańskim.

Tam też słyszeliśmy ostatnie omówienie Generała.

5. Wyższa Szkoła Wojenna. O księdze Pamiątkowej

Chcąc poinformować Czytelników *Zeszytów Historycznych* o Wyższej Szkole Wojennej, której powstanie miało miejsce w październiku 1919 roku, a więc pół wieku temu, pisałem najogólniej, prawie bez materiałów o tej uczelni, która przetrwała Państwo i w Szkocii prowadziła pracę podobną do dawnej, w Stolicy.

W międzyczasie w Londynie została wydana nakładem Oficerów Dyplomowanych na obczyźnie — Księga pamiątkowa**. Często bywa, że ukazująca się z okazji ubiegłego czasu książka jest suchym wyliczeniem faktów dawno zaszytych i powszechnie zapomnianych, bo nieważnych, statystyk niedokładnych i pożegnanych ukłonów na wszystkie strony.

Praca płk. dypl. Wacława Chocianowicza, przy niezmordowanej pomocy Jego Żony, Pani Haliny jest wspaniałym przeglądem życia Szkoły, której XIX-cie Promocji w Warszawie umożliwiły istnienie i doskonalenie Sił Zbrojnych, a sześć Promocji w Szkocii zasiłyły sztaby oddziałów naszych na Zachodzie.

Autor tego wydawnictwa uzyskał zaprawę pisząc przedtem „Historię 1.p.a.l.”. Bez tej pracy na pewno nie zdążyłby w rekordowym czasie stworzyć tom o ponad 500 stronach, ożywić szeregiem fotografii i tabeli statystycznych (dokładnych) i dodać indeks, dopełniając nieliczne przeoczenia. Wszystko przez półtora roku, przy jednoczesnej pracy zarobkowej.

Pomoc wielu Kolegów w nadsyłaniu wspomnień i materiałów była dana, ale — dodajmy — powodowała ogromną korespondencję z całą *orbis terrarum* minus Azja.

Relacjonowanie ma w naszym wojsku, które od początku przechodziło losy skomplikowane i nie zawsze prowadziło, a czasem traciło akta, swoją szeroką platformę. Wojskowe Biuro Historyczne w Warszawie wiele swych cennych wydawnictw opierało na relacjach, porównywanych z częściowo zachowanymi dokumentami.

Ponieważ część nas odzwyczała się zupełnie od pióra, po-

** *W 50-lecie Powstania Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie*. Zebrał i opracował płk dypl. Wacław Chocianowicz, Londyn 1969.

dziękujemy tym, którzy z pamięci i z przetrąconej szkatuły usiłovali odtworzyć czas, będący niegdyś pełnią naszego życia.

Ze wszystkich kart bije ogromne przywiązanie do nauki, sztuki wojennej, do instytucji ją dającej, do systemu pracy i dokładności, co przydało się nam nie tylko w sztabach, ale i w cywilnym, nieoczekiwanym życiu.

Wartość Księgi, którą każdy późniejszy historyk wojska musi dokładnie przestudiować, zwiększają prace kilku generałów mocno ze Szkołą związanych.

Rozprawka gen. S. Kopańskiego o Wojskowej Szkole Aplikacyjnej i Oficerach Kwaternistrzostwa w Wojsku Królestwa Polskiego wiedzie nici łączące naszą Szkołę w historii. Oficerowie Kwaternistrzostwa to sto lat temu tytuł oficerów sztabu.

Gen. S. Lityński — jeden z najlepszych i najgłębszych naszych wykładowców pisze o udziale Szkoły w kształtowaniu doktryny wojennej, której podstawowe zasady przynosili do W.J. słuchacze. Jest to przedruk z *Bellony*. Korzystałem z tego artykułu w moim o doktrynie szkicu.

O taktyce ogólnej w Szkole, a więc o najważniejszym przedmiocie, w latach 1930-1939 pisze gen. K. Rudnicki.

Wśród opracowań wyjątkową pozycję zajmuje studium gen. dyw. W. Stachewicza — „Naczelne Władze Wojskowe i WS Woj.”. Szef Sztabu Głównego przez ostatnie cztery lata i w czasie kampanii wrześniowej miał najwięcej do powiedzenia. W okresie pokoju nie mógł oświetlać spraw, które co najmniej graniczyły z tajemnicą wojskową. Potem milczał, prawdopodobnie rozgoryczony klęską. Szczęśliwie nie pominął okazji 50-lecia Szkoły.

Rewelacją dla wielu będzie stwierdzenie, że Sztab Główny miał tylko marginesową rolę w przygotowaniach poprzedzających Wrzesień 1939 roku. Przypisywano marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu uzdrowienie wojskowego trójkąta nieporozumień: GISZ — Sztab Główny — MSWojsk. Tymczasem węzeł gordyjski, związany przez Starego Marszałka dla zachowania mu *ad personam* kierownictwa sprawami obronności przez GISZ i odsunięcie Sztabu Głównego trwał nadal. Gen. Stachewicz stwierdza (str. 60), że Sztab Główny miał powierzone podnoszenie potencjału wojenno-państwa. „Natomiast w przygotowaniach operacyjnych kompetencje moje były znacznie bardziej ograniczone”.

Gen. Inspektor Sił Zbrojnych sam koncyptował myśl operacyjną i podzieliwszy jej wykonanie na odcinki armii, dał je z kolei inspektorom do powzięcia decyzji i przygotowania wytycznych.

Dopiero te decyzje i wytyczne otrzymywał Sztab Główny do rozpracowania. Używając trywialnego porównania — dla zacho-

wania tajemnicy swej objętości dżentelmen zamawiał części ubrania u innych krawców, aby firma w tym celu dawno istniejąca i posiadająca licencję najwyższą zszyla to wszystko bez przysiar-ki i dyskusji. Dlatego ten polski *battle-dress* był tak niewygodny, rozlaził się w szwach, ale nie ma w tym winy tytularnego kroj-czego.

Jeszcze większą jest wina jego przełożonego, który uchylając krytykę, eliminując pytania, uniemożliwiając uzgodnienia, postanowił wszystko zrobić sam.

Druga sprawa to wzrastające zagrożenie niemieckie od 1935 roku. Piłsudski, a po nim Śmigły widzą raczej niebezpieczeństwo rosyjskie. Śmigły każe wykańczać plan „R” jeszcze w 1937 r. Wstępne studia do planu „N” zaczynają się dopiero w 1938 r.

Gen. Kutrzeba uczył, że należy odważnie uzmysłowić sobie najtrudniejszą możliwą sytuację i obmyśleć celowe, własne, możli- we reakcje. Jeśli w rzeczywistości powstanie układ bardziej pomysłny łatwo będzie stawić mu czoło. Przy odwrotnym nasta- wieniu dowódcy grozi mu załamanie.

Wzór (R+N) mógł odebrać odwagę jasnego patrzenia. Gen. Stachewicz pisze „rząd polski i rządy państw zachodnich uzna- wały porozumienie Rosji z Niemcami za niemożliwe”. Był to klasyczny *wishfull thinking*, albo polskie pobożne życzenie. Pod- stawą tego osądu była ideologia przeciwna, którą dyktatorzy zmieniają zależnie od potrzeb, bez pytania o zgodę narodów.

Piłsudski określił taki układ sił (R+N) słowami „bilibyśmy się wówczas na Placu Saskim”. Patrzył w twarz klęski.

Beck, raczej polityk niż żołnierz, przygotował tę syntezę teo- retycznego bezpieczeństwa od wschodu. Rydz umieścił się za nią, z niepojętą łatwością zapominając o stałym naszym nastawie- niu na groźbę Rosji. Tymczasem w końcu 1935 roku:

Rosja miała 200 d.p. (I-szy rzut), wojska pancerne, lotn. strategiczne.

Niemcy mieli 36 d.p. (I-szy rzut), wojska panc. i lotnictwo w organizacji, ale oparte o potężny przemysł.

Przy braku prób oparcia się o Czechosłowację nie mieliśmy żadnych szans. Tylko Piłsudski mógł podjąć decyzję — z Niem- cami, lub z Rosją. Nie było to łatwe. Śmierć oszczędziła mu wyboru.

Z konieczności dotykam tylko niektórych spraw poruszonych przez gen. Stachewicza.

Wyższa Szkoła Wojenna wykształciła 1.288 oficerów dyplomowanych. Kursy były dwuletnie.

Wychowankowie Szkoły zajęli w kampanii szereg stanowisk w armii w polu. Byli to dwaj dowódcy armii, 6 dowódców grup

operacyjnych, 29 dowódców dywizji piechoty i brygad kawalerii, 62 dowódców pułków piechoty, kawalerii i artylerii etc.

Decydujący dla oceny pracy Szkoły był poziom otrzymujących dyplomy. Odnaczali się solidną wiedzą, szerszymi horyzontami i byli myślowym motorem dążącym do unowocześnienia Sił Zbrojnych.

Jednocześnie byli przedmiotem niekończących się żartów w linii, nie cierpiącej nauki, kursów doszkalających, ćwiczeń aplikacyjnych i innego nudziarstwa. Odbijało się to na niewystarczającym obsyłaniu Szkoły przez młodych oficerów. Studiujący w Szkole byli przez czas długi poza awansami. Nie mieli dodatków stołecznych i funkcyjnych, co zmieniło się dopiero później.

Wystąpiła konieczność zwiększenia roczników do 70 oficerów, a nawet do 120 przejściowo przez lat kilka, by prócz sztabów przejęli stanowiska dowódcze w linii dla podniesienia poziomu dowodzenia.

Szkoła stworzyła kurs dla kandydatów na szefów sztabów i kwatermistrzów armii. Nazywano kurs — trzecim rocznikiem. Wykładali profesorowie Szkoły, a kierownikiem kursu był płk dypl. S. Lityński.

WSWoj. była uczelnią nadrzędną wobec kilku specjalizujących Szkół Wyższych.

Wyższa Szkoła Intendentury, istniejąca od 1921 r. przygotowywała oficerów na kierownicze stanowiska w intendenturze, na doradców fachowych w sztabach i dla współpracy z administracją państwową. Słuchacze poświęcali pięć lat łącznie z praktyką w jednostkach zanim otrzymali dyplom. W.S.I. wyszkoliła 520 intendentów.

Wyższa Szkoła Inżynierii powstała w 1936 r. Młodzi oficerowie wychodząc ze Szkoły Podchorążych Saperów posiadali półdyplomu politechniki cywilnej. To znakomicie pomagało w W.S.I. szkolącej fortyfikatorów, a także późniejszych dowódców większych oddziałów saperskich.

Wyższa Szkoła Lotnicza była najmocniej, choć niefortunnie związana z WSWoj. Było to konsekwencją zasady, że lotnictwo służyć winno wojskom lądowym. Szkoła odbyła trzy kursy, szkoląc oficerów lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej. Dopiero w Anglii lotnictwo uzyskało niezależną WSLotn.

W grach wojennych i większych ćwiczeniach WSWoj. brali udział słuchacze wymienionych Szkół.

WSWoj. w Szkocji przepracowała sześć kursów. Okresy półroczne, przeznaczone na trwanie kursu były zbyt krótkie, by ogarnąć bogaty materiał, konieczny oficerom sztabów. Dwa ostatnie roczniki, powołane po zaprawie w polu, a więc po uzyskaniu

dużej wiedzy praktycznej i technicznej, prawdopodobnie przedstawiały największą wartość.

Choć program dwuletni WSWoj. był bardzo wypełniony, nie mogę nie wyrazić żalu, że pozbawiono roczniki młodsze przedmiotów ogólnych, rozwijających umysł w szerszym kręgu zainteresowań. Dawniej prowadzone wykłady ekonomii politycznej, historii dyplomatycznej, wreszcie prawa międzynarodowego, mogły i powinny znaleźć miejsce w nauczaniu normalnych, dwuletnich promocji.

ppłk dypl. Stanisław ŻOCHOWSKI

Józef GARLIŃSKI

OŚWIĘCIM WALCZĄCY

Wiele jest na świecie głośnych miast, ponad którymi przeszedł zatruty, pozostawiający mogiły i ruiny, oddech ostatniej wojny. Rotterdam, Paryż, Londyn, Berlin, Stalingrad, Drezno, Hiroszima, Warszawa — znane to nazwy, ale wszystkie one musiały ustąpić miejsca innej, która wbiła się najgłębiej w pamięć, która pozostała najmocniejszy ślad, która urosła do gigantycznego symbolu: Oświęcim!

Przed wojną było to niewielkie miasto na polskim Śląsku, w widłach Wisły i Soły, liczące około 12 tysięcy mieszkańców, niezdrowe, malaryczne, słabo uprzemysłowione, brzydkie, odrzucone daleko na skraj odrodzonego niedawno państwa. Przetrwało wieki, mało komu znane, i weszłoby w nowe stulecie tym samym sennym, powolnym krokiem, gdyby nie szaleństwo, które ogarnęło Europę.

Po pokonaniu Polski i podzieleniu się nią ze Stalinem, Hitler rozpoczął przygotowania do uderzenia na Zachodzie a w międzyczasie począł „urządzać” zdobyte terytoria. W styczniu 1940 roku, w wyniku narady w urzędzie policji we Wrocławiu, gdzie gospodarzem był SS-Gruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski a gościem Richard Gluecks, inspektor obozów koncentracyjnych, za-

* Drukowany fragment jest początkiem książki, której tematem będzie ruch podziemny w Oświęcimiu. Autor od kilku lat zbiera już materiały do swej pracy, która ma dać możliwie pełny obraz obozowej konspiracji, budowanej przez Polaków i przedstawicieli innych narodowości. Każdy, nawet najdrobniejszy, szczegół jest ważny i dlatego autor prosi, by uczestnicy ruchu podziemnego w obozie nawiązali z nim kontakt, pisząc na adres: *Józef Garliński, 94, Ramillies Road, London, W.4. E n g l a n d.* W wypadku zastrzeżenia dyskrecji, warunek ten będzie spełniony.

padła decyzja, że w Oświęcimiu powinien powstać nowy, siódmy z kolei, obóz koncentracyjny¹.

W ciągu kilku dni sporządzono raport i posłano go do Himmlera. Na podstawie jego rozkazu z 1 lutego wysłano do Oświęcimia pierwszą komisję a po niej, mimo jej negatywnej oceny, drugą pod kierownictwem Rudolfa Hössa. Komisja spędziła na miejscu dwa dni, 18 i 19 kwietnia, i także doszła do wniosku, że proponowane miejsce nie nadaje się na obóz dla wielu tysięcy ludzi. Mieli oni jednak przez jakiś czas żyć i pracować, więc trzeba było zapewnić im wodę i najprymitywniejsze choćby warunki higieniczne, a tych dwóch podstawowych warunków oglądany teren nie dawał. Woda była podskórna, bagienna, trująca, a nieczystości nie miały gdzie odpływać. Mimo takiej opinii Höss wystosował raport, w którym stwierdził, że wybrany teren może być wykorzystany. Himmler oparł się na nim, a będąc człowiekiem systematycznym, zasięgnął także opinii innych zainteresowanych osób. Zameldował się u niego Adolf Eichmann, kierownik referatu żydowskiego w RSHA², przybyli na długą rozmowę przedstawiciele przemysłu.

27 kwietnia z kancelarii Reichsführera SS wyszedł rozkaz, że na wybranym terenie ma powstać obóz koncentracyjny³, w dwa dni później Gluecks na jego komendanta powołał Rudolfa Hössa.

Miejsce, które w niedługim czasie miało się stać największym cmentarzem w historii świata, na początku prezentowało się skromnie. Były to dawne austriackie koszary artylerii obejmujące 20 ceglanych budynków, przeważnie parterowych, zaniedbanych i brudnych. Znajdowały się one na lewym brzegu Soły na przedmieściu noszącym nazwę Zasole. Obok koszar stało kilka budyn-

1. Pierwszych 6 obozów obejmowało: Dachau (powstał na wiosnę 1933 roku, w niecałe 2 miesiące po objęciu władzy przez Hitlera), Sachsenhausen, Buchenwald, Flossenbürg, Mathausen i kobiecy obóz w Rawensbrück. Obóz w Oranienburgu, który powstał w roku 1933, został zlikwidowany w rok później. W obozach tych przebywało przed wojną około 25.000 więźniów.

2. Reichssicherheitshauptamt.

3. W osnowie wyroku na Rudolfa Hössa Najwyższy Trybunał Narodowy (NTN) tak określił przyczyny wyboru Oświęcimia na obóz koncentracyjny: „Oświęcim był położony centralnie w stosunku do Śląska, tzw. Generalnej Gubernii, Czechosłowacji i Austrii i posiadał dogodnie połączenia kolejowe z tymi krajami, a jego dworzec kolejowy mieścił się poza miastem, bo w Brzezince i w pobliżu koszar... Położenie między rzekami Wisłą i Sołą umożliwiało odcięcie obozu od świata zewnętrznego. Nadto okolica ta jest przyrodzonym odpowiednikiem typu „Dachauer Moss”, tj. bezbrzeżnego, bezustannie grząskiego i mokrego bagna, spowitego w mroki mgły własnej, jaka rozciągała się na północ od Monachium. Okolice typu Dachau i Oświęcimia życie omijało przez tysiące lat, gdyż czyhała tam śmierć...”.

ków Polskiego Monopolu Tytoniowego, włączono je więc również w obręb planowanego obozu.

Höss dobrał sobie 5-ciu SS-Manów i przybył do Oświęcimia 29 kwietnia. 20 maja SS-Hauptscharführer Gerhard Palitzsch przywiózł z Sachsenhausen 30 Niemców, prawie wyłącznie kryminalistów. Byli to pierwsi funkcyjni nowego obozu, nadano im numery od 1 do 30. Przewodził im Nr 1 Bruno Brodniewicz, Niemiec o polskim nazwisku, który został starszym obozu (*Lager ältester*)⁴. Palitzscha mianowano Raportführerem. Te dwa nazwiska weszły do historii Oświęcimia.

Magistrat miasta przydzielił obozowi 300 miejscowych Żydów i zaczęło się porządkowanie zaniedbanych budynków. Pilnowało ich 15-tu SS-Manów-kawalerzystów, przysłanych z Krakowa. Nie zdążono nawet wykonać najbardziej podstawowych robót, gdy z Wrocławia, z inspektoratu policji i bezpieczeństwa, nadeszło pytanie kiedy obóz może przyjąć pierwszą partię więźniów. Nim dano odpowiedź, na dworzec oświęcimski wtoczył się pociąg, wyjątkowo osobowy. Przywieziono w nim z Tarnowa 728 Polaków, wyłącznie więźniów politycznych. Byli to przeważnie młodzi ludzie połapani na granicy, gdy próbowali przedostać się na Węgry w drodze do Francji, gdzie odbudowywała się polska armia, kilku księży, kilku nauczycieli, kilkudziesięciu Żydów. Transportowi nadano numery od 31 do 758 i osadzono na kwarantannie w budynku pomonopolowym.

Ten pierwszy transport przybył do Oświęcimia dnia 14 czerwca 1940 roku i tę datę przyjmuje się jako oficjalny początek obozu. Była to chwila, w której hitlerowska Rzesza w niepohamowanym, zaborczym marszu, osiągnęła jeden ze swych szczytów. W czasie przejazdu przez Kraków więźniowie słyszeli komunikat, w którym, dławiący się z uniesienia, niemiecki speaker donosił o wkroczeniu do Paryża.

Ludzie, którzy przeszli obozy sowieckie, wiedzą, że najstraszniejsze były te miesiące, w których z niczego musieli tworzyć własne katorżne pomieszczenia. Iluż było takich, których przywieziono na pokrytą śniegiem, zamarznąłą, syberyjską pustynię i kazano na niej koczować, grodzić drutem, kopać ziemianki, a później stawiać baraki, budować kuchnie, dogrzebywać się do wody, klecić latryny. Zabijał ich klimat a musieli pracować ponad siły, nie otrzymując nawet tego, co przewidywał obozowy regulamin.

Tych doświadczeń nie przeżyli pierwsi więźniowie Oświęcimia, bo przywieziono ich w lecie i zapędzono do pomieszczeń

4. Drugim, równorzędnym starszym obozu został inny Niemiec o polskim nazwisku, Leo Wiczorek (nr 30). Było to rozwiązanie wyjątkowe.

mających murowane ściany, pracującą już kuchnię, kanalizację i wodę, ale na ich barki zwałił się za to gorszy może jeszcze ciężar nowych eksperymentów. Był to pierwszy obóz dla Polaków i pierwszy, który powstał na ziemi nie zamieszkałej przez Niemców, choć zagrabiono ją i włączono do Rzeszy. Polacy na liście proskrypcyjnej Hitlera zajmowali drugie miejsce, tuż po Żydach, musiano więc stworzyć dla nich obóz znacznie gorszy, znacznie bardziej wyniszczający niż to wszystko, co dotychczas zostało wypraktykowane w Dachau, Sachsenhausen czy Buchenwaldzie. Robiono próby, poszukiwano nowych form terroru i gwałtu, wysilano się na pomysły, które by pozwoliły na jeszcze bardziej wyrafinowane maltretowanie uwięzionych. W pierwszych dniach nie wyganiano ich do pracy, więc przez kilkanaście godzin musieli przechodzić ćwiczenia gimnastyczne, których nawet najmłodszy nie mogli wytrzymać, trzymano ich godzinami na apelach, każdą czynność musieli wykonywać biegiem, korzystanie z latryny było obliczone na sekundy, po zupę trzeba się było zgłaszać na kolanach i spożywać ją w przysiadzie. Ciągły pośpiech, ciągły bieg wymuszony był kijami, bez których nie pokazywali się funkcyjni i SS-Mani; w nocy więźniowie, ułożeni pokotem na słomie, nie mogli się nawet obrócić na drugi bok. Wyżywienie składało się z 400 gramów chleba, odrobiny margaryny i niecałego litra wodnistej zupy. Szpital nie istniał a gdy poczęto klecić karykaturę izby chorych, lekarzom nie wolno było tam pracować.

Ten wstępny okres, który powodował olbrzymią śmiertelność, wywołał także skargi komendanta obozu, Hössa. Jako zawodowy specjalista obozów koncentracyjnych (Dachau, Sachsenhausen), nie mógł on znieść prymitywizmu urządzeń bezpieczeństwa, szczupłości załogi SS i nastroju wiosek, otaczających jego królestwo. W Niemczech miał do czynienia ze sterroryzowaną lub obojętną ludnością, tu, na ukradzonej Polakom ziemi, czuł wokół obozu atmosferę nienawiści, oporu i odwetu z jednoczesną gotowością do okazania pomocy maltretowanym więźniom. Słał do swych przełożonych raporty i domagał się szerszych uprawnień, ale przeważnie zbywano go milczeniem. Dopiero pierwsza ucieczka spowodowała reakcję.

6 lipca zniknął z obozu młody Polak o symbolicznym, w tych okolicznościach, nazwisku Wiejowski. Szukano go przez trzy dni i noce, przez cały ten czas czuwał wokół obozu łańcuch SS-Manów, karny apel więźniów trwał bez przerwy 20 godzin.

Höss natychmiast wykorzystał sytuację. Gdy 17 lipca przybył na inspekcję von dem Bach, przedstawił mu jak najbardziej jaskrawo położenie obozu i jeszcze tego samego miesiąca otrzymał polecenie dokonania szybkich wysiedleń. Najpierw oczyszczono

z Polaków dzielnicę Zasole, gdzie znajdował się obóz, po niej poszły wioski: Babice, Budy, Rajsko, Brzezinka, Broszkowice, Pławy i Harmże. W ten sposób osiągnięto przestrzeń ponad 40 km kw., którą uznano za teren interesów obozu. Z południa na północ mierzył on 10 km, ze wschodu na zachód dochodził do 4-ch.

15 sierpnia, w rocznicę wielkiego, polskiego zwycięstwa nad Bolszewikami na przedpolach Warszawy, nadszedł ze stolicy pierwszy transport. Przybyło 513 więźniów politycznych z „Pawiaka” i 1153 mężczyzn pochwyconych na ulicach i wysłanych do obozu nawet bez przesłuchania w Gestapo.

31 grudnia przywieziono do obozu Polaka, któremu dano numer 7879. Oczywiście nie oznaczało to, że taka liczba więźniów przebywała wówczas w obozie. Było ich już znacznie mniej, wymarli, zostali wybici kijami, wymordowani. Żyjących można było pomieścić w obozie macierzystym, ale były to dopiero początki.

Olbrzymi teren, który odebrano miejscowej ludności, oczekiwał nowych przeznaczeń.



Była bardzo wczesna wiosna, gdy 1 marca 1941 r. do Oświęcimia przybył po raz pierwszy Heinrich Himmler. Jeszcze przed tą wizytą, w styczniu, wielki koncern chemiczny IG Farbenindustrie wysunął projekt, by obok oświęcimskiego obozu wybudować rozległe zakłady syntetycznej gumy, Buna Werke. Marszałek Göring, szef gospodarczy Rzeszy, projekt ten zatwierdził i wydał rozkaz, by koncernowi przydzielić więźniów oświęcimskich, jako niewolniczą siłę roboczą. Opłaty za ich pracę miało pobierać SS.

Himmler wszedł do obozu, ale nie widział nawet więźniów, bo pozamykano ich w blokach z obawy przed zamachem, dokonał dokładnej inspekcji początkowych robót koncernu IG Farben, objaśniany przez czołowych jego przedstawicieli, i objechał cały teren, na którym stały jeszcze opustoszałe wsie po wypędzonych polskich mieszkańcach. Dłużej zatrzymał się na moście przebiegającym ponad torami kolejowymi, skąd wzrok mógł sięgnąć daleko i objąć smutną pustkę płaskiego krajobrazu. Stał w milczeniu a za nim, wyprostowana, sztywna, pełna szacunku, zgrupowała się jego świta. W godzinach popołudniowych, po obiedzie w kantine szpitala SS, odbyła się odprawa.

Reichsführer SS, krótko, stanowczo, z chłodem, który obezwładniał podwładnych i onieśmiał słuchających, przedstawił swoje plany i wydał rozkazy. Na terenie wsi Brzezinka, w odległości 3-ch kilometrów od obozu, ma być zbudowany obóz nowy na 100 tysięcy ludzi. Zajmą go jeńcy wojenni. Sam Oświęcim

należy rozbudować do pojemności 30 tysięcy, dla Buna Werke należy przygotować 10 tysięcy więźniów.

Porwał się z krzesła Gauleiter Śląska Bracht i począł gorąco przekonywać, że plan ten jest niemożliwy do wykonania, że w terenie nie ma wody do picia, że nie osuszono bagien, że brak jest cegieł, cementu, drutu, drzewa. Poparł go prezydent rejencji. Himmler osadził ich stanowczym ruchem ręki.

„Moi panowie, to musi być zrobione, przyczyny, które mnie do tego skłaniają, są ważniejsze niż wasze sprzeciwy⁵”.

Zabrano się do wykonania gigantycznych planów. Ruszyły w teren komanda więźniów, by burzyć opustoszałe domy i przygotowywać grunt pod nowe baraki, rozbiegli się po okolicznych miasteczkach i wsiach SS-Mani z rozkazem zabierania wszystkiego co nadaje się do budowy.

Dzień po dniu na rampę Oświęcimia wtaczały się nowe pociągi i wyrzucały na niegościnną ziemię nowych straceńców. Przez pierwszy rok byli to wyłącznie Polacy, jeżeli nie liczyć 30 Niemców, najwcześniejszych funkcyjnych. Nadszedł jednak dzień, w którym zasada, że obóz ma być narzędziem terroru i eksterminacji tylko dla ludności polskiej, została złamana. 6 czerwca 1941 r. przysłano z Brna transport więźniów politycznych, Czechów. Pierwszy z nich, który przekroczył bramę obozu, otrzymał numer 17045. Po decyzji zbudowania Buna Werke i po marcowych rozporządzeniach Himmlera była to dla obozu druga przełomowa data. Przełomowa, ale nie najważniejsza.

Minęło kilka tygodni i z adiutantury Reichsführera SS nadeszło do komendanta obozu alarmowe pismo. Miał się natychmiast stawić w Berlinie⁶.

Himmler przyjął go urzędowo, z właściwą sobie oschłością, złustrował zimnym spojrzeniem, kazał opuścić pokój adiutantom, odczekał aż ucichną ich kroki i, stojąc przed wyprężonym oficerem, powiedział

„Führer zarządził ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. My, SS, mamy ten rozkaz wykonać. Znajdujące się na wschodzie miejsca wyniszczenia⁷ nie podążają akcji zamierzonej na wielką skalę. Wobec

5. Cytat ze „Wspomnień Rudolfa Hössa” (Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa, 1956).

6. Dokładna data nie jest znana, nie precyzuje jej także Rudolf Höss w swych wspomnieniach. Danuta Czech w „Kalendarzu wydarzeń obozowych” (*Zeszyty Oświęcimskie*, Nr 2, 1958 r.) sugeruje ostatni dzień czerwca ze znakiem zapytania, ale wezwanie to musiało nadejść kilkanaście dni później. Wynika to z tekstu ustnego rozkazu Himmlera wydanego Hössowi w cztery oczy i zanotowanego przez Hössa w swych wspomnieniach.

7. Himmler, poruszając problem miejsc wyniszczenia na wschodzie, nie

tego przeznaczyłem na ten cel Oświęcim zarówno ze względu na jego korzystne położenie pod względem komunikacyjnym, jak i dlatego, że obszar ten można łatwo izolować i zamaskować. Początkowo zamierzałem powierzyć to zadanie jednemu z wyższych oficerów SS, ale zaniechałem tego, pragnąc uniknąć trudności przy rozgraniczeniu kompetencji. Obecnie powierzam panu przeprowadzenie tego zadania. Jest to praca ciężka i trudna, wymagająca całkowitego poświęcenia bez względu na to, jakie trudności się wyłonią. Bliższych szczegółów dowie się pan od Sturmbannführera Eichmanna z RSHA, który zgłosi się do pana w najbliższym czasie. Zainteresowane urzędy zostaną przeze mnie powiadomione we właściwym czasie.

Rozkaz ten ma pan zachować w najgłębszej tajemnicy nawet w stosunku do swych przełożonych. Po rozmowie z Eichmannem prześle mi pan natychmiast plany projektowanego urządzenia. Żydzi są odwiecznymi wrogami niemieckiego narodu i muszą zostać wytepieni. Wszyscy Żydzi, których dostaniemy w nasze ręce, będą w czasie tej wojny bez wyjątku zgładzeni. Jeżeli teraz nie uda się nam zniszczyć biologicznych sił żydostwa, to kiedyś Żydzi zniszczą naród niemiecki⁸”.

Höss wyprężył się jeszcze bardziej, chciał coś powiedzieć, ale Himmler powstrzymał go lodowatym spojrzeniem i odprawił ruchem ręki.

SS-Man wrócił natychmiast do obozu, unikając jakichkolwiek spotkań, i bez najmniejszej zwłoki zabrał się do wykonania rozkazu. W jakiś czas później przybył doń Eichmann⁹, razem objechali teren, razem wybrali miejsce, które w ich ocenie najlepiej nadawało się na komorę gazową¹⁰.

mógł mieć na myśli Chełmna, Soliboru, Bełżca, Treblinki i Majdanka, bo wszystkie one powstały później. Myślał on wówczas na pewno o doraźnie organizowanych punktach likwidacji Żydów, które były tworzone przez Einsatzgruppen. Te specjalne oddziały, podlegające szefowi policji i bezpieczeństwa i rekrutujące się z członków Gestapo, SD i Kripo, posuwały się w głąb zdobywanych terenów tuż za oddziałami walczącymi z zadaniem „zwalczania wszystkich wrogich Rzeszy i Niemcom elementów w zdobytym kraju, na tyłach walczących oddziałów”. Ich działalność była ściśle uzgadniana z dowódcami wojskowymi i z administracją cywilną, odczuły ją dotkliwie zachodnie ziemie Polski, włączone do Rzeszy. Była ona jeszcze brutalniejsza na terenie Rosji, tam kierowano ją przede wszystkim przeciwko Żydom, działaczom komunistycznym i partyzantom. Einsatzgruppen działały bardzo szybko i sprawnie, ale nawet one musiały mieć kilka tygodni czasu na zorganizowanie swej strasznej pracy. Wojna niemiecko-sowiecka wybuchła dn. 22 czerwca, było więc niemożliwe, by Himmler mógł pod koniec tego samego miesiąca mówić o znajdujących się tam miejscach wyniszczenia.

8. Tekst cytowany na podstawie „Wspomnień Rudolfa Hössa” napisanych w więzieniu w Polsce, w latach 1946/47. Nie ma innego źródła do odtworzenia odprawy przeprowadzonej w cztery oczy.

9. Robert M. W. Kemper w swej książce „Eichman and Komplizen” (Europa Verlag, Zürich 1961) podaje, że miało to miejsce późnym latem 1941 roku.

10. Była to opustoszała zagroda chłopska w północno-zachodnim rogu III-go odcinka przyszłego obozu w Brzezince. Nazwano ją „Bunker Nr 1”.

W krytej ujeżdżalni 1-go pułku szwoleżerów leżało pokotem na trocinach ponad tysiąc mężczyzn¹¹. Z twarzami w dół, z rękami wyciągniętymi przed siebie, wyglądali jak kukły zrobione ze starych ubrań, pulsowało w nich jednak życie, bo kręcili się, poprawiali pozycję, kaszlali. Wśród stłoczonych ciał, deptając po nogach i głowach, rozdzielając razy, kopiąc i przeklinając, kręciło się kilku SS-Manów z bykowcami w dłoniach. Na galeryjkach, obiegających wokół ujeżdżalni, stały karabiny maszynowe, skierowane w dół na leżących, obok widziało się dalsze zielono-szare mundury.

Wśród skłębionych ciał znajdował się mężczyzna, którego zachowanie się odbijało od otoczenia. Nie kręcił się, nie wydawał żadnych dźwięków i pewno dlatego ominął go dotychczas bykowiec i podeszwy podkutych butów. Leżąc spokojnie, mógł zebrać myśli i zastanowić się nad sytuacją.

Był oficerem 13 pułku ułanów, nazywał się Witold Pilecki, ale w kieszeni miał doskonale podrobiony dowód osobisty na nazwisko Tomasza Serafińskiego. Nie była to fikcyjna postać. Prawdziwy Serafiński był także oficerem. Po kapitulacji Warszawy uniknął niewoli i przez pewien czas ukrywał się w mieszkaniu, do którego trafił później Pilecki. Po Serafińskim pozostała legitymacja ubezpieczeniowa i z niej zaczął korzystać nowy lokator. Później dorobiono do niej dalsze dokumenty. Od zmiany nazwiska upłynęło już sporo miesięcy, ale nadal trudno się było do tego przyzwyczaić. Teraz, gdy znalazł się w potrzasku i gdy na pewno dojdzie do dokładnego sprawdzenia tożsamości, fakt ten nabierał wielkiego znaczenia. Poza imieniem i nazwiskiem trzeba będzie śpiewać, jak z nut, imiona rodziców, miejsce urodzenia, przedwojenny adres, zawód, pracę i wiele innych drobnych, personalnych szczegółów, które tworzą sylwetkę człowieka.

Sam fakt nielegalnego przebywania na wolności¹² najzupełniej

11. Był to wynik trzeciej oblawy w Warszawie, przeprowadzonej 19 września 1940 r. Tym razem nie łapano na ulicy a otoczono bardzo wczesnym rankiem kilka dzielnic, zamieszkałych przeważnie przez inteligencję (Żoliborz, Kolonia Staszica i część Mokotowa) i poczęto wyprowadzać z domów wszystkich mężczyzn. Po dwóch dniach wywieziono ich do Oświęcimia. Łapanki uliczne i ten rodzaj masowych aresztowań nazywał się w niemieckim żargonie policyjnym „przesiewaniem elementu ludzkiego”. Zarzucając na ślepo wielką sieć, okupanci spodziewali się przychwycić pewną ilość działaczy podziemnych. Pierwsza łapanka w Warszawie miała miejsce 8 maja 1940 r. Więźniów wywieziono wówczas do obozów w Niemczech, bo Oświęcim dopiero się organizował.

12. W grudniu 1939 r. władze niemieckie ogłosiły, że wszystkie oficerowo-

wystarczał, by, w razie przychwycenia, trafić do więzienia, ale w sytuacji Pileckiego był to drobiazg bez znaczenia. Od wielu miesięcy należał już do wojskowej organizacji „Tajna Armia Polska” (TAP)¹³, w której odgrywał jedną z czołowych ról, ale nawet i ten fakt, kwalifikujący w oczach Niemców do podróży na tamten świat, bladł w świetle nowej rzeczywistości. Przed kilku dniami Pilecki odbył rozmowę z szefem TAP-u, majorem Janem Włodarkiewiczem, i zgłosił na jego ręce propozycję, która w pierwszej chwili wywołała osłupienie a później bardzo długą dyskusję. Był to pomysł tak karkołomny, tak zupełnie wyjątkowy, że trudno go było od razu zaakceptować.

Pilecki zaproponował, by dano mu nowe zadanie. Tu, w Warszawie, wielu jest ludzi, którzy mogą wykonywać jego funkcję. Chce dobrowolnie pójść do Oświęcimia, da się ogarnąć w łapance, by w obozie zapoczątkować robotę podziemną. Będzie organizować więźniów, szukać sposobów oporu i wzajemnej pomocy a jednocześnie będzie wysyłać do Warszawy raporty i meldunki. Jakies drogi na zewnątrz muszą się znaleźć.

Ta pierwsza rozmowa nie zakończyła się decyzją. Dopiero gdy ponownie powrócił do swych planów, gdy uparł się przy nich i gdy widać było, że jest wewnętrznie w pełni zmobilizowany, Włodarkiewicz przysłał na propozycję. Omówiono wszystkie szczegóły, ustalono elementy łączności.

Teraz, leżąc na mokrych trocinach i drętwiąc w niewygodnej pozycji¹⁴, mógł jeszcze raz skontrolować swoje intencje i przemyśleć projekt, który właśnie zaczął się materializować. Był jeszcze w Warszawie, o dwa kroki od przyjaciół i wolności, a już zaciążyła na nim uzbrojona ręka okupantów, której sam poszukał, już nie miał wyboru, już wokół niego dyszeli i męczyli się ludzie, którzy w bardzo niedługim czasie staną się jego obozowymi towarzyszami i najprawdopodobniej złożą tam swoje kości.

Czy słusznie postąpił, czy wystarczy mu sił i woli, by wytrzymać, czy reszta energii pozwoli na wykonanie zadania?

wie (służba stała i rezerwa) mają się dobrowolnie zgłosić do niewoli i na dzień 14 grudnia wyznaczyły punkty zborne. Opornym grożono śmiercią. Na około 20 tysięcy oficerów, którzy ukrywali się wówczas w Warszawie, zgłosiło się podobno 400.

13. W roku 1941 TAP została wcielona do ZWZ (później AK).

14. Pilecki dobrowolnie włączył się w grupę aresztowanych na rogu Alei Wojska i ul. Felińskiego. Do niemieckiej krytej ciężarówki („budy”) załadowano go na pl. Wilsona.

W grudniu 1932 r., jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, jego późniejszy minister spraw wewnętrznych, Wilhelm Frick, krzyknął w czasie dyskusji do Gerhardta H. Segeera, pacyfisty i posła socjaldemokratycznego do Reichstagu: „Dobrze, dobrze, kiedy dojdziemy do władzy, wpakujemy was wszystkich, draby, do obozów koncentracyjnych”.

Hitlerowcy skłamlali setki tysięcy razy, ich system działania opierał się na kamuflażu i zacieraniu śladów, ale w zakresie takich obietnic można było na nich liczyć. Już w 50 dni po uchwyceniu władzy powstał obóz w Dachau, po nim, w szybkim tempie, przyszedły następne. Seger znalazł się za drutami¹⁵ a wraz z nim trafili tam kierownicy i przywódcy wszystkich partii politycznych, będących w opozycji do narodowego socjalizmu, oraz tysiące innych ludzi, których wojujący nazizm uważał za swych przeciwników.

Tradycja, zapoczątkowana w maju 1933 r., i wsparta dodatkowo o wielowiekowe doświadczenia więzienne, pozwoliła stworzyć system obozowy, który przy uwzględnieniu psychiki niemieckiej, tak bardzo ulegającej magii rozkazu, działał sprawnie. Oczywiście sprawność ta dotyczyła głównie bezpieczeństwa, okrutnej dyscypliny i eksterminacji. Daremnie byłoby jej szukać w zakresie sprawiedliwego rozdziału ubogiej żywności, rozsądnego przydziału pracy czy opieki lekarskiej.

Obóz oświęcimski budowany był do samego początku na zasadach wypraktykowanych już od siedmiu lat. Na czele stał komendant, który był odpowiedzialny za wszystko i któremu, bezpośrednio lub pośrednio, podległy był każdy SS-Man i każdy więzień¹⁶. Miał on w swych rękach cztery instrumenty działania: sam obóz ze wszystkimi więźniami i zatrudnionymi tam SS-Manami, załogę wartowniczą, oddział administracyjny i oddział polityczny.

Na czele ścisłego obozu stał Schutzhaftlagerführer, z reguły oficer SS w randze odpowiadającej kapitanowi, którego prawą ręką, odpowiedzialną za dyscyplinę, był Rapportführer, podoficer. Jemu podlegali Blockführerzy, zwyczajni SS-Mani, z których każdy miał pod swym dozorem jeden barak, zamieszkały przez więźniów. Organizacją i przydziałem pracy zajmował się Arbeitsdienst-

15. Osadzony w Oranienburgu (nosił tam nr 190), uciekł z obozu, przedostał się za granicę i był jednym z pierwszych świadków okropności dziejących się w niemieckich obozach.

16. Rudolf Höss potwierdził tę zasadę na procesie w Polsce w roku 1947 i konsekwentnie wziął całą winę na siebie.

führer, jemu podlegali Kommandoführerzy, przebywający z więziennymi drużynami roboczymi.

Załoga wartownicza podlegała swemu dowódcy i tylko w czasie pełnienia służby zależała od komendanta całości. Ona obsadzała wszystkie wyżki wokół obozu, ona tworzyła wielki łańcuch straży (*Grosse Postenkette*), obejmujący całą, rozległą przestrzeń, na której pracowali więźniowie, ona dawała SS-Manów do pilnowania więźniów wychodzących służbowo nawet poza wielki łańcuch straży, do niej należała kompania specjalistów od tresowania psów. Żołnierze z załogi nie mieli prawa mieszać się do administracji obozu, nie należała do nich dyscyplina więźniów, nie obchodziła ich w zasadzie wykonywana praca. Ich zadaniem podstawowym było pilnowanie, by nikt z obozu nie uciekł i by każdy ewentualny bunt czy atak z zewnątrz został natychmiast opanowany. Każde spotkanie SS-Mana było dla więźnia połączone z ryzykiem, ale żołnierze z załogi stanowili pod tym względem ryzyko najmniejsze. *Chyba*, że chodziło o ucieczkę.

Trzecim instrumentem działania była administracja obozowa. Jej szef, Verwaltungsführer, zajmował się zakwaterowaniem, zapewnieniem żywności i ubraniem tak załogi SS-Mańskiej jak i wszystkich więźniów. Cały system niemieckich obozów przeżarty był na wskroś cynizmem i zupełnym nie liczeniem się z własnymi przepisami, ale może najbardziej jaskrawo uwydatniało się to właśnie w administracji, która wprawdzie nie dawała okazji do wyrafinowanej brutalności a przecież ciążyła nad więźniami jak stały, nieubłagany, powolnie wykonywany wyrok śmierci.

Urzędowo określone racje żywnościowe więźniów zawierały tylko 2150 kalorii dla ciężko pracujących i 1738 kalorii dla pozostałych, podczas gdy niezbędna norma dla pierwszych winna wynosić 4800 a dla drugich 3600 kalorii. Wiedział o tym każdy komendant obozu i każdy jego administrator a jednak, zamiast starać się, by przynajmniej te głodowe racje były więźniom dostarczane, obydwaj, z pełną świadomością, okradali bezbronnych nędzarzy. W Oświęcimiu każdego dnia kilka wielkich ciężarówek podjeżdżało pod magazyn więziarski i wyładowywało zeń tony żywności, którą przewożono do kuchni SS-Mańskiej. Każdy żołnierz załogi obozu wiedział, że dalsza żywność jest rozkradana przez chmary funkcyjnych. W rezultacie, jeżeli dodatkowa kara lub pałka dozorczy nie wytrąciła mu miski z ręki, więzień dostawał dziennie maksymalnie 1754 kalorie a bardziej upośledzeni musieli się zadowolnić tylko 1300 kaloriami. Nic dziwnego, że w codziennym, poufnym raporcie, który składano komendantowi, lista zmarłych „śmiercią naturalną” obejmowała przede wszystkim ludzi zagłodzonych. Głód był najstraszniejszą, najbardziej nienawistną

zmorą, wiszącą nad więźniami. Ani Palitzsch, ani Oddział Polityczny, ani najstraszliwszy z blokowych czy kapów nie potrafili zniszczyć tyłu istnień, ile zabrał ten nieubłagany wróg życia. Tylko komory gazowe słyły z nim zwycięsko w paragon.

A jednak Rudolf Höss w swych pamiętnikach, napisanych już po wojnie, w polskim więzieniu, omawiając pracę swego administratora, potrafił powiedzieć:

„Szczególną uwagę powinien poświęcać zakwaterowaniu, odzieniu a zwłaszcza wyżywieniu więźniów. Za pomocą stałych kontroli ma osobiście sprawdzać przyrządzanie pożywienia. Więźniów należy żywić dobrze i do sytości”.

A po tym zdumiewającym stwierdzeniu, snując dalej rozważania nad obowiązkami administracji, Höss napisał:

„Zarządca depozytów więźniów odpowiada za to, aby przechowywane polisy lub karty ubezpieczeniowe więźniów nie utraciły ważności. Składki z tytułu ubezpieczeń socjalnych uiszcza administracja, a prywatne ubezpieczenia powinien opłacać sam więzień”.

Składki ubezpieczeniowe w fabryce śmierci! Czyż można sobie wyobrazić większą kondensację cynizmu?

Tak pisał komendant obozu, którego Schutzhaftlagerführer witał nowy transport słowami: — jeżeli jest wśród was Żyd, ma prawo przeżyć jeden tydzień, jeżeli jest ksiądz, przeżyje miesiąc, reszta trzy miesiące.

Ostatnim narzędziem komendanta, którym posługiwał się w kontroli nad więźniami, był Oddział Polityczny. Ważność tej instytucji w systemie hitlerowskich obozów była tak wielka, że należało dać jej pierwszeństwo, gdyby nie fakt, że chronologicznie zjeżdżała na miejsce ostatnia. Najpierw trzeba było przywieźć załogę SS-Mańską, później postawić baraki i omotać je kolczastym drutem, wtedy napędzić do nich więźniów a dopiero wówczas mogli zabrać się do nich gestapowcy.

Żeby dobrze zrozumieć na czym polegał niemiecki system obozów koncentracyjnych, trzeba pamiętać, że w gruncie rzeczy hitlerowcy nie uważali ich za miejsce, w którym odbywa się karę. Zdarzało się czasem, że w drodze doraźnego rozporządzenia ktoś wędrował wprost do obozu z zaznaczeniem ile lat ma tam przesiedzieć¹⁷, ale podstawowa zasada wyglądała inaczej: obóz był miejscem depozytów, z których korzystały więzienia, będące w

17. Tak zdarzyło się z 5-ma polskimi robotnikami cywilnymi, którzy za pomoc okazaną Tadeuszowi Wiewowskiemu (pierwsza ucieczka z Oświęcimia, dn. 6 lipca 1940 r.) zostali skazani przez Himmlera na trzykrotną chłostę po 25 kijów i 5-letni pobyt w obozie koncentracyjnym 3-go stopnia.

dyspozycji Gestapo lub Kripo¹⁸. Były one z reguły przepelnione, podczas wojny problem ten bardzo się zaostrzył, więc, by zrobić miejsce dla nowych połowów, wysyłano ludzi do obozów. Więźniowie kryminalni, którzy mieli wyroki, przeklinali ten system najgorszymi wyrazami, bo obozu nie zaliczano im do lat odsiadki. Teoretycznie, po przesiedzeniu iluś tam lat w obozie, w warunkach znacznie gorszych niż w więzieniu, mieli powrócić po wojnie do swych cel i odbyć swój wyrok do końca. Recydywiści w ogóle nigdy nie mieli wyjść na wolność. Więźniowie polityczni byli w innej sytuacji. Przesłuchiwano ich przeważnie z wyrafinowaną brutalnością, ale nie stawiano na ogół przed sądem i nie dawano wyroków. Mieli siedzieć w obozie przynajmniej do końca wojny, czasem referent z Gestapo posyłał za nimi polecenie, że mają być w obozie zlikwidowani, albo zaraz, albo po jakimś czasie. Byli więc także w roli depozytu. Ci, których przywożono do obozu w wyniku łapanki, również nie odsiadawali tam kary, bo nikt im niczego nie udowodnił i żadnego wyroku nie wydał. Stanowili oni płon totalnego terroru, który miał zastraszyć cały naród i pozabwić go woli i odwagi do stawiania oporu.

Pamiętając o tej ogólnej zasadzie, znacznie łatwiej jest zrozumieć czym był Oddział Polityczny w obozie koncentracyjnym. Przede wszystkim stanowił on ekspozyturę władz bezpieczeństwa całego wielkiego obszaru, na którym, dzięki zwycięskim podbojom, rządziła hitlerowska Rzesza. Za każdym więźniem, jeżeli nie pochodził z łapanki, wędrowała do obozu teczka zawierająca kopię akt jego sprawy. Oddział Polityczny spełniał rolę daleko sięgającego ramienia miejscowego Gestapo i nadal „opiekował się” pojmanym człowiekiem. Wspomniano już powyżej, że za więźniem mogła przyjść do obozu decyzja likwidacji. Czasem wykonywano ją dopiero po kilku latach. Ludzie niedoświadczeni, ci, którzy dopiero rozpoczęli obozową odsiadkę, ciągle łudzili się, że stanie się cud i że zostaną zwolnieni. Oni to oczekiwali każdego ranka, że przy apelu zostaną wycytane ich numery i że oznaczają to będzie wolność. Po kilku miesiącach zmieniały się ich poglądy i wraz z całym obozem drżeli, gdy przed stojącymi na baczność dziesiątkami pojawiał się SS-Man z kartką w dłoni. Wiedzieli już, że człowiek ten jest zwiastunem śmierci, że wycytane numery powędrują na blok Nr 11 i że, być może, jeszcze tego samego ranka znajdą się pod czarną ścianą¹⁹.

18. Kriminalpolizei.

19. Na bloku Nr 11 w centralnym obozie dokonywano egzekucji, przeważnie strzałem w tył czaszki z małokalibrowej broni. Rozebrany do naga więzień ustawiał się pod czarną ścianą z desek. W bloku tym, w podziemiu, mieściło się także obozowe więzienie, zwane bunkrem.

Czasem ranne wyczytanie numeru oznaczało, że Gestapo dla jakichś powodów postanowiło wznowić śledztwo. Wezwany więzień mógł być przesłuchany na miejscu, mógł też pod eskortą pojechać z powrotem do lokalnego więzienia i trafić do rąk tego samego referenta, który znęcał się nad nim jakiś czas temu. Iluż było takich, którzy modlili się o dzień, w którym wyrwą się wreszcie ze śledztwa i zostaną wysłani do obozu, pozostawiając poza sobą jaskinię tortur i moralnego nacisku, niemożliwego już do wytrzymania. Byli niestety w błędzie. Pomijając już fakt, że obóz, zwłaszcza oświęcimski, był sam w sobie jedną nieprzerwaną torturą, pobyt w nim wcale nie oznaczał, że kontakt z Gestapo narazie został już zakończony. Po to właśnie istniał na miejscu Oddział Polityczny.

Drugim zadaniem tego oddziału było czuwanie nad wewnętrznym bezpieczeństwem obozu, prowadzenie kartoteki wszystkich więźniów²⁰, przesłuchiwanie ich na okoliczności przekroczeń obozowych, ściganie nazewnątrż w razie ucieczki (poprzez listy gończe) i ogólny dozór, by dyscyplina w obozie stała na wysokim poziomie. On także załatwiał formalności związane ze zwalnianiem. W tym zakresie nie był zanadto przeciążony.

Trudno jest powiedzieć kogo najbardziej należało się wystrzeżać w Oświęcimiu: Raportführera Palitzscha czy kierownika Oddziału Politycznego Untersturmführera Grabnera lub jego pomocnika Bogera. Palitzsch osobiście wykonał wiele tysięcy wyroków, strzelając z małokalibrowej broni w tył głowy pod ścianą śmierci, sam, z własnej inicjatywy, znęcał się nad więźniami i szukał do tego okazji, więc ogólnie jego uważało się za najniebezpieczniejszego w obozie człowieka, ale chłodne sprawdzenie faktów doprowadza do konkluzji, że największej ofiar spowodowały decyzje Oddziału Politycznego z Grabnerem na czele. Jeżeli nawet odliczyć wyroki, które przechodziły tylko przez ręce tego oddziału, bo nadsyłały je referaty Gestapo z zewnątrz, on sam wydał ich tysiące. Palitzsch je wykonywał i stąd na niego wskazywano zewsząd jako na mordercę, ale był on przecież narzędziem Grabnera. Piwnice Gestapo w wielu miastach zyskały sobie złą sławę katowni, ale mało gdzie osiągnięto tak wysoki poziom, jak to się udało Oddziałowi Politycznemu Oświęcimia, i mało gdzie wymyślność tortur była tak wyrafinowana.

20. Każdy więzień po przybyciu do obozu był fotografowany (z profilu, *en face* i po raz trzeci w czapce) i składał odciski palców. Nie zawsze było to stosowane. Np. transport z Warszawy z dn. 13 maja 1943 r. (którym przybył autor książki) nie przeszedł tej procedury. Niektórzy b. więźniowie utrzymują, że postępowano tak z transportami przeznaczonymi na zagładę. Nie ma potwierdzenia tego poglądu.

Te cztery instrumenty działania w rękach komendanta Oświęcimia były bronią straszliwą, przed którą truchleli więźniowie, ale obraz nie byłby pełny, gdyby pominąć przedłużenie tego SS-Mańskiego ramienia dławiącego obóz żelaznym chwytem. Tym przedłużeniem byli więźniowie funkcyjni.

Więzienia istnieją prawie tak długo jak długo istnieje ludzkość, mają więc poza sobą tradycję wielu tysięcy lat. Zawsze tak było, tak jest i na pewno tak będzie, że służba więzienna wyręcza się w swej pracy niektórymi więźniami, obdarzając ich za pomoc drobnymi przywilejami. Dotyczą one przede wszystkim dodatkowej żywności, lepszych warunków spania i swobody poruszania się w granicach możliwości więziennych. System ten ma swoje uzasadnienie i nie byłoby w nim nic złego, gdyby nie wynaturzenia, którym bardzo często podlegał.

We wszystkich hitlerowskich obozach koncentracyjnych, poczynając od Dachau, zasada wciągania więźniów do administracji obozowej była stosowana bardzo szeroko. Musiało tak być nie tylko z powodu długiej więziennej tradycji. Obozy pęczniały i rosły a w czasie wojny przekroczyły wszystkie przewidywane granice. Brakowało wszędzie ludzi, front wsysał SS-Manów, trzeba było szukać pomocy i zastępstwa. Stworzono całą wielką siatkę funkcyjnych, którzy na każdym prawie szczeblu dublowali robotę SS.

Najwyżej w hierarchii obozowej stał Starszy Obozu (*Lagerältester*). W Oświęcimiu, zupełnie wyjątkowo, funkcję tę rozdzielono na początku pomiędzy dwóch więźniów kryminalnych, których w maju 1940 r. przywiózł z Sachsenhausen Palitzsch. Wyrafinowana ironia losu sprawiła, że obydwaj byli niemieczonymi Polakami, a tacy, gdy natura obdarzyła ich okrucieństwem, byli gorsi od rodowitych Niemców. Pierwszy (Nr 1) zwał się Bruno Brodniewicz, drugi (Nr 30) Leo Wiczorek.

Poniżej starszego obozu funkcje rozgałęziały się na dwa zasadnicze działy: praca i bloki mieszkaniowe. Pracą kierowali Kapowie²¹, stojący na czele samodzielnych komand roboczych, którzy wyręczali się Vorarbeitami. Kilka komand mogło podlegać jednemu funkcyjnemu, który nosił wówczas opaskę Ober Kapo.

21. Wyraz „Kapo” został zapożyczony z włoskiego (*Capo* znaczy w tym języku „szef”, dosłownie „głowa”). Używali go robotnicy włoscy pracujący w południowych Niemczech przy budowie dróg. Przyjął się najpierw w Dachau a stamtąd przeszedł do innych niemieckich obozów koncentracyjnych. Pisano go tam przez C, w dosłownym włoskim brzmieniu. W polskiej literaturze obozowej ustaliła się zasada pisania tego wyrazu przez K. (Wyjaśnienie oparte na książce A. J. Kamińskiego „Hitlerowskie obozy koncentracyjne i ośrodki masowej zagłady w polityce imperializmu niemieckiego”, Wydawnictwo Poznańskie, 1964).

Wszyscy Kapowie i Vorarbeiterzy nosili w Oświęcimiu opaski żółte.

Na czele każdego bloku stał Blokowy (*Blockältester*), do którego należało pilnowanie dyscypliny, porządku i rozdzielanie żywności. Wyřęczeni go w pracy Izbowi (*Stubendienst*), którzy sprząkali wydzieloną im część baraku i wywijali kijami. Funkcyjni na blokach nosili opaski ciemno-czerwone.

Obok tych dwóch zasadniczych linii, po których rozwijała się hierarchia funkcyjnych, było ich bardzo wielu we wszystkich zakamarkach obozowych. Siedzieli po magazynach, po kuchniach, po warsztatach, po biurach budowlanych, potrafili dostać się nawet do Oddziału Politycznego. Formalnie biorąc, nie byli oni przełożonymi innych więźniów, ale w wielu wypadkach wpływy ich sięgały daleko i przewyższały możliwości Kapów i Blokowych, choć nie warczały w ich rękach kije.

Pierwsi funkcyjni rekrutowali się wyłącznie z więźniów kryminalnych. Załoga SS, która w stosunku do pozamykanych przeciwników politycznych występowała z największą brutalnością, nie okazywała takiej zawziętości w odniesieniu do kieszonkowców i włamywaczy. Ci, zresztą, mieli już swoje doświadczenie więzienne, wiedzieli jak zabrać się do rzeczy, im więc przypadały wszystkie funkcje.

Był to najstraszniejszy okres niemieckich obozów. SS-Mani, choć ćwiczono ich w brutalności i choć nakazywał ją system obozowy, pełnili tylko służbę i po jej zakończeniu wynosili się na miasto lub powracali do koszar. Tylko wyjątkowo sadystyczne typy pozostawały w obozie, by znęcać się nad więźniami. Inaczej wyglądało to z funkcyjnymi. Ci nie mieli się gdzie podziać, więc przez 24 godziny wisieli jak zmory nad współwięźniami, znali wszystkie ich sekrety, powiązania i słabości. SS-Mani działali jednak w ramach jakichś przepisów, dzielili ich do więźniów dystans, mogli się obawiać donosu. Wszystko to nie wchodziło w grę, gdy problem dotyczył funkcyjnych. Życiowa konieczność zmuszała ich do solidarności, kryminalna przeszłość nauczyła sprytu, nie było norm, które by regulowały stosunek do współwięźniów a pojęcia etyczne były dla nich kartą przeważnie nieznaną. Chcieli żyć, więc trzymali się na powierzchni kosztem innych. Kradli ich żywność, zmniejszając wydawane porcje, pędzili kijami do pracy, by samym jej uniknąć, szpiegowali, by mieć tytuł do zasługi i uchronić się od donosu. Byli prawie bez wyjątku gorliwymi wykonawcami systemu gnębienia i terroru.

Komenda SS aprobowwała te stosunki, bo dawały gwarancję, że wielka obozowa masa więźniów nigdy nie wymknie się spod kontroli i, że nienawidząc funkcyjnych, idących w tysiące, nigdy

nie stworzy solidarnego, jednolitego frontu. Tą metodą osiągnano inny jeszcze, bardzo ważny, cel: wewnętrzny bunt, który musiał się budzić w duszy każdego więźnia, nie zawsze kierował się ku SS. Kryminalne pasożyty były tak dokuczliwe, że niejednokrotnie w świadomości okradanych i maltretowanych na nich spadała główna wina za popełniane zbrodnie.

Z biegiem lat ten stan rzeczy uległ jednak zmianie. Obozy rozrastały się, zwłaszcza w czasie wojny, wchłaniały setki tysięcy nowych więźniów, prawie wyłącznie politycznych, nikt nie chciał ginąć bez oporu, więc rozpoczęła się walka o wpływy, o wydobycie się na wierzch. Więźniowie polityczni przypuścili atak na uprzywilejowane pozycje, zajmowane dotychczas przez kryminalnych.

Zielone trójkąty²² zwały swoje szeregi, dawała im oparcie komenda obozowa, ale napór politycznych był tak silny, że okopani na swych pozycjach kasiarze i kieszonkowcy musieli tu i tam zatrzeć do odwrotu. Nie była to walka łatwa, bo toczyła się o prawo do życia a prowadzono ją w warunkach, których nawet najbujniejsza wyobraźnia nie potrafiłaby wyczarować. Nie była to także walka, w której mogłyby obowiązywać zasady uczciwej gry.

Pierwsze wyłomy w obronnej linii kryminalnych pociągnęły za sobą dalsze straty. Ci, którzy wydostali się na funkcje, podawali rękę swym kolegom, także więźniom politycznym. Cementowała ich niejednokrotnie wspólna narodowość, bardzo często zbieżność poglądów politycznych, prawie zawsze ideowe przyczyny, które kazały im stawić opór Hitlerowi i zaprowadziły do obozu.

Wszystkie funkcje zależały od SS-Manów, mogłoby się więc wydawać, że od ich wyłącznej decyzji zależał dobór funkcyjnych i ich barwa. Było tak istotnie, ale tylko na początku nazistowskiej obozowej ery. Później, gdy nastąpił masowy napływ więźniów i gdy szybka rozbudowa wszystkich obozowych obiektów poczęła przerastać umiejętności SS i kryminalnych funkcyjnych, życie okazało się silniejsze od rozkazów. Komenda obozu musiała akceptować politycznych, bo rozumiała, że oni lepiej dadzą sobie radę z problemami administracji, rozdziału żywności, organizacji pracy i zaopatrzenia. Ostatecznie co to komu szkodziło, że czerwoni poczęli wypierać zielonych. I tak przecież wszyscy mieli złożyć w obozach swoje kości.

Opanowanie wewnętrznych rządów przez więźniów politycz-

22. W niemieckich obozach koncentracyjnych każdy więzień kryminalny nosił na bluzie i spodniach trójkąt zielony a więzień polityczny krójką czerwoną. Badacze Pisma św. nosili trójkąty fioletowe, homoseksualiści różowe a aspołeczni czarne. Więzień osadzony w obozie po raz drugi nosił ponad trójkątem pasek tej samej barwy.

nych, głównie komunistów, potworzyło nowe kliki, dawało nadal pole do nadużyć, stanowiło nawet podstawę do dyskryminacji z tytułu odmiennych przekonań, ale w ogólnym efekcie osłabiło terror i przyniosło ulgę olbrzymiej masie współwięźniów²³.

Gdy wybuchła wojna, w obozach na ziemi niemieckiej prawie wszędzie mieli już wielkie wpływy więźniowie z czerwonymi trójkątami. Ale Oświęcim był obozem nowym. Tam, w roku 1940, rządy sprawowali niemieccy kryminaliści i daleko było jeszcze do dnia, w którym stan ten miał się zmienić.

4.

Pierwsza wojenna zima była wyjątkowo długa i mroźna, druga, wbrew normalnym cyklom atmosferycznym, okazała się jeszcze gorsza. W Warszawie pierwszy śnieg spadł już dnia 11 października, na południu kraju, bliżej gór, temperatura utrzymywała się regularnie poniżej zera.

Obóz oświęcimski istniał już od czterech miesięcy i numeracja więźniów przekroczyła sześć tysięcy, ale zabezpieczenie pomieszczeń na zimę i jakość okryć, przedstawiały się żałośnie. W wielu blokach nie było pieców i okien, więźniowie chodzili boso, bez czapek, płaszczów, swetrów i rękawic, z narzuconymi na grzbiety podartymi i brudnymi mundurami Wehrmachtu. Co dzień przynoszono z pracy skostniałych ludzi, którzy już nie mogli się podnieść, setki zapadały na zaziębienia i choroby płucne, które kładły ich w ciągu kilku dni, poza funkcyjnymi i szczęśliwcami pracującymi pod dachem, wszyscy byli chorzy. Bagiennie, trujące mgły utrzymywały się do późnych godzin, wdzierały się wszędzie i dobijały tych, którzy w lepszym klimacie potrafiliby jeszcze żyć.

Aż nadszedł straszny dzień 28 października.

W czasie południowego apelu nie doliczono się jednego więźnia, komenda obozu zarządziła więc karny apel²⁴. Trwał on od

23. Przekonał się o tym autor, gdy pod koniec lipca 1943 r. przyjechał transportem więźniów z Oświęcimia do Neuengamme pod Hamburgiem, gdzie rządili więźniowie polityczni.

24. Danuta Czech w „Kalendarzu wydarzeń obozowych” nie podaje dokładnej daty, ale sugeruje, że był to już listopad. Wydaje się, że data 28 października jest prawidłowa. Pamięta ją dobrze kilku więźniów, bo był to dzień św. Tadeusza. Danuta Czech stwierdza także, że karny apel zarządził z powodu ucieczki jednego z więźniów. Dokładne zestawienie wszystkich ucieczek, znajdujące się w Nr 7 *Zeszytów Oświęcimskich* (1963 r.), pozwala stwierdzić, że ani w październiku ani w listopadzie 1940 r. ucieczki nie było. Przypuszczalnie któryś z więźniów ukrył się lub zmarł w zakamarku obozu i odnaleziono go dopiero po wielogodzinnym apelu.

godziny 12 do 9 wieczorem. Jesiennie-zimowa pogoda, znacznie gorsza niż suchy mróz, osiągnęła szczyt swej złośliwości. Jeden z więźniów-lekarzy tak wspomina ten dzień w swej relacji:

„... Od świtu zacinął gęsty deszcz na zmianę ze śniegiem i dął ostry północno-wschodni wiatr. Od południa poczynając zaczęli znosić i zwozić na taczkach ludzi zamrzniętych. Niesamowity był widok ludzi uspiomych, na wpół przytomnych, pełzających, zataczających się jak pijani, bełkocących niewyraźnie i z wysiłkiem, zapluty i z pianą na ustach, konających i rżących... Dzień i noc cały personel nie ustawał w ratowaniu. Pojono przede wszystkim gorącą kawą i zupą. Nie było wtedy jeszcze żadnych lub prawie żadnych środków lekarskich. Sale bez pieców a często bez okien. Paręset ludzi uratowano dzięki wysiłkom prawie całego personelu szpitalnego. 200 (słownie dwustu) jednak zmarło...”.

W tym dniu Pilecki, który już od miesiąca przebywał w obozie²⁵, jako Tomasz Serafiński, przeżył pierwszy kryzys. Przybycie do Oświęcimia, po kilkunastu godzinach transportu, było wielkim wstrząsem, bo nawet jego wyobrażenia, choć przygotowana na najgorsze, nie mogła sprostać rzeczywistości²⁶, ale pierwsze dni miał szczęśliwe, bo został sprząającym i pracował w baraku Nr 17b. Wprawdzie blokowym był „Krwawy Alojz” z pierwszej niemieckiej obsady funkcyjnych, noszący numer 7, ale była to praca pod dachem i dawała przywilej dodatkowego jedzenia. Niestety nie trwała długo. Alojz wymagał nie tylko pracy, ale i brutalności i po kilku dniach wyrzucił na obóz Pileckiego wraz z kilkoma innymi, którzy nie chcieli wywijać kijem. Był już październik i niegościnne, nisko nawisłe oświęcimskie niebo, podbite bagienną mgłą, przywaliło więźniów ciężarem słoty, wiatru i zimna. Pilecki wytrzymał mordeczy apel, ale był tak wyczerpany, że tylko szybka pomoc przyjaciela z wolności, który był lekarzem i, jako pielęgniarz, pracował już w prowizorycznym szpitalu, pozwoliła mu na zebranie sił i na przetrwanie kilku następnych dni bez załamania się.

Przetrzymał, zrobił sobie kamizelkę z worka po cementie, choć groziły za to kije, i wspomagany dodatkową miską zupy, którą otrzymywał ze szpitala, powrócił do montowania siatki,

25. Przywieziono go drugim warszawskim transportem w nocy z 21 na 22 września 1940 r. i dano numer 4859. Transport liczył 1705 więźniów.

26. Pilecki w swej relacji tak opisuje marsz z rampy kolejowej do obozu: „W drodze kazano jednemu z nas biec do słupa w bok od drogi i zaraz w ślad za nim puszczono serię z p-ma. Zabito. Wyciągnięto z szeregu 10-ciu przygodnych kolegów i zastrzelono w marszu z pistoletów na skutek „odpowiedzialności solidarnej” za „ucieczkę”, którą zaaranżowali sami SS-Mani.

Wszystkich jedenastu ciągnięto na rzemieniach uwiązanych do jednej nogi. Drażniono krwawymi trupami psy i szcuzto je na nie.

Wszystko to robiono pod akompaniament śmiechu i kpin”.

która po kilku miesiącach miała pokryć najważniejsze, najbardziej newralgiczne obozowe punkty.

Pozornie mogłoby się wydawać, że gdzie jak gdzie, ale właśnie w Oświęcimiu nie było już miejsca na jakikolwiek ruch oporu, na konspirację. Któż miał do tej roboty należeć? Zagonieni, pędzeni kijami, wiecznie głodni, ślaniający się na nogach ludzie, których jedynym marzeniem była dodatkowa łyżka zupy i ukradzioną godziną snu? A może niemieccy Blokowi, Kapowie i inni funkcyjni, którzy urozmaicali swoje życie rozdzielaniem razów, rozkradali żywność i pędzili innych do roboty, by sobie zapewnić spokój? Czy z tych ludzi można jeszcze było coś wydobyć, czy byli zdolni do działania w obliczu terroru i zbiorowej odpowiedzialności, czy wolno było liczyć na ich lojalność?

Wszystkie argumenty rzeczowe, wszystkie kalkulacje, wszystkie pozory przemawiały przeciwko nadziejom na skuteczną konspirację a jednak życie pokazało, że było odwrotnie. W gruncie rzeczy musiało tak właśnie być. Konspiracja powstaje tylko wówczas i tylko wtedy jest skuteczna, gdy zawodzą wszystkie inne, jawne sposoby działania, gdy doprowadzeni do rozpaczycy ludzie muszą szukać potajemnej więzi, by dać sobie wzajemnie pomoc, by walczyć z przeciwnikiem, który w otwartej, normalnej walce jest nieosiągalny, bo zbyt potężny. Nieprzebrane są także zasoby siły moralnej i fizycznej, które posiada w sobie człowiek. Trzeba dopiero trudności, trzeba przeszkód, trzeba warunków, w których, zdawałoby się, nie może istnieć życie, trzeba kataklizmów, nieszczęść i wstrząsów, by siła wewnętrzna serca i duszy ludzkiej wystąpiła w całej swej potędze.

Tak wyglądały sprawy w Oświęcimiu. Nie można już było stworzyć warunków gorszych, systemu bardziej przewrotnego i brutalnego, bezprawia bardziej absurdalnego, i dlatego normalną ludzką reakcją musiał być opór. Pierwszym jego objawem był szepot skierowany do stojącego obok współwięźnia w czasie wielogodzinnego apelu:

— Wytrzymaj, nie daj się zabić.

Tylko najślabsi, najmniej odporni, marli w poczuciu bezsiły i godzili się na rolę stada, które zostało skazane na zniszczenie.

Pilecki szedł do obozu z przygotowanym już wcześniej planem działania i z wizją tego, co chciałby tam osiągnąć. Pierwsze obozowe przeżycia, pierwsze wstrząsy i pierwsze doświadczenia skorygowały wiele pomysłów, dobrych w Warszawie ale nierealnych na miejscu, zasadniczy jednak plan nie uległ zmianie. W swej relacji Pilecki ujął go w sposób następujący:

„— Podtrzymywanie na duchu kolegów przez dostarczanie i rozpowszechnianie wiadomości z zewnątrz,

- Organizowanie, w miarę możliwości, dożywiania i rozdzielania bielizny wśród zorganizowanych,
- Przekazywanie wiadomości na zewnątrz,
- Jako uwieńczenie wszystkiego: przygotowanie oddziałów własnych do opanowania obozu, gdy nadejdzie nakaz chwili w postaci rozkazu zrzucenia tu broni lub siły żywej (desantu)”.

W miejscu tak bardzo strzeżonym, jakim był Oświęcim, wśród przerażonych i sterroryzowanych ludzi, ze świadomością, że wszędzie należy się spodziewać szpiclowskich oczu, budowana od podstaw konspiracja musiała być, oczywiście, jeszcze bardziej precyzyjna niż to, co istniało już na terenie okupowanego kraju. Pilecki postanowił zacząć od zmontowania pierwszej piątki wtajemniczonych ludzi, którzy nie mogli się znać pomiędzy sobą, w tej przynajmniej roli, i których łączyła jedynie osoba kierownika. Piątka ta, zwana „górną” i podlegająca Pileckiemu, pod żadnym pozorem nie mogła mieć bezpośredniego kontaktu z następną „górną” piątką. Te pierwsze piątki miały stanowić najwyższą warstwę budowanej sieci. Warstwa niższa składać się miała z dalszych piątek, podwiązanych pod te, które powstały wcześniej. Każdy zmobilizowany więzień przybrać miał pseudonim²⁷ i składał przysięgę, zgodnie z rotą ustaloną przez wojskowe władze konspiracyjne walczącego w podziemiu kraju²⁸. Pilecki szedł do Oświęcimia jako żołnierz i dlatego montowana przezeń siatka otrzymała nazwę „Związek Organizacji Wojskowej”.

W tym okresie w obozie przebywali tylko Polacy, więc organizacja musiała mieć czysto polski charakter. Ostrożne zdobywanie dla niej członków nie miało wówczas żadnych aspektów politycznych. Każdy więzień-Polak, jeżeli tylko był człowiekiem pewnym, mógł stać się jej członkiem. W tym pierwszym okresie wojny, po wielkim wstrząsie tragedii wrześniowej, cały naród, z niegodnymi wzmianki odchyleniami, był zjednoczony jedną wspólną myślą: nie dać się pognębić, stawiać opór okupantom. Było ich dwóch: Niemcy i Rosja i wobec obydwóch panowało to samo nastawienie. Istniały, rzecz jasna, różnice poglądów pomiędzy polskimi stronnictwami i ruchami politycznymi, ale nie

27. Niektórzy informatorzy podają, że Pilecki przyjął pseudonim „Tomek”. Byłoby to bardzo nierozsądne, bo siedział w obozie jako Tomasz Serafiński, więc w razie „wsypy” łatwo można było ustalić, że Tomasz i „Tomek” to ta sama osoba. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pseudonimem Pileckiego w Oświęcimiu było jego prawdziwe imię „Witold”. Potwierdza to Edward Ciesielski („Wspomnienia Oświęcimskie”).

28. Na czele polskiego wojskowego podziemia stał wówczas gen. Stefan Rowecki („Grot”), komendant Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), który w lutym 1942 r., rozkazem gen. Sikorskiego, został przemianowany na Armię Krajową.

w zakresie stosunku do najeźdźców. Dopiero później, gdy Rosja z woli Hitlera, po jego ataku, stała się członkiem antyhitlerowskiej koalicji, potworzyły się komplikacje.

Już po kilkunastu dniach pobytu w obozie stało się dla Pileckiego jasne, że nie wystarczy mobilizować do tajnej siatki każdego więźnia, który zasługiwał na zaufanie. Nawet najprzyzwoitszy człowiek, jeżeli należał do zwyczajnego kommanda i pracował z łopata i na dworze, niewiele był wart, bo sam przede wszystkim potrzebował pomocy. Trzeba było szukać kontaktów wśród tych, którzy już się zahaczyli, pracowali pod dachem, mieli dodatkowe możliwości i jakieś znaczenie w obozie. Wzrok biegł w pierwszym rzędzie do szpitala, który, choć jeszcze bardzo prymitywny, dawał ochronę przed zimnem, dodatkową strawę i możliwości niesienia pomocy. Drugim punktem, który musiał przyciągnąć uwagę, było biuro przydziału pracy (*Arbeitsdienst*), tuż za nim biura budowlane, wypełnione kolegami z najwcześniejszych transportów.

Nawet na wolności, w normalnych warunkach, wśród ludzi wypoczętych, bezpiecznych, sytych, trudno jest znaleźć przyjaciół, na których naprawdę można liczyć, gdzie i jak należało ich szukać w Oświęcimiu? Pilecki znał się nieźle na ludziach, posiadał instynkt, który go rzadko zawodził, ale długo ważył pierwszy krok, zanim go postawił. Na początek przyjął zasadę, że kontakty swe rozbudowywać będzie przez ludzi, o których potrafi się dowiedzieć, że już przed aresztowaniem byli w wojskowym podziemiu, przede wszystkim w TAP-ie. Rozumiał, że najlepiej jest wciągać do roboty ludzi szarych, nie rzucających się w oczy, nie obciążonych bujną przeszłością, która musiała być znana Oddziałowi Politycznemu. Ten pogląd kazał mu odrzucać, przynajmniej na początku, wyższych oficerów, siedzących pod prawdziwymi nazwiskami. W wypadku wywęszenia czegoś przez SS-Manów, na nich musiało zawsze paść pierwsze podejrzenie.

Zastanawiał się, ważył szanse, brał wszystkie możliwości pod uwagę i, jak to często w życiu bywa, pierwsze kroki skierował ku człowiekowi, który nie spełniał ustalonych z góry warunków. Jego właśnie, jako pierwszego, zaprzysiął, jemu powierzył kierownictwo pierwszej „górnjej” piątki.

Był to pułkownik Władysław Surmacki.

Józef GARLIŃSKI

Piotr WANDYCZ

JESZCZE O MISJI JERZEGO POTOCKIEGO W 1933 ROKU

Sześć lat temu ogłosiłem w *Zeszytach Historycznych* (nr 3) dokumenty dotyczące wciąż jeszcze nie wyjaśnionej misji dyplomatycznej Jerzego Potockiego do Paryża. Wysunąłem wówczas hipotezę, że misja ta mogła pozostawać w jakimś związku z planami tzw. wojny przewencyjnej, ale dowodów na to nie udało się znaleźć. Ponieważ jednak sam fakt misji był kwestionowany przez ówczesnego premiera Francji, Paul-Boncoura, wydaje mi się celowe ogłoszenie dodatkowych dwóch dokumentów — jeden z nich ukazał się niedawno drukiem — w których nie ma wprawdzie odpowiedzi na pytanie jaki był cel wysłania Potockiego do Paryża, ale są dodatkowe informacje na ten temat.

Pierwszy z nich to dokument, ogłoszony w drugim tomie, pierwszej serii *Documents Diplomatiques Français* (Paryż, 1966) strony 45-453. Na dokument ten zwrócił moją uwagę Jan Weinstein. Drugi to kopia pełnego tekstu zapisku Jerzego Potockiego, którą otrzymałem dzięki uprzejmości Pani Alfredowej Potockiej, za co raz jeszcze bardzo Jej dziękuję.

Dokument francuski jest raportem *très confidentiel* ambasadora francuskiego w Warszawie, Laroche'a, do ministra spraw zagranicznych, Paul-Boncoura z 15 stycznia 1933 roku. Ponieważ zainteresowany czytelnik może znaleźć łatwo sam tekst, ograniczę się tutaj do zacytowania tylko paru wrywków. Laroche pisał: „Powiedziałem mu [Beckowi — PW], że jestem *au courant* rozmowy, jaką Wasza Ekscelencja miała z hr. Potockim”. W tym miejscu znajduje się odsyłacz, który stwierdza, że „*Aucune trace de cette entrevue n'a été retrouvé aux archives du ministère des Affaires étrangères*”. Może to być oczywiście zbieg okoliczności, że właśnie ten dokument zaginął, ale może też świadczyć o tym, że Quai d'Orsay zależało, aby nie pozostał żaden ślad z rozmowy pomiędzy nadzwyczajnym wysłannikiem Piłsudskiego a ministrem spraw zagranicznych Francji. Laroche nie podaje też co stanowiło jej treść. W swym raporcie pisze, że ponieważ

Beck nie miał jeszcze obszernego sprawozdania z Paryża, Laroche ograniczył się do stwierdzenia, że „bez wątpienia będzie z niej [rozmowy — PW] zadowolony”. Przy okazji poruszył też sprawę „konstruktywnego planu francuskiego” i wyjaśnił Beckowi jego uzasadnienie, zgodnie z instrukcjami, które otrzymał bezpośrednio od Paul-Boncoura. Jeśli misja Potockiego dotyczyła rzeczywiście jakichś drugorzędnych spraw, to trzeba przyznać, że otaczano ją zadziwiająco wprost dyskrecją.

Podobnie rzecz się ma z zapiskiem samego ambasadora Potockiego. Pisze on:

„Jednego takiego wieczoru przed sylwestrem otrzymałem telegram z Warszawy od ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, proszący mnie o natychmiastowy przyjazd do Warszawy w celu zgłoszenia się u Marszałka w Belwederze. Nastąpiło niebawem poruszenie i choć przykro mi było opuścić tak miłych krewnych i przyjaciół — musiałem niezwłocznie wsiąść w pociąg i wyjechać do Warszawy.

Na drugi dzień zgłosiłem się u ministra Beck'a z którym razem wybraliśmy się o oznaczonej godzinie na audjencję w Belwederze. Ciekawym było znaleźć się znowu wśród znajomych komnat belwederskich których nie widziałem od lat dziesięciu a które były nieco pozmieniane i przerebione na nowo.

Komendant jednak jak zawsze mieszkał na piąterku i tam nas przyjął. Pamiętam jak dzisiaj — jak siedział w swojej kurcie strzeleckiej, mocno już przygarbiony z siwiejącym wąsem, ale z głową jak zawsze, szalenie bystrą w której tkwiły oczy tak rozumne i z takim blaskiem jakby ożywczym, patrzące na człowieka. Jak zwykle zaczął Komendant od dowcipów, przglądał mi się z bliska i z daleka, pytał się o zdrowie, ale głównie dowcipkował na temat mojego senatorstwa, które mi bardzo przypadło do gustu. Po tym wstępie który zajął jednak 10 minut czasu, przystąpił Marszałek od razu do sformułowania nakazu samego zagadnienia które miało być treścią dzisiejszej rozmowy. Powiedział Komendant że mam jechać do Paryża i zgłosić się w tamtejszej ambasadzie u ambasadora Chłapowskiego prosząc go aby wyrobił mi posłuchanie u ówczesnego premiera Francji, Paul Boncour'a. Miałem przedstawić premierowi osobisty pogląd Marszałka na pewne machinacje państw zachodnich, które pod wpływem Benesa miały na celu zneutralizowanie Polski w debacie Ligi Narodów, która wówczas zajmowała się sprawą rozbrojenia.

Misja moja była bardzo... [nieczytelne słowo, „kłopotliwa”? — PW] gdyż otrzymałem polecenie zupełnego zamilczenia celu mego przyjazdu wobec ambasadora Chłapowskiego, z którym mnie łączyły węzły przyjaźni. Dyskusja była dosyć długa i trzeba było zapamiętać sobie wszystkie szczegóły rozkazu Komendanta, bez brania naturalnie jakichkolwiek notatek. Jak już wyżej wspomniałem treścią tego rozkazu był un avertissement który miałem w imieniu Marszałka przedstawić premierowi Paul Boncour'owi na osobistej audjencji. Jak zwykle w takich wypadkach audjencja po skończonym wykładzie, skończyła się szybko. Komendant nas pożegnał a sam wrócił do swoich osobistych zagadnień i myśli. Nie czekając długo załatwiwszy paszport i inne formalności, wyjechałem Nord expresse do Paryża, zawiadomiwszy przedtem rodzinę, że wyjeżdżam na nieokreślony przeciąg czasu. W Paryżu stanąłem u mojej teściowej która mnie jak zwykle życzliwie przyjęła i tam spokojnie zamieszkałem. Zaraz zgłosiłem się do amb. Chłapowskiego, który mnie przyjął bardzo serdecznie ale z pewnym zdziwieniem kiedy mu doniosłem że muszę go prosić o wyrobienie audjencji u Paul Boncour'a w sprawie której

nie mogłem mu nawet przedstawić. Zapanowało u mnie i u niego pewne zażenowanie, gdyż taki proceder nie był w zwyczaju w świecie dyplomatycznym. Prosiłem jednak Chłapowskiego o dyskrecję mówiąc że rola moja skończy się tylko na tym występie i dalszych przykrości odemnie nie zazna. Musiałem w ambasadzie polskiej poruszać się z wielką dyskrecją bo cały personel ambasady patrzył nieufnie na takiego gościa co przyjechał z Warszawy w niewiadomym celu.

Z początku zapanowała cisza, tak że musiałem w końcu dwa i trzy razy nalegać na to spotkanie. Wreszcie audjencja została wyznaczona na pewną godzinę w Quai d'Orsay, gdzie zostałem natychmiast przyjęty przez Paul Boncour'a. Zacząłem od excellence, monsieur le Président du conseil itd. mówiąc que je vous apporte un message spécial du Maréchal Pilsudski qui m'a été confié par lui-même a moi comme ancien aide de camp et homme de confiance du Maréchal. Wszystkiego tego Boncour pięknie wysłuchał, bo był w zasadzie dobrym przyjacielem Polaków i nie miał wobec Polski żadnych fałszywych intencji. Przytem był to mówca niebywały, którego miałem później okazję podziwiać na sesjach Ligi Narodów w Genewie. Boncour przerzekł mi że nie odejdzie od linii tradycyjnej i że nie da się złapać w sieć intryg beneszkowskich, które popierane były pokryjomu przez Anglików. Wypadła ta audjencja tak że nie przywoziłem żadnego odręcznego listu ani nie otrzymałem żadnego pisma od premiera Francji, a wszystko skończyło się ustnie na skorygowaniu pewnych pociągnięć które według zdania Komendanta były szkodliwe dla polityki zagranicznej Polski".

Tak wygląda relacja Potockiego, w której zachowałem oryginalną pisownię i interpunkcję. Trzeba przyznać, że nie wyjaśnia ona zbyt wiele. Cóż to były za intrygi beneszkowskie, które wymagały aż bezpośredniej interwencji Piłsudskiego przez osobnego wysłannika z pominięciem ambasadora polskiego w Paryżu? Na czym polegało ostrzeżenie (*avertissement*), które Potocki przekazał od Marszałka Piłsudskiego? Czy celem wizyty w tak niezwykłych okolicznościach było tylko, jak pisze Potocki, przedstawienie poglądów Piłsudskiego na próby zneutralizowania Polski w debacie rozbrojeniowej Ligi Narodów? Wszystko to brzmi bardzo nieprzykonywująco. Istotny cel misji Jerzego Potockiego pozostaje wciąż jeszcze do wyjaśnienia.

Piotr WANDYCZ

WSPOMNIENIA

Doman ROGOYSKI

PUŁKOWNIK JÓZEF BECK WIĘZNIEM W RUMUNII

Garść Wspomnień

Ostatni Dzień na Ziemi Polskiej

Było to 17 września 1939 r., a zarazem 17-go dnia inwazji wojsk niemieckich, i dokładnie w dzień, na który było przewidziane zakończenie mobilizacji francuskiej, gdy rano o godz. 6-tej płk Beck otrzymał meldunek, że wojska rosyjskie przekroczyły wschodnią granicę polską. Jak niezwykle gorący był to dzień dla polskiego ministra spraw zagranicznych, wskazuje poniższa lista wizyt i przyjęć (według ówczesnych notatek sekretarskich):

- 6.00 — wiadomość o inwazji sowieckiej, przyniesiona przez p. M.S.;
- 10.00 — wyjazd do Kołomyży samochodem, na konferencję z wodzem naczelnym. Powrót przed godz. 12-tą;
- 12.00 — przyjęcie gen. Rayskiego;
- 12.15 — przyjęcie podsekretarza stanu Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego;
- 12.30 — przyjęcie ministra spraw wojskowych, gen. Kasprzyckiego;

Autor, b. radca MSZ i jeden z trzech sekretarzy min. Becka przed drugą wojną światową, był z nim w Rumunii bez przerwy przez cały czas internowania. Notatki o charakterze wspomnień osobistych pisał 20 lat temu, jeszcze za świeżej pamięci przeżyć okresu rumuńskiego. Celem ich jest danie obrazu człowieka, nie siląc się, na analizę działalności politycznej ministra. — *Redakcja.*

- 13.00 — Prezydent Mościcki przybywa do Kut i zamieszkuje w domu zajmowanym przez płk. Becka;
- 13.10 — przyjęcie ambasadora polskiego w Bukareszcie, Rogera Raczyńskiego;
- 16.00 — konferencja pomiędzy prezesem rady ministrów, naczelnym wodzem, i płk. Beckiem;
- 17.00 — kolejne przyjęcie: ambasadora tureckiego Taraya, ambasadora francuskiego Noëla, i ambasadora rumuńskiego Grigorcea;
- 20.00 — P. Prezydent na kolacji;
- 21.30 — P. Prezydent, płk. Beck, ich rodziny i otoczenie przekraczają granicę rumuńską.

Przyrzeczenie Króla Karola II-go

Rumuński ambasador w Polsce, Grigorcea, zaofiarował w imieniu swego króla gościnę dla polskiego Prezydenta, prof. Mościckiego, i dla rządu polskiego — na wypadek gdyby był zamiar udania się do Rumunii, będącej wówczas sojusznikiem Polski.

Tego dnia Prezydent Mościcki i płk Beck mieszkali ze swym otoczeniem w Kutach, małej miejscowości, blisko trójkąta utworzonego przez granice polską, rumuńską i węgierską. Płk Beck jeszcze poprzednio przygotował z ambasadorem francuskim Noëlem przeniesienie Prezydenta R.P. i rządu polskiego do Francji, na podobnych warunkach jak to miało miejsce podczas pierwszej wojny europejskiej w wypadku Belgii. Wojna z Niemcami była wojną sojuszniczą i nawet zupełna okupacja Polski przez najeźdźców — w mniemaniu Polaków — nie mogła i nie powinna była jej zakończyć. Chodziło o kontynuowanie legalnego istnienia i działalności władz polskich z prezydentem i rządem na czele, zamiast tworzenia surogatów władz w formie komitetów i rządów tymczasowych. Dlatego to płk Beck i Prezydent Mościcki pragnęli czym prędzej udać się do Francji. Liczyli na możliwość zabrania ich przez okręt wojenny brytyjski lub francuski z jednego z portów czarnomorskich Rumunii.

Z tego powodu płk Beck odrzucił propozycję gościniny w Rumunii i zażądał wolnego tranzytu dla Prezydenta Mościckiego i rządu — powołując się na międzynarodowe konwencje Haskie, regulujące podobne sprawy.

Król Karol to przyjął. Dlatego też wszyscy reprezentanci władz polskich udali się do Rumunii, jakkolwiek płk Beck brał również pod uwagę przejście granicy Węgier. Na wybór Rumunii musiał w pewnej mierze wpłynąć także fakt, że osobistym przyjacielem

płk. Becka był ówczesny rumuński minister spraw zagranicznych Grigore Gafencu. Warto podkreślić że rząd polski w owym czasie nie inwokował zobowiązań sojuszniczych Rumunii wobec Polski w sprawach prowadzenia wojny z Niemcami czy Rosją.

Zaproszenie Króla Karola okazało się pułapką.

Przybycie zarówno płk. Becka jak i Prezydenta i innych członków rządu do Rumunii było początkiem ich internowania, a można było przypuszczać że pod presją niemiecką. Dokonano tego w sprytny sposób. O godz. 21.30, 17 września 1939 r., płk Beck został przyjęty na moście granicznym po stronie rumuńskiej ze wszystkimi należnymi honorami, o 1.00 w nocy przybył do Czerniowiec, a 18 września rano utracił już wolność. A więc Niemcy dokonały interwencji w tych kilku nocnych godzinach? Czy też presja niemiecka miała miejsce *zanim* jeszcze Król Karol poczynił starania by mieć Polaków na ziemi rumuńskiej, ofiarowując gościnność?

Niemiecka presja zresztą mogła mu wydawać się wymówką niedostateczną. Pretekstem, usprawiedliwiającym zatrzymanie władz polskich stało się orędzie polskiego Prezydenta do narodu, opublikowane w Kutach, jeszcze na ziemi polskiej, a przekazane zagranicę przez konsula polskiego w Czerniowcach za pośrednictwem rumuńskiego telegrafu. Na tej podstawie pomówiono rząd polski o prowadzenie akcji politycznej w państwie neutralnym — aczkolwiek Rumunia był przecież sojusznikiem Polski.

Polscy internowani dowiedzieli się o tym dopiero później. Po przybyciu do Rumunii wysłannicy rumuńskiego ministra spraw zagranicznych namówili ich do opuszczenia granicznego miasta Czerniowiec i udania się w głąb kraju, ze względów bezpieczeństwa i z uwagi na zbliżającą się wojnę. Płk Beck instynktownie chciał wówczas wszelkimi sposobami dotrzeć do portu w Konstancy, ale w swoim przekonaniu nie mógł, jako minister spraw zagranicznych, opuścić Prezydenta Mościckiego. Pozostał więc na miejscu. Prezydenta przewieziono do miejsca „z góry dla niego przygotowanego” w mieście Craiova. Członków rządu do miejscowości uzdrowiskowej Slanic-Moldova, otoczonej wysokimi górami i posiadającej jedną tylko drogę zdatną do jazdy samochodem. Tam przy szlabanie ulokowano natychmiast posterunek żandarmerii, który nikogo nie przepuszczał.

Płk Beck opuścił Pałac Bruhlowski w Warszawie jako wolny człowiek 7 września 1939 r. w nocy. Dziesięć dni później był już więźniem. Odzyskał wolność poprzez śmierć dn. 5 czerwca 1944 r. — po około 5-ciu latach niewoli, kiedy to kondukt żałobny wyruszył na cmentarz z glinianej szkoły wiejskiej w Stănesti, 35 km na południe od Bukaresztu. Przez te wszystkie lata

niewoli różne budynki były wyznaczane na jego pomieszczenie. Najpierw (po pobycie w Slanic-Moldova) luksusowy hotel „Aro” w mieście Brasov, potem mały zapluskwiony domek w Dobroresti, później w Bukareszcie willa byłego szefa policji politycznej, zamordowanego przez Żelazną Gwardię, aż w końcu, śmiertelnie chory, znalazł się wraz z rodziną w prymitywnym dwuizbowym budynku szkolnym bez wygód.

Płk Beck Rumunię znał dobrze. Jeździł do niej jeszcze czasu tamtej wojny jako członek P.O.W., przekradając się przez front niemiecki w 1918 r. w ważnej, tajnej misji, by uzyskać przepuszczenie polskiego korpusu gen. Żeligowskiego z Rosji przez Rumunię do Polski, a później bywał niejednokrotnie, czy to towarzysząc Marszałkowi Piłsudskiemu, czy sam, oficjalnie, jako minister. Posiadał najwyższe ordery rumuńskie. Był zawsze przyjacielem kraju i narodu. I mimo, że w społeczeństwie rumuńskim nie miał wrogów, że go wszyscy znali, został potraktowany przez Króla Karola II i wszystkie rządy rumuńskie od 1939 r. począwszy, jak niebezpieczny wróg. Nawet ci Rumuni, którzy odczuwali całą hańbę postępowania wobec niego mawiali tylko: „Cóż mieliśmy innego zrobić wobec nacisku potężnych Niemiec? To nie nasza wina”.

Najlepiej na to odpowiedzieć słowami płk. Becka: „Nie jest do pomyslenia żeby *nasz* rząd, przyjmując osobistości pobitego kraju u siebie, ustąpił przed jakimkolwiek naciskiem by je pozbawić wolności, a już absurdem jest pomyśleć, by uczynił tak wbrew danym uprzednio przyrzeczeniom bezpieczeństwa i wolności”.

Kwestia Godności. Ostatnie Słowo do Narodu: Honor

Już w czasie internowania rumuńskiego jeden z polskich dyplomatów, którego płk Beck przed wojną powołał na wysoki urząd ambasadorski, dał do zrozumienia publicznie, że „polityki zagranicznej nie prowadzi się według kodeksu honorowego Boziewicza”, czyli że polityka płk. Becka, o cechach prestiżowych, nie jest oparta na realnych podstawach. Istotnie, sprawy godności osobistej i narodowej grały dużą rolę w jego oczach.

Tak się złożyło, że *ostatnim* słowem jego *ostatniego* przemówienia w roli ministra spraw zagranicznych dn. 5 maja 1939 r. w Sejmie było słowo *honor*. Wymówił je człowiek, który o godność i rzeczywistość samodzielność swego narodu walczył i jako żołnierz i jako mąż stanu, a który kierował się zasadami prostymi. Tak prostymi że właśnie dlatego były niezrozumiałe, lub też uważano je za nierealne. Jedną z tych zasad w stosunkach z ludźmi

było, by nigdy i pod żadnym pozorem nie mścić się na nikim ani za osobiste sprawy ani tym bardziej za publiczne. Mawiał też: pokonanego się nie kopie.

Był natomiast nieubłagany w krytyce, gdy polski czy obcy polityk umniejszał — jego zdaniem — godność narodu i państwa. Uważał, że jeżeli się przemawia i działa w imieniu swego narodu, nie wolno iść na łatwe kompromisy. Mówił, że chwile wielkości zamieniają się z chwilami słabości, i że naród, który w złych chwilach na wszystko się zgadza, nie jest wart by go narodem nazywano. Płk Beck nie tylko tak mówił, ale też i tak postępował, nawet i wtedy kiedy był już tylko więźniem w rękach żandarmów rumuńskich, gdy groziło mu wywiezienie do obozu koncentracyjnego w Dachau, lub gdzie indziej.

Gdy wojska niemieckie na podstawie układu z prezydentem Hachą wkroczyły w marcu 1939 r. do Czechosłowacji, ówczesny poseł czeski w Warszawie, dr Juraj Slavik najpierw oddał gmach poselstwa czechosłowackiego ambasadorowi niemieckiemu von Moltke, a potem się z tego wycofał. Niemcy interweniowali wtedy u płk. Becka. Odmówił im stanowczo jakiegokolwiek pomocy. Posła Slavika zaś zaprosił prywatnie do siebie do mieszkania (byłem tam wtedy na służbie) ofiarowując mu pomoc rządu polskiego we wszelkich jego projektach osobistych.

Gdy, będąc już internowany w Rumunii, w Słanic-Moldova, złożył w dn. 30 września 1939 r. wraz z całym rządem polskim dymisję na ręce Prezydenta Raczkiewicza, powiedział: „Pragnę, by nowy premier, gen. Sikorski, umiał teraz skupić koło siebie cały naród i nie dał się powodować klice ludzi ze swego otoczenia”. Przy innej, późniejszej okazji przyznał co prawda, że nie rozumie jak gen. Sikorski — premier, a zarazem głównodowodzący polskich sił zbrojnych — może pogodzić te dwie role i, będąc premierem, wykonywać rozkazy wojskowych francuskich.

Kiedy pewna osoba (wróg gen. Sikorskiego) przyniosła mu wiadomość o śmiertelnym wypadku lotniczym generała, dając wyraz zadowoleniu, że tak się stało, płk Beck skarcił ją surowo mówiąc że nie wolno niechęci politycznej przenosić na nieszczęście osobiste, i że w ogóle szafowanie czyimś życiem dla celów politycznych jest absolutnie niedopuszczalne, i że zawsze się mści.

Po dymisji wyraził się, że oczekuje jako rzeczy naturalnej objęcie teki ministra spraw zagranicznych przez Augusta Zaleskiego. Ofiarował się złożyć mu pisemne informacje i memoranda o swjej działalności ministerialnej (które byłby pisał w Rumunii specjalnie dla niego); rzecz ta była o ogromnym znaczeniu z uwagi na szczupłość archiwów posiadanych przez władze polskie zagra-

nicą, ale ten gest, będący dowodem troski o kraj i jego losy, pozostał bez odpowiedzi.

W Rumunii dochodziły go częste wiadomości o ostrych atakach na niego zawierające także niestworzone historie o jego życiu prywatnym; rozpowszechniali to m.in. niektórzy dawni przyjaciele. Niejednokrotnie mówił wtedy że to zupełnie zrozumiałe u ludzi słabszych charakterem, w chwili olbrzymiej klęski jaką Polska poniosła, ale że z czasem ludzie ci ochłoną i wytrzeźwiawszy, krytyczniej będą oceniali wypadki.

Kiedy Paryż padł w 1940 r., płk Beck posłał bilet wizytowy do posła francuskiego w Bukareszcie, dając wyraz swym uczuciom i przekonaniu, że koleje wojny odwrócą się znów na korzyść aliantów. Poseł nigdy nie dał do zrozumienia że bilet otrzymał.

Realizm polityczny

Kanonem nienaruszalnym było oczywiście „nic o nas bez nas”, a jedną z głównych zasad polityki zagranicznej okresu przedwojennego w oczach płk. Becka było dążenie do ułożenia się przede wszystkim z sąsiadami, i unikanie wiązania się w sprawach zbyt dalekich. Uważał że nie należy sięgać na południe od Karpat w dziedzinie spraw zagranicznych, i że byłoby błędem zawierać umowy „przeciwko komuś”; a więc też przeciwko Węgrom. Pewnie dlatego nie brał pod uwagę możliwości akcesu Polski do małej ententy, którą snąć uważał (choć nigdy nie wyraził tego *dostownie* w ten sposób) za bardzo małą ententę.

Inną zasadą było unikanie szumnych, a jego zdaniem mało wartych, układów międzynarodowych, nieopartych na podstawach rzeczowych, głoszących wyrzeczenie się środków wojny i przymusu, lecz nieprzewidujących realnie jak temu zapobiec. Pakt Kelloga uważał za instrument nieskuteczny, a rozmowy rozbrojeniowe zakończone fiaskiem jako rzecz niebezpieczną i przybliżającą wojnę. Wszelkim blokom, takim jak proponowany mussolinowski pakt czterech, był przeciwny.

Zawsze uważał i powtarzał w Rumunii, że polityka zagraniczna każdego kraju powinna być oparta na realnych podstawach, unikających ze środków własnych i sytuacji wewnętrznej. Bronił się też przeciwko idei gry politycznej, nieopartej siłami na miarę własną. Przy pewnej okazji, w Rumunii, wspominając kontakty z obcymi mężami stanu, mówił jak to francuski minister Louis Barthou w Genewie rozpoczął z nim rozmowę od słów: „*Vous en tant que grande puissance...*” Na co min. Beck odciął się od

razu: „*Nous ne sommes pas une grande puissance, mais un pays qui se respecte*”.

Kilka dni przed wybuchem wojny (w rozmowie z podpisanym) dał do zrozumienia że trudno mu dać wiarę, iż Hitler naprawdę targnie się na rozpętanie wojny europejskiej*. Toteż w Rumunii, zawsze i bez cienia wątpliwości dawał wyraz przekonaniu że prędzej czy później Niemcy wojnę przegrać muszą, czyli że alianci zwyciężą. Uważał też, że Stany Zjednoczone powinny wejść, i że wejdą do wojny. Dlatego, gdy Niemcy napadły na Rosję, a ja wspomniałem dość nieopatrnie (ot, bez głębszego namysłu) że może byłaby to chwila by ulżyć losowi kraju przez połączenie się z Niemcami w ich akcji wojennej, bez chwili namysłu odparł: „Nie warto”.

Nigdy, ani przed wojną, ani tym bardziej w Rumunii, nie brał w żadnej formie pod uwagę jakiegokolwiek wspólnej akcji polsko-niemieckiej przeciwko Rosji.

Układ pomiędzy Sikorskim i Majskim przyjął do wiadomości, ale — nie mając co prawda dostatecznych informacji o okolicznościach jego podpisania — twierdził że „Sikorski zanadto się pośpieszył”. Obawiał się, że winna była temu presja Anglików. Na krótki czas przed podpisaniem układu (i nie wiedząc o toczących się negocjacjach) miał powody przypuszczać że Churchill interesuje się jego osobą; po podpisaniu układu oznaki zainteresowania nie powtórzyły się więcej. Płk Beck powiedział wtedy: „Już mnie nie potrzebują”. Jeszcze przed wojną zresztą, po spotkaniu Churchilla zimą 1938 r. na Riwierze francuskiej, wyraził przekonanie że Churchill Rosji nie rozumie.

Nigdy nie mógł pojąć jaki polityczny interes mógł skłonić Króla Karola II do internowania polskiego Prezydenta i rządu, gdyż strach przed Niemcami nie był w jego oczach powodem dostatecznym. Kiwał też głową, kiedy w 1940 r. ten sam król mimo pierwszych szumnych zapowiedzi, oddał Rosji Besarabię bez wystrzału, Węgrom część Transylwanii, i część Dobrudży Bułgarii, zmniejszając w ten sposób obszar państwa prawie o połowę. Rozumiał dobrze postawę narodu greckiego i Króla Piotra Jugosłowiańskiego, którzy oparli się najazdowi niemieckiemu. Po ataku japońskim na Pearl Harbor zastanawiał się jakiej korzyści politycznej dla kraju oczekiwał rząd R.P. w Londynie z wypowiedzenia przez siebie wojny Japonii, czyli co alianci gotowi byli ofiarować Polsce w zamian za to.

Wierzył w potrzebę utrzymywania dobrych stosunków ze

* Wymiana słów była taka: *Ja*: Chyba będzie wojna. *Płk Beck*: Myśli Pan?

światem skandynawskim, z którym nic nas nie dzieliło a niejedno mogło wiązać. Nie sprzeciwił się więc idei wyrażonej przeze mnie w jednej z rozmów w Rumunii, że jako naród moglibyśmy się uważać nie tyle za położonych „między wschodem i zachodem” (w czym wyraża się konflikt) ile jako będących „między zachodem a północą” — w sensie więzi historycznych i kulturalnych.

Często obawiał się pewnej nieśmiałości i układowości polskiej wobec obcych. Dlatego na stanowiska ambasadorskie poszukiwał ludzi obytych, znających dobrze języki i obce kraje, którzy by raczej grzeszyli brakiem skromności, ale byli pewni siebie wobec obcych rozmówców. Nie znosił gadulstwa. Mawiał (w Rumunii) że Polacy mają tę słabość (włączając dyplomatów) iż nie potrafią przyznać się, że czegoś nie wiedzą; zawsze na wszystko mają odpowiedź i skłonni są wygadać się wtedy, gdy należy milczeć.

Powściągliwy w opiniach o innych, w kilku wypadkach zapamiętanych przeze mnie wyraził się otwarcie o politykach, z którymi miał przedtem do czynienia. Nie miał respektu dla przedwojennego francuskiego ministra spraw zagranicznych, Monneta, natomiast, po zaznajomieniu się z opublikowanymi dokumentami francuskimi dotyczącymi wojny, wyraził się z wielkim uznaniem o sumienności z jaką ambasador Noël składał raporty swemu rządowi. Uważał von Ribbentropa za wierutnego łgarza, okłamującego Hitlera. Hrabiego Ciano miał za uczciwego sprawozdawcę w składaniu raportów Mussoliniemu. Po ostatniej rozmowie z Mołotowem, tuż przed wojną uznał jego rzeczowe podchodzenie do spraw omawianych, mówiąc „widać że to inżynier”. O Hitlerze mawiał w Rumunii: „Już tam 'mój przyjaciel' Hitler popełni jakieś głupstwo”. Do Edena miał słabość jako do „prawdziwego dżentelmena”, ale po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej obawiał się, że Wielka Brytania nie dotrzyma zobowiązań alianckich wobec Polski, szczególnie w sprawie granic, i że znajdzie formułę, by się z nich oswobodzić. Politykę Benesa uważał za zasadniczo Polsce wroga.

Garść tych uwag rzuca pewne światło na myśli i poczynania płk. Becka, a trzeba podkreślić, że w zasadniczych sprawach polityki zagranicznej był niezmienny, aczkolwiek giętki w przystosowaniu się do potrzeb danej sytuacji i chwili. Dlatego pomiędzy tym co mawiał przed wojną, a co w Rumunii — nie ma sprzeczności. Warto także zaznaczyć, że w jego przekonaniu pojęcie „odwiecznego wroga” nie mieściło się w słownictwie politycznym. Miał niechęć do patriotyzmu „bogoojczyźnianego”. Narody dzielił na państwotwórcze i takie które przy innych wartościach — nimi nie były. Do pierwszych zaliczał Turków i Węgrów. Rozbieżnych czasem dróg Trzeciej Republiki Francuskiej i Polski Po-

majowej nigdy nie traktował dramatycznie, i był niesłusznie posądzany o jakieś tendencje antyfrancuskie. Był wielkim wielbicielem kultury francuskiej i języka francuskiego.

Nil desperandum

Dla człowieka, czynnego przez całe swe życie, ochotnika w 1914 r., członka P.O.W. kilka lat później, szefa oddziału sztabu Naczelnego Wodza w polsko-sowieckiej wojnie 1920 r., attaché wojskowego w Paryżu, szefa gabinetu ministra spraw wojskowych przez szereg lat, wicepremiera w 1930 r., podsekretarza stanu i ministra spraw zagranicznych przez 10 lat, i przez cały ten czas — nie tylko tytuły, ale ciężka odpowiedzialność i praca, praca bez wytchnienia — dla takiego człowieka przymusowa bezczynność i brak swobody, w chwili gdy jego kraj prowadził walkę śmiertelną, musiały być zabójcze same w sobie. Udawał spokój nie mogąc bronić się przeciwko atakom na niego; współpracownikom zakazywał bronienia go w formie pasywnej, przez odpiernanie zarzutów przeciwników. Mówił że zawsze należy mieć własne argumenty i używać ich ofensywnie, nie zwracając uwagi na rozumowanie strony przeciwnej. Mógł uśmiechać się kiedy robiono z niego Quisslinga. Mógł cieszyć się i być dumny z waleczności rodaków. Ale mimo iż kariera męża stanu ma zawsze swe wzloty i upadki, nie był przygotowany na zdradzieckie internowanie, w czasie gdy kraj krwawił pod terrorem najeźdźców, gdy w największej wojnie jaką zna ludzkość następowały jeden po drugim wypadki: upadek Francji, walka o Wielką Brytanię, wojna rosyjsko-niemiecka. Pięć długich lat!

Jest dosyć świadków na to że płk Beck przez cały czas swego internowania ani razu nie okazał moralnej słabości. Nawet wtedy gdy nie miał już sił, po dwóch latach wyczerpującej, ciężkiej choroby, by usiąść bez pomocy na łóżku, wazył i rozważał fakty i przyszłe możliwości z jasną głową i spokojnym umysłem, starając się przewidzieć poczynania w przyszłych sytuacjach politycznych i wojennych.

Nie przyszło mu nigdy na myśl poddać się komukolwiek, nigdy nie próbował polepszyć swej sytuacji osobistej przez pochylenie głowy.

Gdy wyżsi urzędnicy rumuńscy zaproponowali mu danie słowa honoru że nie będzie próbował ucieczki, odmówił, niezdolny do powiedzenia kłamstwa, ponieważ wtedy właśnie czynił przygotowania do ucieczki — a przecież będąc internowany *bezprawnie*,

mógł uważać że wprowadzenie w błąd strażników będzie usprawiedliwione.

Raz nawet wyrzekł się zaofiarowanej mu niezmiernie ważnej pomocy sojuszniczej, gdyż została uzależniona od wyrzeczenia się swobodnej krytyki polskiego rządu w Londynie.

Ale nie można wypełnić pięciu lat myślami i rozmyślaniami. Nie można tylko jeść i spać, i to przeważnie spać źle, i czytać, czytać, czytać, i chodzić po schodach w górę i w dół, będąc zamkniętym w domu. Trzeba spróbować zorganizować sobie życie. Dlatego poza przyjmowaniem dość rzadkich odwiedzin (to bowiem było dozwolone w pewnych okresach, choć nie bez przeszkód), płk Beck poświęcił się najbardziej umiłowanej przez siebie sprawie: morzu.

T h a l a s s a

W młodości nie mógł zostać marynarzem — tak jak jeden z jego przodków, korsarz polski; w pierwszej wojnie europejskiej marynarka polska nie została jeszcze odbudowana. Jako minister był półurzędowym protektorem marynarki we wszystkim idąc jej na rękę, a swe rzadkie i krótkie urlopy spędzał zawsze gdzieś nad wodą. Uwielbiał powieści Józefa Conrada.

Lecz w Rumunii morza nie mógł nawet zobaczyć. Dlatego sprawiło mu szczególną przykrość, gdy w okresie internowania w małym domku nad jeziorem Snagov, oddalonym od Bukaresztu o 40 km, nie pozwolono mu wiosłować na jeziorze, a przez pewien czas nawet zbliżyć się do brzegu, pomimo że dom był od niego oddalony zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Później, gdy przez kilka tygodni wolno mu było wiosłować, czerpał z tego chwile prawdziwego zadowolenia.

Gdy na początku 1941 r. został kompletnie izolowany (w innym domu), dopóki nie zapadł na zdrowiu poświęcił się budowie modeli okrętów, prosząc domowników, by mu zakupili wszystkie możliwe książki o tym traktujące.

Najwięcej cieszył się posiadaniem reedycji rysunków technicznych prawdziwych okrętów wojennych, sporządzonych w XVIII wieku przez szwedzkiego admirała brytyjskiego pochodzenia.

Największy model statku jaki zbudował według tych rysunków, był to wenecki okręt wojenny z czasów rozkwitu Wenecji. Trzeba było wbić w kadłub modelu około 600 drewnianych kołeczków (kupionych u szewca), a wszystkie bloki, w liczbie około 100, były ruchome jak na prawdziwym okręcie.

Reszta dnia i liczne bezsenne noce poświęcone były czytaniu:

matematyka, astronomia, pamiętniki, podróże i historia, a w końcu, ale nie na ostatku powieści kryminalne. Tak więc lektura biegła od Sir James Jeans'a do Agaty Christie i Doroty Sayers; powieści tej ostatniej szczególnie lubił, uważając je raczej za pretekst, ukryty pod tematem kryminalnym, do wyśmiewania ludzkich i towarzyskich błędów i dziwactw.

Wieczorami grywał ze swym otoczeniem w brydża, jedyną grę w karty jaką znał, a której nauczył się dopiero jako podsekretnarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych. To wszystko jednak, rzecz prosta, jakkolwiek pomagało rozluźnić napięcie nerwowe, nie wypełniało mózgu tak, by móc zapomnieć o rzeczywistości, nawet wtedy gdy choroba osłabiła już ciało. Ponad 25 lat służby dla kraju jako żołnierz i mąż stanu, to przeszłość brzemienna w konsekwencje dla więźnia, nagle pozbawionego możności pracy, a młodego jeszcze wiekiem i gotowego służyć niezależnie od zaszczytów i rangi. Lekarze mieli rację twierdząc, że leczenie gruźlicy było prawie niemożliwe w psychicznych warunkach internowania.

Żandarmi (Góra i Dół) i Lekarze

Tego, który był udekorowany najwyższym orderem rumuńskim „Serviciul Credincios” dwa razy chciano wywieźć w nieznanym kierunku, z prawem zabrania ze sobą tylko jednej osoby ze swego otoczenia, ale bez żony i pasierbicy. Nie mogąc apelować do prawa, gdyż prawo rumuńskie dla niego nie istniało — był przecież internowany bezprawnie i wtedy jeszcze gdy nie przestał być członkiem rządu — oświadczył że ustąpi tylko przemocy. Pierwszy raz było to w Slanic-Moldova, w jesieni 1939 r., drugi raz podczas pobytu nad jeziorem Snagov w lecie 1940 r. W obu wypadkach uratowała go tylko stanowczość. Ponieważ rzecz nie dała się załatwić cicho i od razu, Rumuni ulękli się publicznego skandalu. Poselstwa amerykańskie i brytyjskie były wtedy jeszcze w Bukareszcie, tj. ich personel i szefowie obu misji nie opuścili jeszcze Rumunii. Pozostało tajemnicą, dokąd i po co chciano go wywozić.

W Slanic-Moldova żandarmi pilnowali tylko szlabanu. W samej miejscowości można było poruszać się swobodnie. Ucieczka przez góry i tak wydawała się mało prawdopodobna, szczególnie że w portierni hotelu „Racovita” stróżowali cywilni agenci policji rumuńskiej. W hotelu mieszkali tylko członkowie b. rządu polskiego z rodzinami.

W pierwszych dniach października 1939 r. przewieziono płk.

Becka z rodziną i otoczeniem (składającym się wówczas jeszcze z kilku osób pozostałych z nim z własnej woli) do miasta Brasov, do nowoczesnego hotelu „Aro”. Tam pełnili służbę tylko agenci policji w warunkach względnej swobody, prawdopodobnie dzięki dbałości ministra Gafencu.

Potem, na wiosnę 1940 r., miał miejsce pobyt w Bukareszcie dla leczenia zębów. Tam, w hotelu „Excelsior” było trzech agentów policji, którzy bywali bardzo uprzejmi.

Po ustąpieniu ministra spraw zagranicznych Gafencu, co zbiegło się z oddaniem przez Króla Karola II Besarabii, natychmiast zjawił się w hotelu komisarz policji i oświadczył że płk Beck na rozkaz rządu rumuńskiego ma udać się do miejscowości Dobroresti nad jeziorem Snagov, gdzie wynajęto dla niego dom, czyli willę Theodoride, i gdzie będzie internowany. Płk Beck musiał się zgodzić; pierwszą noc spędził w samochodzie ponieważ domek zajęty był — przez pluskwy. Ówczesny minister spraw wewnętrznych nieco później wyparł się jakoby wydał rozkaz wywiezienia płk. Becka z Bukaresztu.

W Dobroresti pełnili służbę strażników już tylko żandarmi. Po kilku dniach przebrano ich w cywilne ubrania, by mniej zwracali uwagę na siebie. Zaczęły się szykany. Pierwszego dnia nawet kucharki nie puszczono do wsi po zakupy żywności. W ogródku zainstalowano lampy, które całą noc oświetlały otoczenie domu. Posterunki żandarmów rozstawiono w ogrodzie i przy bramie. Wszystko — rzekomo — dla bezpieczeństwa płk. Becka, choć dawniej, w Braszowie i Bukareszcie, mógł chodzić po ulicy i na spacer, a nawet do księgarni.

Teraz — żandarm zagradzał mu drogę jeżeli chciał się zbliżyć do jeziora. Prośby o wyjazdy do Bukaresztu by dokończyć leczenia zębów nie miały skutku. A gdy płk Beck zwichnął nogę, dopiero po 24 godzinach, i po wielu interwencjach, przybył lekarz Generalnej Dyrekcji Policji. Później jeszcze, kiedy Żelazna Gwardia zawładnęła krajem, a niektóre miasta rumuńskie miały wojskowe załogi niemieckie, dn. 20 października 1940 r., płk Beck próbował ucieczki. Schwytano go i trzymano przez szereg dni, wraz z jego pomocnikami, w areszcie. Ówczesny generalny dyrektor policji, książę Ghika (członek Żelaznej Gwardii) spotkawszy się z płk. Beckem, z którym rozmawiał w swym biurze, powiedział: „Bardzo mi przykro że się Panu nie udało”. I umieścił go od listopada 1940 r. z rodziną w willi Moruzoffa w Bukareszcie, dając rozkazy swym podwładnym, by go przyzwoicie traktowano. Wolno wtedy było chodzić na spacer w towarzystwie komisarza policji. Wolno nawet było pójść raz czy drugi do kościoła, w którym zresztą rojło się od „pobożnych” tajniaków.

W zimie 1941 r. ks. Ghika wziął udział w rewolucji przeciwko gen. Antonescu, i wskutek tego sam znalazł się w więzieniu. Od tej chwili aż do późnego lata 1942 r. płk Beck willi Moruzoff nie opuścił ani razu, ani by pojechać do dentysty lub do lekarza, ani by zaczerpnąć powietrza na spacerze. Pilnowano go dobrze; od 20 do 30 żandarmów z podoficerem i oficerem, i dwóch tajnych agentów policji stale w willi — no i ciężki karabin maszynowy. Stale 4 posterunki na 4 rogach willi, z bagnetem nasadzonym. Regulamin służby tak obrzydliwy, że co przyzwoitszy oficer albo prosił o przeniesienie, albo regulaminu po prostu nie wykonywał. Próbowano od czasu do czasu wprowadzić rewizję osobistą przy bramie, także dla domowników. Raz gruba a wesoła kucharka, Rumunka, kiedy jej żandarmi zaglądali do koszyka z jarzynami, ofiarowała się podnieść spódnicę, by mogli sprawdzić czy czego nie szwarcuje. Czasem posterunek na służbie wpuścił gościa do domu (naturalnie po wylegitymowaniu), a następny, obejmujący służbę dwie godziny później, nie chciał tegoż gościa wypuścić. Były ciągle nieporozumienia, zatargi, i sprzeczkę z oficerami. Każdy interpretował obostrzenia na swój sposób. Jeden z nich, rezerwista (w zawodzie cywilnym sędzia Trybunału Kasacyjnego!) nie przyjmował od kucharki wody, aby go nie uspiła lub nie otruła. I zamykał się na noc w swoim pokoju na klucz.

Interwencje nie miały skutku. Skargi do ministrów lub generalnego dyrektora policji miały ten efekt że niżsi urzędnicy policji i komenda pułku żandarmerii nie tylko danych rozkazów nie słuchali, ale mszcząc się wymyślali nowe szykany. Stale działały jakieś tajemnicze czynniki, które judziły policję rzekomymi przygotowaniem płk. Becka do nowej ucieczki. Ciągłe komuś zależało, by go czujnie pilnowano.

W lecie 1942 r. lekarze stwierdzili że zapadł na gruźlicę. Nie dziwota po dwóch latach uwięzienia. Wtedy dopiero pozwolono mu dokończyć leczenia zębów, przerwane w styczniu 1941 r. Na oznaczoną godzinę zajeżdżały pod dom dwa zamknięte samochody policyjne. Do pierwszego wsiadał płk Beck ze mną i dwoma oficerami żandarmerii; jednym był adiutant gen. Vasiliu — inspektor żandarmerii na całą Rumunię, drugim — dowódca straży. Drugi wóz był pełen tajniaków. Na schodach domu dentysty też „dyskretnie” umieszczali się tajniacy. W poczekalni u dentysty pozostawał jeden z oficerów i komisarz policji, a do gabinetu wchodził zawsze i asystował podczas zabiegów drugi oficer.

Na skutek alarmów pani Beckowej i lekarzy jesienią 1942 r., po wielu interwencjach, pozwolono płk. Beckowi zażywać „świeżego” powietrza w zamkniętym samochodzie policyjnym, w to-

warzystwie jednego tylko komisarza. Ci komisarze, których delegowano do tej służby, odnosili się zresztą dość po ludzku do swego zadania. Ale cóż! Rychło okazało się że na codzienne spacerowanie nie ma samochodów. A gdy komisarz przydzielony nie miał ochoty, lub był zajęty, w ostatniej chwili telefonował że samochód jest w naprawie. Wozy zaś przysyłało coraz gorsze. Aż w końcu, nie wolno było wysiąść w parku by przejść choć parę kroków; można było tylko pochodzić po szosie za miastem, w kurzu.

Prefekt policji który tak pięknie dbał o „świeże powietrze” dla płk. Becka był generałem, człowiekiem znającym formy towarzyskie; po śmierci płk. Becka złożył wdowie bilet wizytowy z kondolencjami. Konsekwentnie postąpił główny winowajca, gen. C. Vasiliu, szef żandarmerii i zausznik marsz. Antonescu, gdyż kondolencji nie złożył.

Winni bowiem byli nie ci żandarmi, którym kazano pilnować i grożono straszliwymi karami, a których bywało oficerowie bili po twarzy, lecz góra. Żołnierz żandarm nie miał w sobie nienawiści; raz nawet jeden z nich dał swój karabin do potrzymania kucharce — będąc na służbie, a sam wlaźł na drzewo, by zdjąć z niego wrzeszczące kocię, które nie umiało zeskokczyć na ziemię. Niejeden z żandarmów mówił że zupełnie nie rozumie dlaczego „Colonela” trzymają i po co każą mu go pilnować. Niemniej gdy „Colonel” zjawił się w ogródku, obrzydzał mu próbę przechadzki, idąc krok w krok za nim, ze strachu by tenże nie uciekł, za co czekałaby go kara 15 do 20 lat więzienia, a może i jeszcze coś gorszego.

Co psuli żandarmi, próbowali naprawić lekarze.

Wszyscy z którymi płk Beck miał do czynienia w Rumunii byli życzliwi, ludzcy, a niektórzy z nich okazali serce nadzwyczajne. Byli między nimi lekarze Rumuni, Polacy i Żydzi. Dwóch znakomych specjalistów Żydów, tak cenionych, że dla nich ograniczenia stosowane przez antysemityczne rządy marsz. Antonescu nie istniały. Jeden z nich był lekarzem rodziny królewskiej. Wszyscy lekarze więc, wraz z tym ostatnim we wsi Stanesti, zasłużyli sobie na najwyższe uznanie, świadcząc na jak wyjątkowo wysokim poziomie moralnym i profesjonalnym stali przedstawiciele rumuńskiej medycyny.

... Twarzą zwróconą ku Polsce

Na wiosnę 1944 r. był już bardzo chory. Miewał często gorączkę dochodzącą do 39 stopni. Gruźlica tak wymęczyła ciało,

że z trudem mógł zrobić kilkadziesiąt kroków. Wtedy to nastąpił okres intensywnych amerykańsko-brytyjskich bombardowań Bukaresztu, a władze rumuńskie nie zrobiły nic, by wraz z rodziną miał bezpieczny schron. Trzeba było schodzić, nieraz dwa razy na dobę, do suteren, które miały wszystkie okna zakratowane i w dodatku mieściły zbiorniki mazutu dla centralnego ogrzewania. Nierzadko zdarzyło się że oficer żandarmerii *będący na służbie* uciekał z willi podczas bombardowania, pozostawiając w niej żołnierzy i płk. Becka z rodziną.

Niezmiernie ostre interwencje pani Beckowej u rządu rumuńskiego dały w końcu taki rezultat, że wycięto kraty w dwóch oknach suteren, pozwolono wyjeżdżać za miasto przed bombardowaniem, i zgodzono się w zasadzie na ewakuację w poblizsze miasto. Ale rząd rumuński przez pięć tygodni bombardowań nie umiał znaleźć domu na prowincji dokąd by można było się wyprowadzić. Wszystkie urzędników i wojskowych, a bogaci ludzie w swych wielkich domach nie chcieli ustąpić nawet kilku pokoi. Dlatego to w końcu płk Beck znalazł się — umierający — w małej wsi Stanesti, w lepionej z gliny starej szkole wiejskiej (odstąpionej zresztą w okresie wakacji przez miejscowego nauczyciela).

Płk Beck zmarł 5 czerwca 1944 r., nie osiągnąwszy 50-go roku życia. Trzy miesiące przed datą, kiedy to Rumunia zmieniła swych sojuszników i kiedy internowanie byłoby dobiegło końca. Dzień przed śmiercią uwolniona została pierwsza stolica europejska — Rzym. A dzień po jego śmierci — 6 czerwca — był pierwszym dniem desantu sojuszników we Francji.

Gdy zmarł, żona musiała upomnieć się u rządu rumuńskiego o zgodę na pogrzeb z honorami wojskowymi. Na szczęście rumuńscy wojskowi zrozumieli, i ze swej strony uczynili duży wysiłek, by pogrzeb odbył się w sposób godny.

Trumnę nieśli na cmentarz Polacy, przyjaciele zmarłego. Zjawili się nieomal wszyscy Polacy mieszkający w Bukareszcie, i przyjaciele cudzoziemcy. Oddział gwardii utworzył szpaler.

Płk Beck spoczywa na cmentarzu wojskowym Bellu, najpiękniejszym z pięknych cmentarzy bukareszteńskich, na którym pochowani są także wojskowi francuscy i tureccy. Tak jak sobie tego życzył, twarzą zwróconą ku Polsce. Z grudką ziemi z polskiego portu w Gdyni w trumnie. Na grobie skromna tablica kamienna z wyrytym na niej krzyżem w formie znaku tej brygady, z którą wyruszył na wojnę w 1914 roku.

Doman ROGOYSKI

URYWEK WSPOMNIENI

O rozmowach z amb. Lebediewem w Londynie w maju i czerwcu 1944 r.

Z końcem listopada 1943 r. Stanisław Grabski przeniósł się z pensjonatu do własnego mieszkania w domu przy 23 Queen's Gate Gardens, S.W.7. Gospodarkę prowadziła mu stara Irlandka, Miss Margaret Wilson, i otaczała go nadzwyczaj staranną opieką. W tym czasie widywałem Grabskiego codziennie, gdyż jadałem u niego obiady. Grabski mówił mi o wszystkich sprawach politycznych, które znał, oczywiście w tajemnicy. Myślę, że po upływie ćwierć wieku ta tajemnica już mnie nie obowiązuje.

W czasie jednego z obiadów w maju 1944 r. Grabski powiedział mi, że rząd sowiecki przez pośrednika zwrócił się do premiera Mikołajczyka z propozycją nawiązania rozmów pod dwoma warunkami: że rozmowy te będą prowadzone w ścisłej tajemnicy przed rządem angielskim i że Mikołajczyk do rozmów tych wyznaczy jako swego przedstawiciela kogoś, kto będzie do przyjęcia dla strony sowieckiej. Coś jakby *agrément* dla ambasadora przy obcym rządzie. Nie wiedziałem wtedy, kto był pośrednikiem w przekazaniu tych propozycji sowieckich, na podstawie jednak późniejszych wydarzeń nie mam wątpliwości, że był nim Benesz. Ze strony sowieckiej do prowadzenia rozmów był wyznaczony Lebediew, ambasador sowiecki przy rządzie czechosłowackim. Co do strony polskiej, to jako mogący liczyć na *agrément* sowieckie byli wymienieni minister Karol Popiel, Stanisław Grabski i gen. Lucjan Żeligowski. Nie wiem, w jakiej kolejności te nazwiska były podane, jak również nie wiem, czy Benesz je podał z własnej inicjatywy, czy też na skutek sowieckiego polecenia.

Dla zrozumienia motywów inicjatywy sowieckiej należy przypomnieć, jakie było ich tło polityczne i militarne. Na konferencji w Teheranie (23 listopada — 1 grudnia 1943 r.) zapadły decyzje polityczne, które były równoznaczne ze zgodą Anglii na ustalenie granicy polsko-sowieckiej według linii Curzona, z pozostawieniem Lwowa po stronie sowieckiej, jak również na włączenie do Polski drogą kompensaty ziem niemieckich po Odrę, jednakże bez Królewca, który miał być oddany Sowietom. Te decyzje w rozumieniu Churchilla nie oznaczały bynajmniej uznania Polski za wyłączną sferę wpływów sowieckich; wprost przeciwnie, podkreślał on, że „*the British Government considered themselves committed*

to the re-establishment of an independent and strong Poland which he felt a necessary instrument in the European orchestra"¹. Churchill niewątpliwie uważał wtedy, że oddając Sowiecom prawie pół Polski będzie mógł dla pozostałej jej części wraz z dodaniem niektórych ziem niemieckich zapewnić istotną niepodległość i zachować tam wpływy angielskie, to znaczy zatrzymać napór rosyjski na linii Curzona. Polityka brytyjska ma swoje tradycje, nieraz daleko wstecz sięgające, w tym wypadku aż po rok 1814². Tradycja ta była dla Polski fatalna, bo w razie niemożności obrony Polski przed hegemonią rosyjską dyktująca Anglii politykę spychania na wschód zachodniej granicy Polski. Analogia z polityką angielską z czasu Kongresu Wiedeńskiego szła dość daleko. W dniu 10 lutego 1944 r. Eden mówił do ministra Romera i ambasadora Raczyńskiego o możliwości zbrojnego starcia z Sowiecami w obronie niepodległości Polski³. Jak w r. 1815, tak i teraz do starcia zbrojnego dojść nie miało i zgoda aliantów została utrzymana kosztem polskich interesów. Zdaje się, że Mikołajczyk już wtedy tego się obawiał i w dniu 18 lutego 1944 informował delegata rządu w kraju, że Churchill w razie niemożności zatrzymania komunizmu na wschodniej granicy Polski, będzie się starał to zrobić na wschodniej granicy Niemiec⁴.

Zamiary Benesza zawarcia odrębnej umowy czechosłowacko-sowieckiej bardzo utrudniały politykę Churchilla zatrzymania wpływów sowieckich na linii Curzona jako wschodniej granicy Polski. Toteż przed Teheranem rząd brytyjski utrudniał Beneszowi wyjazd do Moskwy i do niego nie dopuścił. Później, gdy Benesz tam pojechał i umowę z Sowiecami podpisał, rząd brytyjski z nią się pogodził, ale trudno było nie dopatrzeć się u ministrów brytyjskich niezadowolenia z tego powodu. Umowa ta rezerwowała

1. *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*, edited by the General Sikorski Historical Institute, volume 2, 1943-1945, London 1967, str. 97.

2. W czasie Kongresu Wiedeńskiego opinia publiczna w Anglii sprzyjała idei Polski niepodległej. Natomiast polityka rządu zmierzała do przywrócenia Prusom granicy wschodniej z 1805 r. i zatrzymania ekspansji rosyjskiej na linii prawie identycznej z linią Curzona. W związku z tym instrukcja Castle-reagh'a precyzowała, że „*to re-establish Poland in order to give it entirely to Russia... and to extend her frontiers to the Oder, would mean creating so great and imminent a danger for Europe that... if the execution of such a plan could only be stopped by force of arms, not a single moment should be lost in taking them up*”³. Na tle sprawy polskiej i saskiej Anglia, Francja i Austria zawarły w dniu 3 stycznia 1815 tajną umowę wojskową, wymierzoną przeciw Rosji i Prusom. Alarmy wojenne doprowadziły jednak do porozumienia między aliantami i ich zgody w dniu 11 lutego 1815 na podział Księstwa Warszawskiego.

3. *Documents...* str. 741.

4. *Documents...* str. 743.

dla Polski możliwość przystąpienia do niej. Po Teheranie Churchill nie szczędził swego czasu i wysiłków, by doprowadzić do porozumienia między rządami polskim i sowieckim, ale bynajmniej nie na warunkach uznania Polski za sferę wyłącznych wpływów sowieckich. W dniu 23 lutego 1944 Eden zapewnił Izbę Gmin, że w Teheranie rząd brytyjski nie dał swej zgody na ustalenie jakichkolwiek sfer wpływów⁵, to miało nastąpić dopiero dużo później. Jeśli chodzi o Polskę, to Churchill w swej propozycji dla Stalina z 20 lutego 1944 do licznych warunków porozumienia polsko-sowieckiego dodał zobowiązanie rządu brytyjskiego wspólnie z rządem sowieckim „*to recognize and respect the sovereignty, independence and territorial integrity of reconstituted Poland and the right of each to conduct its domestic affairs without interference*”⁶. Gdy te propozycje Stalin odrzucił w sposób brutalny (3 marca), nastąpił okres napięcia w stosunkach brytyjsko-sowieckich, nie wolny od gróźb wzajemnych. Ten pojedynek przegrał Churchill, na ostrą notę Stalina z 23 marca nie dał żadnej odpowiedzi i skierował Mikołajczyka do szukania poparcia w Stanach Zjednoczonych⁷. Prawdopodobnie uznał, że jest sam za słaby, by obronić Polskę przed hegemonią sowiecką. Próby w tym kierunku będzie jeszcze ponawiał wielokrotnie, ostatni raz, gdy w czerwcu 1945 wysłał Mikołajczyka do Polski. Gdy te próby zawiodą, przejdzie na drugą linię obronną, którą dlań teraz będzie wschodnia granica Niemiec, i odtąd będzie się odnosić wrogo do zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Stalina interpretacja porozumień teherańskich była niewątpliwie taka, że odtąd rząd brytyjski nie powinien się wtrącać do spraw polsko-sowieckich. Te sprawy rząd sowiecki chciał uregulować bez pośrednictwa brytyjskiego czy amerykańskiego. Motywem mogła być nie tylko chęć uzyskania wyłącznych wpływów w Polsce, ale także tradycyjna nieufność rosyjska do Anglii. Wzorem dla porozumienia polsko-sowieckiego miała być umowa, jaką Stalin zawarł z Beneszem. W tym kierunku Benesz próbuje nastrojać Mikołajczyka, niewątpliwie nie bez wiedzy i zgody Stalina. Ambasador Raczyński notuje w swym Dzienniku pod datą 26 marca 1944, że „sowiecki poseł w Bernie szwajcarskim, Sokolin, namawia naszego posła w Bernie Ładosia do dogadania się poza Anglo-Sasami i obiecuje dużo lepsze warunki”⁸. Prawdopodobnie Mikołajczyk miał na myśli tę właśnie inicjatywę Sokolina, gdy

5. *Documents...* str. 196.

6. *Documents...* str. 193.

7. *Documents...* str. 196, 199, 212, 244.

8. *W sojusznicy Londynie*, Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945, Londyn 1960, str. 235.

9 kwietnia informował Churchilla, że Sowiety zwróciły się do pewnych kół polskich z propozycjami porozumienia na warunkach w sprawie wschodniej granicy pozornie korzystnych, tworzących jednak z Polski satelitę Rosji, przy czym jednym z warunków było, że ugoda polsko-sowiecka nastąpi bez wiedzy i zgody rządów brytyjskiego i amerykańskiego. Churchill był wyraźnie poruszony tą wiadomością i ustosunkował się do niej negatywnie⁹. Wiem jednak od Grabskiego, że gdy miesiąc później Mikołajczyk mówił Edenowi o nowej propozycji sowieckiej nawiązania bezpośrednich rozmów z rządem polskim z podobnym warunkiem tajności (ale bez innych precyzji), Eden im się nie sprzeciwił i podobno przyjął tę wiadomość z wyraźną ulgą. Może liczył na to, że będzie o ich przebiegu poufnie informowany. Zdaje się jednak, że Mikołajczyk tego nie czynił i wprost przeciwnie zataił przed rządem brytyjskim fakt prowadzenia przez Grabskiego rozmów z Lebediewem. Na to zdaje się wskazywać brytyjski protokół rozmowy Mikołajczyka z Churchillem i Edenem w dniu 31 maja 1944, a więc w czasie, gdy rokowania z Lebediewem były już daleko zaawansowane. Ten protokół kończy się takim ustępem:

*„Mr. Eden asked whether any progress had been made with the direct contacts started a week ago between M. Lebedew and the Polish Prime Minister. M. Mikołajczyk replied that M. Lebedew had asked that someone else, name not given, should be appointed as Polish spokesman, but this suggestion had been unacceptable to M. Mikołajczyk and since M. Lebedew was so informed nothing had been heard from him”*¹⁰.

W tym czasie zimowa ofensywa sowiecka utknęła i od kwietnia front wschodni ustalił się mniej więcej na linii na zachód od Tarnopola i Łucka, ale nie dochodził do Bugu, i potem szedł przez błota pińskie na południe od Prypeci i dalej ku północy na wschód od Mińska, Mohylewa i Witebska. W myśl planów uzgodnionych w Teheranie wojska alianckie miały podjąć w maju inwazję Francji (co później przełożono na czerwiec), w ślad za czym ruszyć miała nowa wielka ofensywa sowiecka. W tej ofensywie wojska sowieckie wejść miały na teren tych ziem polskich, które nawet rząd Stalina uznawał jako polskie i co wynikało także z porozumień teherańskich. Stwarzało to problem administracji tych ziem oraz współdziałania z Armią Krajową, której pomoc tym cenniejszą wydawać się musiała dla dowódców sowieckich, im bardziej odległy i mniej pewny wydawać się mógł sukces planowanych na lato operacji wojennych. Istniał już wprawdzie w Rosji

9. *Documents...* str. 223.

10. *Documents...* str. 246. Nie jest wykluczone, że Mikołajczyk nie chciał mówić o tej sprawie w obecności innych urzędników z Foreign Office.

od czerwca 1943 r. pro-sowiecki Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską na czele oraz istniała jakoby w Warszawie od 1 stycznia 1944 komunistyczna Krajowa Rada Narodowa, ale jeszcze nie było Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i rząd sowiecki mógł mieć wątpliwości, czy ci ludzie będą zdolni do objęcia administracji ziem polskich, a w każdym razie wiedział, że mu nie będą mogli zapewnić pomocy Armii Krajowej. Na takim tle własnych interesów i zamysłów sowieckich doszło najpierw do sugestii Sokolina w Bernie, a potem do propozycji rozmów w Londynie.

Mikołajczyk zwrócił się do Grabskiego z prośbą, by on go w tych rozmowach reprezentował i Grabski się zgodził. Motywem Grabskiego było to, że po decyzjach teherańskich nie wierzył on w skuteczność pośrednictwa angielskiego czy amerykańskiego i dlatego uważał za rzecz konieczną podjęcie próby ułożenia stosunków z Sowietami drogą rozmów bezpośrednich. W jego mniemaniu głównym atutem strony polskiej była siła Armii Krajowej. Z początkiem kwietnia miał miejsce na Wołyniu lokalny układ komendanta Armii Krajowej z dowódcą sowieckim, który dał stronie sowieckiej dużą pomoc militarną. Choć smutny był epilog tej sprawy, wskazuje ona na to, że dla dowódców sowieckich współdziałanie z Armią Krajową było rzeczą pożądaną. Grabski żywił nadzieje, że w razie przywrócenia uznania rządowi polskiemu w Londynie i ustalenia na najwyższym szczeblu zasad współdziałania Armii Krajowej z wojskami sowieckimi, epilog wołyński się nie powtórzy.

Na życzenie strony sowieckiej dla zachowania zupełnej tajemnicy pierwsze spotkanie Grabskiego z Lebidiewem miało nastąpić w sposób — dla mnie przynajmniej — niepokojący. Grabski miał udać się sam na spacer do Kensington Park'u, przez nikogo nie pilnowany ani śledzony, tam w głównej alei miało zatrzymać się przy nim auto sowieckie i zabrać go w miejsce nikomu przedtem nieznanym. Mimo mego zaniepokojenia i protestów (prosiłem, by choć z daleka ktoś śledził auto sowieckie) tak się to odbyło i Grabski śmiał się potem ze mnie, że wbrew moim obawom wrócił cały z tego tajemniczego spotkania. W ślad za tą pierwszą rozmową z Lebidiewem poszły dalsze. Widziałem, jak po każdej takiej rozmowie Grabski pisał własnoręcznie szczegółowe sprawozdania dla Mikołajczyka. Pod koniec maja rozmowy te zdawały się prowadzić do porozumienia, które Grabski uważał — w danych warunkach — za dobre. W tym momencie uznał on swą misję za skończoną i ostateczne uzgodnienie dalszego postępowania miało nastąpić w bezpośredniej rozmowie Mikołajczyka z Lebidiewem. Grabski był pełen optymizmu i mówił mi, że

jestemy już tylko o krok od porozumienia z rządem sowieckim. Mówił mi też, z dużym niezadowolaniem, że Benesz wmieszał się wtedy znowu w tę sprawę, udzielał jakoby swych rad Mikołajczykowi i składał mu gratulacje z powodu pomyslnych wyników rozmów z Lebediewem¹¹. Co do szczegółów tych rozmów, to po tak wielu latach nie chcę polegać tylko na mojej pamięci i dlatego wolę przytoczyć, co na ten temat napisał Sir Llewelyn Woodward:

„On May 23 M. Romer told Mr. Eden that — on Russian initiative⁴ — M. Lebedev, Soviet Minister to the Allied Governments established in London, has held a secret meeting with M. Grabski, President of the Polish National Council in London. A second meeting took place on May 31 at which M. Grabski proposed that a special delegation headed by the Polish Prime Minister should go to Moscow to conclude a treaty supplementing the Soviet-Polish agreement of July 1941, and settling the question of collaboration between the Polish Underground organisation and the Soviet forces. The delegation would discuss post-war relations and the frontier question. The resumption of diplomatic relations would take place at the conclusion of the treaty. M. Benes also called on M. Mikołajczyk to tell him that he had been asked to communicate the views of the Soviet Government on certain questions which the latter felt it difficult to raise with the Poles. The Russians sincerely wanted an agreement, and recognised that the composition of the Polish Government was a matter which concerned the Poles, but they objected to General Sosnkowski and to M. Kot and General Kukiel.

4. *The Russians had made in March the first suggestion for contact of this kind¹²”.*

Grabski pokładał wielkie nadzieje na pierwszym spotkaniu Mikołajczyka z Lebediewem, które miało nastąpić w jego mieszkaniu. Można przypuszczać, że gdyby doszło do porozumienia w sprawie prowadzenia dalszych rozmów przez Mikołajczyka i gdyby zamiast do Waszyngtonu udał się on wtedy wraz z Grabskim i Romerem do Moskwy, ich rozmowy ze Stalinem miałyby inny przebieg, niż dwa miesiące później, gdy już istniał konkurencyjny „rząd” w Lublinie. W maju 1944 r. rząd sowiecki w przewidywaniu letniej ofensywy zawarł umowę z rządem Benesza o przekazywaniu temu rządowi administracji na terenach Czecho-

11. Benesz niewątpliwie wolał nie być sam-na-sam z Sowietami i dążył do tego, by rząd Mikołajczyka przystąpił do układu czechosłowacko-sowieckiego, co by mogło powiększyć szanse uniknięcia skomunizowania Czechosłowacji.

12. Sir Llewelyn Woodward, *British Foreign Policy in the Second World War*, London, 1962, HMSO, str. 288-289. Moim zdaniem Woodward błędnie podał ilość rozmów Grabskiego z Lebediewem; o ile dobrze pamiętam, było ich więcej, niż dwie. Mam też wątpliwości, czy Woodward podał dobre datę rozmowy ministra Romera z Edenem na ten temat. W *Documents...* str. 754, podane jest krótkie i niedokładne streszczenie powyższego ustępu z książki Woodwarda.

słowacji w miarę ich zajmowania przez wojska sowieckie. Można więc było przypuszczać, że celem rozmów Lebediewa było między innymi doprowadzenie do podobnej umowy z rządem Mikołajczyka. Grabski liczył na to i był w doskonałym nastroju, gdy 2 czerwca widziałem go w czasie obiadu. Wieczorem tego dnia Miss Wilson przygotowała kolację na trzy osoby. Zasiadli do niej oprócz gospodarza Mikołajczyk i Lebediew. Dnia następnego zastałem Grabskiego w stanie zupełnej depresji i zniechęcenia. Z żalem mówił mi, że Mikołajczyk uchylił się od merytorycznej rozmowy z Lebediewem, grał na zwłokę. Motywem Mikołajczyka było, że dnia następnego miał lecieć do Waszyngtonu dla spotkania z prezydentem Rooseveltem. Mikołajczyk wiele sobie obiecywał z tego spotkania i dlatego nie chciał się wiązać niczym wobec Lebediewa. Grabski uważał rachuby na pośrednictwo amerykańskie za błędne, a zwłokę za szkodliwą, bo z upływem czasu i w miarę spodziewanych alianckich sukcesów militarnych znaczenie porozumienia z rządem polskim dla Sowietów maleć musiało. Tę jego ocenę wypadki szybko miały potwierdzić. Już 4 czerwca wojska amerykańskie wchodziły do Rzymu, 6 czerwca następuje inwazja w Normandii, 10 czerwca Sowiety podejmują ofensywę pod Leningradem. Gdy 15 czerwca Mikołajczyk wraca do Londynu, sytuacja militarna jest zupełnie inna, niż gdy rozmawiał z Lebediewem przy kolacji u Grabskiego. Na wszystkich frontach alianci odnieśli duże sukcesy, szybka klęska Niemiec zdawała się być pewną i pomoc Armii Krajowej dla dowództwa sowieckiego stawać się musiała coraz mniej potrzebną. Mimo to Mikołajczyk wznawia rozmowy z Lebediewem i spotyka się z nim w mieszkaniu Grabskiego 20 i 22 czerwca. O tych zdarzeniach nie mogę pisać na podstawie własnych wspomnień, gdyż wtedy nie było już mnie w Londynie: 16 czerwca wyjechałem do Stanów Zjednoczonych na konferencję w Bretton Woods i wróciłem do Londynu dopiero 4 września. Powołać się jednak mogę na Dziennik ambasadora Raczyńskiego¹³, który zanotował, że te dwie rozmowy Mikołajczyka z Lebediewem „zdawały się torować drogę do porozumienia”. W następnej jednak rozmowie 23 czerwca „ton ambasadora Lebediewa zmienił się” i wysunął on w formie ультимatywnej warunki Moskwy takie, że Mikołajczyk musiał je odrzucić i w ten sposób rokowania z Lebediewem zostały zerwane. Ambasador Raczyński notuje przy tym, że „Lebediew, który uprzednio zachowywał się jakby mu osobiście zależało na dogadaniu się, wydawał się zażenowany przy wykonywaniu otrzymanej z Moskwy instrukcji”. Ta instrukcja była niewątpliwie spowodowana nową

13. *W sojuszniczym Londynie...* str. 267-269.

sytuacją na frontach wojennych oraz odgłosami wizyty Mikołajczyka w Waszyngtonie. Należy bowiem pamiętać, że wstępnym warunkiem sowieckim podjęcia bezpośrednich rozmów z rządem polskim było utrzymanie ich w pełnej tajemnicy przed Anglo-Sasami dla uniknięcia wmięszania się w nie rządu brytyjskiego czy amerykańskiego. Wizyta Mikołajczyka w Waszyngtonie i starania o poparcie Roosevelta przeczyły temu warunkowi i w oczach Stalina czyniły Mikołajczyka „agentem imperializmu anglo-saskiego”. Roosevelt zwrócił się do Stalina w dniu 17 czerwca z sugestią przyjęcia Mikołajczyka w Moskwie, a choć uczynił to w sposób oględny i raczej dla sprawy polskiej niekorzystny¹⁴, Stalin w swej odpowiedzi z 24 czerwca odrzucił to pośrednictwo w sposób równie brutalny, jak przedtem odrzucał próby pośrednictwa angielskiego. W tej odpowiedzi wymienił te same warunki, które w dniu poprzednim z jego polecenia Lebediew stawiał Mikołajczykowi. Wydaje się, że był to moment zwrotny w stosunku Stalina do rządu polskiego. O ile przedtem sam podejmował inicjatywy rozmów bezpośrednich, od tego momentu począł stwarzać inne fakty dokonane. W tym samym dniu 23 czerwca, w którym Lebediew przedstawiał Mikołajczykowi ultimatywne żądania Stalina, zjawili się w Moskwie delegaci komunistycznej Krajowej Rady Narodowej z Warszawy i Związek Patriotów Polskich wydał proklamację, w której zapowiadał, że ta Rada utworzy prowizoryczny rząd narodowy w Polsce¹⁵. W tym też dniu 23 czerwca rozpoczęła się nowa ofensywa sowiecka na Białorusi, zaś 13 lipca objęła ona również front od Kowla po Stanisławów. Rosjanie przeszli Bug 21 lipca i zajęli Chełm i tam tegoż dnia powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego z Osóbką-Morawskim na czele, który potem rezydował w Lublinie i w dniu 26 lipca zawarł umowę z rządem sowieckim odnośnie administracji ziem polskich, co było równoznaczne z uznaniem tego Komitetu przez rząd sowiecki jako rząd w Polsce *de facto*¹⁶. Stało się to w czasie, gdy Mikołajczyk, Grabski i Romer byli w drodze do Moskwy. Gdy tam przybędą Stalin będzie się domagał, by „Polacy londyńscy” dogadali się z Komitetem lubelskim.

Mikołajczyk w swych wspomnieniach pisał o rozmowach z Lebediewem w formie bardzo skróconej i niekompletnej¹⁷. Moim

14. Roosevelt pisał: „*I am in no way attempting to press upon you my personal views in a matter which is of special concern to you and your country*”. *Documents...* str. 268.

15. *Documents...* str. 648.

16. *Documents...* str. 650-653.

17. S. Mikołajczyk, *The pattern of Soviet domination*, London 1948, str. 71-72.

zdaniem podał błędnie, że odbył dwie rozmowy z Lebediewem przed swym lotem do Waszyngtonu, potwierdza natomiast, że nie chciał ich wtedy kontynuować, bo — jak pisze — „*I preferred to see Roosevelt first*”. Ten fakt przesądził o negatywnym wyniku tych rozmów. Wynik pozytywny mógł mieć miejsce tylko w maju lub z początkiem czerwca, zanim ruszyły zwycięskie ofensywy alianckie, i tylko w razie rezygnacji z pośrednictwa czy poparcia anglo-saskiego, to znaczy pójścia drogą podobną do tej, którą szedł Benesz. Można mieć wątpliwości, czy to było w ogóle możliwe z uwagi na przewrotność i chytrych sowiecką z jednej strony, a nastawienie psychiczne społeczeństwa polskiego z drugiej. Teoretycznie można się zastanawiać nad tym, czy w razie pozytywnego wyniku tych rozmów los Polski na dalszą metę byłby taki, jak Czechosłowacji, czy też taki, jak Finlandii. Osobiście przypuszczam, że raczej taki, jak Czechosłowacji¹⁸. Na bliższą metę może by nie było tragedii powstania warszawskiego, rozbrajania Armii Krajowej, aresztów i deportacji, przyspieszonej sowietyzacji ziem polskich. Może... Tę nikłą szansę — o ile ona w ogóle istniała — przekreśliły rachuby na Roosevelta. Roosevelt wiedział, że nic Mikołajczykowi pomóc nie chce czy nie może, natomiast spotkanie z nim w pełni wykorzystał dla własnych celów wyborczych¹⁹.

Drugi tom monumentalnego dzieła *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945*, wydanego przez Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, obejmuje lata 1943-1945. Stanowi on najbardziej kompletne zestawienie dokumentów do stosunków polsko-sowieckich tego okresu, brak w nim jednak dokładnych wiadomości o rozmowach z amb. Lebediewem w maju 1944 r. Jest o nich pośrednia relacja w memorandum z dnia 12 czerwca 1944, przedłożonym przez Mikołajczyka Departamentowi Stanu w Waszyngtonie²⁰. Wyraża w nim Mikołajczyk obawę, że jako warunek wstępny rozmów bezpośrednich rząd sowiecki wysunie żądanie zmian w rządzie polskim łącznie z osobą Prezydenta Rzeczypospolitej. Mikołajczyk dążył wtedy do tego, by Roosevelt podjął się roli pośrednika (*sponsor or moderator*) w nawiązaniu osobistego kontaktu między Mikołajczykiem a Stalinem. Mam wrażenie, że

18. W 1814 r. wojska Księstwa Warszawskiego wróciły do Warszawy z bronią i sztandarami po to, by w 16 lat potem obrócić tę broń przeciw Rosji. Przeciwnieństwa między carską Rosją a Królestwem Kongresowym były nie mniejsze, niż między Rosją komunistyczną a Polską naszych czasów, i w r. 1831 wróciły te wojska do Francji — bez broni.

19. Roosevelt został wybrany prezydentem po raz trzeci w listopadzie 1944.

20. *Documents...* str 252.

w tym celu przedstawił on warunki sowieckie w barwach bardziej czarnych, niż one w rzeczywistości były. W każdym razie Grabski nic mi nie mówił o żądaniu sowieckim ustąpienia prezydenta Raczkiewicza. To żądanie wypłynęło dopiero zupełnie niespodzianie w dniu 23 czerwca w czasie ostatniej rozmowy z Lebediewem. W przypisie do powyższego memorandum podane są szczegóły rozmów z Lebediewem po powrocie Mikołajczyka z Waszyngtonu tak, jak były one przekazane Departamentowi Stanu w Waszyngtonie przez p. Schoenfeld'a, amerykańskiego Chargé d'Affaires przy rządzie polskim²¹. Dla całości obrazu brak jest najważniejszych dokumentów w tej sprawie, mianowicie sprawozdań Grabskiego z jego rozmów z Lebediewem przed wyjazdem Mikołajczyka do Waszyngtonu. Był tego duży plik. Mam podstawy do przypuszczenia, że te sprawozdania znajdowały się w archiwum, które Mikołajczyk miał u siebie w Waszyngtonie.

Stanisław KIRKOR

21. Documents... str. 754-755.

A. B.

KRONIKA ZASTĘPU „DĘBÓW” grudzień 1943 — lipiec 1944

W p r o w a d z e n i e

Kronika Zastępu „Dębów” jest autentycznym dokumentem konspiracji harcerskiej z pierwszej połowy 1944 r. Autorami jej byli najmłodszy wówczas członkowie Podziemia — uczniowie gimnazjum w wieku od 13-tu do 15-tu lat.

Zastęp „Dębów” wchodził w skład 21 Warszawskiej Drużyny Harcerzy przy Szkole Ziemi Mazowieckiej. Drużyna podjęła pracę konspiracyjną w październiku 1939 r. Działalność wojennej 21 WDH biegła dwoma torami. Starsi chłopcy należeli do oddziału „Żbik”, podporządkowanego bezpośrednio władzom wojskowym — od 1942 r. Armii Krajowej. Oddział ten, jako 2-ga Harcerska Bateria Artylerii Przeciwlotniczej, walczył w Powstaniu Warszawskim w rejonie Dworca Głównego.

Równocześnie istniał oddział harcerski, gdzie młodsi chłopcy przygotowywali się do zadań pomocniczych — jako łącznicy i obserwatorzy służby przeciwlotniczej. Nowe zastępy były werbowane wśród uczniów II i III klasy gimnazjum (13-14-cie lat)

tajnych kompletów Szkoły Mazowieckiej. Po zakończeniu szkolenia harcerskiego (przeciętnie 16-cie lat) chłopcy przechodzili do oddziału wojskowego.

W końcu 1943 r. człon harcerski 21 WDH liczył około 70 chłopców. Drużyna podzielona była na trzy plutony, a każdy na parę zastępów. Zastęp „Dębów” należał do najmłodszego pokolenia wojennej 21 WDH, zwerbowanego w końcu 1943 i na początku 1944 r. Zastęp zakończył intensywny program szkolenia harcerskiego w lipcu 1944 r. Czterech jego członków — już jako żołnierze — walczyło w Powstaniu.

Kronika prowadzona była w zwykłym brulionie szkolnym. Każda zbiórka była „na gorąco” opisana (i ilustrowana) przez jednego z członków zastępu. Kronika obejmuje całość historii „Dębów” — od przysięgi aż do zakończenia pracy harcerskiej zastępu.

Tekst kroniki „Dębów” podany poniżej, zachowany jest w formie oryginalnej. Jeśli pewne jej ustępy mogą się wydać młodzieńczo naiwne, to stanowią one dokument chwili. Kronika relacjonuje ściśle program szkolenia i metody wychowawcze stosowane w oddziałach harcerskich podporządkowanych Armii Krajowej. Oddaje ona również specyficzną atmosferę konspiracji (luźną zresztą bardzo — o czym świadczy już sam pomysł prowadzenia kroniki) w warszawskim środowisku młodzieży inteligentkiej.

A. B.



Kronika Zastępu „Dębów” na pozór wydaje się rzeczą błahą. Drukujemy ją jednak (ze skrótami) z tych samych powodów, dla których zamieściliśmy w nrze 16-tym Zeszytów J. K. Zawodnego „Raport dowódcy plutonu”. Te dwa dokumenty jaskrawo ilustrują patriotyzm i poświęcenie młodzieży i całkowite nieprzygotowanie kierownictwa AK do racjonalnego organizowania podziemia. Zwracamy uwagę, że „Kronika” obejmuje rok 1944, a więc po czterech latach okupacji!! — *R e d a k c j a*.

AUTORZY I OSOBY WYSTĘPUJĄCE W KRONICE „DĘBÓW”

| | |
|---------------------------|---|
| Dąb (Zastępowy) | Adam Bromke, 15 lat, uczeń IV kl. gimnazjum, brał udział w Powstaniu. |
| Pień | Zygmunt Hübner, 13 lat, uczeń II kl. gimnazjum, — |
| Konar | Jerzy Jasiński, 13 lat, uczeń II kl. gimnazjum, brał udział w Powstaniu. |
| Żołądz | Adam Bieńkowski, 14 lat, uczeń III kl. gimnazjum, ranny w Powstaniu. |
| Sęk | Włodzimierz Januszewicz, 15 lat, uczeń IV kl. gimnazjum, brał udział w Powstaniu. |

| | |
|--------------------------|--|
| Kruk | Andrzej Czałbowski, 15 lat, uczeń IV kl. gimnazjum, brał udział w Powstaniu. |
| Klon (Wierch) | Janusz Preyss, 15 lat, uczeń IV kl. gimnazjum, brał udział w Powstaniu. |
| Mauli (Mazur, Plutonowy) | Jerzy Bieńkowski, 17 lat, uczeń II kl. liceum, brał udział w Powstaniu. |
| Krogulec | Tadeusz Koczyński, 15 lat, uczeń IV kl. gimnazjum, ? |
| Modrzew | Jerzy Mojkowski 14 lat, uczeń III kl. gimnazjum, zginął w Powstaniu. |
| Żbik (Podharc mistrz) .. | Kazimierz Dziubałowski, 21 lat, student geografii, zginął w Powstaniu (odznaczony <i>Virtuti Militari</i>). |
| Strumień (Komendant) .. | Stanisław Gromulski, 19 lat, student ekonomii, zginął w Powstaniu (odznaczony <i>Krzyżem Walecznych</i>). |
| Szary | Jerzy Bogdanowicz, 20 lat, student medycyny, brał udział w Powstaniu. |
| Żółw | Julian Herdín, 18 lat, uczeń II kl. liceum, zginął w Powstaniu. |
| Orzeł | Stefan Bogdanowicz, 18 lat, uczeń II kl. liceum, brał udział w Powstaniu. |
| Poleszuk | Sewer Wróblewski, 19 lat, aresztowany w marcu 1944 r., zginął. |
| Wydra | Adam Bóbr, 20 lat, student politechniki, brał udział w Powstaniu. |
| Korzeń | |
| Zawisza | ?, przeciętnie 13 lat, uczniowie II kl. gim. ? |
| Głaz | |
| Stok | |

OKRES I

Zaprzysiężenie

Dn. 27. XII. 1943 r. Warszawa

Godzina 11. Lokal Konara. Krótki dzwonek u drzwi obwieszcza wejście inspektora. Zbiórka. Bacność, na lewo patrz. Druhu inspektorze zastępowy Dąb melduje zastęp „Dębów” na zbiórce, stan ludzi jeden dwóch obecni wszyscy. „Dziękuję, wstąp”. Inspektor wita zastęp harcerek „Czuwaj”. Wodzowie mówią. Ostatnie zastrzeżenia przed przysięgą usuwa inspektor w krótkiej pogawędce. Wreszcie sama przysięga. Dwoch ochotników staje w szeregu. Zastępowy trzymając w ręku tekst wydaje komendę: „Bacność, do przysięgi”. Stuknęły dwie pary obcasów. Dwoje rąk wzniosło się w górę. Na twarzach wszystkich maluje się powaga chwili. Przysięgam... uroczyście wypowiada zastępowy, przysięgam... jak echo powtarzają ochotnicy. Wolno, słowo za słowem, aż wreszcie koniec. „Po przysiędze”.

Dwóch nowych chłopców zasiliło szeregi bojowników walczących o wolność Ojczyzny i ideały harcerskie.
Tak zaczęła swe istnienie zastęp „Dębów”.

wyw. Dąb.
zastępowy

(rys. proporczyka)

P i e r w s z a z b i ó r k a

Dn. 7. I. 1944 r.

Pierwsza zbiórka. Coś, oczekiwane z dawna, lecz nieco tajemnicze. Jak to będzie na tej pierwszej zbiórce? Nie wiemy. Wreszcie nadchodzi. Gimnastyka, musztra, wodzowie mówią — mijają szybko jedno po drugim. Wreszcie część najważniejsza — wykład. Jest on niezmiernie ciekawy. Konspiracja. Zdawać by się mogło, że suche same w sobie zasady konspiracji ujęte w krótkie punkty, powinny raczej nudzić, ale nigdy zajmować. Otóż nie. Pochłaniamy słowo po słowie nie widząc, że czas mija i wkrótce będzie koniec zbiórki. Lecz po wykładzie następują jeszcze dwie części: gawęda ze śpiewem i musztra. Zastępowy opowiada ciekawą historię z dziedziny konspiracji. Niestety. Mijają i one, jak i czas śpiewania znanej piosenki harcerskiej: „Płonie ognisko”. Musztra. „Bacność”. „Spocznij”. „Bacność”. — padają raz po raz gromkie słowa komendy. Z żalem rozchodzimy się do domów lecz z wzmocnioną wiarą, że nowa Polska będzie Wielką i Niepodległą.

Pień

(rys. kotwicy PW)

D r u g a z b i ó r k a

Dn. 11. I. 1944 r.

Z radosnym niepokojem oczekujemy przez tydzień zbiórki. Trudno powiedzieć czy nie jest ona jeszcze przyjemniejsza niż poprzednia. Jest na niej nowy kolega — Żołądz. Byczy chłop. Witamy go z radością — toż mała nasza grupka powiększa się o jednego człowieka.

Tym razem wykład jest o mundurze harcerskim. Mamy nawet cały mundur, nie wyłączając krawata i krzyża. Przyglądamy mu się z przyjemnością. Druh zastępowy tłumaczy wszystko dokładnie. Teraz już znamy nasz przyszły mundur.

Przychodzi inspektor. Wypytuje nas trochę z konspiracji, przygląda się specjalnie dla niego zrobionej mustrze. Niezbyt idzie ona dobrze. Trudno się jednak dziwić, przecież to dopiero drugi raz. Wprawa przychodzi dopiero z czasem. Ku naszemu

zmartwieniu na pół godziny przed końcem zbiórki wychodzi Konar. Zostajemy sami z Zołędziem. Ale teraz następuje już tylko śpiew. Śpiewamy: „Jak dobrze nam”. I znów krótkie słowa komendy kończące zbiórkę. „Czuwaj”.

Pień

(rys. czapki harcerskiej, bluzy i sznura).

Piąta zbiórka

Dn. 10 II. 1944 r.

Zbiórka u Pnia. Zwykła kolejność — gimnastyka najpierw. Ćwiczenia te same, jedno tylko ćwiczenie jest nowe, a mianowicie „marsz z wymachiwaniem rąk”. Przykro wspomnieć. Karykatura. Zastępowy kręci się, „nieco” niezadowolony. Ofermy —. Bo i racja. Jeden macha rękami jak cepem, drugi podskakuje jak kulawa kura, a trzeci — rzecz prosta ja — ślizga się jak po lodzie. Fatalnie. Tu tylko wprawa potrzebna. Z czasem przyjdzie, grunt nie tracić nadziei.

Druh ogłasza wyniki z pierwszej połowy okresu. Niemal wszystkie jednakowe. Dzisiejszy wykład (dobrze chociaż, że jest w „Drogowskazie”) pod tytułem: „Węży”.

Oto-tu druh zastępowy kunsztownie porusza palcami — węzeł zwany „łącznikiem płaskim”. Doprawdy znakomity, bo nic zrozumieć nie można. Więc tak (druh pokazuje mi wolniej, bo tamci już zrozumieli) — tu się to przekłada, to pod spód i jest. Wspaniale. Teraz już rozumiem. Przez chwilę męczę się sam i... wychodzi. Z dumą idę do zastępowego. Wprawny rzut oka. Żle. Lecz ja zawsze swoje — z czasem. Byle cierpliwie.

Pień

Szósta zbiórka

Dn. —. II. 1944

Zbiórka zapowiadała się fatalnie, gdyż zaraz na wstępie powiedział nam druh, że sprawdzi, czy dobrze nauczyliśmy się węzłów. Jak zdołałem zaobserwować, nikt nie był tym zachwycony.

Porządek czynności był normalny: najpierw zrobienie zbiórki. Poszło nie najlepiej, w meldowaniu pomyliłem się dwa razy. Pień pocieszał mnie, abym się nie zrażał, to przecież takie łatwe. Zresztą z czasem i to przejdzie. Cierpliwości. (Chciałem mu coś powiedzieć na ten temat). Później gimnastyka (ktoś zapomniał pantofli), wykład i trochę śpiewów.

Teraz druh Dąb powiedział, że widzi, że nam zimno, więc musimy się trochę rozgrzać. Kazał nam poustawiać trzy fotele w jednym rzędzie i trzy krzesła w drugim. Każdy miał przejść

pod innym fotelem, zawiązać na krzesle kluczkę niezaciągającą się, wrócić na swoje miejsce i powtórzyć to, wiążąc jakiś inny węzeł. Za drugim czy trzecim razem była ósemka pionierska (musiąłem ją wiązać chyba ze trzy razy, gdyż za każdym razem było źle). Pień byłby pierwszy gdyby nie to fatalne przechodzenie pod fotelem. Ostatecznie zmęczeni i zziębnięci przybyliśmy na miejsce. Pierwszy byłem ja, później Pień i zaraz za nim Żołądz”.

Konar

(rys. zatytułowany „Pień zgrabnie przechodzi pod fotelem”).

D z i e w i ą t a z b i ó r k a

Dn. 26. II. 1944 r.

Na dzisiejszej zbiórce był obecny instruktor od gimnastyki — druh Kruk. Jest to osoba, która długo pozostanie w naszej pamięci, to znaczy mojej i Konara. Gdy zobaczył jak się grzebiemy z rozbieraniem przed gimnastyką, od razu zaczął knuć coś przeciwko nam, co można było wyczytać z jego zachowania i wyrazu twarzy. I nie rozczarowaliśmy się. Po gimnastyce pada rozkaz: „W ciągu trzech minut ubrać się”. Nie, bo czyn nie do wykonania, no i oczywiście ubieraliśmy się około czterech minut. Za karę musieliśmy się rozebrać w błyskawicznym tempie do połowy. Po fachowym zbadaniu naszych klatek piersiowych druh Kruk kazał nam biegać dookoła 4-ch krzesel nie dotykając ich. Było to dosyć trudne, bo stały blisko siebie, ale nie dotknęliśmy. Inna rzecz, że „bieg” odbywał się z żółwią szybkością. Po szybszym niż zwykle ubieraniu „Czuwaj” oznajmiło nam wyjście Kruka. Dalej zbiórka poszła normalnym trybem.

Żołądz

(rys. chłopców, biegających koło krzesel)

W y c i e c z k a

Dn. 5. III. 1944 r.

Już dwa dni czasu dzieli mnie od wycieczki, a pamiętam ją bardzo dobrze. Moje nogi też ją pamiętają, o czym dają znać bólami mięśni. Ale poza tym jestem z wycieczki zadowolony. Sądzę tylko, że moje skarpetki nie podzielają mojego zdania. Są one całe podarte. Niektóre części wycieczki szczególnie dobrze wbiły mi się w pamięć. Na przykład musztra. Druh Kruk zrobił zbiórkę. Trzeba stanąć trzy kroki za nim, a tu jak na złość rośnie krzaczek. Z początku się tym nie przejmowałem. Rośnie to niech rośnie, ale zmieniłem zdanie, gdy padł rozkaz „w lewo zwrot”. Gałązki tego krzaczka miały tę dziwną właściwość, że lubiły zaplą-

tywać się między nogi, co mało nie spowodowało tego, abym leżał. Nowa komenda „Trzy kroki w tył”. No, pozbędę się tego przekłętego krzaczka. Ale po trzech krokach w tył jak zwykle nastąpiły trzy kroki naprzód i od nowa krzaczek zaczyna mnie dręczyć.

Inną znowu ciekawą częścią była gawęda i ognisko. Długo się męczyliśmy nad jego rozpalaniem, używając do tego liści niestety dębowych. Wreszcie zapłonęło „wielkim płomieniem”. Gawęda była ciekawa, tylko zbyt często przerywana tymi słowami „zaraz, zaraz, poczekajcie, co wam miałem powiedzieć?”. Poza tym była zupełnie fajna.

Już wracamy do domu zadowoleni, że wycieczka minęła bez żadnych przykrych przygód. Ale los lubi płać figle. Przeprowadzamy się przez bagnisty strumyk, wzdłuż którego brzegów ciągną się pasy bagna. Druh Klon jako dowódca przeprowadza się pierwszy. Na bagnie leży mała kra lodu. Druh miał zamiar skoczyć na nią, odbić się i wyskoczyć na przeciwległy brzeg. Już skacze, dotyka kry i zaraz będzie po drugiej stronie. Ale tak nie jest. Kra rozsypuje się na drobne kawałki, on zaś wpada najpierw jedną, potem drugą nogą po kolana w bagno. Inni przeprowadzi się mniej lub więcej szczęśliwie, ale nikt tak jak druh Klon, który potem z pół godziny suszył swoje buty i skarpetki na słońcu sam zaś stał na bosaka i nie dał nic poznać po sobie, że mu nogi marzną. Może dlatego przypominał mi lamę tybetańskiego, który podobno może stać nago na mrozie i opanować się do tego stopnia, że się nawet nie zatrząsie.

Żołądz

(rys. zatytułowany „Druh Klon się suszy”)

Jedenasta zbiórka

Dn. 6. III. 1944 r.

Z miłym wrażeniem spędzonych chwil na świeżym powietrzu, ale z coraz bardziej rzadzieją miną wsiada człowiek do pojazdu dającego przedsmak mąk piekielnych i jedzie na zbiórkę, na której ma się odbyć inspekcja. Daty i przeróżne szczegóły tworzą nieopisany chaos z którego ma się wrażenie, że się cało nie wyjdzie, ale surowa i poważna twarz zastępowego Dęba pozwala trochę ochłonąć biednemu ochotnikowi, który czuje się jakoś bezpieczniej w Jego obecności. Usłyszeć można jeszcze ostatnie uwagi i wskazówki oraz powtarza się najslabiej umiane rzeczy. Ale groźna zmarszczka na czole Zastępowego coraz bardziej się pogłębia — mija 20 minut od godziny rozpoczęcia zbiórki a stawilo się dopiero tylko dwóch ochotników. Sądząc z wyrazu twarzy

druha Dęba los spóźnionych nie będzie do pozazdroszczenia. Wreszcie stukanie do drzwi — wchodzi inspektor, niestety tylko 2 osoby wyciągają się w służbowej postawie — 10 minut musztry, po niej zaczyna się przepytывanie. Atmosfera traci trochę ze swej urzędowej surowości, człowiek oswoił się trochę z groźnym wyglądem inspektora i przekonywuje się, że nie jest on już tak bardzo „straszny”. Coraz bardziej zapadający zmrok zalewa pokój i naszą wyobraźnię bierze w swe władanie druh Dąb, przenosząc nas w dawne czasy powstawania naszej drużyny, czasy zmagania się powstającego narodu, czasy tak bardzo bliskie i podobne swym tragicznym charakterem do tych, które obecnie przeżywamy. Mrok zapada coraz bardziej — opowiadanie też się kończy — dopiero wniesiona przez Żołędzia karbidówka pozwala obejrzeć nam album ze zdjęciami z życia obozowego harcerzy. Kiedyż to my będziemy mogli spędzić tak przyjemnie i pożytecznie nasze wakacje, które teraz są tak nudne i bezbarwne — kiedy przyjdzie ta chwila. A może prędko?

Sęk

Czternasta zbiórka

Dn. 15. III. 1944 r.

Na dzisiejszej zbiórce, jak i na poprzedniej, jest repetycja. O Boże. Uchowaj nas od wszystkiego złego i od repetycji. Stale jedno i to samo w kółko. „Żołądz”. „Na rozkaz”. „Opisz mi czapkę”. Następuje krótki opis. „Opisz spodenki, Konar”. „Bluzkę, Korzeń”, i tak bez końca. Po mundurze oporządzenie, po oporządzeniu narzędzia, po nich zaś przyrzeczenie i prawo, to nieszcześnie dla mnie prawo. Ponieważ zło nigdy nie da na siebie długo czekać, więc wkrótce mam powiedzieć pierwszy punkt prawa. Myli mi się on ciągle z przyrzeczeniem. Nie wiem co wybrać czy harcerz służy Bogu i Polsce, czy też pełni służbę Bogu i Polsce. Chwila zastanowienia jest zbyt długa i słyszę słowa „siadajcie”. Ale za drugim razem zrehabilitowałem się. Oby nasze męki były nagrodzone szczęśliwym przebyciem przeszkód podczas biegu na młodzika.

Żołądz

(rys. drogowskazu)

Bieg na młodzika

Dn. 16. III. 1944 r.

„Bieg na młodzika” był od początku mojej służby harcerskiej czymś nadzwyczaj groźnym. W miarę jak zbliżaliśmy się do niego, ogarniała mnie coraz większa obawa, a gdy wreszcie dowiedziałem

się dokładnie kiedy nastąpi, zacząłem gorączkowo „kuć”. (Nawiasem mówiąc na nic to się nie zdało, bo dostałem drugą lokatę). Wtorek, środa, wreszcie czwartek po obiedzie. Zapomniałem o lekcjach (dwójka z łaciny pewna, z algebry w perspektywie) chodząc tam i napowrót po pokoju i mamrocząc Morse’a. Wreszcie trudno — trzeba iść. Z bijącym sercem, zziązany, wpadam wraz z Konarem na pierwszą przeszkodę u Korzenia. Sęk z Żołędziem pierwsza grupa siedzą jeszcze na torturach. Kolor ich twarzy nie jest podobny do koloru człowieka normalnego. Sęk trupio blady a Żołędź buraczany. Biedacy — wzdycham myśląc zarazem i o sobie. Pytają tu druh Krogulec i Dąb. Oprócz tego jest inspektor. Pierwsza grupa odchodzi. Nasza kolej. Najpierw druh Krogulec męczy mnie z tropienia. Jako tako mi idzie. Gorzej poszło z historią u druha Dęba. Wreszcie z ulgą wydostajemy się dumnie unosząc ze sobą długi kij na chorągiewkę. Idziemy do Konara. Witają nas tu druh Kruk i Klon. Najpierw jestem pytany z węzłów. Umiem wszystkie. O dziwo. Pierwsza pomoc też mi nieco pomogła do dobrego wyniku. Za to u druha Klona pokazałem co umiem. Zamiast „wywiadowca” powiedziałem „wywiadowiec”. W mustrze zrobiłem kilka kardynalnych błędów. Gdy wreszcie znalazłem się na świeżym powietrzu to miast chwili odpoczynku musiałem znów pędzić jak szalony na ostatnią przeszkodę do Sęka. Tam był sam inspektor. Pytał z konspiracji i prawa. Najgorszą próbę zgotowano nam na ostatek. Po całej serii pytań wyszedłem z przekonaniem, że wynik mój będzie godzien opłakania.

Pień

(rys. trasy „biegu na młodziaka”)

Przyrzeczenie

Dn. 19. III. 1944 r.

(rys. wianka z biało-czerwoną wstęgą)

W niedzielę 19 marca zastęp Dębów przeżył bardzo uroczystą chwilę. W dniu tym składaliśmy przyrzeczenie oraz dostaliśmy krzyże. Był to moment przełomowy, moment od którego rozpoczęliśmy nowe życie, oparte na wypełnianiu ideałów harcerskich, gotowi w każdej chwili do ciężkiej walki o wolność naszej Ojczyzny. Zostaliśmy przyjęci do wielkiej gromady chłopców, zupełnie innych od otaczających ich ludzi i właśnie ta mozolna praca na wcielaniu w czyn haseł harcerstwa wyrzeźbiła na ich twarzach pewne odrębne rysy, odróżniające ich od otoczenia. O godz. 10 zaczęli się schodzić pierwsi goście. Zdążyliśmy na czas wszystko przygotować i jeszcze raz powtórzyć nasze role i z pewnym uczu-

ciem zdenerwowania i niepewności oczekiwaliśmy nadejścia uroczystego momentu przysięgi. Coraz gwarniej robiło się w pokoju, coraz więcej przybywało nieznanymi twarzami, aż wreszcie przybyła nasza najwyższa władza. Wkrótce potem druh Mazur ustawił zastęp Ptaków

(rys. sztandaru)

Śpiewających i nas w jednym dwuszeregu a zastępowych w drugim. Do pokoju wszedł druh Podharc mistrz, druh Komendant i druh Szary.

Wszystkie postacie wyprostowały się w służbowej postawie, wszystkie oczy utkwily w 3 osobach będących dla nas najwyższą instancją, do których czuliśmy więcej uczucia strachu i podziwu niż sympatii, lecz jakże zmienił się nasz stosunek do nich, widząc jaką bezpośredniością był nacechowany ich stosunek do nas i jaka przyjacielska i serdeczna atmosfera zapanowała na zbiórce. Nie tylko że swoją obecnością nie wnieśli ani cienia sztywności, lecz sami dokładali wszelkich starań by nastrój ten podtrzymać.

(rys. krzyża harcercskiego)

Stojąc w dwuszeregu wysłuchaliśmy odczytany przez sekretarza wynik „biegu na młodzika” a następnie nasza czwórka wystąpiła z szeregu by przed sztandarem złożyć przyrzeczenie. W skupieniu powtarzaliśmy za druhem Komendantem słowa przysięgi, dotykając palcami sztandaru, od którego w tej chwili przepłynęła w nas dziwna moc i wiara, że potrafimy wywiązać się z obowiązków na nas nałożonych, gotowi w każdej chwili oddać swe życie za Wielką Sprawę. Następnie Druh Podharc mistrz wręczył nam krzyże i krótkim uściskiem dłoni witał w nas dzielnych młodzików. (Przynajmniej takich chciałby nas widzieć). Teraz z kolei przysła bardzo miła chwila rzucania w górę młodzików. Najzabawniejsze ruchy wykonywał Pień, którego postać po odbiciu się butami o sufit w postaci zwiniętego kłębka spadała na koc. Po tym zasłoniliśmy okna i zademonstrowaliśmy przygotowany przez nas pokaz. Ognisko udało się dosyć dobrze i szczególnie rola Pnia wypadła doskonale. W mundurze harcercskim, obłany krwawym półmrokiem spokojnie z pewnym odcieniem głębokiego smutku i przejęcia wypowiedział rolę umierającego na polu walki harcercza. Potrafił on w swojej trudnej roli wżyć się w podniosły i uroczysty moment konania, połączony z wizją ukochanej Polski. Po pokazie ognisko wyjechało na środek pokoju i zaczęliśmy śpiewać przeróżne piosenki. Był to dla mnie jeden z najprzyjemniejszych momentów podczas całej zbiórki. Każda piosenka zaczęta głębokim i dźwięcznym głosem druha Komendanta i wyko-

nana silnymi męskimi głosami coraz to inny stwarzała nastrój to dostosowując się do chwili obecnej, to dźwięcząc nutą beztroskiej wesołości lub brzmiąc ogromem smutku i tęsknoty. W przerwie między śpiewami druh Podharcistrz miał gawędę na temat „Pani Służby”. Ciekawie i barwnie skreślił nam obowiązki jakie nakłada na nas służba, w jaki dziwny sposób potrafi zawładnąć całym naszym jestestwem, wprzegając nas w wielki mechanizm ciężkiej, odpowiedzialnej pracy i obowiązku. Pierwszy raz nasz zastęp mógł usłyszeć gawędę z ust tak dostojnych i podziwiać jak bardzo wszechstronne zdolności posiada nasz druh Podharcistrz. Popisywaliśmy się także naszymi okrzykami, które mimo dzielnej pomocy druha Dęba wypadły raczej bezbrawnie, ale za to jak druh Podharcistrz demonstrował swoje okrzyki, to dzwoniły szyby, ale wykonywało je kilkanaście silnych głosów a nas było tylko pięciu, i to nie mogących się poszczycić ani ładnymi ani silnymi głosami. Ognisko przygasało coraz bardziej zbiórka też miała się ku końcowi, więc na zakończenie odśpiewaliśmy modlitwę i uściskiem splecionych w koło rąk daliśmy wyraz jedności i przyjacielskim stosunkom między zastępami. Kilka minut musztry zakończyło zbiórkę. Wracaliśmy do domu w dziwnie podniosłym nastroju, ciągle wracając myślą do tych kilku godzin spędzonych w tak uroczystej, tak dziwnie przyjacielskiej i pogodnej atmosferze, pozwalającej oderwać się od szarości codziennego życia, nabierając nowych sił w wielkiej drodze ku wielkiemu ideałowi...

Sęk

XXI W.D.H.

(rys. wianka laurowego)

OKRES II

Zbiórka pierwsza

Dn. 25. III. 1944 r.

Minął pierwszy okres naszej pracy. „Dęby” uzyskawszy stopień młodzika stały się zastępem prawdziwych harcerzy-zwiadowców. Przebrzmiały już słowa przyrzeczenia — zobowiązujące „całym życiem pełnić swą harcerską służbę”. Minęły jednocześnie pierwsze wykłady dające ogólny całokształt pracy harcerskiej — przygotowały pole pod zasiew. Teraz rozpoczęła się już inna praca. Praca konkretnie przygotowująca do czynu. ŁĄCZNOŚĆ. Każdy wykład daje coś co kiedyś naprawdę przyda się do budowy Wielkiej Polski. Służba gońca: praktyczne zaznajomienie się z łącz-

nością. Jako próba ćwiczenia miejskie. Przy tym ciągle Morse. Brzęczyk ze swoimi głuchymi monotonnymi dźwiękami; chorągiewki wiewające przed oczyma czerwono-pomarańczowymi płatami. Stacje sygnalizacyjne ustawia się tak aby były widoczne... — brzmią słowa zastępowego. W tej chwili wszystko to jest tylko nudną teorią. Ale przyjdzie przecież taka chwila gdy rzeczywiście Ojczyzna wezwie nasze zastępy aby pełniły tę służbę w praktyce. A służba to poważna. Dzięki niej wielu mężczyzn będzie mogło udać się do walki i czynnie w niej wystąpić. Na nas spadnie odpowiedzialność służb łączności. Łączność jest podstawą działania w polu. Bez niej zwycięstwo jest niemożliwe. Dlatego też musimy spełniać bez zarzutu nasze obowiązki, tak jak spodziewamy się po całej armii. Podwaliną tego są właśnie te zbiórki na których na pozór bezmyślnie trzeba się „wkuwać”. Więc pamiętajcie i czuwajcie — godzina walki już bliska.



Dziś ważny wypadek — Konar rozkazem druha plutonowego otrzymał pochwałę za bieg oraz funkcję podzastępowego.

zastępowy
Dąb
wywiadowca

Zbiórka pierwsza Dn. 4. IV. 1944 r.

Intrygowała nas mała paczka przyniesiona przez druha, ale niedługo czekaliśmy na jej rozpakowanie. Po przepytaniu nas (a trwało to dość krótko) druh wyjął brzęczyk i zaczął nam nadawać alfabetem Morse'a różne zdania i wyrazy. Na początku szło nam b. źle, lecz pod koniec zbiórki przyszła i wprawa.

Nowy dział łączności zyskał zdaje się sympatię całego zastępu i jesteśmy dumni, że na tym polu będziemy mogli służyć Polsce — a praca będzie ciekawa i trudna.

mł. Sęk

J A J K O

Na krótko przed świętami wyszedł z naszego zastępu projekt urządzenia jajka wielkanocnego. Pomysł ten zyskał aprobatę druha Dęba więc wzięliśmy się energicznie do przygotowań. Pracy mieliśmy dużo w związku z wykonaniem prezentów a czasu było mało. Na urządzenie tego jajka wyznaczylismy Wielki Czwartek.

Na dzień ten zostali do nas zaproszeni druh Strumień (nadmierzajny dla nas zaszczyt) druh Żółw, druh Orzeł, druh Mauli i druh Kruk. Do stołu miała podawać „pokojówka Marysia”. Kwestię jedzeniową też pomyślnie załatwiliśmy więc z niepokojem od rana oczekiwaliśmy godziny trzeciej.

Zebrałiśmy się u Korzenia trochę wcześniej, by móc pokroić ciasto i zrobić porcje. Zastaliśmy stół nakryty piękną, białą serwetą, lecz który został przez nas w tempie mocno przyśpieszonym sprzątnięty. Niestety nie mógł być ani Żołędź ani Pień i to z bardzo smutnych powodów, więc nie tylko żalowaliśmy że nie mogli być obecni, ale także bardzo im współczuliśmy w jak smutnej atmosferze domowej muszą teraz przebywać.

O godz. 4 przybył druh Strumień i druh Orzeł. Przed wejściem druha Komendanta — druh Mauli urządził zbiórkę. Po kilku minutach musztry nastąpiło wręczanie prezentów. Druh Strumień dostał laurkę od całego plutonu, a druh Orzeł i Kruk po pocztówce. Druh Mauli dostał od naszego zastępu małego harcerza, który siedział przed namiotem koło ogniska. Prezent ten wypadł bardzo efektownie i to dzięki znacznej pomocy druha Dęba. Korzeń, Konar i Ja dostaliśmy od druha Dęba jajka z wypisanymi wierszykami. Następnie usiedliśmy na ziemi i zaczęliśmy śpiewać różne piosenki, Niestety było trochę za mało głosów, lecz i tak wystarczyło jednego silnego głosu, jaki posiadał druh Strumień.

(rys. pisanki)

W międzyczasie ja zniknąłem z pokoju by przeistoczyć się w Marysię. Reinkarnacja ta kosztowała mnie dość dużo czasu i pracy, lecz miałem do czynienia z tak skomplikowanymi częściami ubioru, że wątpię czy ktoś potrafiłby to szybciej zrobić. Wreszcie druh Dąb zawołał mnie donośnym głosem z drugiego pokoju: „Marysiu proszę podawać”, więc ja przeistoczony w pokojówkę z tacą w jednym ręku i strachem w sercu czy nie gdzieś jakaś katastrofa z moim ubiorem wszedłem do pokoju, witany salwą śmiechu. Na szczęście, gdy skończyłem obnosić, druh Strumień kazał mi się przebrać nie mogąc na mnie już patrzeć. Nastąpiła teraz bardzo przyjemna część naszego jajka. Druh Strumień miał bardzo ciekawą gawędę, później druh Mauli opowiadał nam o przygodach Poleszuka i czytał nam artykuły z nieznanego nam pisma. Opowiadania te bardzo ciekawie kreśliło i przedstawiało nam życie wojenne harcerza, które nie jest pozbawione jednak chwil wesołych, lecz które są tak często męczone przez momenty dla nas wszystkich tak bardzo tragiczne. Ponure widmo Pawiaka kroczy nieustannie za tymi ludźmi, lecz nie potrafi osłabić ich gorączki czynu i odwagi, przeciwnie potrafi pobudzić ich

do dziwnej wytrwałości i podtrzymywać ten ogień nienawiści do wroga i zapału, jaki się w ich piersiach tli.

Rozeszliśmy się o godz. 7 w dziwnym usposobieniu. Znowu mogliśmy się zetknąć z tymi ludźmi, którzy pozostawiają na nas na długi okres czasu silne wrażenie i mogliśmy się zetknąć, choć tylko w opowiadaniu, z tą pracą, która poprzez krwawe ofiary wykuwa przyszlą wielkość naszej Ojczyzny.

młodzik Sęk

Dęby pracują

W wielki Poniedziałek zebraliśmy się rano u mnie na naradę. Trzeba zrobić na Święta coś oryginalnego. Wpadliśmy w zapał. Każdy podawał tysiące pomysłów, lecz już po paru chwilach namysłu — okazywały się pozbawione sensu, czy to ze względu na trudności w wykonaniu, czy też w rozsprzedaniu.

Wreszcie — już nie pamiętam kto — rzucił pomysł zrobienia pocztówek Wielkanocnych, lecz każda z nich musiała mieć w sobie coś harcerskiego. Druh zastępowy ustalił szybko co każdy z nas ma kupić i przynieść, i rozstaliśmy się rozgorączkowani ze słowami „Dziś u Korzenia o czwartej”.

(rys. stołu)

Gdyśmy przyszli do niego wszystko było przygotowane. Kochany Korzonek powyciągał jakieś ołówki, kredki, farby itp.; to też od razu mogliśmy zabrać się do pracy. Pień przyniósł papier, który poliniowaliśmy i według tych linii pocięliśmy. Pierwszym naszym odruchem był okrzyk: „Jak mało tych kart”. Jednak w trakcie rysowania zmieniliśmy — nadszpedzowanie szybko — zdanie. Już po piętnastu pocztówkach pomysłów zaczęło braknąć. Gdy doszliśmy do dwudziestu, trzeba było powtarzać niektóre lepsze motywy, naturalnie z pewnymi zmianami.

Co do ilości zrobionych kart, to pobił nas wszystkich Pień, który oprócz tego że dobrze rysuje, miał masę pomysłów. Jeszcze tego samego dnia zaczęliśmy malować. Pierwsza pocztówka została zupełnie wykończona przez druha Wiercha, który ją rzeczywiście artystycznie namalował.

Aby dokończyć malowania spotkaliśmy się we środę po obiedzie (również u Korzenia). Teraz praca szła wolniej lecz bardziej „planowo i dokładnie”.

Moją specjalnością było robienie nadpisów różnokolorowymi tuszami, malowanie łatwiejszych motywów i „dawanie fachowych rad”; trudniejsze rzeczy wykonywali Pień, Sęk i druh Dąb a Korzeń robił z tyłu kreski, pisał „wyd. Dęby” i wycierał karty dokładnie, aby przywrócić im mocno nadszarpnięte przez nasze

ręce i wycieranie gumą, ich pierwotną, nieskazitelną biel. Rozstaliśmy się z przyjemnym uczuciem spełnionego obowiązku, ciesząc się w myśli, że pracą swoją potrafiliśmy zebrać trochę pieniędzy, które na pewno pójdą na pożyteczny cel.

młodzik Konar

(rys. pocztówki z dzwonkiem i napisem
„Harcerskie pozdrowienia świąteczne”)

Ćwiczenia miejskie

Łączność

Dn. 19. IV. 1944 r.

Gdy przyszedł zastępowy, zaczął tajemniczo szeptać z Konarem, wziął plan Warszawy i coś zaczął na nim wskazywać. Wydawało mi się to wszystko tajemnicze i nie wiedziałem co nam zgotuje. Niebawem miałem się dowiedzieć. Otrzymałem rozkaz udania się wraz z Konarem do mego lokalu. Podróż przyśpieszył nam bardzo szanowny środek lokomocji — tramwaj — tym lepszy od innych że bezpłatny. Po przybyciu na miejsce otrzymałem do nauczenia się meldunek i to w ciągu 5 minut. Nazwy wsi,

(rys. zatytułowany „Łącznik Żołędź w drodze”)

daty, nazwiska, godziny itd. mieszały mi się ciągle i jestem pewien, że coś pokiełbałem. Wreszcie muszę wychodzić i doręczyć meldunek p. „maj. Wągrowskiemu”. Przez całą drogę powtarzałem z takim zapamiętaniem, że minąłem dom, do którego miałem doręczyć. Zziębnięty wpadłem do pokoju. Przewidywania zaczęły się spełniać, bo pomyliłem się dwa czy trzy razy. Gdy miałem wychodzić wpadł Pień. Biedak, jeszcze się musi męczyć.

młodzik Żołędź

Zbiórka czwarta

Dn. 27. IV. 1944 r.

(rys. polowego telefonu)

Na dzisiejszej zbiórce obecny był instruktor od łączności i objaśniał nam budowę telefonu polowego, którego aparat mieliśmy i mogliśmy wszystko dokładnie obejrzeć. Wykład ten był ciekawy ale ja się nim nie zachwyciłem bo był diablo trudny.

Jeszcze mniej podobała mi się druga część zbiórki — powtórka. Męczy ona każdego, a tego co nie umie najwięcej. Trzeba siedzieć z duszą na ramieniu i prosić Boga aby odwrócił od nas to albo inne pytanie. Ja właśnie modliłem się aby instruktor nie spytał mnie o radiotelefon, a tu jak grom z jasnego nieba „Po-

wiedz co wiesz o radiotelefonie. — (chwila pauzy) — Żołądz. Oczywiście. — Żołądz. Bo przecież akurat tego nie umie”. Inni szczęśliwcy siedzą i słuchają. Ale na szczęście jakoś wybrnąłem. Siadając myślałem o tym, aby jak najszybciej nastąpił koniec zbiórki, który niebawem miał nastąpić po obowiązkowej 10-minutowej mustrze.

młodzik Żołądz

(rys. harcerza sygnalizującego dwoma flagami)

Zbiórka piąta

Dn. 2. V. 1944 r.

Zbiórka wypadła na wtorek po obiedzie o godzinie 4.30. Wszyscy stawili się na czas. Zaczęło się od gimnastyki, w czasie której Sęk i Żołądz za jakieś drobne przewinienie wykonywali w bardzo śmieszny sposób „ćwiczenie kręgosłupa”. Jest to nowa kara, bardzo nieprzyjemna ze względu na to że jest trudna do wykonania. Trzeba siadać i wstawać z wzniesionymi do góry rękami.

Następnie rozpoczął się ostatni wykład z działu łączności: „Sygnalizacja”. Uzupełniony on miał być pewnymi wiadomościami z „Drogowskazu”. Sam wykład był krótki, ale bardzo trudny, gdyż była tam duża ilość nazw i określeń.

Rozeszliśmy się z radością, niektórzy dlatego, że zaczniemy niedługo nowy dział, a inni że skończyliśmy wreszcie tę nie-szczęsną łączność.

młodzik Konar

(rys. telefonu polowego)

Zbiórka dziesiąta

Dn. 19. V. 1944 r.

Konspiracja musi być. Wiadoma rzecz. A więc — kolejność przychodzenia, punktualność, hasło, zachowanie ciszy. Ale tym razem zapomniano o tych drobnostkach. Cóż to znaczy — w porównaniu z rzeczą najważniejszą — z pokazem.

Zbiórka miała się zacząć o 5.30. O 4-tej z wyjątkiem druha Dęba byli wszyscy, ale w pół godziny później nie było nikogo. Zostałem tylko z Konarem i gospodarzem — Zawiszą. Ale jakoś o 5.30 zaczęliśmy wracać z powrotem. Tylko druh Kruk z Krogulcem zginęli na dobre. Na pierwszej tej próbie dostaliśmy dopiero role i zebraliśmy trochę pieniędzy na dekorację. Druh Dąb uczył już nas dykcji, ale jakoś nie bardzo mamy w tym kierunku zdolności. Na koniec dowiedzieliśmy się o naszym własnym okrzy-

ku zastępu. Wzbudził on ogólne uznanie. Krzyknęliśmy go też tak głośno, że sąsiedzi zaczęli stukać w ścianę. Gospodarz objaśnił nas, że są to Volksdeutsche. Myśleli pewnie biedacy że to zebranie HJ.

młodzik Pień

Zbiórka jedenasta

Dn. 21. V. 1944 r.

Zbiórka rozpoczęła się normalnie — gimnastyka i musztra. Nie pamiętam już dlaczego (w każdym razie wiem, że zasłużyliśmy) zostaliśmy z Pniem ukarani. Nasz zastępowy jest bardzo pomysłowy w wyszukiwaniu kar. Dzisiaj właśnie poznaliśmy jeszcze jedną. Karne raporty, karne prace, powstawanie i siadanie z rękami wzniesionymi do góry, to wszystko jest nic w porównaniu z tą ostatnią. Jest to mianowicie czołganie się na łokciach i palcach nóg nie dotykając żadną inną częścią ciała ziemi. Człowiek poci się z wysiłku, piszczy z bólu, a tu trzeba jeszcze obejść pół pokoju. Sęk i Konar patrzą na nas z uśmiechem na ustach. Wreszcie okrzyknęliśmy pokój. W dwie minuty ubraliśmy się (to także należało do kary) i zbiórka znowu poszła normalnym trybem, a mianowicie nastąpił brzęczyk, oczekiwany przez nas z radością.

młodzik Żołądz

(rys. czołgającego się chłopca)

P o k a z

W czwartek dnia 25. V. 1944 r. odbył się pokaz, w którym oprócz naszego zastępu brali także udział Bracia Skalni. Tym razem temat pokazu był dosyć dobrze opracowany przez nasz zastęp i nosił nawet na sobie ślad talentu literackiego (głównie zawdzięczać to trzeba druhowi Dębowi). Niestety w czasie odgrywania przez nas swych ról, pewne przeszkody domowe i krewki temperament Zawiszy (nieustannie i bez przerwy szamotający się „za kulisami”) wniosły zamieszanie przez co pokaz ucierpiał trochę na efekcie. Pokój w którym zebrali się nasi goście przystrojony był chorągiewkami przez co zapanował nastrój dosyć uroczysty. Po przyrzeczeniu Stoka usiedliśmy wkoło pokoju, zaczynając śpiewać. Jakąś dziwną własność ma piosenka harcerska, od razu stwarza jakiś specyficzny nastrój, przez nas najbardziej lubiany, który jest zawsze momentem dla nas najprzyjemniejszym. Piosenka ta mówi nam o życiu harcerza, odtwarza wesołe i pełne humoru sytuacje wojenne, zawsze zadziwiając nas swą

melodyjnością i dziwną prostotą płynącą tak bezpośrednio do serca.

Nadzwyczaj ciekawą gawędą druha Komendanta była tym razem opowieść o życiu Naszych w lesie. Temat tak bardzo bliski i aktualny dla nas, owiany jakimś dziwnym urokiem, który wywiera prawie na każdego silne wrażenie. Druh Komendant odtworzył nam „Życie Leśne” takie jakie ono jest w rzeczywistości, odrzucił jego romantyczną i bohaterską stronę aby zaznajomić nas z nim, ale też silnie potrafił przedstawić nam jakim ogromem poświęcenia i zapału odznaczają się ci „Ludzie” w każdej chwili narażeni na śmierć, dla których audycja radiowa z Londynu jest najbardziej ważną chwilą w ich dniu. I mimo że piszę to sprawozdanie już w wiele dni po pokazie to ciągle stoją mi przed oczyma skreślone przez Druha Komendanta sylwetki Partyzantów. I szczególnie nam, którzy nie mogą bezpośrednio zetknąć się z tymi ludźmi szalenie ciekawe i ważne było odtworzyć to życie leśne w wyobraźni, dzięki obrazowym i naprawdę niezmiernie interesującym opowiadaniu Druha Komendanta. I tym razem musiałem się przeistoczyć w płć odmienną, ale byłem tylko dziewczyną ze wsi. Najlepiej udał się obraz z walk naszych wojsk we Włoszech. W drugim pokoju z całej siły waliliśmy w drzwi i stoły starając się naśladować odgłosy armat i karabinów maszynowych. Niestety gdy wchodziłem na scenę zapomniano zasłonić okna i moje defekty w stroju były zbyt widoczne, wywołując szalony śmiech widzów. Mieliśmy jednak nadzieję że popis nasz dosyć się podobał naszym gościom — to nam wystarczy.

młodzik Sęk

Zbiórka trzynasta

Dn. 1. VI. 1944 r.

Na zbiórkę tę, która odbyła się u Żołędzia przyszedliśmy dopiero na godz 6. Na zbiórce, po załatwieniu spraw bieżących, Druh Dąb dał nam szczegółowe instrukcje co do ćwiczenia miejskiego, jakie mieliśmy naznaczone na dzień następny.

Następnie druh Dąb tłumaczył nam szczegółowo pierwszą część skryptu o lotnictwie, ponieważ mieliśmy dużo kłopotu z technicznymi nazwami. W ogóle dział o lotnictwie zyskał od razu naszą sympatię i każdy z nas z dużą przyjemnością uczy się sylwetek i poznaje bliżej budowę samolotu i zasady jego funkcjonowania.

Młodzik Sęk

(rys. samolotu i dwóch bomb)

Ćwiczenia miejskie

Dn. 2. VI. 1944 r.

(rys. słupa ogłoszeniowego z rysunkiem „PW”)

Druh Dąb dał każdemu z nas pewien odcinek w śródmieściu, na którym musieliśmy odnaleźć wszystkie słupy i tablice z listami skazanych na śmierć. Miejsce ich musieliśmy dokładnie określić w raportach, które zebrał druh Dąb.

Pracy tej nie można było zaliczyć do przyjemnych, ale przyniosła nam jedyną korzyść — i to szczególnie nam Warszawiakom — poznanie miasta, w którym mieszkamy ale które bardzo słabo jeszcze znamy, no i dość duże zmęczenie.

Najlepszym raportem wykazał się Żołądz który swoje wyniki z wędrowki po ulicach, poparł szczegółowym planem swojej trasy.

Młodzik Sęk

Wycieczka

Dn. 4. VI. 1944 r.

Na tę wycieczkę mogli pojechać tylko ci co są w posiadaniu telefonu tzn. tylko Ja i Konar. Ponieważ druh Dąb o wyjeździe postanowił 10 minut przed dziewiątą, więc została tylko jedna droga zawiadomienia nas — przez telefon. Pogoda była wyjątkowo ładna więc mogliśmy się wystarczająco nacieszyć wsią, która dla wielu z nas jest teraz zupełnie niedostępna. Razem z Konarem odniosłem dość duży sukces ogrywając 2 razy w siatkówce 2 zastępowych. Czas przeszedł nam bardzo miło i przyjemnie i choć 3 razy spóźnialiśmy się na pociąg to jednak nic nie mogło zakłócić nam świetnych humorów w jakich wróciliśmy do Warszawy.

Młodzik Sęk

Zbiórka piętnasta

Dn. 19. VI. 1944 r.

(rys. skryptów)

Dzisiaj jest nas tylko dwóch to znaczy ja i Sęk. Zastępowy jest niezadowolony. Chyba chcąc wyrzucić swój gniew na nas daje nam dwa nowe skrypty: Służbę obserwacyjno-alarmową i Instrukcję do sylwetek w Kriegsflugzeuge. Po otrzymaniu ich miny nam bardzo zrzedły, a jeszcze gorzej podczas powtórki.

Młodzik Żołądz

Zbiórka szesnasta

Dn. 25. VI. 1944 r.

Jesteśmy wszyscy w komplecie. Nikogo nie brakuje, toteż humor jest lepszy niż na zeszłej zbiórce i ja z Sękiem (weszło to już w regułę) siadamy i wstajemy trzymając ręce wzniesione w górę, przechodzimy pod krzeselkami i robimy tym podobne cuda. Dodam, że to wszystko za karę, bo inaczej ktoś mógłby nas poczytać za wariatów. Gdyśmy już odpokutowali zaczął się wykład. Jest on dzisiaj wyjątkowo trudny, a mianowicie omawianie poszczególnych typów samolotów angielskich, szczęście że wszyscy mają Kriegeflugzeuge, co dużo nam ułatwi naukę.
(rys. dwóch samolotów)

Po wykładzie nastąpiła sygnalizacja, tym razem chorągiewkami a po niej nastąpił koniec zbiórki.

Młodzik Żołędź

Bieg na wywiadowcę

Dn. 28. VI. 1944 r.

(fot. lasu)

Wolno posuwa się naprzód samowarek Marecki, wioząc zastęp Dębów do Strugi, gdzie ma się odbyć bieg na wywiadowcę. Powtarzamy po raz ostatni materiał, denerwując się coraz bardziej w miarę zbliżania się do celu podróży, ale zarazem dobrze nam jest z tym miłym uczuciem dreszczu emocji, jaki się ma przed każdą nieznaną przygodą.

Wreszcie mocno sfatygowana długą pracą i odpowiednio rozklekotana kolejka, na ostatnim oddechu swojego małego parowozu wtacza się na peron stacji Strugi.

Wysiadam razem z Konarem i posuwamy się za druhem Dębem za nami dopiero kroczy Żołędź, wcale nie zdradzając pośpiechu ani zdenerwowania. Tempo marszu naszego druha wprowadzało nas w pewne zdziwienie, najpierw szedł dosyć powoli, później przyspieszając kroku poderwał się dwa razy do skoku (przez rów) później zaczął biec, a następnie znów zwolnił kroku, zjawisko to występowało w ustalonym odstępie czasu, a przyczyna tego jest dla nas zupełnie dotąd nieznaną.

(rys. lasu)

Na koniec dotarliśmy do rowu, znajdującego się w głębi lasu, doskonale ukrytego przed okiem ludzkim, zamieniliśmy tutaj kilka słów z druhem Dębem i wyruszyliśmy wszyscy w poszukiwaniu chustki, która miała być zawieszona na drzewie oznaczając miejsce zbiórki. Poszukiwania te okazały się zbyteczne, gdyż spotkaliśmy po drodze druha Komendanta i druha Maulego i druha Wydrę.

Od razu zwróciliśmy uwagę jak doskonale postać druha Strumienia pasuje do tego środowiska jakim jest las. Postać jego nabrała tutaj jakoś więcej siły i wyrazu, ruchy stały się bardziej żywe i zgrabne, przystosowując się do bliskiego współżycia z przyrodą.

Nie mamy już żadnych wątpliwości że najbardziej odpowiednim żywiołem dla naszego druha Komendanta jest las tętniący równym i spokojnym życiem natury; ukrywający groźne oblicze Polski Walczącej.

Na pierwszej przeszkodzie egzaminował sam druh Strumień, ze służby obserwacyjno alarmowej. Oprócz tego mieliśmy do

(rys. lasu)

nauczenia się meldunek w ciągu 2 minut. Poszło nam z tym nie najgorzej, ale jak na złość robiąc drobną omyłkę. Byliśmy trochę speszeni i zaskoczeni tym że na pierwszy ogień wziął nas tak dostojny egzaminator. W ciągu przepytывania nas przez druha można było wyczuć, że ciągle jest w pogotowiu. Każda sylwetka na horyzoncie lub podejrzanе odgłosy nie uchodziły jego uwadze, wzmagając tylko czujność. Następnie wyruszyliśmy na drugą przeszkodę posuwając się i orientując w drodze za pomocą znaków indyjskich. Był to odcinek naszej marszruty najbardziej dla nas nieprzyjemny, najwięcej sprawiający nam trudności. Nasze upokorzenie zaczęło się od pierwszej chwili, gdyż razem z Żołędziem nie mogliśmy znaleźć drugiej strzałki, cofaliśmy się do punktu wyjściowego, krążyliśmy wkoło, aż wreszcie przyszedł nam druh Strumień z pomocą (a przychodził z ratunkiem przez całą prawie naszą drogę na drugą przeszkodę) potem były kłopoty z odnalezieniem listu, który był schowany w zagięciu kory, trudności z odliczaniem 30 kroków i tak ciągle bez przerwy. Aż wreszcie dotarliśmy do celu. Na tej przeszkodzie musieliśmy się wykazać wprawnym okiem w obliczaniu wysokości i odległości oraz w rozpoznawaniu odgłosów dochodzących do naszych uszu. Następnie dość szybko i bez żadnych przeszkód dobrnęliśmy na trzecią przeszkodę, gdzie czekał na nas druh Mauli.

Mieliśmy odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących ideologii harcerstwa, po których nastąpiło wchodzenie na drzewa. Niestety choć należymy do plutonu druha Maulego, nie odezwały się w nas żadne pierwotne instynkty (boję się napisać małpie) i szczególnie mnie — Sęka — nie słuchały żadne sęki łamiąc się pod uciskiem moich nóg, sprawiając wcale niepożądane przeszkody w tej ciężkiej wspinaczce. Idąc dalej według 2 karteczek zawieszonych na drucie doszliśmy na czwartą i ostatnią przeszkodę. Tutaj druham egzaminatorem był nasz zastępowy i egzaminował nas z działu przez nas najbardziej lubianego — łączności. Z tej przeszkody

cofnęliśmy się na miejsce naszej zbiórki, gdzie dumnie powiewała w brązową kratkę chustka, oznaczając kres naszej kilkugodzinnej wędrówki.

Niestety druha Komendanta już nie było — znikł tak samo tajemniczo i bezgłośnie jak pojawił się był na drodze, którą szliśmy przedtem na miejsce zbiórki. Druh Dąb zrobił zbiórkę — po której wyruszyliśmy w nieznanym kierunku prowadzeni przez druha Maulego. Niestety pogoda zaczynała się psuć, nadciągały coraz bardziej ołowiano-szare chmury i słychać było odgłosy zbliżającej się burzy, niezrażeni tym krążyliśmy po lesie aż wreszcie wyszliśmy na dość duże pole, odznaczające się dużą ilością kreto-wisk i dość bagiennym gruntem. Tutaj dopiero chciał druha Mauli poddać nas ciężkiej próbie: musieliśmy przebiec to pole wzdłuż, co kilka kroków padając na ziemię. Wygląd nas po tym „miłym” biegu nie był do pozazdrosczenia, umazani błotem i ziemią, zmęczeni musieliśmy iść dalej aż wreszcie usiedliśmy na jakimś osłoniętym miejscu w lesie aby zjeść swoje zapasy jedzeniowe — ale tutaj doświadczyły nas niebieskie upusty, które wylewały na naszą głowę takie ilości deszczu, że nie było na nas suchej nitki, a ponieważ powietrze trochę się oziębiło więc mając na sobie przemoczone ubranie nie było za przyjemnie dalej maszerować.

Zbliżała się godzina naszego odjazdu, żegnaliśmy Strugę zostawiając w niej bardzo miłe, mimo wielu przykrych momentów, wspomnienia, a wioząc do Warszawy zmoczone ubranie i dobry humor oraz nadzieję na uzyskanie stopnia wywiadowcy.

Młodzik Sęk

Ostatnia zbiórka
Dn. 2. VII. 1944 r.

Dnia tego Dęby zebrały się u Zołędzia aby dowiedzieć się wyników biegu na wywiadowcę. Pierwsze trzy lokaty wziął nasz zastęp tzn. pierwszą wziął Zołędź, drugą Konar, trzecią Sęk. Zapanował wśród nas nastrój bardzo wesoły i przyjemny. Podrzucaliśmy młodych wywiadowców na kocu i mimo że było nas tylko pięciu, to jednak wystarczyło nam sił na podrzucanie do góry i robienie „morskich fal”. Od razu oddaliśmy swoje krzyże do przebicia, ciesząc się, że będziemy już mieli srebrne lilijki. Na zakończenie druha Dąb powiedział do nas kilka bardzo serdecznych słów wyrażając zadowolenie z naszej dotychczasowej pracy i naszej postawy. Rozchodziliśmy się do domu z tym bardzo przyjemnym uczuciem, że przebrnęliśmy przez pierwszy okres naszej pracy, uwieńczony stopniem wywiadowcy.

Wywiadowca Sęk

(rys. lilijki i napis „Już srebrna”)

PAMIĘCI MICHAŁA SZULMANA

Będę starał oprzeć się pokusie analizowania dlaczego np. na tablicach, wmurowanych uroczyście w stoki Cytadeli Warszawskiej z udziałem najwyższych dostojników Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, brak właśnie nazwisk tych którzy na tych stokach zginęli: Józefa Montwiłła-Mireckiego i Hersza Rogowa, dlaczego nie wolno w kraju pisać o Michale Szulmanie. Będę starał się unikać pisania o małości, tam gdzie mowa będzie o wielkości, o heroizmie. Chcę po prostu przyczynić się do ocalenia od zapomnienia pewnych postaci, od śmierci historycznej, na jaką postacie te zostały skazane w kraju. Piszę dlatego, że jest to moim obowiązkiem.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski, daleki krewny generała, był co najmniej równie barwną i fascynującą postacią jak jego lepiej utrwalony w pamięci, równie tragiczny kuzyn. Urodzony w 1890 roku w Częstochowie, w dzieciństwie przyjaciel Burchard-Bukackiego, Gustawa i Zygmunta Dreszerów, Januszajtisa, Głuchowskiego, od piętnastego roku życia rewolucjonista i bojownik o niepodległość, uczeń Piłsudskiego i Perla, entuzjasta anarchizującego, bardzo plebejskiego odprysku PPS, tzw. „Mścicieli”, w 1912 roku pojmany przez władze carskie i osadzony w X pawilonie, siedział tam w jednej celi kolejno z Prystorem, Wł. Medemem i Dzierżyńskim. W Cytadeli prowadził dziennik w którym utrwalił rozmowy ze współwięźniami i własne przeżycia.

Wywieziony na Syberię tuż po wybuchu wojny, brał udział we wszystkich syberyjskich przesileniach rewolucyjnych. Do Polski wrócił w 1922 roku i rzucił się w wir walk politycznych.

Nie mieszcząc się w ramach żadnej partii, najbliższy nieistniejącemu politycznie w Polsce anarchizmowi, pozostał do końca życia samotnikiem i jako człowiek i jako działacz.

Od 1924 do 1935 roku Długoszowski wydawał gazetkę, której był wydawcą, redaktorem oraz, jeśli nie jedynym to przynajmniej głównym publicystą. Zadziorna, krytyczna, pisana z nerwem gazeta (często zmieniała nazwy: *Jutro, Walka, Wolność* itd.), była czymś, co dostrzegały władze i partie polityczne...

W gazetce tej w 1925 i w 1926 roku Długoszowski publikował swe wspomnienia z X pawilonu Cytadeli i z Organizacji Bojowej PPS, pt. „Blade Twarze”.

Wspomnienia te, rzecz dużej wartości artystycznej i naukowej, są obecnie całkowicie nieznanne, nawet historykom i historykom literatury. Pisał co prawda o nim w Częstochowie, rodzinnym mieście Długoszowskiego, mieszkający tam historyk, dr Janusz Lipiec, ale publikacja ta, w *Roczniku Muzeum Częstochowskiego*, niestety chyba przez mało kogo została dostrzeżona.

Przez szereg lat, od 1962 roku, zabiegałem w wielu wydawnictwach o wydanie „Błędnych Twarzy”. Napotykałem na mur ignorancji i strachu. To nazwisko, te parantele! Piłsudski, Tomasz Arciszewski, Prystor! To nic nawet, że w chwili pisania pamiętnika autor był ze wszystkimi tymi postaciami już poróżniony. Nawet to, że są to najciekawsze i najpozytywniejsze jakie znamy wspomnienia o Dzierżyńskim, patronie Polski Ludowej, nie potrafiło zachęcić wydawców!

W 1967 roku zdawało się, że los uśmiechnął się. Zwróciłem się o pomoc do doc. Józefa Kowalskiego, ówczesnego Zastępcy Dyrektora Zakładu Historii Partii przy KC PZPR. Trafiłem, okazuje się, dobrze. Mój rozmówca jako bardzo młody człowiek znał Długoszowskiego i był ongiś pod jego urokiem. Sentymenty młodości zagrały. Po długich rozważaniach nad pro i contra otrzymałem „charyzmę” dla „Błędnych Twarzy” i ich autora. Wspomnienia miały zostać wydane przez jedno z warszawskich wydawnictw.

Los uśmiechnął się tylko na chwilę, znacznie krótszą niż tzw. cykl wydawniczy. Kilka miesięcy później nastąpił marzec 1968 roku. Doc. Kowalski przestał być pracownikiem KC PZPR a jego rekomendacja stawała się automatycznie jej przeciwieństwem. Co prawda gazety zapowiadały, że odtąd będzie się głośić w Polsce prawdę i tylko prawdę, ale widocznie „Błędne Twarze” nie mieściły się w tej prawdzie.

Wydawnictwo zrewidowało decyzję. Wszystko przemawiało przeciwko wydaniu, najbardziej jednak — jak stwierdzono — fragmenty poświęcone Michałowi Szulmanowi.

Dodam jedno: Publikując na emigracji ten fragment wspomnień, czynię w pewien sposób zadość pragnieniu zmarłego wiosną 1968 roku Tadeusza Szturm de Strema. Od 1961 roku był on czytelnikiem wszystkich moich większych rękopisów i jednym z pierwszych ich krytyków. Tak było i w przypadku „Błędnych Twarzy”. Po przeczytaniu skierował rozmowę przede wszystkim na fragment poświęcony Szulmanowi: w 1939 roku redaktor *Robotnika*, Mieczysław Niedziałkowski, otrzymał rękopis wspomnień o Szulmanie, nakreślonych przez jednego z krewnych. Wspomnienia, co prawda cenne, napisane były bardzo nieporadnie i Niedziałkowski prosił Tadeusza Szturm de Strema o ich przygotowanie do druku. Rozmowy z autorem toczyły się dość mozolnie i nie zakończyły się do wybuchu wojny, w czasie której papiery i bezcenna biblioteka p. Tadeusza spłonęły a krewni Szulmana prawdopodobnie ulegli zagładzie.

Cieszył się więc pan Tadeusz, że pamięć Szulmana doczeka się utrwalenia i przypomnienia.

Tadeusz Wieniawa-Długoszowski wspomnienia o Szulmanie skreślił w postaci dyskusji z Feliksem Dzierżyńskim na temat celowości PPS-owskiej i SDKPiL-owskiej dróg walki z caratem. Ślady tych autentycznych dyskusji zachowały się w rękopisie więziennego dziennika Długoszowskiego.

Józef LEWANDOWSKI



...,Albo pamiętasz zamach na Konstantinowa na rogu Św. Krzyskiej - Marszałkowskiej... Przecież te jego nogi w butach, które poszły aż na czwarte piętro z ręki Szulmana — dały robotniczej Warszawie więcej satysfakcji, niż wasze gadanie o uświadomieniu proletariatu.

Wspominam Szulmana... Łobuz z Woli. Z tego przedmieścia Warszawy, gdzie przed rokiem 1905 — każdy młody mężczyzna chodził z nożem za cholewą, za pazuchą — i tym nożem wymierzał sobie sprawiedliwość, krew odmierzał i miłość i odległość serca do otwartej mogiły. Szulman wychował się tam właśnie. Urwisował. Aż gdy przyszła rewolucja Piątego Roku, która wydarła młodzieży z rąk noże niepotrzebne — młody Szulman stanął w szeregach bojowej organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej. Przyjęli go. Dali mu możliwość przekreślić dawną niesławną przeszłość, co zaczynała się za rogatkami Wolskimi, a kończyć się musiała w kryminale. I Szulman okazał się bohaterem. Jego bomba usunęła z ulicy Warszawy watażkę Konstantinowa, przed którym drżeli ci, co mieli możliwość poznać go w cyrku policyjnym i na ulicy o nocnej porze, kiedy na czele olbrzymich Wołyńców bił niemiłosiernie wszystkich, kogo tylko uznał za *niebłagonadiożnawo czełowieka*.

Opowiadano mi o Konstantinowie.

Rok 1907... Likwidacja rewolucji. Prokurator hula i wskazuje palcem ukrwawionym w ustach z wybitymi zębami. Szubienica pracuje. Lęk spaceruje po ulicach od świtu do zmroku. I gdzieś „zagranicą”, w ówczesnym Krakowie, terrorysta polski wylicza na gramy dynamit, kradziony wszystkimi sposobami z carskich składów materiałów wybuchowych — aby znieacka wpaść i wyznaczyć krwią granicę posiadania carskiego i posiadania tzw. racji stanu.

Oto ulica Marszałkowska w Warszawie. Godzina 10 wieczorem. Rozsypani sznurkiem w poprzek ulicy idą Wołyńcy na czele z Konstantinowem. Przechodniów mało. Idzie student.

— *Stoj. Kto idiot?*

Staje, tłumaczy się.

— *A ty eto kuda?* — pyta Konstantinow — i świecąc latarką elektryczną w oczy spotkanemu — bije go w twarz i rozkazuje:

— *A nu, rebiata, dajcie jemu kak śledujet...*

I *rebiata* dawały co mogły. Bili — dotąd — dopóki już nie było co bić, dopóki wszystko już nie zostało zbite, zmasakrowane. A potem dorożką wywozili na opatrunek.

Postać Konstantinowa znana była całej Warszawie. Gdy było powiedziec o nim robociarzowi warszawskiemu — zaciskał pięści i przekleństwo wyrывało mu się z ust żywiółowo: „tego sk... syna kropnąć”.

I oto wybór padł na Szulmana. Ci, co mu dawali bombę do

ręki, dawali z myślą: idź, i niech cię rewolucja omyje z brudu i niech cię błogosławi!

Szulman z zadania wywiązał się sprawnie. Rzucił pocisk — i po wybuchu, którego skutki były straszliwe — począł ratować się ucieczką. Drogę zastąpił mu żołnierz. Szulman wyciągnął rewolwer — ale nie strzelił do żołnierza. Biegł i groził żołnierzowi. Tylko groził. Nie strzelał. Bo popularne wówczas było hasło, aby „proletariuszy w mundurach żołnierskich” nie strzelać — jako ludzi straszego obowiązku, ludzi bezwolnych.

Szulman biegł. Do żołnierza nie strzelił — ale ten żołnierz postąpił inaczej. Nie miał altruistycznych złudzeń, zmierzył z karabinu — i wypalił w uciekającego człowieka, za którym pędzili już policjanci, wołając do sfory ulicznej: łapaj złodzieja. Był to ten popularny okrzyk, na który policjant brał każdego gapia.

Strzał żołnierza był celny. Trafiony kulą Szulman biegł, wpadł w bramę domu, którego nie zdążono mu przed piersią krwawiącą zamknąć — i wcisnął się za skrzynię podwórzowego śmietnika. I tam skonał. Usnął sobie śmiertelnie, z myślą, że spełnił obowiązek wobec gromady, która kazała mu być mścicielem za krzywdę mordowanych ludzi. Usnął, jak ranny ptak, ugodzony kulą, co nie przebacza nikomu i niczemu, bo tylko jedno zadanie: zadawać śmierć.

Syty mieszczech warszawski miał uciechę nielada, gdy zza śmietnika policjanci i szpicle, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, wyciągnęli okrwawionego trupa. Badali puls. Był cichy: nie tykał. Patrzyli w twarz: nic nie mówiła a sączyła się z niej z kątów ust, czerwona, bardzo czerwona krew.

I policjanci spluwali:

— *Wot żydiuga, mat' jewo!...*

— Tak, to będzie Żyd!... — potakiwał spłoszony, strwożony, gotowy do usług kołtun polski, co się przypadkowo zaofiarował do pomocy w „łapaniu złodzieja”.

Dziś, gdy to piszę, Szulman, bohater polskiej rewolucji — naszego czynu sprawiedliwości okrutnej i szalonej — nie ma imienia w Polsce. Nie znają go, bo takich, jak on, było więcej. Wiem tylko, że towarzysze jego co rok składają na mogile Szulmana wieńce — dowody pamięci, czci i wdzięczności.

Było to zasługą rewolucji Piątego Roku, że potrafiła ona podnieść ludzi z mętów społecznych do godności bohaterów.

Szulman umarł sobie na śmietniku, na wolności, od kuli, ratując się ucieczką. A ilu tutaj, w tych murach umarło ludzi, nie mogąc doczekać się wolności. Na naszym stoliku pod spodem widnieje szereg napisów i nazwisk ludzi, co dawno już rozsykali się w proch — ba!... w proszek. Oto one:

— Dziś w nocy będę powieszony. Żegnajcie towarzysze!

Niech żyje rewolucja! Niech żyje wolność!

Cześć jego pamięci! Cześć jego pamięci!

Tych ludzi nie ma, a ich podpisy i napisy żyją, drgają i krzyczą do nas głośno — strasznie, boleśnie”.

NA 25 - LECIE P.R.L.

SŁOWNICZEK POLITYCZNY DLA ŻOŁNIERZY*

ARMIA KRAJOWA (AK) — organizacja, podporządkowana tzw. rządowi londyńskiemu, od którego otrzymywała znaczne środki pieniężne i broń. Głosząc hasło „stania z bronią u nogi” hamowała walkę z okupantem. Judziła przeciw Zw. Radzieckiemu. Dowództwo AK nasyłało morderców na działaczy demokratycznych. Bez porozumienia z sojusznikami i Wojskiem Polskim dowództwo AK wywołało niewczesne powstanie w Warszawie, wydając stolicę na zniszczenie, a ludność na zagładę, a następnie haniebnie skapitulowało przed Niemcami. Walcząc z państwem demokratycznym AK przeszła do faktycznej współpracy z Niemcami. Dokonała szeregu zabójstw żołnierzy W.P. i działaczy demokratycznych. Próbowwała przeszkodzić reformie rolnej. Duża ilość członków AK zrozumiawszy jej szkodliwą dla Polski działalność, zerwała z nią. Niewielkie grupy wyrzutków społeczeństwa prowadzą do chwili obecnej zbrodniczą robotę.

ANDERS WŁADYSŁAW — generał związany z kliką piłsudczykowską. Na stanowisku d-cy dywizyj polskich w ZSRR wskrzesił najgorsze praktyki sanacyjne. Prześladował demokratycznych żołnierzy i oficerów. W momencie ofensywy niemieckiej na Stalingrad (lato 1942 r.) haniebnie wyprowadził dywizje polskie na piaszki Persji, na bezużyteczną tułaczkę. Wielu żołnierzy i oficerów z jego dywizyj wyraziło chęć powrotu do kraju i wstąpienia do Wojska Polskiego, za co Anders osadził ich w więzieniu.

ANTYSEMITYZM — szczepiona przez reakcję nienawiści do Żydów, mająca na celu bałamucenie szerokich mas i odwrócenie ich uwagi od konieczności przeprowadzenia reform społecznych. Antysemityzm był narzędziem w rękę hitleryzmu dla siania zamętu w innych krajach i moralnego rozbrojenia społeczeństw, a tym samym — ułatwienia napaści hitlerowskiej. W wolnej Polsce nie ma miejsca na antysemityzm — plugawe ziarno hitleryzmu.

KATYŃ — miejscowość pod Smoleńskiem, gdzie jesienią 1941 r. Niemcy rozstrzelali 11.000 oficerów polskich. Później przedstawiali oni to morderstwo jako „zbrodnię bolszewików”. Cały świat odwrócił się z pogardą od hitlerowskiej prowokacji, rozumiejąc, że celem jej jest ukrycie własnego przestępstwa i posianie niezgody w obozie antyhitlerowskim. Jed-

* *Słowniczek Polityczny dla żołnierzy*, maj 1945, Wydawnictwo Oddziału Propagandy Głównego Zarządu Polit.-Wych. W.P.

nie reakcyjna klika emigrancka w Londynie posłała za propagandą Goebbelsa.

KONFERENCJA KRYMSKA — drugie spotkanie Roosevelta, Churchilla i Stalina na Krymie w początkach lutego 1945 r. Przebieg i wyniki Konferencji są wyrazem wzmacniającej się jedności Anglii, ZSRR i Stanów Zjednoczonych. Na konferencji opracowano plan ostatecznego etapu wojny. Uzgodniono zasady powojennej organizacji międzynarodowej dla zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa narodom świata. Ustalono, że Niemcy zapłacą odszkodowania za dokonane zniszczenia w naturze. Uchwały Konferencji gwarantują Polsce niepodległość i rozszerzenie granic na zachodzie i północy oraz ustalają granicę polsko-radziecką na linii Curzona. Rząd Tymczasowy został uznany za podstawę mającego powstać rozszerzonego Rządu Tymczasowego Jedności Narodowej. O bankructwach londyńskich deklaracja nawet nie wspomina, przyznając tym samym, że nie odgrywają one żadnej roli w życiu politycznym Polski.

LINIA CURZONA (KERZONA) — granica między Polską a Zw. Radzieckim, zaproponowana jeszcze w 1919 r. przez angielską Komisję pod przewodnictwem ówczesnego ministra spraw zagranicznych Anglii Lorda Curzona. Granica ta przewiduje włączenie większych ziem z większością ludności polskiej do Polski, a z większością ukraińską, białoruską lub litewską do odpowiednich republik radzieckich. Konferencja Krymska (Stalin, Roosevelt i Churchill) przyjęła linię Curzona jako jedynie sprawiedliwą granicę polsko-radziecką. Naród polski uznaje linię Curzona, gdyż nie chce uciskać innych narodów, a w trwałej przyjaźni ze Zw. Radzieckim widzi gwarancję bezpieczeństwa przed napadami niemieckimi. Na podstawie umowy między Polską a Republikami Radzieckimi — Ukrainą, Białoruską i Litewską, cała ludność polska tych ziem będzie mogła przesiedlić się do Polski.

MOŁOTOW WIACZESŁAW — Komisarz Ludowy (minister) Spraw Zagranicznych ZSRR, jeden z najbliższych współpracowników marsz. Stalina. Znany ze swego niezwykle przyjaznego stosunku do Polski.

NSZ — „NARODOWE SIŁY ZBROJNE” — organizacja endecko-oenerowska w Polsce. Przez cały czas okupacji czynnie współdziałała z gestapo, otrzymując od niej broń i pieniądze do walki z bojownikami o niepodległość. Bandyci z NSZ zamordowali i wydali w ręce gestapo wielu patriotów. W 1943 r. NSZ weszły w skład AK odąd razem prowadzą oszukańczą i zradziecką robotę. NSZ do dzisiaj uprawia zbrodniczą działalność przeciw Państwu Polskiemu.

POWSTANIE WARSZAWSKIE — wywołane 1 sierpnia 1944 r. przez dowóztwo AK na rozkaz „rządu” londyńskiego, bez porozumienia z sojusznikami, Armią Czerwoną i Wojskiem Polskim. Klika londyńska chciała przy pomocy powstania upiec swoją pieczęć polityczną: zapisać wyzwolenie Warszawy na swój własny rachunek i pochwyć władzę. D-two AK oszukańczo ogłaszało, że powstanie zostało uzgodnione z Armią Czerwoną. Od pierwszej chwili wybuchu walki wzięła w niegł bohaterски udział Armia Ludowa, pomimo że powstanie zostało wywołane wbrew jej woli. Armia Czerwona i Wojsko Polskie pomagały wydatnie powstańcom przy pomocy rzutów broni i żywności. I Armia W.P. uporczywie forsowała Wisłę, ponosząc znaczne straty. Wreszcie d-two AK z hr. Borem-Komorowskim na czele, zamiast przedrzeć się za Wisłę, na stronę Wojska Polskiego haniebnie skapitulowało wobec Niemców. Następstwem zbrodniczej polityki reakcji było całkowite zniszczenie Warszawy przez Niemców i setki tysięcy ofiar wśród pow-

stańców i ludności warszawskiej. W czasie powstania ludność Warszawy wykazała niezwykle bohaterstwo i ofiarność.

RACZKIEWICZ WŁADYSŁAW — były minister spraw wewnętrznych, wojewoda i marszałek senatu z ramienia sanacji. Zatwardziały reakcjonista bezprawnie mianowany „prezydentem” przez dezertera Mościckiego.

REFORMA ROLNA — przekazanie ziemi obszarnej służbie folwarcznej, bezrolnym, małorolnym i średniorolnym chłopom. Obłudnie obiecywana i nigdy nie urzeczywistniona w czasie rządów reakcyjnych. Dopiero na mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 6. IX. 1944 r. ziemia obszarowa została poddana reformie rolnej. Obecnie reforma rolna objęła już terytorium całej Polski. Przyłączenie Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich umożliwia przydzielenie każdej rodzinie chłopskiej co najmniej 5 hektarowego (8 morgowego) gospodarstwa. Reforma rolna otwiera przed wsią szerokie drogi materialnego i kulturalnego rozwoju. Chłopi przeprowadzają podział ziemi przy pomocy robotników miejskich oraz przedstawicieli odrodzonego Wojska Polskiego.

ROLA-ŻYMIERSKI MICHAŁ generał broni. — Odznaczony wielokrotnie orderem „Virtuti Militari” i „Krzyżem Walecznych” oraz innymi — polskimi i zagranicznymi orderami. Za zasługi bojowe w walce z Niemcami nagrodzony Krzyżem Grunwaldu I klasy. Minister Obrony Narodowej. Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego. Działalność niepodległościową rozpoczął we wczesnej młodości jeszcze przed wojną 1914 r. Otoczony miłością żołnierzy za męstwo i okazywaną im troskliwość, jako dowódca 2 pułku Legionów organizuje spisek i protest wojskowy II brygady przeciwko Niemcom. W bitwie z trzema dywizjami austriackimi pod Rarańczą przedziera się na czele II brygady Legionów przez front austriacki. Dowodzi bitwą z Niemcami pod Kaniowem. W r. 1924 jako wybitny znawca wojskowy jest z-cą szefa administracji dla spraw uzbrojenia armii, co odpowiada stanowisku wiceministra spraw wojskowych. W listopadzie 1924 r. zostaje mianowany generałem brygady. Podczas przewrotu majowego 1926 r. zdając sobie sprawę z antydemokratycznego charakteru tego przewrotu, jest organizatorem oporu zbrojnego przeciwko zamachowi. Prześladowany i ścigany za to przez sanację chroni się do Francji, skąd powraca przed wybuchem wojny 1939 r. W czasie okupacji niemieckiej oddaje swoją wiedzę i doświadczenie wojskowe walce zbrojnej z Niemcami. Od 1 stycznia 1944 r. dowodzi Armią Ludową przy czym dla skoordynowania akcji partyzanckich organizuje Sztab Główny Armii Ludowej i odbywa inspekcje oddziałów partyzanckich. Dekretem Krajowej Rady Narodowej mianowany zostaje 21 lipca 1944 r. Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego.

„RZĄD LONDYŃSKI” — grupa reakcyjnych emigrantów, usiłujących uprawiać starą politykę sanacji — bankrutów politycznych, odwołujących się do bezprawnej faszystowsko-dyktatorskiej konstytucji z kwietnia 1935 r. Idąc na lep propagandy hitlerowskiej, doprowadzili w r. 1943 do zerwania stosunków ze Zw. Radzieckim. Wiążą się z najbardziej reakcyjnymi hitlerofilskimi grupami. Służą niewczesnym apetytom obszarników i wielkich magnatów kartelowych, którzy raz na zawsze zniknęli z powierzchni życia polskiego. Konferencja krymska Stalina, Roosevelta i Churchilla nawet nie wspomina o istnieniu tego tworu.

SANACJA — nazwa odłamu polskiej reakcji spod znaku Piłsudskiego i Rydza Śmigłego. Pochwyciwszy w maju 1926 r. władzę przy pomocy zbrojnego zamachu, zaprowadziła w Polsce rządy dyktatorskie. W roku 1935 gwałtem i oszustwem narzuciła konstytucję, rabującą narodowi

wszelkie prawa demokratyczne. Sanacja popierała obszarników i magnatów kartelowych powodując w Polsce coraz większe w porównaniu z innymi krajami zacofanie przemysłu i rolnictwa. Ze swoim ministrem Beckiem na czele pomagała Niemcom w przeprowadzeniu ich planów zaborczych wobec Austrii, Czech i Litwy. Wrogą polityką wobec Zw. Radzieckiego i przeciwstawiając się utworzeniu koalicji antyhitlerowskiej — doprowadziła do osamotnienia Polski w chwili najazdu hitlerowskiego na nasze ziemie. Nie przygotowała wojskowo Polski do wojny z Niemcami. Gdy naród polski bohatersko walczył, dygnitarze sanacyjni haniebnie uciekli zagranicę. Na emigracji utworzyli samozwańczy „rząd londyński”, trwoniąc złoto Banku Polskiego oraz intrygując na szkodę Polski.

STALIN JÓZEF — wódz narodów radzieckich. Budowniczy potęgi gospodarczej politycznej, militarnej i kulturalnej Zw. Radzieckiego. Przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych (Premier) ZSSR oraz Naczelnny Dowódca Armii Czerwonej. Pod jego kierownictwem Armia Czerwona zadała śmiertelne ciosy Niemcom, ratując świat przed tyranią hitlerowską. Wielki przyjaciel Polski wcielił w życie swoje przyrzeczenia, że „Związek Radziecki uczyni wszystko, aby umocnić przyjaźń polsko-radziecką i wszelkimi środkami przyczyni się do odbudowania silnej i niepodległej Polski”. Wielki mąż stanu, cieszący się ogromnym autorytetem we wszystkich krajach demokratycznych.



DO WSZYSTKICH CZŁONKÓW POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH*

Rząd Brytyjski podkreślił już wielokrotnie, że w sprawie Polskich Sił Zbrojnych, będących obecnie pod dowództwem brytyjskim, jego polityka dąży do tego, aby członkowie tych Sił w największej ilości wracali do Polski z własnej woli i w warunkach godnych wielkiego wkładu, którym przyczynili się do zwycięstwa Zjednoczonych Narodów. Zgodnie z tą polityką Rząd Brytyjski w ostatnich miesiącach prowadził układy z Tymczasowym Polskim Rządem Jedności Narodowej, który jest uważany przez Rząd Brytyjski, jak również przez inne Rządy, za jedyny autorytet, mający prawo mówienia w imieniu Polski. Przedmiotem tych pertraktacji były warunki, w których na wypadek ich powrotu do Polski żołnierze, marynarze i lotnicy zostaną przyjęci w własnym kraju. Wskutek tych rokowań Tymczasowy Rząd Polski złożył Rządowi Brytyjskiemu oświadczenie wyłuszczone swoją politykę w danej kwestii. Tekst tego oświadczenia w załączeniu.

Rząd Brytyjski uważa tę deklarację za zadawalną. W świetle przyrzeczeń otrzymanych od Tymczasowego Rządu Polskiego Rząd Brytyjski po powtórzonemu zbadaniu całej tej sprawy, przyszedł do przekonania, że wszyscy członkowie Polskich Sił Zbrojnych, którym powrót do Kraju jest możliwy, powinni wrócić jak najprędzej, korzystając z obecnie przez Tymczasowy Rząd podanych im warunków, a to celem przyczyniania się do odbudowania uwolnionej Polski. Jedynie w ten sposób będą mogli służyć swojemu Kraju zgodnie z jego wielką tradycją.

* Ulotki rozdawane po zakończeniu 2-ej wojny, światowej przez władze brytyjskie żołnierzom 2 Korpusu we Włoszech.

Jednakowoż ci żołnierze, którzy, zdając sobie sprawę z całokształtu obecnego stanu rzeczy, uważają swój powrót do Polski za niemożliwy, będą traktowani, w miarę naszych sił i środków, w sposób godny ich wielkich zasług. W wykonaniu polityki zawartej w orędziu p. Churchilla Rząd Brytyjski, współpracujący z innymi Rządami, będzie przychodził ze wszelką jemu możliwą pomocą tym, którzy walczyli obok nas podczas całej wojny, celem umożliwienia im rozpoczęcia nowego życia poza Polską wraz z rodzinami i z osobami, będącymi od nich zależne. Ale po najdokładniejszemu zbadaniu całej sprawy Rząd Brytyjski poczuwa się zobowiązany stwierdzić, iż żadnych dalszych przyrzeczeń dać nie może. Nie idzie w rachunek, żeby Polskie Siły Zbrojne, czy to armia lądowa, czy marynarka, czy lotnictwo, będące obecnie pod dowództwem brytyjskim, zostały zachowane przez Rząd Brytyjski jako niezależne siły zbrojne, pozostające poza granicami Kraju. Rząd Brytyjski zamierza w możliwie bliskim czasie zwolnić od służby tych żołnierzy, którzy nie będą chcieli powracać do Polski. Co więcej, Rząd Brytyjski nie może dawać członkom Polskich Sił Zbrojnych żadnych gwarancji, iż oni wszyscy będą mogli osiedlać się na terenach brytyjskich, czy to w Wielkiej Brytanii, czy też za morzem.

W imieniu Rządu Brytyjskiego zwracam się do każdego członka Polskich Sił Zbrojnych z osobna z usilną prośbą o sumienne zastanowienie się nad tymi alternatywami. Pozwalam sobie wierzyć, że ogromna większość będzie korzystała z tej okazji, która być może nie powtórzy się.

W imieniu Rządu Brytyjskiego oświadczam, że bliski Wasz powrót do Kraju leży w najlepszym interesie Polski, która w obecnej chwili potrzebuje pomocy każdego ze swych synów wobec mozolnego zadania odbudowy Kraju oraz zacierania śladów spowodowanych wojną spustoszeń.

Ernest BEVIN

SPOSÓB TRAKTOWANIA ŻOŁNIERZY POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH POWRACAJĄCYCH DO KRAJU

1. Sposób traktowania żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych powracających do Kraju z zagranicy objawił się już w praktyce w przypadku żołnierzy, którzy wrócili do Polski z Francji i Włoch. Te same zasady będą stosowane także do żołnierzy, którzy powracają do Kraju z innych terytoriów.

Do powracających oficerów i żołnierzy nie będą stosowane represje ani kary, z następującymi wyjątkami:

A.) Represje i kary będą stosowane do osób, które służyły w wojsku niemieckim.

Należy dodać tutaj, że wszystkie osoby, które służyły w wojsku niemieckim, były podzielone przez władze niemieckie na cztery kategorie Volksdeutschów. Grupy trzecia i czwarta obejmowały osoby wpisane przymusowo na listę Volksdeutschów. Grupa druga obejmowała osoby uważane przez władze niemieckie za godne ich zaufania tylko do pewnego stopnia. Grupa pierwsza obejmowała osoby, uważane za zupełnie lojalne w stosunku do ustroju hitlerowskiego.

Co do tych osób, ogólne zasady stosowane wobec Volksdeutschów będą się odnosiły także do żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych powracających z zagra-

nicy. Osoby, poprzednio zamieszkałe na terytoriach przyłączonych do Rzeszy niemieckiej i włączone do grupy trzeciej i czwartej będą automatycznie zrehabilitowane, podczas gdy osoby włączone przez władze niemieckie do grupy pierwszej lub drugiej będą musiały przeprowadzić swoją rehabilitację na drodze sądowej. Dla osób poprzednio zamieszkałych w tzw. „Generalnym Gubernatorstwie” rehabilitacja przed sądem będzie obowiązkowa, ponieważ przyjęły one obywatelstwo niemieckie z własnej woli i bez przymusu.

B.) Represje i kary będą stosowane dalej wobec osób winnych Zdrady Stanu — według definicji przyjętej przez Polski Kodeks Karny obowiązujący od 1 września 1932 r.

C.) Represje i kary będą również stosowane wobec osób winnych przestępstw pospolitych według definicji Polskiego Kodeksu Karnego obowiązującego od 1 września 1932 r. Powracający żołnierze Polskich Sił Zbrojnych nie będą jednakże oskarżani o przestępstwa z tytułu poprawek do Kodeksu Karnego wprowadzonych przez Polski Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, w przypadkach kiedy przestępstwa te zostały popełnione przed wprowadzeniem wyżej wymienionych poprawek.

Dekret amnestyjny z sierpnia 1945 r. będzie stosowany do wszystkich członków Polskich Sił Zbrojnych powracających z zagranicy.

2. Ofiarna służba żołnierzy polskich, którzy walczyli na wielu frontach pod sztandarami naszych Sprzymierzonych Zachodnich będzie uznana na równi z bohaterstwem Armii Polskiej utworzonej na terenie ZSSR. Żołnierze ci zatem, po powrocie do Polski będą traktowani na równej stopie z wszystkimi żołnierzami odrodzonych Wojsk Polskich. Postanowienie to obejmuje także prawo do zaopatrzeń wojennych.

3. Żołnierze podlegający demobilizacji będą zdemobilizowani, a ci, którzy wyrażą chęć pozostania w wojsku jako zawodowcy, będą mieli możliwość wstępowania do szkół oficerskich lub szkół podoficerskich i do pozostania w wojsku. Zdemobilizowani pozostaną w rezerwie na tych samych zasadach co zdemobilizowani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych.

Stopień, wysługa lat, dekoracje i odznaki wojskowe zdobyte przez oficerów i żołnierzy w walce z Niemcami — na którymkolwiek froncie — będą uznane i zaliczone.

4. Żołnierze zdemobilizowani będą mieli takie same prawo do działek ziemi obecnie rozdzielanej między żołnierzy jakie przysługuje zdemobilizowanym żołnierzom odrodzonych wojsk Polskich.

5. Inwalidzi wojenni otrzymają zaopatrzenia i renty na podstawie istniejących ustaw.

Wszystkie sprawy poruszone w Ustępach 2, 3 i 4 jak wyżej, wyjaśnione już zostały w oświadczeniu publicznym złożonym przez Prezydenta Rady Narodowej, Bolesława Bieruta, podczas konferencji prasowej w Ministerstwie Informacji i Propagandy w Warszawie, jak również w odezwie Rządu Jedności Narodowej wydanej do wszystkich polskich oficerów, żołnierzy, marynarzy i lotników za granicą.

Sprawy te były także przedmiotem exposé Ministra Obrony Narodowej, Marszałka Żymierskiego, na zgromadzeniu Rady Narodowej w dniu 1 stycznia 1945 r. Były one również poruszone w Rozkazach Dziennych wydanych przez Naczelnego Wodza z okazji 1 Maja, Święta Narodowego 3 Maja, Dnia Niepodległości 22 lipca i Rocznicy Bitwy pod Grunwaldem. Ponadto, sprawy te wspomniane były w udwie wygłoszonej w pierwszą rocznicę Pierwszej Dywizji i w wywiadzie udzielonym przez Marszałka Żymierskiego przedstawicielem Agencji Polpress 2 sierpnia 1945 r.

6. Członkowie Polskich Sił Zbrojnych będą mogli sprowadzić do Polski przedmioty osobistego użytku bez żadnej opłaty celnej. Będą mogli przelać ze Zjednoczonego Królestwa do Polski konta swoje w funtach sterlingach.

W tym celu, właściciele kont bankowych będą musieli złożyć podanie do władz brytyjskich o przelew ich kont w funtach sterlingach, lub części tych kont, na rachunek Narodowego Banku Polskiego w Banku Anglii. Na tej podstawie otworzy się dla nich konta w bankach polskich. Wypłaty z tych kont będą dokonywane według kursu podanego przez władze polskie żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych. (Władze polskie stwierdzają, że obecny kurs ustalony w tym celu wynosi, wraz z subsydiami, 420 złotych za jeden funt sterling).

7. Po powrocie do Polski członkowie Polskich Sił Zbrojnych narodowości polskiej lub żydowskiej, pochodzący z dzielnic położonych na wschód od Linii Curzona, będą traktowani automatycznie przez Rząd Polski jako obywatele polscy i nie będą musieli składać deklaracji stwierdzającej wybór obywatelstwa polskiego.

8. Rodziny członków Polskich Sił Zbrojnych rozsiane teraz po całym świecie, jak np. w Afryce Wschodniej, Iranie, Palestynie, Ameryce Południowej itd., będą mogły połączyć się z wojskowymi, członkami swoich rodzin, w Polsce.

9. Komunikacja pocztowa i telegraficzna z Polską została w zasadzie przywrócona; będzie stopniowo ulepszana pod względem technicznym.

Osoby powracające do Polski jako zdemobilizowani żołnierze będą otrzymywały pomoc i informacje w Polskich Biurach Repatriacyjnych, które zorganizowano na granicy i w licznych miastach Polski.

(Przedrukujemy powyższe z zachowaniem wszystkich błędów gramatycznych i stylistycznych. — R e d a k c j a).

W ZSSR O POWSTANIU WARSZAWSKIM

K. K. ROKOSSOWSKIJ

W A R S Z A W A (f r a g m e n t y)

Zaledwie wojska nasze wkroczyły do Polski, stanęło przed nami wiele złożonych zagadnień. Na wyzwolonym terenie, a rozpościerał się on już do Wisły, znajdowało się wiele polskich oddziałów zbrojnych, walczących z okupantem. Były tu Gwardia Ludowa, Armia Ludowa, Armia Krajowa, Bataliony Chłopskie. Były też mieszane oddziały partyzanckie, dowodzone przez sowieckich oficerów, którzy z różnych przyczyn znaleźli się na wrogim terenie. Oddziały te składały się z osób o najróżniejszych poglądach politycznych, ale zjednoczonych wspólnym celem walki ze wspólnym wrogiem.

Teraz, wraz z przyjściem naszych wojsk, uzyskały one możliwość zlania się w potężną siłę.

Stosunek ludności polskiej do Armii Czerwonej był ciepły i życzliwy. Widać było, że lud szczerze cieszy się naszego przyjścia i stara się uczynić wszystko, aby przyśpieszyć wygnanie faszystowskich okupantów. W miarę posuwania się naprzód 1. polska armia szybko rosła dzięki napływowi ochotników spośród miejscowej ludności. Wlewały się w nią oddziały Gwardii Ludowej, Armii Ludowej i innych sił Ruchu Oporu. I jedynie AK — Armia Krajowa — uporczywie pozostawała na uboczu. Już po pierwszym spotkaniu z przedstawicielami tej organizacji pozostał w nas nieprzyjemny osad. Uzyskawszy informację, że w lasach na północ

* K. K. Rokossowski: *Soldatskij dołg*. Izd. Min. Obrony SSSR. Moskwa 1968.

od Lublina znajduje się polskie zgrupowanie, mianujące siebie 7-mą dywizją AK, postanowiliśmy wysłać kilku sztabowych oficerów w celu nawiązania łączności. Spotkanie nastąpiło. Akowscy oficerowie w polskich mundurach, zachowywali się pyszałkowato i odrzucili propozycję współdziałania w walkach przeciwko niemiecko-faszystowskiemu wojsku, oświadczając, że AK podlega wyłącznie rozkazom polskiego rządu londyńskiego i jego pełnomocników... Swój stosunek do nas określali następująco: „Przeciwko Armii Czerwonej nie użyjemy broni, ale też żadnych kontaktów nie chcemy”. Wielce pikantne stanowisko!

Tymczasem w Lublinie zaczął działać centralny organ władzy ludowej — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Zapoznaliśmy się z większością członków nowego rządu. Byli to patrioci swojej ojczyzny i rewolucjoniści-internacjoniści. Musieli oni wtedy wziąć na swoje ramiona ciężkie brzemię, lecz towarzysze nie uskarżali się i byli nastrojeni optymistycznie. Uczestniczyliśmy w defiladzie oddziałów 1-ej polskiej armii i manifestacji mas pracujących Lublina. Od tej pory między nami i rządem polskim powstała bliska więź.

2 sierpnia nasze organy wywiadowcze uzyskały informacje, że jakoby w Warszawie rozpoczęło się powstanie przeciwko niemiecko-faszystowskiemu okupantom. Wiadomość ta mocno nas zaniepokoiła. Sztab frontu zabrał się natychmiast do gromadzenia informacji i uściślenia rozmiaru powstania i jego charakteru. Wszystko nastąpiło tak nieoczekiwanie, że gubiliśmy się w domysłach i początkowo sądziliśmy: czy to aby nie Niemcy szerzą takie pogłoski, a jeśli tak, to w jakim celu? Przecież, mówiąc szczerze, najbardziej nieodpowiednim czasem na rozpoczęcie powstania był właśnie ten, w jakim zostało ono rozpoczęte. Jak gdyby przywódcy powstania specjalnie wybrali termin, aby ponieść klęskę... Takie oto myśli mimo woli przychodziły do głowy. W tym czasie 48-ma i 65-ta armie toczyły walki w odległości ponad stu kilometrów na wschód i północny-wschód od Warszawy (nasze prawe skrzydło było osłabione przez odejście do rezerw dowództwa dwóch armii, a należało jeszcze po rozgromieniu silnego przeciwnika wyjść ku Narwi i zawładnąć przyczółkami na zachodnim brzegu). 70-ta armia dopiero zdobyła Brześć i oczyszczała teren z resztek okrążonych tam niemieckich wojsk. 47-ma armia toczyła walki w rejonie Siedlec frontem ku północy. 2-ga armia pancerna, prowadząc walki na przedpolach Pragi (przedmieście Warszawy na wschodnim brzegu Wisły), odbijała kontrataki jednostek pancernych. 1-sza polska armia, 8-ma gwardyjska i 69-ta sforsowały Wisłę na południe od Warszawy pod Magnuszewem i Puławami, zdobywając i rozszerzając przyczółki na zachodnim brzegu — na

tym polegało główne zadanie wojsk lewego skrzydła, mogły one i powinny były je wypełnić.

Taka oto była sytuacja wojsk naszego frontu, kiedy w stolicy Polski wybuchło powstanie.

Swego czasu znaleźli się oszczercy, którzy próbowali w zachodniej prasie oskarżyć wojska 1-go Ukraińskiego Frontu i, rzecz jasna, mnie, jako jego dowódcę, żeśmy rzekomo świadomie nie udzielili pomocy warszawskim powstańcom, skazując ich tym na zgubę.

Pod względem zasięgu operacja białoruska nie ma sobie równych. Na prawym skrzydle posunięto się o ponad 600 km. Odległość tę wojska przeszły w nieprzerwanych walkach. Wojska prawego skrzydła wyteżały resztki sił dla wykonania zadania kwatery głównej (Stawki). Natomiast wyzwolenie Warszawy było możliwe jedynie w wyniku nowej wielkiej ofensywy, która też później nastąpiła. W sierpniu 1944 roku trzeba byłoby dokonać wielu operacji, aby zdobyć Warszawę, chociażby jako większy przyczółek.

Jednakże ci, którzy pchnęli Warszawian do powstania, nie myśleli o zjednoczeniu się ze zbliżającymi się wojskami Związku Sowieckiego i Armią Polską. Obawiali się tego. Myśleli o czymś innym, kładąc u podstaw powstania elementy politykierskie, dążyli do zagarnięcia w stolicy władzy przed wkroczeniem do Warszawy wojsk sowieckich. Tak rozkazali panowie z Londynu.

W potężnym marszu na zachód, łamiąc wszelkie przeszkody stawiane przez nieprzyjaciela, wojska naszego frontu wypełniały z nadwyżką swoje zadanie, jakim było zdobycie przyczółków niezbędnych do przygotowania nowej operacji. Ale do jej rozpoczęcia trzeba było czasu.

Owszem, Warszawa była tuż — toczyliśmy ciężkie bitwy na przedpolach Pragi. Ale każdy krok wymagał ogromnego wysiłku.

Wraz z grupą oficerów odwiedziłem walczącą tu 2-gą armię pancerną. Z punktu obserwacyjnego, umieszczonego na wysokim kominie fabrycznym, widzieliśmy Warszawę. Miasto tonęło w kłębach dymu. Tu i ówdzie płonęły domy. Rozbłyskiwały wybuchy bomb i pocisków. Było widoczne, że w mieście toczy się walka.

Żadnej łączności z powstańcami na razie jednak nie mieliśmy. Nasze organy wywiadowcze usiłowały w najrozmaitszy sposób nawiązać z nimi kontakt. Nie udało się.

Aktywny udział w wyjaśnieniu wydarzeń w Warszawie mieli polscy towarzysze z Lublina. Po jakimś czasie stało się wiadome, że powstanie zostało zorganizowane przez grupę oficerów AK i zaczęło się 1 sierpnia na sygnał polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Powstaniem dowodził generał Bór-Komorowski i jego pomocnik, generał Monter (komendant Warszawskiego Okręgu

Wojskowego). Decydującą rolę odgrywała Armia Krajowa — jej oddziały były najliczniejsze, lepiej uzbrojone i zorganizowane. Do powstania przyłączyli się wszyscy patriotycznie nastrojeni mieszkańcy Warszawy, każdy, kto pałał nienawiścią do niemiecko-faszystowskich okupantów i pragnieniem najszybszego wygnania gńbicieli. Porwawszy za broń, Warszawiaci bili wroga. O niczym innym nie myśleli.

Jednakże ci, którzy poderwali ludność Warszawy do powstania w tak wyjątkowo niesprzyjającej sytuacji, powinni byli zastanowić się, nim zdecydowali się na taki krok.

Ze wszystkiego, co udało mi się dowiedzieć od polskich towarzyszy i z ogólnych materiałów, jakie nadeszły do sztabu frontu, wypływał wniosek, że przywódcy powstania starali się odizolować powstańców od jakichkolwiek kontaktów z Armią Czerwoną. Ale czas mijał i naród zaczął rozumieć, że jest oszukiwany. Sytuacja w Warszawie stawała się coraz cięższa, zaczęły się waśnie między powstańcami. Dopiero wówczas przywódcy (*gławari*) AK zdecydowali się poprzez Londyn zwrócić się do sowieckiego dowództwa.

Szef Sztabu Generalnego A. I. Antonow, po otrzymaniu tej depeszy, ustanowił łączność między nami a powstańcami. Już następnego dnia, 18 września, angielskie radio nadało wiadomość, że generał Bór zameldował o koordynacji działań ze sztabem Rokossowskiego, jak również o tym, że sowieckie samoloty nieprzerwanie dokonują zrzutów broni, amunicji i żywności dla powstańców Warszawy.

Okazuje się, że istniała możliwość szybkiego nawiązania łączności z dowództwem 1-go Białoruskiego Frontu. Jeśli byłaby tylko ku temu chęć. Zaś pospieszył się Bór z nawiązaniem kontaktu z nami dopiero po tym, jak nie powiodła się Anglikom próba zaopatrywania powstańców drogą lotniczą. Któregoś dnia pojawiło się nad Warszawą 80 samolotów typu „Latająca forteca”, osłanianych przez myśliwce „Mustang”. Nadlatywały grupami na wysokości 4.500 metrów i zrzucały ładunek. Rzecz jasna, że przy takiej wysokości zrzut rozpraszał się i nie trafiał do celu. Niemieckie działa zestrzeliły dwa samoloty. Po tym wypadku Anglicy prób nie ponawiali.

Opisując to wszystko, wybiegłem nieco naprzód. Do wydarzeń warszawskich jeszcze powrócę, teraz zaś zatrzymam się na walce, jaką toczyły nasze wojska.

Wymacawszy nasze słabe miejsca — odcinek między Pragą a Siedlcami, przeciwnik postanowił stamtąd zadać uderzenie w skrzydło i tył wojsk, które sforsowały Wisłę na południe od stolicy Polski. W tym celu skoncentrował on na wschodnim brzegu

w rejonie Pragi kilka dywizji: 4-tą pancerną, 1-szą pancerną „Herman Goering”, 19-tą pancerną i 73-cią pieszą. 2 sierpnia Niemcy zaczęli kontruderzenie, ale natknęli się na przedpolach Pragi na nadciągające z południa oddziały naszej 2-jej pancernej armii. Rozpoczęła się zacięta walka. Niemieckie wojska znalazły się w bardziej sprzyjającej sytuacji, gdyż wspierały się o silny warszawski umocniony rejon.

Wydawało się, że w takich okolicznościach powstańcy warszawscy mogli postarać się o zdobycie mostów na Wiśle i opanowanie Pragi, zadając przeciwnikowi uderzenie z tyłu. Pomogliby przez to wojskom 2-jej pancernej armii, i kto wie, jak potoczyłyby się wówczas wydarzenia. Ale to nie wchodziło w rachuby polskiego rządu w Londynie, którego trzech przedstawicieli znajdowali się w Warszawie, ani też w rachuby generałów Bora i Montera. Wykonali swoje brudne dzieło i uciekli, zaś za całą ich prowokację płacić musiał naród.



... Przełamanie wiślano-narewskiego wału obronnego otwierało przed nami bezpośrednią drogę do Niemiec. Oto dłaczego, w miarę nagromadzenia sił i środków, dowództwo niemieckie ponawiało uderzenia na nasze przyczółki i zjadale broniło swoich stanowisk na prawym brzegu Wisły na wschód od Warszawy, przechodząc od czasu do czasu do ofensywy. Na tym odcinku powstała nieznośna dla nas sytuacja. Na przedpolu Warszawy skupiło się silne ugrupowanie, składające się z 5-jej dywizji pancerniej SS „Wiking”, 3-jej dywizji pancerniej SS „Trupia Czaszka”, 19-jej pancerniej i dwóch bodaj dywizji piechoty. Nie mogliśmy pozwolić na to, by ugrupowanie to wciąż nam zagrażało. Kiedy przybyła 70-ta armia, podjęto decyzję dokonania próby rozbicia nieprzyjacielskich wojsk, zajmujących przedpole na wschód od Warszawy i zdobycia przedmieścia Warszawy, Pragi. Do operacji tej użyto 47-jej i 70-jej armii, część sił 1-jej polskiej armii, a ze wzmocnień — wszystko, co można było wycofać z innych odcinków frontu.

11 września wojska nasze rozpoczęły walkę. Do 14 września rozgromiły one przeciwnika i zdobyły Pragę. Mężnie walczyła piechota, czołgiści, artylerzyści, saperzy, lotnicy z naszych jednostek, a przy ich boku dzielni żołnierze 1-jej polskiej armii. Dużą pomoc żołnierzom w walkach w samym mieście okazali mieszkańcy Pragi i wielu z nich oddało w tych walkach życie.

Właśnie wtedy był najbardziej odpowiedni moment do powstania w stolicy Polski! Gdyby dokonano jednoczesnego uderzenia wojsk frontu od wschodu i powstańców z samej Warszawy (z opanowaniem mostów), to można było liczyć na wyzwolenie

Warszawy i utrzymanie jej. Na więcej, nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach, wojska frontu chyba nie mogłyby się zdobyć.

Oczyściwszy Pragę z przeciwników, armie nasze wyszły na wschodni brzeg Wisły. Wszystkie mosty, łączące przedmieście z Warszawą, były wysadzone.

W stolicy wciąż trwały walki.

Trwały też walki na północ od Pragi, w kierunku modlińskim. Nieco przycichło na przyczółkach narewskich, ale rozgorzały bardzo silne boje na zachodnim brzegu Wisły. Szczególnie ciężko było wojskom broniącym przyczółka magnuszewskiego. Muszę powiedzieć wprost, iż udało się nam go utrzymać w dużej mierze dlatego, że obroną kierował dowódca 8-ej gwardyjskiej armii Wasilij Iwanowicz Czujkow. Przez cały czas znajdował się tam, w samym piekle. Jest też prawdą, że dowództwo frontu czyniło wszystko, aby w porę przyjść z pomocą walczącym wojskom środkami frontowymi i lotnictwem.

Rozgrywająca się w Warszawie tragedia nie dawała nam spokoju. Świadomość tego, że jest niemożliwe podjęcie wielkiej operacji, mającej na celu okazanie pomocy powstańcom, było udręką.

W tym czasie rozmawiał ze mną Stalin. Złożyłem mu meldunek o sytuacji na froncie i o wszystkim, co było związane z Warszawą. Stalin zapytał, czy wojska frontu są teraz w stanie podjąć operację wyzwolenia Warszawy. Otrzymał ode mnie odpowiedź przeczącą, poprosił mnie o okazanie powstańcom możliwej pomocy, by ulżyć ich sytuacji. Moje propozycje co do postaci i sposobu pomocy zatwierdził.

Wspomniałem już, że począwszy od 13 września zaopatrzywalimy powstańców w broń, amunicję, żywność i leki. Użyliśmy do tego naszych nocnych bombowców Po-2, które dokonywały zrzutów z małych wysokości w punktach wskazywanych przez powstańców. Od 13 września do 1 października 1944 roku lotnictwo frontu dokonało na rzecz powstania 4.821 lotów, w tym 2.535 ze zrzutami dla oddziałów powstańczych. Na wezwanie powstańców nasze samoloty kryły ich rejony z powietrza oraz bombardowały i szturmowały niemieckie wojska w mieście.

Artyleria przeciwlotnicza zaczęła osłaniać wojska powstańcze od nalotów nieprzyjacielskiego lotnictwa, artyleria zaś — razić ogniem baterie dział i moździerzy wroga, usiłujące ostrzeliwać powstańców. Dla łączności i korygowania ognia zostali zrzućeni na spadochronach oficerowie. Udało nam się osiągnąć to, że niemieckie samoloty przestały zjawiać się nad dzielnicami zajętymi przez powstańców. Polscy towarzysze, którym udało się przedostać

do nas z Warszawy, z zachwytem mówili o skuteczności działania naszych pilotów i artylerzystów.

Różne organizacje powstańcze chętnie i z radością przyjmowały przybyłych na spadochronach oficerów łączności i obserwatorów artyleryjskich. Wszyscy Polacy-patrioci uprzedzali ich jednak, że Akowcy nie chcą z nami mieć nic wspólnego, że dowództwo AK zachowuje się podejrzanie, rozpalając wrogość przeciwko Związkowi Sowieckiemu, polskiemu rządowi, powstałemu w Lublinie i 1-ej polskiej armii. Budziło nieufność, że Bór nie spróbował zgoła nawiązać bezpośredniego kontaktu ze sztabem frontu, mimo że Sztab Generalny dostarczył mu szyfru. Było jasne, że ci politykierzy pójdą na wszystko, byle nie na współdziałanie z nami. I wszystko to zostało wkrótce potwierdzone.

Rozszerzając pomoc dla powstańców, postanowiliśmy wysadzić silny desant na przeciwnym brzegu Wisły, w Warszawie, wykorzystując do tego wodny transport. Zorganizowania operacji podjął się sztab 1-ej polskiej armii. Termin i miejsce desantu, plan osłony artyleryjskiej i lotniczej oraz współdziałanie z powstańcami — wszystko zostało zawczasu uzgodnione z dowództwem powstania.

16 września jednostki polskiej armii rozpoczęły przeprawę przez Wisłę. Lądowały na odcinkach wybrzeża, znajdujących się w rękach oddziałów powstańczych. Na tym opierały się wszelkie rachuby. Lecz nagle okazało się, że na odcinkach tych znajdowali się hitlerowcy.

Operacja przebiegała ciężko. Pierwszemu rzutowi desantu z trudem udało się ucześcić brzegu. Do walki trzeba było wprowadzać wciąż nowe siły. Straty rosły. Dowódcy powstania nie tylko nie okazali desantowi żadnej pomocy, lecz nawet nie próbowali skontaktować się z nim.

W takiej sytuacji było niemożliwe utrzymanie się na zachodnim brzegu Wisły. Postanowiłem operację przerwać. Pomogliśmy desantowi wrócić na nasz brzeg. 23 września oddziały te z trzech pułków piechoty 1-ej polskiej armii dołączyły do naszych jednostek.

Decydując się na bohaterски desant, polscy bojownicy świadomie szli na ofiarę, pragnąc pomóc swoim nieszczęsnym rodakom. Lecz zostali zdradzeni przez tych, dla których utrzymanie władzy było droższe od interesu ojczyzny. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że na rozkaz Bora-Komorowskiego i Montera jednostki i oddziały AK w chwili lądowania desantu zostały wycofane ze stref przybrzeżnych w głąb miasta. Ich miejsce zajęły wojska niemieckofaszystowskie. Poniosły przy tym straty znajdujące się tam od-

działy Armii Ludowej: Akowcy nie uprzedzili ich, że opuszczają odcinki przybrzeżne.

Od tego momentu dowództwo AK rozpoczęło przygotowania do kapitulacji, o czym w archiwach zachował się dość bogaty materiał. Nasze propozycje okazania pomocy tym, którzy pragnęli by ewakuować się z Warszawy na wschodni brzeg nie zostały wzięte pod uwagę. Już po kapitulacji udało się kilkudziesięciu powstańcom przedostać na nasz brzeg Wisły.

Tak tragicznie zakończyło się powstanie warszawskie.

K. K. ROKOSSOWSKIJ

J. NIEMCZYNSKIJ

WARSZAWA W OGNIU

Od ponad dwóch tysięcy historia nie znała tak bestialskiego, tak cynicznie zaplanowanego i barbarzyńsko urzeczywistnionego zniszczenia bezbronnego (w oryginale: pokojowego) miasta, jak stało się to z Warszawą — sercem i chlubą polskiego narodu. Hitler zamierzał doprowadzić do tego, by stolica Polski stała się tylko „pojęciem geograficznym”. Przy okazji, by dać świadectwo prawdzie, należy wspomnieć, że Hitler miał już wielce agresywnego prekursora: jeszcze pod koniec XVIII wieku włoski „doradca”, będący na służbie pruskiego króla Fryderyka II, niejaki Luccesini, przedłożył projekt, według którego stolica Polski miała być zrównana z ziemią, mieszkańcy zaś rozproszeni. „Warszawa” — „argumentował” ów „działacz” — będzie zawsze ośrodkiem polskich niepokojów „i Prusacy nigdy nie zaprowadzą tam porządku”.

Führer jeszcze w 1939 roku wydał rozkaz „przykładowego bombardowania” Warszawy przez lotnictwo. 16 lutego 1943 roku Reichsführer SS Himmler rozkazał: „Domy pod-ludzi (tj. Polaków — J.N.) winny zniknąć z powierzchni ziemi, a milionowe miasto Warszawa ma się zmniejszyć”. Później Hitler wydał rozkaz bardziej katoryczny: „Warszawę należy zrównać z ziemią”.

O tragedii Warszawy opowiada świeżo wydana książka Zenona Kliszki „Powstanie warszawskie”. Książka ta — to zbiór przemówień, artykułów, wspomnień i dokumentów, w całej pełni odśladających treść i tło wydarzeń, przebieg powstania i jego

tragiczne zakończenie. Wybitny działacz partyjny i państwowy Polskiej Republiki Ludowej, Zenon Kliszko, był uczestnikiem wydarzeń opisanych w książce: jako porucznik (co odpowiada stopniowi starszego lejtnanta) walczył on w 1944 roku w jednej z większych dzielnic stolicy Polski — na Żoliborzu, a następnie z kilkoma uczestnikami powstania przeprawił się przez Wisłę, na teren zajmowany przez oddziały sowieckie i polskie.

Czym było Powstanie Warszawskie, dlaczego 25 lat temu tragedia Warszawy poruszyła cały świat i do dziś nie poszła w zapomnienie?

Zróbmy niewielki wypad w historię drugiej wojny światowej, gdyż w ostatecznym wyniku tragedia Warszawy stanowi ostatni akt przestępczej, antyludowej i antysowieckiej polityki burżuazyjno-obszarniczego rządu przedwojennej Polski, zwłaszcza rządu tak zwanej „sanacji” (w 1926 roku Piłsudski pod pretekstem „sanacji”, czyli „oczyszczenia” kraju z „bolszewizmu”, dokonał przewrotu państwowego i wprowadził reżym dyktatury i prześladowania wszelkich postępowych elementów, przede wszystkim zaś komunistów).

Przez ponad dwa dziesięciolecia polski rząd burżuazyjny, liczne zmieniające się gabinety, kierowane zoologiczną nienawiścią wobec komunizmu, a zatem również wobec władzy sowieckiej, uporczywie i bez przebierania w środkach prowadziły wyuzdaną propagandę antysowietyzmu, wmawiając w ludność kraju, że jej głównym wrogiem są „Sowiety”. Mówi o tym bardzo dokładnie i przekonywująco w swoich „Wspomnieniach i myślach” autor recenzowanej książki. Decyzja o powstaniu w Warszawie, pisze on:

„wypływała z określonej koncepcji politycznej — reakcyjnej teorii 'dwóch wrogów' (tj. Rosji i Niemiec — J.N.), z antynarodowej i antysowieckiej pozycji polskich klas posiadających. Decyzja ta była uwięzieniem linii politycznej, podjętej przez polską burżuazję i obszarników jeszcze w latach 1918-1920”.

Mówiąc o „linii politycznej” autor ma na uwadze rozgromienie polskich organów ludowych, a następnie wojnę przeciwko ZSSR, o której tak powiedziane jest w jego książce:

„Kijowska wyprawa Piłsudskiego w kwietniu-maju 1920 r., której momentem krytycznym było zajęcie przez jego wojska Kijowa, a następnie odrzucenie ich przez Armię Czerwoną do samej Warszawy, nie tylko pogłębiła historyczną przepaść między Polską a Rosją, ale zrodziła ponadto źródło nieprzyjaźni między naszymi narodami w okresie międzywojennego dwudziestolecia”).

Nie bacząc na tę okrzyczaną „koncepcję”, polska burżuazja w przededniu drugiej wojny światowej, głównie dzięki staraniom

ministra spraw zagranicznych, Józefa Becka, zaczęła szukać i znalazła drogę do zbliżenia z hitlerowcami. Do jakiej wzruszającej „jedności” doszły sprawy, można ocenić chociażby według tego, że wysoko postawieni naziści przyjeżdżali w goście do Becka, a nawet polowali w puszczy Białowieskiej! Zaś w tym samym czasie w niewielkiej odległości, na Polesiu, w straszliwym obozie koncentracyjnym Bereza Kartuska, założonym w 1934 roku podług „najlepszych wzorów” faszystowskich katowni, w sposób podły i po barbarzyńsko gubiono polskich komunistów i komsołmców... Zgodny z prawidłami „sojusz” i nieuchronny wynik!

W 1939 roku alians polskiej burżuazji z niemieckimi faszystami doprowadził do straszliwej „wrześniowej katastrofy” — napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę — i do „czarnej nocy okupacji”. A można było przecież tego uniknąć: nie bacząc na całe zło, wyrządzone Polsce przez rządy burżuazyjno-obszarnicze, nie bacząc na ich atysowietyzm, rząd sowiecki, kierowany braterskimi uczuciami do polskiego narodu, w chwili niebezpieczeństwa zaproponował swoją pomoc. Ale wodzowie „sanacji” nie zgodzili się na przepuszczenie sowieckich wojsk przez terytorium Rzeczypospolitej i przez to skazali swój własny kraj na zgubę.

Tego naród polski nie wybaczył rządzącym. „Sanacja, odpowiedzialna za katastrofę wrześniową, była znenawidzona przez naród” — słusznie pisze Z. Kliszko. — „Działacze sanacji skompromitowali się całkowicie”. Należy dodać, że wina „sanacji” nie ogranicza się tylko do zdrady własnego narodu. Nie wiadomo jeszcze, jak ukształtowałaby się sytuacja, która doprowadziła do drugiej wojny światowej, gdyby wówczas, w jej przededniu, Polska zgodziła się na przemarsz sowieckich wojsk! Po połączeniu swoich wysiłków z wysiłkami Armii Czerwonej, siły zbrojne Polski (jakkolwiek słabe pod względem taktycznym, co przyznawała wówczas prasa sojusznicza) mogły dać Wehrmachtowi bardzo, i to bardzo poważny odpór. Nie jest wykluczone, że Hitler byłby zmuszony do wyrzeczenia się niektórych zaborczych planów.

Po zajęciu przez hitlerowców Polski, „sanacyjni” przywódcy uciekli za granicę. W Londynie utworzony został nowy „rząd”. Nie bacząc na oczywistą niepopularność w narodzie, „sanatorzy” nie wyrzekli się swoich stanowisk. Jak pisze Z. Kliszko:

„w nowych warunkach sanacja zaczęła rozwijać ożywioną działalność. Głęboka konspiracja i aresztowania czołowych działaczy demokratycznych sprzyjały jej zamiarom. Swoje wysiłki skierowała na zagarnięcie dowództwa wojskowego, na przeniknięcie do ośrodków politycznych w Polsce i na emigracji. Sanacja odniosła tu znaczny sukces. Udało się jej postawić swoich ludzi na decydujących odcinkach, zarówno w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), jak i w AK”.

Utworzona w konspiracji PPR — Polska Partia Robotnicza — od samego początku wysunęła żądanie konsolidacji wszystkich antyhitlerowskich sił i podjęcia walki zbrojnej. „Rząd” londyński odpowiedział na to utworzeniem AK — Armii Krajowej (*Nacjonalnej armii*) i innymi pociągnięciami, skierowanymi przeciwko PPR. Burżuazja i obszarnicy śnili o starych przedwojennych porządkach, marzyli o zagarnięciu władzy po rozgromieniu hitlerowskiej koalicji. I to właśnie zadecydowało o rozłamie politycznych i zbrojnych sił w kraju.

Ale reakcja przeliczyła się. Autor książki, w sposób przekonujący i uargumentowany wykazuje, że w toku wojny przeciwko hitleryzmowi klasa robotnicza stała się rzeczywistym przywódcą polskiego narodu. PPR, przodująca siła klasy robotniczej, proklamowała walkę z faszystowskimi okupantami. Stworzona przez PPR Armia Ludowa (*Narodna armija*) „przeprowadziła w 1944 roku 904 bojowych operacji, w tym 120 wielkich bitew, w których zabitych zostało tysiące niemieckich żołnierzy i oficerów. Zniszczono 24 czołgi, 91 samochodów, 3 samoloty, wykolono 322 pociągi, wysadzono w powietrze 79 mostów kolejowych. Jak widzimy, Armia Ludowa stała się dla hitlerowców groźną siłą.

A cóż Armia Krajowa? Z Londynu wydano jej rozkaz: „Stać z bronią u nogi!” Oznaczało to tylko jedno: unikać w miarę możliwości włączania się do walki, szczyć siły do decydujących walk o władzę, gdy tylko hitlerowcy zostaną wygnani z kraju. Hasło to było nakierowane na rozprawienie się z demokratycznymi siłami Polski — w pierwszym rzędzie z PPR i współpracującymi z nią organizacjami.

Taka była sytuacja w przededniu Powstania Warszawskiego. Należy tylko dodać, że w wyniku zwycięskiej ofensywy Sowietkiej Armii front ogniowy zbliżył się do granic Polski. W lipcu 1944 roku wojska sowieckie i walczące z nimi ramię przy ramieniu jednostki polskie (1. Armia Polska), sformowane w ZSSR, sformowały Zachodni Bug, w marszu zajęły Rzeszów, Hrubieszów i inne miejscowości na polskiej ziemi. Uderzeniem na Lublin armie wyzwolicielki zdecydowanie odrzucili hitlerowców. W Chełmie powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) i 22 lipca ogłoszony został znamieny Manifest Lipcowy, który stał się dokumentem programowym nowego, demokratycznego ustroju. Pamiętam, jak w wyzwolonym Lublinie na placu Litewskim (chodzi prawdopodobnie o plac Unii Lubelskiej — tłumacz), gdzie stały wystrojone wojska, zgromadziło się tysiące rozentuzjarmowanych ludzi, nie kryjąc łez! płakali zahartowani żołnierze i starcy, kobiety i dzieci: z mroku i popiołów powstała do nowego,

jasnego życia zdradzona przez „sanację” w 39-ym, ograbiona i zalana krwią w latach okupacji, lecz nieupokorzona Polska.

Stworzenie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Krajowej Rady Narodowej wywołało straszny zamęt i panikę w burżuazyjnych ośrodkach emigracyjnych i w samym „rządzie” londyńskim. Szybkie posuwanie się Armii Sowieckiej i sprzymierzonego z nią Wojska Polskiego było dla burżuazji zagrożeniem jej planów zagarnięcia władzy w kraju, powrotu do dawnych „dobrych” czasów niepodzielnego władania obszarniczych i przemysłowych magnatów. Reakcja musiała sięgnąć do środków ostatecznych.

Dla przeprowadzenia rozmów z przedstawicielami PKWN o utworzeniu w Polsce rządu koalicyjnego przyleciał do Moskwy znany działacz prawicowy, „premier” londyńskiego „rządu” emigracyjnego — Stanisław Mikołajczyk. Wszystkie jego próby dyktowania warunków spotkały się z niepowodzeniem — ludowi przedstawiciele Polski twardo, i słusznie, stali na niezmiennym stanowisku: Nie ma powrotu do starego! I wtedy, przerwawszy na jedną dobę rokowania na skutek dyplomatycznej „choroby”, Mikołajczyk zdecydował się na ostateczny krok. Pierwszego sierpnia — na polecenie z Londynu — zdrajca, generał Bór-Komorowski, nie uzgodniwszy swoich planów z dowództwem Armii Sowieckiej, z przedstawicielami Wojska Polskiego ani z organizacjami ruchu oporu (Gwardią Ludową, Armią Ludową, Polską Partią Robotniczą, Związkiem Walki Młodych itd.) — wywołał w Warszawie powstanie.

Z. Kliszko bardzo wyraźnie pisze:

„Warszawskie powstanie stanowi jedną z najtragiczniejszych kart najnowszej historii Polski... Według zamiarów jego przywódców i ze swej obiektywnej politycznej istoty powstanie miało charakter antyradziecki; celem jego było niedopuszczenie do zwycięstwa władzy ludowej w Polsce... 200 tysięcy ludzkich ofiar, zgłiszczą i zniszczą prawie całą stolicę — taki jest tragiczny wynik tego 'politycznego manewru'”.

Z. Kliszko obrazowo przedstawia czym kierowała się polska reakcja w walce o władzę. We wrześniu 1943 roku gazeta chrześcijańskich demokratów, *Naród*, pisała: „Z Bożej Woli Niemcy walczą o ocalenie chrześcijańskiej cywilizacji... Broniąc siebie, Niemcy winni również obronić Polskę...”. Tu, jak to się powiada, komentarze są zbędne. Straszliwą ilustracją tego, jak to faszyci „bronili chrześcijańskiej cywilizacji” stanowi podany w książce raport o wynikach badania sprawy zamordowanych 24 września 1944 roku mieszkańców domu nr 4 przy ulicy Gdańskiej.

15 września 1944 roku, kiedy wbrew prawidłom natarcia sowieckie oddziały oderwane od baz zaopatrzenia i głównych sił, wdarły się na przedmieścia Warszawy: „ujrzeliśmy dymy i pożogi okrywające miasto, nasze serca zadrżały, choć od dawna przestaliśmy się czemukolwiek dziwić: widzieliśmy przecież Babi Jar i Majdanek, zrujnowane rosyjskie i polskie miasta i wieś!”

Milionowa ludność Warszawy, nie znająca rzeczywistych celów przywódców powstania, ale od dawna żądna walki z nienawistnym okupantem, chwyciła za broń. Ugrupowania robotnicze i oddziały Armii Ludowej, które znajdowały się w owym czasie w Warszawie, musiały również włączyć się, aby stanąć na czele żywiołowej walki mieszczan. Właśnie oszukanej przez dowódców Armii Krajowej ludności stolicy i oddziałom Armii Ludowej nasze samoloty zrzucały broń, amunicję, żywność i leki.

Jeszcze w 1956 roku autor niniejszej recenzji miał sposobność pracowania nad książką I. Kołosa „Warszawa w ogniu”, będącej w jakiejś mierze odpowiedzią na kłamliwe oskarżenie zachodnich fałszerzy historii i inspirujących ich polskich reakcjonistów-emigrantów, jakoby Sowiecka Armia celowo nie spieszyła z pomocą powstańczej Warszawie, i, że miała w tym jakoby jakieś „własne rachuby”.

O tym, jaka ogromna pomoc robotniczym powstańcom i bojownikom Armii Ludowej została okazana z naszej strony, świadczy cytowany w książce raport dowództwa 1-ego Białoruskiego Frontu (marszałek K. K. Rokossowski) oraz długi wykaz broni, amunicji, żywności, leków, sprzętu itd. Jednostki Wojska Polskiego, oczekując krwią zdobywały przyczółek na Czerniakowie i jedynie z powodu zdrady Bora nie mogły umocnić swojego sukcesu i wyprowadzić powstańców.

Prawda o Powstaniu Warszawskim wyraziście i mocno, a co najważniejsze w sposób ściśle udokumentowany, opowiedziana została przez Zenona Kliszkę. Jego książkę z zaciekawieniem przeczytają miliony sowieckich ludzi.

J. NIEMCZYNSKI

Miesięcznik *Znamia*, nr. 8, Moskwa.

Uwaga tłumacza: Cytowane w recenzji urywki z książki Z. Kliszki nie są wzięte z oryginału, ale tłumaczone z rosyjskiego tekstu.



W następnym nrze *Zeszytów Historycznych* zamieścimy tłumaczenie relacji S. Sztienienki, gen. armii, pt. „Na drodze do zwycięstwa”, która ukazała się w miesięczniku *Znamia* nry 5 i 6 z 1970 r. — *R e d a k c j a*.

Włodzimierz ONACEWICZ

KOMENTARZE DO KSIĄŻKI LEONA MITKIEWICZA „Z GENERAŁEM SIKORSKIM NA OBCZYŹNIE”

Książka płk. L. Mitkiewicza „Z gen. Sikorskim na obczyźnie” została wydana przez Instytut Literacki w Paryżu jako „Dokumenty” i dlatego moim zdaniem powinna być oceniana przede wszystkim z punktu widzenia swej wartości jako źródło do historii.

Płk Mitkiewicz pisze na wstępie, że książka ta stanowi jego osobisty dziennik. Jednak dodaje potem, że w przygotowaniu do druku swych wspomnień jego myślą przewodnią było zebranie wszystkich dostępnych mu fragmentów działalności gen. Sikorskiego, celem odtworzenia jego testamentu politycznego, i że wydaje swoją pracę „w postaci pamiętnika, a raczej jego fragmentów”. Niestety książka jest tak napisana, że czytelnik nie jest w stanie oddzielić dziennika składającego się z zapisów współczesnych wypadkom od rzeczy dopisanych później na podstawie dokumentów lub z pamięci. Ponadto zapisy opublikowane w 20 lat później nie są zaopatrzone w przypisy prostujące ich błędy na podstawie późniejszych wiadomości. Te wady książki pomniejszają jej wartość jako źródła do historii. Gen. Marian Kukiel uważa, że „charakter mieszany — dziennika z pamiętnikiem a pamiętnika z kompilacją historyczną — odbił się na książce Mitkiewicza”.

Przy ocenie pamiętnika płk. Mitkiewicza rozróżniam dwa jego aspekty. Pierwszy, to kronika pewnych wydarzeń na emigracji w latach 1939-1943, których autor był świadkiem lub o których słyszał. Składają się na nią szczegółowe chronologie, sprawozdania

z konferencji z podaniem przebiegu obrad i nieraz dołączeniem dokumentów nieogłoszonych gdzie indziej, opisy przyjęć i parad z podaniem nazwisk obecnych, opisy dwóch podróży gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych, w których autor brał udział, itp. Zapisy kronikarskie były widocznie prowadzone przez autora systematycznie, i ta część książki ma niewątpliwą wartość dla historyka. Tego aspektu nie będę omawiać w niniejszych komentarzach.

Drugi aspekt pamiętnika to przedstawienie i analiza wydarzeń i stosunków wojskowych i politycznych, charakterystyki działaczy emigracyjnych, i próba oceny osoby i polityki gen. Sikorskiego. Ta część książki jest wysoce kontrowersyjna. W swoich wypowiedziach i osądach autor zdradza brak obiektywizmu i często kieruje się własnymi uprzedzeniami do jednostek i grup ludzi. Ten aspekt będzie tematem moich komentarzy.

Przy pisaniu tych komentarzy korzystałem z własnego archiwum i cennych uwag o pamiętniku gen. Mariana Kukieła, przyjaciela i współpracownika gen. Sikorskiego na najwyższych szczeblach w wojsku i rządzie, oraz płk. Stefana Zamoyskiego, zaufanego adiutanta gen. Sikorskiego, a później zastępcy attaché wojskowego w Waszyngtonie. Ponadto dzięki uprzejmości płk. Zamoyskiego otrzymałem do wglądu niemniej cenne opinie o książce płk. Mitkiewicza generałów Zygmunta Bohusza-Szyszko i Józefa Smoleńskiego, oraz pułkowników Michała Protasewicza i Tadeusza Rudnickiego, ich opinie przytaczam.

W niniejszych komentarzach poruszam tylko tematy i wydarzenia, które miałem możliwość zbadać, albo których byłem świadkiem. Pozostawiłem bez omówienia rzeczy niemniej ważne, bo są mi mniej znane, apeluję jednak do wszystkich żyjących świadków i uczestników tych wydarzeń, by zechcieli zabrać głos.

Generał Władysław Sikorski

Generał Sikorski jest oczywiście centralną postacią książki. Na przestrzeni swego pamiętnika autor charakteryzuje go zmiennie zależnie od chwili, i przypisuje mu nawet sprzeczne cechy. Podczas pierwszej podróży do Ameryki zapisał w marcu 1941 r., że Sikorski „jest człowiekiem o błyskotliwej inteligencji, niesłychanie szybko orientującym się w każdej nowej sytuacji”, i że cechuje go „wielka wiara w siebie i silna ambicja, połączona z poczuciem odpowiedzialności dziejowej”. W rok później, w czerwcu 1942 r., pisze: „Przy różnych brakach jego charakteru, do których zaliczam w pierwszym rządzie niestałość i chwiejność w de-

cyzjach, cenę w nim nade wszystko dar przewidywania, prawdziwą mądrość polityczną i odwagę, nieraz wbrew ogólnej opinii”. Gdzie indziej znowu pisze: „Generał jest człowiekiem wyrozumiałego kompromisu, jeśli nawet nie człowiekiem o chwiejnej postawie... Gen. Sikorski nie uważał kompromisu za cechę słabości charakteru, a przeciwnie — podobnie jak większość zachodnich mężów stanu — za dowód dojrzałości i wyrobienia politycznego”. I znów: „Gen. Sikorski jest wzorem polskiego patrioty — dla niego nie ma świętszej sprawy, jak niezmordowana służba dla ojczyzny”. A potem: „Lubi on niesłuchanie, jak każdy rdzenny szlachcic polski, atmosferę schlebiana, pewnej służalczości, uniżoności”. „Generał jest trochę nastrojowcem, odruchowo działa pod wpływem zewnętrznych impulsów”. Itp.

Gen. Kukiel jest zdania, że zarzut słabego charakteru i chwiejności w decyzjach w stosunku do gen. Sikorskiego jest nieuzasadniony i jest nieraz oparty na braku głębszego wejrzenia przez płk. Mitkiewicza w rzeczywistość wojenną i polityczną chwili. Tak w związku z ironicznym opisem przez Mitkiewicza sceny alarmu gen. Sikorskiego w Waszyngtonie (10 kwietnia 1941 r.), kiedy pod wrażeniem złych wiadomości z Londynu o ogólnej sytuacji miał krzyknąć: „Churchill może się beze mnie załamać” i „prawie nie panując nad sobą” zapowiedział swój powrót do Londynu dnia następnego (który potem odwołał), gen. Kukiel zwraca uwagę na to, że sytuacja, która zaniepokoiła gen. Sikorskiego, była istotnie groźną. „Tymczasem nasilenie dziennego i nocnego bombardowania Anglii jest u szczytu (pisze gen. Kukiel), bitwa o Atlantyk w pełni, kampania afrykańska przegrana, sytuacja na Środkim Wschodzie krytyczna, Ameryka nie śpieszy się z czynnym udziałem w wojnie — nie ma gotowych sił. Natomiast zarysowuje się konflikt niemiecko-sowiecki, a wywiad brytyjski i nasz rachuje wielkie jednostki napływające z obu stron na linię Ribbentrop-Mołotow... i jest oczywistość nadchodzącej wojny”. Tej sytuacji, jak później perspektywy bliskiego uderzenia niemieckiego na Rosję Mitkiewicz, zdaniem gen. Kukiela, nie doceniał, bo w tak krytycznym okresie pozostawał w St. Zj. (do 1 lipca 1941), „w związku z beznadziejną sprawą tworzenia tam korpusu polskiego”, zamiast być w Londynie i kierować pracą Oddziału II Sztabu N.W.

Zdarzyło się, że 21 czerwca 1941 r. byłem w Nowym Jorku i stałem w tym samym hotelu co płk Mitkiewicz. Po otrzymaniu wiadomości o ataku niemieckim na Rosję od zawsze doskonale poinformowanego prof. Klemensa Jędrzejewskiego, płk Mitkiewicz zbudził mnie, by mi zakomunikować tę wiadomość. Odniosłem wówczas wrażenie, że był kompletnie zaskoczony tą nową

wojną, ale nie wyciągam z tego wniosku, bo nowina była sama przez się wstrząsająca.

Płk Mitkiewicz krytykuje gen. Sikorskiego za prowadzenie w lipcu 1941 r. negocjacji w sprawie umowy polsko-sowieckiej i zgodę na odroczenie ostatecznego załatwienia sprawy naszej granicy wschodniej. Dosyć naiwnie twierdzi on że: „Cała ta dość nieprzyjemna historia z umową polsko-sowiecką w największej mierze wynikła z błędnego startu gen. Sikorskiego w pierwszym spotkaniu z amb. ZSSR Majskim... gen. Sikorski zgodził się z miejsca, na gorąco, na ostateczne załatwienie sprawy naszej granicy wschodniej dopiero po skończonej wojnie”. Jest jasne, że umowa wynikła nie z „mylnego startu” Sikorskiego, a z decyzji Stalina — unieważnić na zawsze Traktat Ryski. Ośmielony szybką i bezwarunkową ofiarą pomocy ze strony W. Brytanii i nawet Roosevelta, Stalin nie miał żadnego zamiaru wyrzeczenia się terytorialnych nabytków uzyskanych od Niemców w 1939 r. Sam Mitkiewicz pisze nieco dalej, że „Sowieciarze patrzą na Polskę, jak na swoją sowiecką republikę ze wszystkimi konsekwencjami”. Z innej strony rząd J.K. Mości widział w aliansie z Rosją deskę ratunku dla osaczonej i zmęczonej W. Brytanii i nie chciał dopuścić, by spór polsko-sowiecki o granicę wpłynął ujemnie na ten alians. Wreszcie atuty, jakimi rozporządzał Sikorski w tej grze były słabe: mała armia uzależniona finansowo od Wielkiej Brytanii, naród i terytorium Polski pod szczelną okupacją niemiecką, brak jedności w rządzie na wygnaniu. Płk Mitkiewicz jednak słusznie krytykuje prowadzenie rokowań przez gen. Sikorskiego osobiście, z pominięciem naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, co później ułatwiło opozycji zwalenie na niego całej odpowiedzialności za ich wynik.

Gen. Kukiel tak ocenia umowę polsko-sowiecką:

„Próbowano najlepszych (formuł w sprawie granicy) daremnie i pozostała tylko taka, jaką przyjęto, unieważniająca rozbiorowe umowy z Hitlerem, a stwierdzająca oficjalnie uznanie naszej ciągłości państwowej i suwerenności naszego rządu; sprawę granic pozostawiono przyszłym układom; skoro oba mocarstwa anglosaskie stały na stanowisku że nie gwarantują żadnej granicy, pozostawały tylko jako rękojmia tymczasowe ich deklaracje, że nie uznają żadnych zmian granicznych dokonanych siłą w toczącej się wojnie. Alternatywą było przerwanie rokowań a tym samym wyrzeczenie się ratowania tam milionowej masy Polaków i tworzenia siły polskiej”.

Płk Mitkiewicz krytykuje wybór gen. Andersa na dowódcę armii polskiej w Rosji. Pisze, że on i gen. Klimecki w długiej rozmowie namawiali i przekonywali gen. Sikorskiego, żeby wyznaczył kogoś ze starszych generałów z Anglii. „Naszym głównym argumentem (pisze Mitkiewicz) był ten, że jest absolutnie nie-

wskazane i niepożądane, aby Anders dopiero wczoraj uwolniony z więzienia sowieckiego pozostawał w Rosji i obejmował komendę nad wojskiem, złożonym z jego wczorajszymi towarzyszami więzennymi o podobnym nastawieniu antysowieckim”. Co za wymowny przykład rozumowania sztabowca, stojącego daleko od wojska, nierozumiejącego już duszy żołnierza, nieznającego odwiecznej tajemnicy dowodzenia, która polega na duchowej więzi pomiędzy wodzem a żołnierzem, wreszcie niezrozumienia specjalnej sytuacji i niezwykłego żołnierza wojska tworzono w Rosji. Zacytuję tu znowu zdanie gen. Kukiela, jednego z kandydatów na dowódcę wojska polskiego w Rosji wysuwanych przez Mitkiewicza i Kli-meckiego:

„Nie sądzę by mógł stać na czele tej masy zmartwychwstańców ktoś kto ich męki nie przeżył wraz z nimi, a zarazem ktoś nie znający Rosji, wojska rosyjskiego (poza polem bitwy) i nie dość władający językiem rosyjskim”.

Gen. Sikorski znał dobrze gen. Andersa i nie oglądając się na opinie swych doradców wyznaczył go na dowódcę wojska w Rosji. Historia wykazała, że wybór gen. Sikorskiego był słuszny. Ten przykład powzięcia przez gen. Sikorskiego ważnej i trudnej decyzji wbrew natarczywym radom swoich pomocników obala twierdzenie płk. Mitkiewicza, że gen. Sikorski „przy pozorach twardego charakteru, jest szalenie chwiejny; ulega każdemu, kto przyjdzie do niego z nową koncepcją”.

Według opinii gen. Kukiela, przyczyną późniejszego głębokiego nieporozumienia między Londynem a Kwaterą Główną gen. Andersa na Wschodzie w związku z pierwszą fazą ewakuacji z Rosji i uzyskaniem decyzji co do drugiej, o czym szeroko pisze płk Mitkiewicz, była w dużej mierze arbitralność Sztabu N.W., który traktował armię Andersa tak, jakby była wydzielonym batalionem czy brygadą, z wynikającymi stąd zadrażnieniami obustronnymi.

Z wielu rozmów płk. Mitkiewicza z gen. Sikorskim, przytoczonych w jego książce, najbardziej uderzyła mnie rozmowa w Waszyngtonie podana pod datą 23 marca 1942 r., przed widzeniem się Sikorskiego z Rooseveltem. Generał miał powiedzieć: „Jeżeli i tutaj, w Ameryce, nic mi nie pomogą, to nie pozostaje mi nic innego, jak przeniesienie się ze sztabem, a być może z Rządem R.P. do Moskwy, i pójście na całego ze Stalinem”. Przecież Generał musiał wiedzieć, że jego przeniesienie się do Moskwy oznaczałoby rezygnację z wszelkiej swobody działania i całkowite oddanie się pod rozkazy Stalina, a więc także przyjęcie „linii Curzona” przeciw której walczył. Wiedział on także, że przy ówczesnych antysowieckich nastrojach w wojsku i społeczeństwie emigracyjnym, do Moskwy pojechałby sam, może w towarzystwie

kilku oddanych sobie oficerów, ale na pewno bez Rządu R.P. Nawet nasze wojsko w Rosji prawdopodobnie odniosłoby się negatywnie do takiego przerwania się na stronę sowiecką. Jestem pewien, że każdy kto znał lepiej gen. Sikorskiego, jego rozum i pewną naturalną rezerwę w stosunku do otoczenia, przeczytał relację z tego niemal historycznego jego zwierzenia wobec swego oficera sztabu z takim samym zdziwieniem jak ja, i pewno z niedowierzaniem.

Swego twierdzenia, że gen. Sikorski posiadał dar przewidywania przyszłości, płk Mitkiewicz nie poparł żadnym dowodem. Historia wskazuje raczej, że przy całym swoim rozumie i doskonałej orientacji w teraźniejszości politycznej, jako mąż stanu gen. Sikorski nie posiadał daru przewidywania dalszej przyszłości. Wszak nie przewidział on możliwości klęski wojennej Francji. Powiedział mi o tym sam we wrześniu 1940 r. na przyjęciu jakie wydał na cześć gen. Bronisława Duchy i kilku oficerów 1-ej dywizji Grenadierów, którzy pierwsi dotarli do Anglii. Wprawdzie klęski Francji nie przewidzieli także Anglicy, jej najbliżsi sąsiedzi, bo wraz z najlepszymi jednostkami wojska wysłali na kontynent prawie cały swój nowoczesny sprzęt, który wpadł w ręce Niemców. Nie znając Rosji i prawdopodobnie nie rozumiejąc bezgranicznej zachłanności sowieckiego komunizmu, gen. Sikorski widocznie nie przewidział końcowego celu polityki Stalina, którym było nie tylko odebranie Polsce ziem wschodnich, ale ujarznienie całej Polski, i włączenie jej do imperium sowiecko-rosyjskiego. Gdyby przewidział ten zamiar Stalina, to nie budowałby z początku nadziei na wspólnej walce wojska polskiego w Rosji z armiami sowieckimi przeciwko Niemcom i starałby się jak najprędzej wyprowadzić armię Andersa z Rosji razem z tymi Polakami, których można było uratować. Wreszcie przywiązywał zbyt wielką wagę do przyrzeczeń Roosevelta pomocy Polsce i nie przejrzał utopijnej polityki prezydenta St. Zj., która opierała się na wierze w możliwość współpracy międzynarodowej z Rosją Sowiecką i gotowości Roosevelta do poniesienia dużych ofiar (naturalnie cudzym kosztem) na rzecz realizacji tej mrzonki, nie cofając się nawet przed oddaniem Stalinowi Polski i całej Środkowo-Wschodniej Europy. Te przewidywania wymagały pewnego daru jasnowidzenia, ale niektórzy mężowie stanu ten dar posiadali i to pozwalało im prowadzić dalekosiężną politykę. Należy tu dodać, że jeżeli chodzi o politykę Stalina i Roosevelta, to wiele znaków ostrzegawczych ukazało się jeszcze przed śmiercią gen. Sikorskiego.

Płk Mitkiewicz pisze dużo o wadach charakteru gen. Sikorskiego. Pisze między innymi: „Ma on w sobie jakiś nieuchwytny czar, który przyciąga do niego ludzi, chociaż umie być opryskliwy,

porywczy, a nawet szorstki do podwładnych”. Niewątpliwie, gen. Sikorski posiadał wiele ludzkich słabostek, był autorytatywny i nawet arbitralny, unosił się, był nietolerancyjny w stosunku do krytyków, był podejrzliwy. Ale płk Mitkiewicz przejaskrawia wady Sikorskiego i jakby lubuje się w ich wyliczaniu i opisach, co nieraz przesłania prawdziwe oblicze Generała. Oto przykład takiego przejaskrawienia. Opisując obiad wydany przez Sumner Welles’a 23 marca 1942 r. w Waszyngtonie na cześć gen. Sikorskiego, płk Mitkiewicz pisze, że słuchając pochlebnej mowy gospodarza, Generał który „lubi zapach kadzidła” „rósł w oczach”, co sugeruje pewną śmieszność. Byłem na tym obiedzie i także pilnie obserwowałem gen. Sikorskiego, który nigdy, również kiedy słuchał komplementów Sumner Welles’a, nie stracił nic ze swej zwykłej godnej i dystygowanej postawy. Generał miał powody polityczne do zadowolenia z przyjaznej mowy podsekretarza stanu, bo był to okres największego zbliżenia Sumner Welles’a do Roosevelta i jego dużego wpływu na politykę zagraniczną państwa. Mitkiewicz widocznie przeoczył obecność na przyjęciu gen. bryg. Dwight D. Eisenhowera, ówczesnego szefa oddziału operacyjnego Sztabu Gen. i jedyne Amerykanina w mundurze (wieczorowym). Przyszły naczelny wódz armii Aliantów, uprzejmy i przyjazny, ale nie imponujący postawą, rozmawiał niedługo z gen. Sikorskim a mnie zaprosił, bym go odwiedził w Sztabie.



Miałem także sposobność obserwowania generała Sikorskiego z bliska. Jako szef gabinetu N.W. od września 1940 do kwietnia 1941 r., widziałem go bardzo często, towarzyszyłem mu podczas jego wizyt u wyższych dowódców brytyjskich, i byłem z nim dwa razy w Szkocji na inspekcji wojska połączonej z odpoczynkiem w Gasku. Zachowałem go w pamięci, jako człowieka o głębokiej i żywej inteligencji, szefa o naturalnym autorytecie i pewności siebie ale dobrego i uprzejmego, dystygowanego *gentleman*’a w mowie i obęjściu. W moich stosunkach służbowych nigdy nie zaobserwowałem tej chwiejności i braku decyzji, o których rozchodzi się płk. Mitkiewicz. Mój resort obejmował sprawy wojskowe. Generał zawsze czytał wszystkie papiery przed podpisaniem, ale dyskutował tylko sprawy ważniejsze i rzadko zmieniał proponowaną redakcję. Nieraz po załatwieniu bieżących spraw wdawał się w rozmowę na tematy szersze i nie wojskowe. W Szkocji, w pięknej rezydencji wiejskiej Gasku, stosunek Generała do towarzyszących oficerów był przyjazny i wolny od formalności, i odbywaliśmy z nim te długie spacery, o których pisze płk Mit-

kiewicz. Podczas moich dwóch podróży do Szkocji z Generałem, Mitkiewiczem z nami nie było. Obserwowałem z jakim szacunkiem i przyjaźnią odnosili się do Generała wyżsi dowódcy brytyjscy. Szczególnie żywo pamiętam pierwszą wizytę w listopadzie 1940 r. u gen. Alan Brooke'a, wówczas głównodowodzącego wojskami w Wielkiej Brytanii, który przyjął nas w szkole Św. Pawła, gdzie mieszkał i spał podczas największego natężenia bombardowania Londynu. Gen. Brooke od razu przyjął gen. Sikorskiego niezwykle uprzejmie, ale gdy się pokazało, że generałowie mogą rozmawiać bez tłumacza po francusku (gen. Alan Brooke, obecnie Field Marshal lord Alanbrooke, mówi po francusku jak rodowity Francuz), to ich komitywa stała się serdeczną. Dość długo gawędzili o wojnie i nawet o Stalinie.

Jako attaché wojskowy w Waszyngtonie obserwowałem gen. Sikorskiego w Ameryce. Tu przyjeżdżał przede wszystkim w sprawach politycznych, jako premier R.P., i tylko podczas trzeciego swego przyjazdu poruszył także ogólne sprawy wojskowe. Do Białego Domu towarzyszył mu amb. J. Ciechanowski. Podczas jego przyjazdów biuro attaché wojskowego przerywało normalną pracę i stawało się sztabem Generała, który umiał zająć kilkanaście osób w dzień i w nocy. Ilość długich szyfrowanych depesz wysyłanych i otrzymywanych była zadziwiająca, wszyscyśmy szyfrowali i odszyfrowywali. Gen. Sikorski nigdy nie nawiązał bliższych stosunków z gen. George Marshall'em, szefem sztabu generalnego St. Zj., który jako człowiek raczej suchy nie odczuwał czaru naszego Generała, a według poufnych plotek uważał Sikorskiego za generała politycznego i był do niego uprzedzony (sam Marshall został szefem sztabu dzięki stosunkom politycznym!).

Chociaż zawsze odnosiłem się do gen. Sikorskiego z głębokim szacunkiem i uznaniem, to jednak dopiero z biegiem czasu dostrzegłem w tym człowieku, tak niewolnym od ludzkich wad, niezawodny rys wielkości. Według mnie zasłużył on na laur wielkości nie jako mąż stanu, dyplomata i nawet dowódca wojskowy, chociaż w każdej z tych dziedzin wykazał wybitne talenty i położył znakomite zasługi, lecz jako natchniony i niezłomny wódz w walce o niepodległość podczas najczarniejszej dla nas godziny. Podjął to zadanie po klęsce wrzesniowej i już nie złożył broni aż do swej tragicznej śmierci.

Po klęsce Francji w 1940 r. i stracie większej części odtworzonego tam wojska polskiego, gen. Sikorski przeniósł się wraz z rządem i resztkami wojska na oblężoną wyspę angielską.

Wódz nie siedział w Anglii beczynnianie. Kierował z wyspy podziemną organizacją, cywilną i wojskową, w Kraju. Szukając szerszego poparcia dla sprawy polskiej i ochotnika do wojska,

w 1941 r. udał się po raz pierwszy do St. Zj. Powtórzył tę podróż w 1942 i 1943 r., tym razem by bronić zagrożonej granicy państwa. Gdy pokłócili się dwaj oprawcy Polski, Hitler i Stalin, i błysnęła nadzieja uwolnienia naszych zesłańców w Rosji i stworzenia tam wojska polskiego, Sikorski, pomimo silnej opozycji wśród swoich, zawarł z Sowietami pakt, poleciał do Stalina do zagrożonej przez Niemców Moskwy, uwolnił znaczną rzeszę więźniów i położył podwaliny pod armię Andersa. Po drodze do Rosji, odwiedził brygadę Karpacką w oblężonym Tobruku, jedyny wysoki dowódca, który zaryzykował tę podróż. Był gotów polecieć do Stalina po raz drugi, żeby bronić naszej granicy wschodniej, ale do tego nie doszło. Ostatnią swą podróż odbył na Bliski Wschód, by usunąć nieporozumienia z gen. Andersem i przywrócić harmonię w wojsku. Z tej podróży już nie wrócił.

Tak te trzy lata walki o Polskę zeszyły mu na znojnej pracy. Dalekie podróże lotnicze w czasie drugiej wojny światowej nie były podobne do dzisiejszej błyskawicznej i wygodnej powietrznej komunikacji, były one poważną próbą dla zdrowia, a przy tym były niebezpieczne, ale Generał nie poniechał ich nawet po dwóch pierwszych nieudanych zamachach na jego życie. Zmagał się w nierównej walce z egoistycznymi interesami największych potęg świata, które zagrażały istnieniu wolnej Polski, i walki tej nie mógł wygrać, jak nie mogliśmy sami wygrać kampanii wrześniowej 1939 r., ale do końca życia nie załamał się i podtrzymywał w innej wolę walki.

Musiał także walczyć z rodzimą opozycją o utrzymanie steru w swoich rękach, co robił nie dla ambicji, bo w tym ostatnim okresie życia jedyną jego ambicją było służyć Polsce, a dlatego, że był przekonany, iż z naszych emigracyjnych działaczy jest najbardziej powołany do prowadzenia naszej walki.

Przytoczę tu znamienne słowa Prezydenta Raczkiewicza, który w lipcu 1940 r. chciał usunąć Sikorskiego z prezesury rady ministrów. Było to w grudniu 1943 r., kiedy po raz pierwszy przyjechałem z Waszyngtonu do Londynu i zostałem zaproszony na rozmowę do Pana Prezydenta, który od lat darzył mnie swoją sympatią i zaufaniem. Po dłuższej rozmowie o położeniu sprawy polskiej w St. Zj. i w świecie, Prezydent zamilkł a po chwili powiedział: „Pułkowniku, Pan był świadkiem moich nieporozumień z nieboszczykiem gen. Sikorskim. Głównym źródłem ich było to, że Generał chciał robić za mnie moją robotę. Chcę żeby Pan wiedział, jak bolesną jest dla mnie jego strata. Wśród nas nie ma nikogo, kto mógłby jego zastąpić. Po jego śmierci żyjemy w izolacji”.

Działalność płk. Mitkiewicza w Londynie w pierwszej połowie 1940 roku

Ta działalność jest opisana w rozdziale II jego książki zatytułowanej: „W Międzyalianckim Komitecie Wojennym w Londynie”, który jest jednym z najbardziej niejasnych rozdziałów pamiętnika. Przy rozwikłaniu opowiadania autora korzystałem z uwag płk. Stefana Zamoyskiego i nadesłanych przez niego wyjaśnień Lt. Gen. Sir Harold Redman’a, szefa sekretariatu brytyjskiego Wojennego Gabinetu (*War Cabinet Secretariat*) w 1939-40 i sekretarza Combined Chiefs of Staff w 1943-44.

Przedstawiciel wojskowy. Pod datą 23 stycznia 1940 r. płk Mitkiewicz pisze: „Otrzymałem... nominację do Londynu na stanowisko przedstawiciela w *Międzyalianckiej Najwyższej Radzie Wojennej*”.

Pod datą 1 lutego 1940 r. pisze: „Mam wejść do *Rady Międzyalianckiej* — raczej do *Komitetu Wykonawczego Najwyższej Rady Wojennej* — jako przedstawiciel osobisty Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych”. Podaje także zadanie zlecone mu przez gen. Sikorskiego: „pilnować interesów Polski pod względem politycznym i strategicznym w Komitecie Wykonawczym Rady Wojennej w Londynie, domagać się, a co najmniej usilnie starać się, o stanowisko równorzędnego Alianta z Francją i Wielką Brytanią, domagać się przyspieszenia formowania wojska polskiego we Francji i lotnictwa polskiego w Anglii”.

Pod datą 1 lutego 1940 r. pisze, że gen. Sikorski polecił p. Augustowi Zaleskiemu, ministrowi spraw zagranicznych, notyfikować płk. Mitkiewicza oficjalnie rządowi Francji i W. Brytanii, jako oficera wyznaczonego przez rząd polski do *Komitetu Wykonawczego Międzyalianckiej Najwyższej Rady Wojennej* w Londynie.

Tu zaczyna się wielkie nieporozumienie, bo „Komitetu Wykonawczego Najwyższej Rady Wojennej” w ogóle nie było.

Istniała „Najwyższa Rada Wojenna”, po angielsku: *The Supreme Council*, utworzona 12 września 1939 r., jako instytucja wyłącznie francusko-angielska. Jej członkami byli premierzy i po jednym ministrze od W. Brytanii i Francji. Mieli do niej wejść ewentualnie ambasadorowie państw sprzymierzonych, ale do tego nie doszło. Utworzono także francusko-brytyjskie sekretariaty po obu stronach La Manche. Egzekutywa była wyłącznie w rękach rządów Francji i W. Brytanii. Rada zebrała się 12 razy, zawsze

1. Wszystkie podkreślenia moje.

dla specjalnego celu. Ostatnie posiedzenie Najwyższej Rady Wojennej odbyło się 12 czerwca 1940 r.

Gen. Redman stwierdza, że nigdy nie było „Komitetu Wykonawczego Najwyższej Rady Wojennej” (*Executive Committee of the Supreme War Council*) i że w ogóle nie było żadnego komitetu przy Najwyższej Radzie Wojennej. Gen. Sikorski widocznie był wprowadzony w błąd co do składu i charakteru Naj. Rady Woj., kiedy polecił notyfikować płk. Mitkiewicza jako oficera wyznaczonego do nieistniejącego komitetu wykonawczego. Tu należy dodać, że na przestrzeni kilku stron pamiętnika autor zmienia kilkakrotnie nazwę tego komitetu, co jeszcze bardziej utrudnia zidentyfikowanie komitetu, o którym pisze. Używa on nazw: Komitet Wykonawczy Naj. Rady Woj., Komitet Wykonawczy Międzyaliantkiej Naj. Rady Woj., Komitet Międzyaliantki, Komitet Międzyaliantki Wojenny.

Gen. Redman stwierdza, że istniał „Sojuszniczy Komitet Wojskowy” (*Allied Military Committee*), anglo-francuska instytucja stworzona na początku wojny. Komitet ten zbierał się zwykle w Londynie, ale czasem także w Paryżu. Składał się on z angielskich i francuskich przedstawicieli trzech broni (armii, marynarki i lotnictwa) w stopniu generała-majora lub odpowiednim, i zajmował się jedynie sprawami techniczno-wojskowymi. Według gen. Redmana, nie miał nigdy większego znaczenia, ale spełniał pożyteczną rolę pośrednika pomiędzy sojuszniczymi siłami zbrojnymi. Gen. Redman stwierdza, że *komitet ten nie miał nic wspólnego z Najwyższą Radą Wojenną*.

Nie ulega wątpliwości, że to do tego komitetu starał się wejść płk Mitkiewicz. Wymienia on go poprawnie w nawiasie w tytule II rozdziału pamiętnika jako *Allied Military Committee*, ale w tekście nazywa przeważnie Komitetem Wykonawczym Naj. Rady Woj. Przypisuje mu ponadto wysokie kompetencje, których ten skromny komitet nie posiadał i nie mógł posiadać: „kierowanie strategią anglo-francuską; przedstawianie odpowiednich wniosków politycznych rządowi; koordynacja zaopatrzenia alianckich sił zbrojnych”. Porównuje ten komitet do „kwatery głównej” Marszałka Focha w 1-ej Wojnie Światowej, chociaż zaznacza, że „nie ma on władzy zwierzchniej nad siłami alianckimi”. To ostatnie porównanie, chociaż negatywne, najlepiej ujawnia, jak dalece nie zdaje sobie autor sprawy z tego, czym był *Allied Military Committee*. Sztab Focha był organem dowodzenia naczelnego wodza wielkiej koalicji, podczas gdy *Allied Military Committee* był komitetem koordynacyjnym poszczególnych broni i zaopatrzenia.

Ale i do Sojuszniczego Komitetu Wojskowego płk Mitkiewicz nie został przyjęty, jako członek. Odbyło się wprawdzie posie-

dzenie komitetu, na którym ustalono, że będzie zapraszany, gdy będą omawiane sprawy dotyczące użycia polskich sił zbrojnych, ale na tym się skończyło. Jak autor sam pisze, nie był nigdy zapraszany na posiedzenia komitetu, które odbywały się codziennie.

Tak więc płk Mitkiewicz nie miał w Londynie żadnej sposobności do funkcjonowania jako wojskowy delegat polski i do wykonania zadania, które mu zlecił gen. Sikorski. Co jest jednak zastanawiające to to, że nigdy nie zorientował się co do właściwego charakteru *Allied Military Committee* i ciągle uważał go (i widocznie jeszcze uważa) za Komitet Wykonawczy Naj. Rady Woj. Płk Zamoyski tłumaczy to niezwykle nieporozumienie tym, że płk Mitkiewicz nie znał obcych języków, bo „słabo władał francuskim, a angielskiego wcale nie znał”.

Sprawa Brygady Podhalańskiej. 29 kwietnia 1940 r. mjr J. Iliński, zastępca szefa sztabu Brygady Podhalańskiej, zawiadomił płk. Mitkiewicza, że zaokrętowana Brygada znajduje się w szkockim porcie Greenock i że dowódca Brygady, gen. Z. Bohusz-Szyszko, prosi go by przyjechał. Płk Mitkiewicz nie był powiadomiony przez Sztab N.W. o odpłynięciu Brygady z przeznaczeniem do Norwegii.

Po tym telefonie płk Mitkiewicz udał się do gen. Marshall-Cornwall'a, szefa Sojuszniczego Komitetu Wojskowego, i prosił go o zapewnienie mu łączności z Brygadą Podhalańską, oraz zgłosił swe zainteresowanie jej zaopatrzeniem i ewakuacją rannych. Gen. Marshall-Cornwall odrzucił kategorycznie jego prośbę i powiedział wprost, że nie uważa łączności Brygady Podhalańskiej z płk. Mitkiewiczem „ani za potrzebną, ani wskazaną”. Brygada Podhalańska była częścią składową dywizji francuskiej gen. Béthouart i całkowicie jemu podlegała, ale miała bezpośrednią łączność ze Sztabem N.W. przez sieć Aliantów. W tych warunkach ingerencja płk. Mitkiewicza w sprawy Brygady miałyby uzasadnienie, gdyby otrzymał odpowiednie zlecenie od swoich przełożonych w Paryżu. Natomiast fakt, że nie został on nawet powiadomiony o wysłaniu Brygady do Norwegii, mógł być uważany przez generałów Marshall-Cornwall'a i Lelong'a za dowód, że gen. Sikorski nie przewidywał dla płk. Mitkiewicza żadnej roli w stosunku od Brygady Podhalańskiej, co mogło wpłynąć na odmowę.

Płk Mitkiewicz pojechał do Greenock, gdzie dowiedział się o wadliwym załadowaniu brygady, pomieszanemu związków taktycznych i oddzielnym załadowaniu amunicji i broni ciężkiej, ale oczywiście nie mógł w tym brygadzie pomóc. Dowódca brygady zresztą poprawił nieco sytuację w czasie podróży.

8 maja 1940 r. płk Mitkiewicz został zaproszony na posiedzenie Sojuszniczego Komitetu Wojskowego, ale udział jego ograniczył się do tego, że pokazano mu mapę sytuacyjną pod Narwikiem z położeniem Brygady Podhalańskiej, powiedziano że Brygada wylądowała pomyślnie, a na jego pytanie co do planów użycia Brygady odpowiedziano, że to jest jeszcze niewyjaśnione. Po tym pożegnano go.

13 czerwca 1940 r. gen. Béthouart odwiedził niespodziewanie płk. Mitkiewicza w Londynie, opowiedział mu o doskonałej akcji bojowej Brygady Podhalańskiej, o wycofaniu się Aliantów z Norwegii i rozwiązaniu jego dywizji, i o tym, że Brygada jest na morzu i prawdopodobnie wraca do Francji gdzie należy. W rzeczywistości dowódca Brygady Podhalańskiej, gen. Bohusz-Szyszko, ze swym sztabem i częścią oddziałów był 13 czerwca przez kilka godzin w Greenock, skąd odpłynął do portu Brest w Bretanii.

Mitkiewicz składa całą winę za odpłynięcie brygady do Francji na Anglików, którzy go nie uprzedzili o jej przybyciu do Greenock, i na gen. Bohusza-Szyszko, który nie zatelefonował do niego z Greenock, i oświadcza dramatycznie, że gdyby wiedział o postoju Brygady w Greenock, to „nie byłbym wypuścił Brygady Podhalańskiej z Anglii pod żadnym pozorem, chyba że na wyraźny rozkaz gen. Sikorskiego”.

Pamiętnik jednak nasuwa poważne wątpliwości, czy jego autor sam dostatecznie interesował się losami Brygady Podhalańskiej i „pilnował ich interesów w Międzyalianckim Komitecie Wojennym w Londynie”, jak to przyrzekł dowództwu Brygady w maju. Dlaczego, kiedy sytuacja zaczęła się psuć we Francji i Norwegii, o czym wiedział, nie pytał gen. Marshall-Cornwall'a i commodora Clarke'a, z którym był w dobrych stosunkach, o sytuację Brygady? Gen. Kukiel jest zdania, że „powinien był codziennie domagać się od nich ścisłej informacji”. Transporty Brygady odpłynęły z Norwegii już w dniach pomiędzy 3 a 8 czerwca, a płk Mitkiewicz dowiedział się o tym dopiero 13 czerwca od gen. Béthouart. Dlaczego po rozmowie z Béthouart'em nie poszedł natychmiast do gen. Marshall-Cornwall'a po dalsze informacje? (nie wiedział jeszcze, że brygada była w Greenock i odpłynęła). Dlaczego przed wysłaniem depeszy do gen. Sikorskiego na stary adres do Paryża, nie zapytał ambasady londyńskiej o jego rzeczywisty adres, chociaż wiedział, bo odnotował, że ambasada „ma wciąż dobrą łączność radiową z Rządem R.P.”? Gen. Kukiel stwierdza, że jeszcze 14 czerwca była łączność z rządem w Angers, zatem można było uzyskać łączność ze Sztabem N.W., który ewakuował się z Paryża do Chenillé pod Angers. Zamiast tych logicznych kroków Mitkiewicz, jak pisze, interweniował w sprawie Brygady Podha-

łańskiej w War Office, ale nie podaje ani daty ani treści tej interwencji. Tu należy zauważyć, że płk Mitkiewicz nie miał żadnego tytułu do interweniowania w War Office, przy którym był akredytowany nasz attaché wojskowy, i to pewno tłumaczy, dlaczego War Office zignorował jego interwencję i odpowiedział attaché wojskowemu.

Zarzut płk. Mitkiewicza w stosunku do gen. Bohusza-Szyszko, że nie zatelefonował do niego z Greenock, jest bezpodstawny. W swoim oświadczeniu gen. Bohusz-Szyszko stwierdza, że statek, którym płynął wraz z częścią brygady, przybył do portu Greenock 13 czerwca o godz. 1-ej w nocy i po napompowaniu ropy i wody odpłynął o godz. 4-ej rano. W czasie trzygodzinnego postoju władze portowe nie zezwoliły generałowi zejść na brzeg, ale wysłał on nieznacznie mjr. Janusza Ilińskiego z zadaniem przekazania wiadomości o brygadzie gen. Sikorskiemu przez naszą ambasadę londyńską albo przez płk. Mitkiewicza, jednak połączenia z Londynem nie uzyskano. Gen. Bohusz-Szyszko dodaje:

„Domniemana możliwość 'nie wypuszczenia' Brygady Podhalańskiej z Anglii do Francji jest ze strony płk. dypl. Mitkiewicza czczą przechwałką, gdyż było to wykluczone zarówno ze względu na bardzo krótki czas nocnego postoju w Greenock konwoju, którym płynęła brygada, jak i nieuregulowane z Anglikami sprawy ewakuacji W.P., bo o tym wówczas w ogóle nie było mowy”.

Dalej gen. Bohusz-Szyszko zarzuca płk. Mitkiewiczowi zupełnie błędne przedstawienie ewakuacji Brygady Podhalańskiej z Francji. Płk. Mitkiewicz pisze (str. 58):

„Z brygady Podhalańskiej uratowany został jeden batalion (niepełny), którego dowódcą mjr dypl. Władysław Dec na wiadomość o kapitulacji Francji odmówił wyładowania w Cherbourgu bez pisemnego rozkazu gen. Sikorskiego. Był to 2-gi batalion Strzelców Podhalańskich, który miał szczęście, że przybył do Cherbourga ostatnim spóźnionym transportem z Norwegii via Szkocja — Greenock”.

Na to gen. Bohusz-Szyszko stwierdza:

„Żaden z batalionów brygady Podhalańskiej nie wyładował się w Cherbourgu i żaden z dowódców nie odmówił wyładowania. 2-gi batalion przybył do Brestu razem ze mną i natychmiast po wysadzeniu na ląd II batalion został załadowany na pociąg i w godzinach wieczornych dojechał pod m. Dol, skąd nocnym marszem przeszedł i zajął pozycję około 20 km na zachód od Combourg...”.

Dalej gen. Bohusz-Szyszko dodaje:

„Było dość czasu i sporo ogłoszonych drukiem prac wojskowo-historycznych, na podstawie których można było skorygować własne błędne zapiski,

zaopatrując je w odpowiednie odnośniki. Bez tego zabiegu słowa autora przestają być dokumentem”.

Tak więc „sprawa” brygady Podhalańskiej została stworzona przez samego płk. Mitkiewicza w pamiętniku na podstawie błędnych zapisków i nieznajomości rzeczywistego przebiegu wypadków w Greenock, który mógł łatwo sprawdzić w historii PSZ².

Ewakuacja Wojska Polskiego z Francji do Anglii. Autor pamiętnika przypisuje sobie inicjatywę ewakuacji wojska polskiego z Francji do Anglii. Pod datą 18 czerwca pisze: „Przygotowuję ewakuację z Francji — robię to na własną rękę...”. W świetle faktów jego rola wygląda znacznie skromniej.

14 czerwca wieczorem byli u niego angielscy oficerowie, majorowie Bryson i Colder, którzy poinformowali go o rzekomym zamiarze War Office ewentualnego internowania misji wojskowej francuskiej ze względu na „postępowanie Francji”. Autor sam domyślał się, że tu chodziło o wybadanie jego „nastroju”.

Nazajutrz 15 czerwca płk Mitkiewicz zjawił się u gen. Beaumont-Nesbitt’a, szefa brytyjskiej Military Intelligence, i prosił go „o przygotowanie ewakuacji całości naszych wojsk z Francji do Anglii, gdyby zaszła tego potrzeba”. Powiedział mu przy tym, że wojsko polskie i Polacy w kraju będą bić się nadal. Prośba jego została przyjęta „dobrze”. Można przypuszczać, że przynajmniej jednym z motywów tej wizyty i zwłaszcza wygłoszenia spontanicznej deklaracji w imieniu wojska polskiego i Polaków w Kraju, że „nie uważają wojny z Niemcami za skończoną”, było zabezpieczenie się przed losem, jaki rzekomo zgotowano misji francuskiej. Gen. Beaumont-Nesbitt, człowiek o wytwornych manierach ale także bystrym umyśle, nie zapytał płk. Mitkiewicza, z czyjego polecenia przybywa w tak ważnej sprawie, i jaka jest ilość wojska i gdzie, co nie wskazuje na to, by wziął prośbę Mitkiewicza zbyt poważnie.

Pod datą 18 czerwca autor pisze, że plany gen. Sikorskiego i Rządu R.P. w związku z kapitulacją Francji są mu całkowicie nieznane. W międzyczasie jednak zaszły ważne wypadki. Już 15 czerwca minister spraw zagr. A. Zaleski zwrócił się jednocześnie do ambasadora brytyjskiego przy Rządzie R.P. Kennard’a i do amb. E. Raczyńskiego w Londynie o przygotowanie przeniesienia Prezydenta R.P. i rządu do Anglii. 16 czerwca amb. Raczyński i admirał Świrski zwrócili się do Foreign Office i Admiralicji

2. Komisja Historyczna Sztabu Głównego, Londyn. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, tom II, część 1, str. 80. To źródło będzie oznaczone skrótem PSZ.

o oddanie do dyspozycji polskiego rządu jednego z brytyjskich okrętów, znajdujących się w Bordeaux, i tegoż dnia amb. Raczyński zawiadomił min. Zaleskiego o gotowości rządu brytyjskiego przyjęcia Prezydenta R.P., rządu i korpusu dyplomatycznego w Anglii, oraz o tym, że nasz attaché morski porozumiewa się z admiralcją w sprawie transportu³.

Te ważne kroki przedsięwzięte pomiędzy 15 a 18 czerwca przez ambasadę R.P. i adm. Świrskiego nie były znane płk. Mitkiewiczowi, a jednak znowu pod datą 18 czerwca pisze: „W porozumieniu z adm. Świrskim uzyskaliśmy (kto?) od admiralcji okręt wojenny... dla przewiezienia Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza i Rządu R.P. do Anglii”. Coś tu się nie zgadza, adm. Świrski zaczął starania o okręt już 16 czerwca nie informując o tym płk. Mitkiewicza, a 18 czerwca Mitkiewicz zgłasza pretensję do udziału w uzyskaniu tego okrętu.

Decyzja Retingera wylotu do Bordeaux po gen. Sikorskiego i jej szczęśliwe wykonanie należy całkowicie do Retingera, który nie potrzebuje z nikim dzielić się swoją zasługą. Płk Kwieciński, jako attaché lotniczy, pośredniczył w otrzymaniu samolotu dla Retingera, co należało do jego służbowej kompetencji. Tu zachodzi jakieś nieporozumienie w zapiskach autora, pod datą 18 czerwca pisze on, że płk Kwieciński udał się o godz. 17 do dowództwa lotnictwa brytyjskiego, które zgodziło się na wylot Retingera tegoż 18 czerwca o świcie.

We Francji, podczas nieobecności gen. Sikorskiego w siedzibie rządu, inicjatywę przygotowania ewakuacji wojska do Anglii podjęli generałowie Sosnkowski i Kukiel. Sprawa jednak nabrała impetu dopiero 17 czerwca po przybyciu gen. Sikorskiego do Libourne pod Bordeaux oraz wyjaśnienia sprawy kapitulacji Francji. Gen. Sikorski powierzył całość zagadnień ewakuacji gen. Kukielowi.

Gen. Sikorski przyleciał z Retingerem do Londynu 18 czerwca i wieczorem wezwał do siebie adm. Świrskiego, płk. Mitkiewicza i płk. Kwiecińskiego. Według PSZ⁴ płk Mitkiewicz „wyraził pogląd, że ministerstwo wojny nie chce i zapewne nie będzie mogło przyjąć naszego wojska z powodu braku pomieszczeń”. W pamiętniku natomiast płk Mitkiewicz pisze, że poinformował gen. Sikorskiego o tym, iż Anglicy „najchętniej dopomogą nam w sprowadzeniu całości naszego wojska do Anglii”, i dalej, że Anglicy upewnili go, iż brytyjskie okręty mogą być we Francji w oznaczonych portach po upływie kilku godzin od otrzymania przez nich

3. PSZ, tom II, cz. I, roz. VII.

4. PSZ, *ibid.*, str. 135.

danych co do portów załadowania i ilości naszego wojska. Płk Mitkiewicz dodaje, że po wysłuchaniu jego raportu gen. Sikorski „odetchnął głęboko, jakby z ulgą”. Płk Mitkiewicz nie wyjaśnia w swej książce zasadniczej sprzeczności tych dwóch wersji jego raportu gen. Sikorskiemu.

W rzeczywistości, gdy 19 czerwca adm. Świrski interweniował w admiralicji w sprawie ewakuacji naszego wojska, otrzymał odpowiedź, że admiralicja nie ma żadnych wolnych statków i że placówki brytyjskie w portach francuskich, z wyjątkiem dwóch, zostały zwiniete. Po otrzymaniu meldunku od adm. Świrskiego o tej odmowie i naglącej depe szy od gen. Sosnkowskiego, gen. Sikorski w towarzystwie amb. Raczyńskiego udał się do premiera Churchilla.

Dopiero po tej historycznej 40-minutowej rozmowie, w której Churchill zapewnił Generała, że jego rząd uczyni wszystko, aby sprowadzić do W. Brytanii jak największą ilość polskich żołnierzy, ewakuacja ruszyła z miejsca⁵.

Reasumując rolę płk. Mitkiewicza w przygotowaniu ewakuacji przed przyjazdem gen. Sikorskiego, trzeba stwierdzić, że nie przygotował on niczego i nie mógł przygotować, bo był za małą figurą, żeby Anglicy chcieli z nim pertraktować w tak ważnej polityczno-wojskowej sprawie. Płk Zamoyski stwierdził na podstawie informacji z otoczenia Churchilla, że zarówno przyjazd gen. Sikorskiego do Londynu, jak też jego spotkanie z Churchillem były wyłączną inicjatywą i zasługą Retingera. Bliskie stosunki Retingera z Anglikami i łatwość, z jaką otrzymał od nich samolot do Bordeaux, potwierdzają tę opinię.

Po przyjeździe gen. Sikorskiego Mitkiewicz pracował już pod rozkazami Nacz. Wodza. I tu znowu maluje swoją działalność wspianymi barwami. „Otrzymałem od gen. Sikorskiego polecenie prowadzenia w Anglii całości spraw ewakuacji i pełne pełnomocnictwa do przeprowadzenia wszelkich rozmów z władzami brytyjskimi”, pisze autor. I dalej: „Dziś od wczesnego rana uruchomiłem War Office (gen. Nesbitt i płk Carslyle), Admiralicję (przez komandora Stoklasę), Komitet Międzyaliantów (gen. Cornwall), a także gen. Ismay'a [Sekretarza Wojennego Gabinetu] i jego biuro. Wszędzie byłem osobiście...”

Płk Mitkiewicz podaje nieprawdziwą wiadomość, że 1. dyw. Grenadierów dostała się do niewoli niemieckiej (str. 72). W rzeczywistości, po kapitulacji Francji dywizja na rozkaz szybko podzieliła się na małe grupki (po kilku ludzi), które przekradały się poprzez otaczające wojska niemieckie na południe do nieoku-

5. PSZ, *ibid.*, str. 136.

powanej Francji, albo do swoich domostw we Francji północno-zachodniej. Chociaż nie ma dokładnych statystyk, to jednak należy przypuszczać, że znaczna większość uniknęła niewoli. W nieokupowanej Francji znalazłem dużo naszych żołnierzy, w tym ponad połowę oficerów mego pułku, a ponieważ wszyscy przebyliśmy te 500 km na nogach, to szarża i wiek zmniejszały a nie zwiększały szansę powodzenia.

Przesilenie rządowe 18 lipca 1940

To przesilenie, wywołane dymisją ze stanowiska prezesa Rady Ministrów udzieloną gen. Sikorskiemu 18 lipca 1940 przez Prezydenta, jest przez autora pamiętnika przedstawione błędnie.

Autor oskarża gen. Sosnkowskiego o spowodowanie przesilenia, co jest zupełnie niezgodne z prawdą. Wręcz przeciwnie, gen. Sosnkowski uprzedzony przez Prezydenta Raczkiewicza o jego zamiarze udzielenia dymisji gen. Sikorskiemu, trzykrotnie (8, 10 i 12 lipca 1940 r.) starał się przekonać Prezydenta, by zaniechał swego zamiaru i nie wywoływał przesilenia, jako szkodliwego zarówno ze względu na politykę zagraniczną jak wewnętrzną. Jednocześnie prosił Prezydenta o niebranie go w rachubę jako kandydata na szefa rządu i w ogóle o wygrodenie go z całej ewentualnej rozgrywki. Pomimo tych rad 18 lipca Prezydent udzielił dymisji gen. Sikorskiemu i powierzył tworzenie nowego rządu min. Zaleskiemu, co spowodowało interwencję kilkunastu starszych oficerów Sztabu N.W. z Szefem Sztabu płk. Klimeckim na czele.

Autor pamiętnika, powołując się na swoją rzekomą rozmowę z płk. Klimeckim nazajutrz po wypadkach, przedstawia nieściśle przebieg interwencji oficerów u min. Zaleskiego, nadając jej charakter sensacyjny. Pisze on, że „płk Klimecki i oficerowie zmusili min. Zaleskiego, pod groźbą użycia broni, do pisemnego złożenia otrzymanej nominacji. Rozmowa płk. Klimeckiego z min. Zaleskim była niezwykle ostra, dramatyczna; Klimecki działał zdecydowanie — Zaleski poddał się, i napisał żądane zobowiązanie”.

Jest to całkowicie niezgodne ze szczegółowym oświadczeniem płk. dypl. Michała Protasewicza złożonym w Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie. Płk Protasewicz, który razem z płk. Jerzym Krubskim towarzyszył płk. Klimeckiemu podczas jego wizyty u min. Zaleskiego, opisuje ten moment jak następuje. Po zaanon-sowaniu wizyty, wprowadzeniu oficerów do gabinetu p. Zaleskiego i powitaniu płk Klimecki zajął miejsce na krześle naprzeciwko

p. Zaleskiego siedzącego za biurkiem, a Krubski i Protasewicz usiedli na kozetce na prawo od wejściowych drzwi.

„Bardzo powoli, widocznie przejęty, gen. Klimecki przedstawił min. Zaleskiemu ujemne skutki, jakie w opinii korpusu oficerskiego może wywołać zmiana na stanowisku premiera i prosił Pana Ministra o nieprzyjmowanie tej funkcji, dodając że przemawia nie tylko w imieniu własnym, ale i w imieniu wojska.

Min. Zaleski wyraził zdziwienie z powodu naszej wizyty, zauważył, że wojsko nie powinno się wtrącać do spraw politycznych i zapytał czy gen. Klimecki zdaje sobie sprawę z tego co robi?

Gen. Klimecki przybladł — nadal jednak spokojnie odparł, że zdaje sobie całkowicie sprawę ze swego postępowania, że robi to po głębokim namyśle, gdyż uważa to za swój obowiązek.

Min. Zaleski przetarł czoło i odpowiedział, że nie przywykł do podobnych metod działania ze strony wojska.

Gen. Klimecki oświadczył wówczas, że o ile pan Minister nie rzeknie się misji tworzenia rządu — za skutki tego spadnie na niego odpowiedzialność — gdyż wojsko się temu przeciwstawi (nie pamiętam czy gen. Klimecki dodał na zakończenie tego zdania 'wszelkimi środkami').

Gdy generał Klimecki to mówił pan Minister Zaleski opuścił głowę, ujął ją w dłonie opierając łokcie o skraj biurka i słuchał w milczeniu. Gdy generał skończył — pan Minister się wyprostował i oświadczył — że nie może przyjąć do wiadomości wypowiedzi gen. Klimeckiego i że zrobi tak jak mu będzie nakazywało sumienie.

Po czym powstał. Powstawaliśmy również i skłoniwszy się ministrowi Zaleskiego opuściliśmy jego gabinet”.

Płk Protasewicz kategorycznie stwierdza, że podczas powyższej rozmowy „płk Klimecki ani pośrednio ani bezpośrednio nie groził min. Zaleskiemu bronią palną. Nie padło też ani jedno słowo o jakiejś pisemnej rezygnacji”. Ponadto płk Protasewicz dodaje, „że wszelkie inne opisy wydarzeń, które rzekomo miały mieć miejsce tego dnia w naszej ambasadzie, związane z przybyciem tam i pobytem w niej grupy oficerów ze Sztabu N.W. — nie są zgodne z prawdą”.

Pragnę tu dodać, że gen. Kukiel potwierdza, że obie strony zachowały się z powagą i godnością, i że nie było ani poddania się p. Zaleskiego ani groźby użycia broni.

Gen. Sosnkowski, widząc że przesilenie przybiera formę szkodliwą dla sprawy polskiej, zdecydował się na interwencję u Prezydenta i doradzenie mu zlikwidowania kryzysu. Prezydent uznał słuszność argumentów gen. Sosnkowskiego i zakończył przesilenie kompromisowo, udzielając dymisji p. Zaleskiemu jako premierowi i powołując ponownie gen. Sikorskiego. Podczas likwidacji kryzysu gen. Sosnkowski był mediatorem.

Rola gen. Sosnkowskiego podczas kryzysu jest szczegółowo przedstawiona przez niego w książce „Materiały Historyczne” (str. 5-12) wydanej pod redakcją płk. J. Mateckiego w r. 1966

(Gryf), a więc na dwa lata przed wydaniem pamiętnika płk. Mitkiewicza. Jest ona także opisana przez amb. E. Raczyńskiego w jego „W Sojuszniczym Londynie” (str. 78) wydanym w roku 1960. Mitkiewicz miał więc możliwość poprawienia swego dziennika. Ta rola gen. Sosnkowskiego została także potwierdzona przez gen. Józefa Smoleńskiego, ówczesnego szefa Oddz. Spec. (Kraj) podlegającego gen. Sosnkowskiemu, w liście z 24 czerwca 1969 r. do płk. Zamoyskiego.

Mitkiewicz i Klimecki

Płk. Klimecki, którego znałem jeszcze jako słuchacza Wyższej Szkoły Wojennej, był wybitnie zdolnym i doskonale wykształconym oficerem, rozmiłowanym w zawodzie wojskowym, dużo studiującym i skłonny do samodzielnego myślenia. Jako człowiek był szlachetny, prostoliniorny, stanowczy, dobry kolega i przełożony, zrównoważony i powściągliwy, raczej zamknięty w sobie. Uważam za zupełnie niesłuszne i złośliwe posądzenie go przez płk. Mitkiewicza o chorobliwą ambicję, zawziętość i mściwość.

Jako nowy szef sztabu N.W., Klimecki wykazał duży talent organizacyjny i w ciągu paru miesięcy złożył i zgrał sztab w Londynie. Cieszył się on autorytetem i mirem wśród oficerów sztabu. Gen. Sikorski cenił go i darzył pełnym zaufaniem. Można przypuszczać, że zaufanie to jeszcze wzrosło po lipcowym przesileniu rządowym, kiedy Klimecki zaryzykował wszystko, by uniemożliwić dymisję Sikorskiego, ale naturalnie o tym nie mówiło się. Jediną słabą stroną Klimeckiego była nieznajomość angielskiego, ale w naszym wojsku wówczas było niestety mało oficerów władających tym językiem.

Co do płk. Mitkiewicza, to przecenia on w pamiętniku swój bliski stosunek do gen. Sikorskiego. Generał używał go do pracy, jako starszego oficera sztabu, wziął go dwa razy ze sobą do St. Zj., ale w trzecią podróż wziął w tej samej roli płk. Mareckiego. Nie był on nigdy doradcą Generała, do tej roli mogliby pretendować tylko Retinger i Kot. Trudno też wziąć na serio jego twierdzenie, że gen. Sikorski „wypowiadał przy mnie dużo zastrzeżeń względem Klimeckiego, zresztą nie po raz pierwszy, jak również względem gen. Kukiela”.

Oto co pisze o płk. Mitkiewiczu płk Stefan Zamoyski, adiutant gen. Sikorskiego od października 1940 do czerwca 1942 r., który poza pewnymi podróżami Generała był „stale i codziennie” w służbie u niego. „Przez cały ten okres widywałem płk. Mitkiewicza

w jego biurze Oddz. II oraz gdy składał okresowe raporty Generałowi w jego gabinecie. Płk Mitkiewicz nie bywał w mieszkaniu gen. Sikorskiego poza wyjątkowymi okolicznościami w sprawach służbowych, oraz dwukrotnie w Gasku w Szkocji przed wyjazdem do St. Zj. Ani w mieszkaniu Generała ani w biurze — nie był „częstym gościem” (jak pisze). Stosunek Generała do płk. Mitkiewicza był poprawny ale niezżyły”. Nie jest więc także ściśle twierdzenie płk. Mitkiewicza, że miał codzienne referaty u gen. Sikorskiego.

Szczególnie przykro jest czytać twierdzenie płk. Mitkiewicza o tym, że w styczniu 1941 r. płk Klimecki zwrócił się do niego z prośbą o załatwienie mu u gen. Sikorskiego awansu na generała, i że Mitkiewicz, nie mając odwagi zwrócenia się w tej sprawie wprost do gen. Sikorskiego, załatwił awans przez Retingera. Pomimo iż autor pamiętnika kilkakrotnie wraca do tego tematu, uważam to opowiadanie za fantazję. Klimecki był zbyt dumny i dbały o swoją godność, by mógł zwrócić się do podwładnego, chociażby kolegi, z taką prośbą. Miał on także zawsze otwarty wstęp do gen. Sikorskiego, znacznie łatwiejszy niż płk Mitkiewicz, i bynajmniej nie potrzebował pośredników. Ponadto w sprawie awansu nie potrzebował niczyjego wstawiennictwa, bo, jak stwierdza gen. Kukiel, „sprawa awansu była zdecydowana a termin na parę miesięcy odsunięty w związku z lipcowym wystąpieniem Klimeckiego do min. Zaleskiego — by nie powiedziano, że za to nagroda”.

Gen. Sikorski ogłosił awans Klimeckiego bardzo uroczyście wobec zebranych oficerów sztabu, przy czym podniósł wymownie jego zasługi w zorganizowaniu i prowadzeniu sztabu.

W odrzuceniu opowiadania płk. Mitkiewicza o awansie Klimeckiego utwierdza mnie także fakt, że i o mnie napisał: „Płk Onacewicz przychodził do mnie wielokrotnie z prośbą o wyznaczenie go na attaché wojskowego w Stanach Zjednoczonych”, co, jak stwierdzam, jest niezgodne z prawdą. Wyjazd do Waszyngtonu zaproponował mi w grudniu 1940 r. szef sztabu N.W. płk Klimecki, i na tę propozycję zgodziłem się pod warunkiem, że Klimecki zatrzyma moją zgodę w tajemnicy, by nie urazić gen. Sikorskiego. Po upływie około trzech tygodni, na początku stycznia, gen. Sikorski sam mi oznajmił przy porannym raporcie, że jadę do Waszyngtonu jako attaché wojskowy. Kiedy nie wyraziłem zdziwienia, Generał rozgniewał się i powiedział: „To Panu już powiedzieli, w tym sztabie nie można utrzymać tajemnicy służbowej”. Mogłem z czystym sumieniem zapewnić go, że nic nie wiedziałem o nominacji, po czym udobruchał się. Jak widać z tej relacji, nie miałem ani potrzeby ani czasu, aby prosić Mitkie-

wicza o przydział. Rozmawiałem z nim, jako szefem Oddz. II, o Waszyngtonie dopiero po ogłoszeniu mojej nominacji.

Nie zabieram tu głosu w sprawie niedoszedłego awansu generalskiego płk. Mitkiewicza, który rzekomo narobił nie mało hałasu, bo dowiedziałem się o tym dopiero z pamiętnika.

*Ostatnia podróż gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych
i oficer łącznikowy do Combined Chiefs of Staff*

Relacja płk. Mitkiewicza o tej podróży, w której nie brał udziału, zawiera dużo błędnych informacji. Tak twierdzi on, że amb. E. Raczyński towarzyszył gen. Sikorskiemu w tej podróży i był obecny podczas wszystkich rozmów Generała z prezydentem Rooseveltem. W rzeczywistości amb. Raczyński nie brał udziału w podróży i towarzyszył gen. Sikorskiemu do Białego Domu amb. Ciechanowski. Także data powrotu Generała do Anglii podana jako 4 stycznia jest mylna, bo gen. Sikorski opuścił Nowy Jork 10 stycznia 1943 r.

Na podstawie protokołów z rozmów Sikorski-Roosevelt i innych dokumentów, które otrzymał do wglądu w Sztapie N.W., płk Mitkiewicz słusznie podaje, że Roosevelt i Sumner Welles nie udzielili gen. Sikorskiemu żadnych obietnic poparcia przeciwko żądaniom terytorialnym Sowietów w stosunku do Polski. Według książki amb. Ciechanowskiego („Defeat in Victory”), gen. Sikorski powiedział Rooseveltowi o swoim zamiarze odbycia drugiej podróży do Moskwy i prosił go o dowód swego pełnego poparcia, na co Roosevelt zgodził się dać mu list z zapewnieniem swego poparcia, który Sikorski mógłby pokazać Stalinowi podczas rozmowy. Jednak kiedy Generał prosił go o jasne określenie w liście statutu terytorialnego Polski, prezydent odmówił tłumacząc się polityką St. Zj. nie dyskutowania terytorialnych problemów w czasie wojny.

Nie wiem jednak, na czym opiera płk Mitkiewicz twierdzenie, że „rozmowy na tematy wojskowe prowadzone przez gen. Sikorskiego z pomocą płk. A. Mareckiego w czasie ostatniego pobytu w Waszyngtonie, były o wiele pomyślniejsze”. Plan Bałkański nie został przyjęty ani przez Amerykanów, ani przez Brytyjczyków. Sam płk Mitkiewicz podaje, że w odpowiedzi na swój memoriał gen. Sikorski otrzymał na piśmie od marszałka Sir John Dilla „słowa grzecznego ale bardzo chłodnego uznania z jednoczesnymi uwagami, że zbyt mało doceniona jest w memoriale rola Rosji Sowieckiej i znaczenie wschodniego frontu”. Ta uwaga

o zbagatelizowaniu Rosji jest znamienna, bo przypomina gen. Sikorskiemu o zainteresowaniu Rosji Bałkanami.

Płk Mitkiewicz przywiązuje zbyt wiele wagi do pytania Roosevelta, zwróconego do gen. Sikorskiego w czasie jednej z ich rozmów, czy wojsko polskie wzięłoby udział w operacjach alianckich prowadzonych z Turcji przeciwko Niemcom. Trzeba przyznać, że i gen. Sikorski zrozumiał to pytanie, jako poparcie dla jego koncepcji inwazji poprzez Bałkany, co znalazło odbicie w jego depeszy do Londynu (z 5 grudnia 1942 r.). Moim zdaniem, był to zwrot konwersacyjny nie mający poważniejszego znaczenia. Przecież Roosevelt, który w tym czasie unikał wszystkiego, co mogłoby nie podobać się Stalinowi, na pewno wiedział, tak jak wiedział marszałek Dill, że Rosja była przeciwna penetracji Aliantów na Bałkany; nie mógł także nie wiedzieć, że Turcja nie wykazywała najmniejszej ochoty do wystąpienia przeciw Niemcom.

Tu muszę sprostować błędną relację płk. Mitkiewicza, jakoby płk Marecki wygłosił odczyt na temat polskiego projektu Bałkańskiego „przed wyższymi oficerami połączonych brytyjsko-amerykańskich oddziałów operacyjnych w CCS”. Takiego połączonego posiedzenia w ogóle nie było i rzecz odbyła się zupełnie inaczej.

Gen. Sikorski zwrócił się do amb. Ciechanowskiego z prośbą o spowodowanie posiedzenia połączonego amerykańsko-brytyjskiego CCS, na którym mógłby przedstawić swój Bałkański plan. Gdy w oznaczonym dniu Generał przybył do gmachu CCS z kilkoma swoimi oficerami, wśród których byłem i ja, to znalazł się w sali posiedzeń w obecności tylko brytyjskich członków CCS z marszałkiem Sir John Dille na czele. Amerykanie świecili nieobecnością. Jasne było, że opierając się na wojskowej umowie polsko-brytyjskiej, która podporządkowywała nasze siły zbrojne na Zachodzie dowództwu brytyjskiemu, Sir John nie zgodził się na udział gen. Sikorskiego w posiedzeniu połączonego CCS.

Po powitaniu przez marsz. Dilla, gen. Sikorski odpowiedział ze swą zwykłą otwartością i tym razem cierpkością, że przybył na posiedzenie połączonego CCS i jest niemile zdziwiony nieobecnością jego amerykańskich członków. Dill wysłuchał tego wyrzutu nie mrugnawszy. Po tym gen. Sikorski wygłosił krótkie wstępne słowo o swoim projekcie inwazji Europy od południa przez Bałkany i oddał słowo płk. Mareckiemu.

Następna część posiedzenia była bardzo nudna. Marecki, który słabo znał język angielski, odczytał przetłumaczony na angielski memoriał Bałkański głosem monotonnym z ciężkim akcentem, nie zawsze rozumiałem nawet dla mnie. Anglicy nie ukrywali swego znużenia, a attaché wojskowy brytyjski (który nie był na posiedzeniu) powiedział mi później, że według Bry-

tyczków całe posiedzenie było kompletnym fiasko (*flop*). Nie było żadnej dyskusji nad memoriałem.

Płk Mitkiewicz podaje wiadomości o rozmowach Mareckiego w Waszyngtonie, które „obejmowały głównie wyższych oficerów sztabu USA”, i które brzmią wprost fantastycznie. Według relacji płk. Mitkiewicza, ci „wyżsi oficerowie” popierali wszystkie nasze życzenia, a więc nasze plany odnośnie Armii Krajowej (które?) i federacji w Europie, i zapewniali, że możemy się spodziewać poparcia St. Zj. w naszym sporze z Rosją. Marecki rzekomo twierdził, że w pewnych grupach politycznych i wojskowych St. Zj. „istnieje koncepcja zorganizowania Stanów Zjednoczonych Europy włącznie z Niemcami, co oznaczałoby zaangażowanie St. Zj. na długi czas bezpośrednio w sprawy Europy, nie tylko Zachodniej, lecz także Środkowej i Wschodniej”. Jeżeli dobrze zrozumiałem, to wiadomości o gotowości St. Zj. zaangażowania się w sprawy Europy Środkowej i Wschodniej autor przyjął z niedowierzaniem, bo to groziłoby konfliktem Ameryki z Rosją.

Wszystkie te rzekome deklaracje „wyższych oficerów” stoją w zupełnej sprzeczności z tym, co słyszał i notował w tym czasie amb. Ciechanowski i co obserwowałem ja. Ponadto muszę zwrócić uwagę na to, że w St. Zj. politykę formułuje Departament Stanu a nie Departament Wojny (obecnie Obrony), i że oficerowie amerykańscy nie mają zwyczaju wygłaszania deklaracji na temat polityki zagranicznej swego kraju. Jestem w posiadaniu oficjalnych sprawozdań Mareckiego z jego rozmów z oficerami amerykańskimi i brytyjskimi, nie zawierają one wzmianki o żadnej dyskusji politycznej. Pozostaje przypuszczenie, że Marecki natrafił na jakiegoś gadułę, którego wynurzenia naiwnie przyjął za miarodajne informacje o polityce St. Zj.

Ale płk Mitkiewicz podaje, że Sztab N.W. przyjął informacje Mareckiego za dobrą monetę i że to wpłynęło na prace sztabu, że przyjęto za pewnik, iż Amerykanie i Brytyjczycy przyjdą do Polski i zastanawiano się „najzupełniej poważnie nad sprawą zluźnienia przez dywizje polskie amerykańskich i brytyjskich dywizji na wschodniej granicy polskiej z 1921”. Trudno zrozumieć tę łątwobierność naszych sztabowców. Przecież gen. Sikorski był dokładnie poinformowany o rzeczywistej sytuacji przez amb. Ciechanowskiego i wyjechał z Waszyngtonu zaniepokojony *apeasement*'em Rosji; moje raporty także nie zawierały niczego, co mogłoby potwierdzić optymistyczne wiadomości Mareckiego.

O czym płk Mitkiewicz nie pisze, to o tym że podczas pobytu gen. Sikorskiego w Waszyngtonie Amerykanie i Brytyjczycy zgodzili się, że polski attaché wojskowy w Waszyngtonie będzie także oficerem łącznikowym do CCS. Historia tego rozszerzenia funkcji

attaché wojskowego była następująca. Podczas swej wizyty (5 grudnia) u admirała William D. Leahy, szefa sztabu prezydenta Roosevelta jako naczelnego wodza, gen. Sikorski zaproponował współpracę ze Sztabem Generalnym St. Zj. odnośnie zagadnień operacyjnych związanych z akcją w Kraju przez attaché wojskowego przy ambasadzie R.P. w Waszyngtonie. Leahy zajął pozytywne stanowisko do takiej współpracy i zgodził się na projekt, aby to zrobić przez attaché wojskowego, ponieważ to najmniej skomplikuje sprawę i nie spowoduje pretensji innych Aliantów do podobnego przywileju.

Podczas swej wizyty u gen. George Marshalla (8 grudnia) gen. Sikorski powtórzył i rozwinął swoją propozycję współpracy operacyjnej pomiędzy sztabem polskim a sztabem St. Zj., i zaproponował rozszerzenie uprawnień attaché wojskowego w Waszyngtonie w tym kierunku, aby współpracując z oddziałem operacyjnym Sztabu Generalnego St. Zj. orientował go w sytuacji i o możliwościach naszej armii w Kraju, oraz potrzebach wynikających z planowanego jej użycia. Gen. Sikorski wyraził także zdanie, że z czasem CCS powinien także zainteresować się użyciem operacyjnym sił polskich w Kraju i że wówczas te zagadnienia powinny być reprezentowane przez nas w CCS. Notatka z tej rozmowy nie podaje odpowiedzi gen. Marshalla, który widocznie przyjął tylko do wiadomości propozycję gen. Sikorskiego.

Na skutek tych kroków gen. Sikorskiego, zostałem wyznaczony w dodatku do swoich funkcji attaché wojskowego oficerem łącznikowym do CCS i otrzymałem oficjalny list o przyjęciu mnie do CCS jako oficera łącznikowego polskiego Sztabu Generalnego. List ten upoważnił mnie także do posiadania oficera do pomocy w sprawie łączności z CCS. Gen. Sikorski udzielił mi przed wyjazdem krótkiej dyrektywy i zapowiedział szczegółową instrukcję z Londynu.

Byłem dobrze zorientowany co do tego, że CCS był połączone z sztabem wyłącznie amerykańsko-brytyjskim, który przygotowywał wszystkie plany strategiczne i decyzje bez udziału innych Aliantów, i że przedstawiciele innych państw przy CCS — Chin, Kanady, Australii, Nowej Zelandii i Holandii — nieraz wyżsi generałowie — nie mieli nic do gadania i do roboty. Czasem ale bardzo rzadko byli pytani o opinię w sprawach zamorskich posiadłości swych państw, jak np. przedstawiciel holenderski w sprawach Wschodnich Indii Holenderskich. Dla zachowania pozorów jednak byli czasem zapraszani na odczyty, referaty i tym podobne „posiedzenia”.

Pomimo realnego ujmowania mej skromnej roli łącznika, nie

wątpiłem, że uda mi się spełnić swoje zadanie informowania CCS w sprawach polskich i zwłaszcza zainteresować ten sztab możliwościami naszej podziemnej organizacji w Kraju. Liczyłem na życzliwość i pomoc kilku amerykańskich członków CCS, których znałem, i na rozszerzenie i pogłębienie tych stosunków.

Na swego zastępcę w sprawach łączności z CCS zamierzałem wybrać rtm. Stefana Zamoyskiego, zastępcę attaché wojskowego, oficera rezerwy o pięknej karcie bojowej, odznaczonego krzyżem *Virtuti Militari* za Narwik. Skończył on szkołę średnią w Anglii i otrzymał doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, znał doskonale kilka języków. Od swego przyjazdu do Waszyngtonu w maju 1942 r. pełnił w ataszacie ważną funkcję oficera łącznikowego gen. Sikorskiego do szefa wojskowej misji brytyjskiej, marszałka Sir John Dilla, z początku nieoficjalnie a od grudnia 1942 r. oficjalnie. Jego doskonała robota w sztabie brytyjskim pozwoliła mi poświęcić główną uwagę sztabowi amerykańskiemu, co było moim zasadniczym zadaniem. Muszę tu dodać, że rtm. Zamoyski wyrobił sobie także doskonałe stosunki z Amerykanami. Liczyłem na to, że bliski stosunek jego z misją brytyjską będzie nam bardzo pomocny w zadaniu łączności z CCS. Na razie czekałem na zapowiedzianą instrukcję z Londynu i znając kunktatorstwo Sztabu N.W. nie niecierpliwiłem się.

W marcu otrzymałem zaproszenie na posiedzenia CCS, na którym Generałowie G. Marshall i Arnold (szef Sztabu Lotnictwa) złożyli raport ze swej podróży lotniczej do Burmy i o stanie drogi burmańskiej do Chin. Referat był bardzo ciekawy, ilustrowany mapami i lotniczymi fotografiami, ale oczywiście zdawałem sobie sprawę, że przed tym referatem dla przedstawicieli alianckich przy CCS, obydwaj generałowie złożyli swój raport na zamkniętym amerykańsko-brytyjskim posiedzeniu CCS, gdzie rozważano decyzję, czy należy odbudować i uruchomić drogę burmańską, która w tym czasie była jedyną drogą zaopatrywania Chin przez Aliantów zachodnich.

Tak więc zdawało się, że sprawa oficera łącznikowego do CCS została uregulowana przez umowę samego gen. Sikorskiego z Amerykanami i Brytyjczykami. Toteż z niemałym zdziwieniem dowiedziałem się w sztabie amerykańskim (19 marca), że do Waszyngtonu jedzie płk L. Mitkiewicz, jako oficer łącznikowy do CCS. Niepowiadomienie mnie o tym fakcie przez Sztab N.W. było rzeczą niezwykłą i postawiło mnie w kłopotliwe położenie, bo nie mogłem odpowiedzieć Amerykanom na pytanie, z jakim zadaniem jedzie płk Mitkiewicz. Rtm. Zamoyski także przyniósł wiadomość, że Anglicy również nie zostali powiadomieni o wysła-

niu Mitkiewicza do Waszyngtonu i są tym zaskoczeni. Wysłałem natychmiast szyfr do Szefa Sztabu N.W. z prośbą o informację i z zażaleniem, że nie zostałem powiadomiony o tym zarządzeniu, co postawiło mnie w trudne położenie wobec Amerykanów. Otrzymałem wkrótce potwierdzenie nominacji płk. Mitkiewicza.

Wróćmy teraz do pamiętnika. Autor opisuje swoje wyznaczenie do Waszyngtonu. W końcu stycznia 1943 r. gen. Klimecki miał mu oznajmić, że decyzją gen. Sikorskiego został „wyznaczony jako członek Allied Combined Staff w Waszyngtonie” i chodzi tylko o jego zgodę, którą „po krótkim namyśle” dał. Oczywiście gen. Sikorski nie mógł wyznaczyć go na członka CCS, do którego sam nie należał.

Tymczasem niezapowiedziany wyjazd Mitkiewicza do Waszyngtonu wywołał pewne reakcje. 21 marca zostałem wezwany do gen. John R. Deane, sekretarza CCS. Gen. Deane zapytał mnie, kiedy spodziewam się płk. Mitkiewicza w Waszyngtonie. Potem, podczas dłuższej rozmowy, powiedział, że płk Mitkiewicz będzie zawiedziony w swojej misji, bo nie będzie miał nic do roboty. Polska jest w sferze odpowiedzialności W. Brytanii, wobec czego wszystkie sprawy operacyjne związane z Polską powinny być rozważane w Londynie ze sztabem brytyjskim, a nie w Waszyngtonie. Zostało omówione z Polakami, że oficer w ataszacie wojskowym polskim będzie dostarczał wiadomości o Polsce w razie potrzeby, przy czym było wyraźnie zaznaczone, że nie jest on organem samodzielnym; na takie rozwiązanie CCS zgodził się. Obecnie przyjeżdża specjalny delegat polskiego Sztabu Generalnego, co zupełnie zmienia sytuację. Tu gen. Deane dał mi wyraźnie do zrozumienia, że ze strony brytyjskiej wyszedł kategoriyczny sprzeciw przeciwko polskiemu delegatowi. Na zakończenie gen. Deane przeprosił mnie, że nie będzie mógł przyjść do mnie na *cocktail party* (co rozumiałem, jako obawę spotkania u mnie płk. Mitkiewicza przed jego oficjalną wizytą), ale prosił zawiadomić go o przyjeździe płk. Mitkiewicza i zaprosił nas obojgów na śniadanie. Prztelegrafowałem w skrócie tę rozmowę do Londynu.

W dwa dni później, 23 marca, wezwał mnie do siebie gen. A. C. Wedemeyer, szef oddziału operacyjnego Sztabu Generalnego St. Zj. i członek CCS, którego znałem bardzo dobrze. Gen. Wedemeyer powiedział, że wie o wyznaczeniu płk. Mitkiewicza, zapytał kto to jest i czy zawiadomiłem już o jego przyjeździe gen. Deane'a. Opowiedziałem mu wówczas o swojej rozmowie z gen. Deane'em i o tym, że wspomniał o trudnościach ze strony Anglików. Gen. Wedemeyer obiecał swoje poparcie, o ile będą trudności z płk. Mitkiewiczem. Prosił on mnie także o powiado-

mieniu go o przyjeździe Mitkiewicza i o przyprowadzenie go do niego. O tej rozmowie także powiadomiłem Sztab N.W.

25 marca rtm. Zamoyski został zawezwany do gen. Macready, zastępcy marsz. Dilla, który powtórzył mu te same zastrzeżenia co do wyznaczenia płk. Mitkiewicza, jakie usłyszałem od gen. Deane'a.

Opuszczam tu wymianę depesz między mną, gen. Sikorskim i Szefem Sztabu N.W., w której były przykre momenty i z której wynioskowałem, że w Londynie była prowadzona intryga przeciwko mnie, która ostatecznie nie udała się.

Płk Mitkiewicz przyjechał 31 marca. Już 3 kwietnia zawiozłem go do gen. Deane'a. Płk Mitkiewicz zakomunikował mi, że przyjechał jako oficer łącznikowy N. W. sił zbrojnych polskich do CCS. Gen. Deane powtórzył mi to samo co powiedział mi 21 marca, to znaczy, że obawia się, iż płk Mitkiewicz nie będzie miał wiele do roboty, bo aktualnych spraw polskich nie ma i są one na dalszej kolejce; i że zgodzono się na oficera w ataszacie wojskowym, który by w razie potrzeby mógł dostarczyć wiadomości w sprawach polskich, a nie na samodzielne starszego oficera.

Płk Mitkiewicz odpowiedział, że istotnie obowiązki oficera łącznikowego miał początkowo pełnić attaché wojsk. płk Onacewicz, który miał mieć do pomocy oficera młodszego, że jednak gen. Sikorski zmienił swoje zdanie i ze względu na wagę sprawy wysłał oficera specjalnego i starszego. Ta zmiana jednak jest tylko zmianą formy, gdyż na zasadę polskiego oficera łącznikowego do CCS zgodzono się. Gen. Deane zgodził się z tym rozumowaniem, jednak powiedział, że gdyby gen. Sikorski od razu wysunął sprawę oficera łącznikowego samodzielnego, to wyjaśniono by, że dla takiego oficera nie ma obecnie roboty.

W ciągu najbliższych dni zawiozłem płk. Mitkiewicza do adm. Leahy (8 marca) i gen. Wedemeyera (12 marca). Rozmowa z adm. Leahy trwała tylko 10 minut. Admirał przywitał płk. Mitkiewicza uprzejmie i obiecał swoje poparcie.

Rozmowa z gen. Wedemeyerem była dłuższa. Płk Mitkiewicz przedstawił się, jako oficer łącznikowy polskich sił zbrojnych do CCS, szczególnie w zakresie użycia tych sił. Gen. Wedemeyer zwrócił uwagę na to, że zadanie łączności z Joint i Combined Chiefs of Staff miał pełnić attaché wojskowy płk Onacewicz, który miał mieć do tego celu podwładnego sobie oficera, i że wysłanie oficera starszego jest zmianą tej pierwotnej decyzji. Generał zażądał od płk. Mitkiewicza instrukcji pisemnej określającej

jego zadanie, którą Mitkiewicz obiecał przedstawić w najbliższych dniach po przetłumaczeniu.

Zaznaczyłem w notatce z tej rozmowy, że Wedemeyer zachował przez cały czas pewną rezerwę w stosunku do płk. Mitkiewicza. Nie powtórzył także przyrzeczenia poparcia, które obiecał mnie 23 marca.

Dalsze swoje wizyty płk Mitkiewicz składał w towarzystwie rtm. Zamoyskiego, który służył mu także jako tłumacz.

Płk Zamoyski opowiada, że kiedy po przyjeździe płk. Mitkiewicza przedstawił mu sytuację w Waszyngtonie w związku z jego przyjazdem, to ten odpowiedział, że „wobec tego pakuje manatki i wraca do Londynu”. Zamoyski starał się go uspokoić i obiecał mu swoją pomoc. Muszę tu stwierdzić, że dotrzymał swego słowa. Z dużym wysiłkiem przekonał Brytyjczyków, obrażonych niezawiadomieniem ich przez gen. Sikorskiego o wyznaczeniu płk. Mitkiewicza i przeciwnych także ze względów zasadniczych przyjęciu samodzielnego polskiego łącznika do CCS, by zgodzili się na Mitkiewicza. Wprowadził go do swoich znajomych generałów, urządził dla niego obiad z udziałem wyższych wojskowych brytyjskich i amerykańskich, a nade wszystko pomagał mu językowo w porozumieniu się z nimi, bo płk Mitkiewicz nie mógł prowadzić poważnej rozmowy po angielsku bez tłumacza. Wszystkie memoriały, którymi chwali się płk Mitkiewicz, były w tym początkowym okresie pisane w ataszacie przez Zamoyskiego po angielsku i wszystkie tzw. „negocjacje” ustne były prowadzone przy jego pomocy. Nie przynosi chwały autorowi pamiętnika, że przemilcza efektywną pomoc, której mu udzielił płk Zamoyski.

Tak więc Amerykanie i Brytyjczycy pogodzili się z obecnością płk. Mitkiewicza w Waszyngtonie, ale, tak jak przepowiedział gen. Dean, nie dali mu żadnej możliwości pracy. Działalność jego ograniczała się do składania memoriałów. Jego biuro mieściło się w tym samym prywatnym domu, co i ataszat, tylko na innym piętrze. Jednak na jego prośbę Zamoyski wystarał się dla niego o pokój do pracy w gmachu CCS. Było publiczną tajemnicą w ataszacie wojsk., że dla zachowania pozorów, iż używa swego pokoju w CCS do pracy, płk Mitkiewicz jeździł raz na tydzień ze swym pomocnikiem mjr. S. Jędrzejewskim na kilka godzin do CCS.

W pamiętniku przedstawia swoje położenie znacznie optymistyczniej. Tak np. mówiąc o użyciu Armii Krajowej w ramach ogólnego planu strategicznego w Europie, pisze: „Pomimo, że jeszcze nie rozpocząłem na ten temat decydujących rozmów...” (str. 349). Oczywiście nigdy nie miał sposobności prowadzić żadnych „decydujących” rozmów z przedstawicielami CCS. Wyolbrzy-

mia on także znaczenie swojej rozmowy (3 czerwca) z gen. Wedemeyerem, bo nie wywarła ona żadnego wpływu ani na uwzględnienie Armii Krajowej w planach CCS, ani na sprawę jej zaopatrzenia w broń.

Chcę sprostować twierdzenie płk. Mitkiewicza o kierowaniu pracami attaché wojskowego. Otóż stwierdzam, że wbrew temu co pisze, nie otrzymywałem od niego żadnych zadań i żadnych takich zadań nie wykonywałem. Jego pobyt w Waszyngtonie nie wpłynął w niczym na moje wykonywanie obowiązków attaché wojskowego. Cokolwiek było napisane w jego instrukcji, której o ile pamiętam nigdy nie widziałem, to nie otrzymałem od swego przełożonego, Szefa Sztabu N.W., żadnego rozkazu zmieniającego moją statutową podległość Szefowi Sztabu przez Szefa Oddz. II. Kiedy w grudniu 1943 r., podczas bytności w Londynie, zwróciłem się do Szefa Sztabu gen. Kopańskiego i do Szefa Oddz. II płk. Gano z zapytaniem w tej sprawie, to obydwaj potwierdzili, że moja linia podległości jest taka sama jak innych attaché wojsk., że podlegam Szefowi Sztabu przez Szefa Oddz. II. Gen. Kopański dodał życzenie, żebym dzielił się z płk. Mitkiewiczem wiadomościami, które mogą mu się przydać. Mogłem mu zameldować, że to ostatnie żądanie już wykonywałem, bo posyłałem płk. Mitkiewiczowi do wglądu odpisy moich okresowych raportów i raportów szyfrowych *po* wysłaniu do Sztabu N.W. Nadmieniałem także, że Mitkiewicz nie odwzajemnia mi się tymże, na co, jak mi się wydało, gen. Kopański uśmiechnął się dyskretnie i nic nie odpowiedział.

Tak więc pretensja płk. Mitkiewicza do kierowania pracami attaché wojsk. jest zupełnie bezpodstawna.

Uważam że wyznaczenie płk. Mitkiewicza do Waszyngtonu było błędem dyplomatycznym gen. Sikorskiego.

Doszły mnie wiadomości, że po śmierci gen. Sikorskiego zastanawiano się nad zlikwidowaniem kosztownej i nieprodukcyjnej „misji” płk. Mitkiewicza, ale zaniechano zamiaru z niewiadomych mi powodów, tak że Mitkiewicz dotrwał do lipca 1945.

Koniec „misji” był niesławny, bo w lipcu 1945 r., już po cofnięciu przez Aliantów uznania naszemu rządowi, oficerowie odmówili wykonywania zarządzeń swego szefa płk. Mitkiewicza z powodu jego zachowania się. W sierpniu, kiedy odpoczywałem na plaży Ocean City, Md, otrzymałem depeszę płk. Mitkiewicza, w której prosił mnie o objęcie przewodniczenia komisji likwidacyjnej jego sztabu. Odmówiłem. Likwidację jego sztabu przeprowadził mjr S. Jędrzejewski.

Włodzimierz ONACEWICZ

SPRAWA REWINDYKACJI — PONOWNIE

Przed niespełna rokiem redaktor *Kultury* przysłał mi pracę niezjącego już pułkownika Bolesława Ostrowskiego (zmarł w Argentynie w roku 1965), pod tytułem „Prawda o Hrynkach czyli polska akcja rewindykacyjna na Wołyniu”. Z inicjatywą jej ogłoszenia w *Kulturze* lub *Zeszytach Historycznych* wystąpił przyjaciel zmarłego, pułkownik Tadeusz Boguszewski, który przysłał maszynopis wymienionej pracy. W liście do redaktora określił ją jako „uczciwe przedstawienie wypadków. Bez kolorów i tendencji. Pułkownik Ostrowski znał teren, znał wszystkie osobistości kierownicze, tak ze strony polskiej jak i ukraińskiej. Przed ludźmi takimi jak ja nie miał potrzeby tać niczego wówczas, a w swoim pisanim sprawozdaniu z dalekiej Argentyny nie miał potrzeby tać, przeinaczać, lub koloryzować. Był dociekliwy i doszukiwał się przyczyn rusyfikacji. W rezultacie był daleko lepiej zorientowany, niż Józewski i podlegli mu urzędnicy...”

Redaktorowi ta praca — właściwie osobiste wspomnienia o zacieciu polemicznym — wydała się zbyt obszerna. Istotnie jest to maszynopis na dwudziestu stronach bitego pisma bez odstepu: w *Kulturze* zająłby od 25 do 30 stron. Chodziło więc o przeprowadzenie dużych skrótów i odpowiednie przepracowanie. Ostatecznie zdecydowałem się pracę śp. Ostrowskiego po prostu streścić, cytując niektóre fragmenty *in extenso*. Osoby, które znają oryginalny tekst, będą mogły sprawdzić, czy streszczenie uwzględnia wszystkie argumenty autora.

Ale nie ograniczyłem się do streszczenia. Naświetliłem te wspomnienia krytycznie, raz po raz wdając się w polemikę z autorem. Tamte sprawy należą już do historii, ale, jak widzimy, będą namiętne kontrowersje po dziś dzień. Zresztą, zostałem zaczepiony także osobiście i to w sposób, również domagający się repliki. I nie chodzi o rzeczy bagatelne.

J. Ł.

Z tak zwaną rewindykacją, której Hrynki były etapem najbardziej głośnym, zetknąłem się, oczywiście, podczas mojej dziennikarskiej pracy na Wołyniu. Kilka słów, jak do tego doszło. W marcu 1937 roku zacząłem wydawać w Lublinie dziennik *Kurier Lubelski*. Żywot jego był krótkotrwały, ale pismem zainteresował się wojewoda wołyński, Henryk Józewski, ze względu na sposób w jaki tam stawiałem sprawę ukraińską. Zaprosił mnie najpierw do stałej współpracy z tygodnikiem *Wołyń*, a następnie zaproponował objęcie, zresztą nieoficjalne, jego redakcji. W październiku przenieśliem się do Łucka i redagowałem *Wołyń* do maja 1938. Pułkownik Ostrowski podaje, że na Wołyniu przebywał przez cały rok, od wiosny 1937 do wiosny 1938, a więc synchronizacja w czasie z moim pobytam całkiem dokładna. W kwietniu Józewski został przeniesiony do Łodzi, więc i moja dalsza praca w *Wołyniu* stała się niemożliwa.

Pułkownik Ostrowski miał służbowy przydział do Równego,

dużo jeździł, jako dowódca pułku KOP-u w powiecie krzemienieckim, zdołbunowskim i części rówieńskiego, musiał poznać całe pogranicze. Wieś Hrynki znajdowała się właśnie na jego terenie. On sam wypowiada się o polityce Józewskiego zdecydowanie negatywnie, i jako jeden z promotorów akcji rewindykacyjnej, broni jej równie zdecydowanie. Ale nie chodzi mi już o słuszność czy niesłuszność tej akcji, lecz o zdumiewające zjawisko, że osoby znajdujące się na tym samym terenie i w tym samym czasie nie tylko oceniały rzeczywistość we wręcz sprzeczny sposób, ale i s a m e f a k t y widziały zupełnie inaczej.

Czy naprawdę pułkownik Ostrowski mógł poznać teren i ludzi w ciągu jednego roku lepiej, niż Józewski i jego urzędnicy w ciągu dziesięciu lat? Ale nie przesądzajmy sprawy — czas zająć się pracą autora tych polemicznych wspomnień.

„Na wstępie mych służbowych powinności — czytamy zaraz na pierwszej stronie — stwierdziłem z zadowoleniem, że miejscowa ludność zachowywała się spokojnie, do państwa ustosunkowywała się lojalnie, zaś do KOP-u odnosiła się z szacunkiem, zaufaniem i życzliwością, wdzięczna za bezpieczeństwo, jakie jej zapewniała obecność oddziałów KOP-u, oraz za pomoc i opiekę nad nią ze strony KOP-u.

Wydaje mi się, że w tym jednym zdaniu znajduje się klucz do tych wszystkich złudzeń i nieporozumień, jakimi żywił się wówczas — a i później — pułkownik Ostrowski. Chłop wołyński był nieufny i podejrzliwy, zamknięty w sobie — logiczna konsekwencja ciężkich losów historycznych. Cóż dopiero, gdy chodziło o kontakt z przedstawicielami władzy, wojska, policji! Nie znaczy to, aby nie można było Polakowi wejść z nim w konfidencję, co jednak wymagało spełnienia różnych warunków. Józewski na przykład umiał doskonale dawać sobie radę z chłopami z północnego Wołynia, z myśliwskich wsi. Świetnie strzelał, co myśliwym z dziada-pradziada musiało imponować, ale najważniejsze: znał doskonale język ukraiński i „nie wstydził się” używać tej mowy przy każdej okazji.

Z pułkownikiem Ostrowskim nie zetknąłem się osobiście ani razu. Nie wiem, czy był obecny na odczycie, wygłoszonym w Równem przez Włodzimierza Bączkowskiego (bodaj w lutym 1938) na temat stosunków polsko-ukraińskich; jeżeli był, udziału w dyskusji nie wziął. Jakoś w tym samym czasie doszło do polemiki między *Wołyniem* i *Polską Zbrojną*, która to polemika wyglądała raczej jak rozmowa między jegomościem, siedzącym na ławie oskarżonych i pełnym temperamentu prokuratorem i sędzią w jednej osobie.

Oto w *Wołyniu* ukazał się artykuł, w bardzo ostrożnej formie zwracający uwagę na wzrost antypolskich nastrojów na wsi wołyń-

skiej. *Polska Zbrojna* natychmiast zareagowała ostrym artykułem, przekreślając wszystkie wysunięte argumenty. Autorem był zdaje się, pułkownik Sadowski, bardzo przyjaźnie wspomniany przez Ostrowskiego, szef sztabu w D.O.K. Przemysł i prawa ręka generała Głuchowskiego w akcji rewindykacyjnej na terenie województwa lwowskiego. Trudno było dać *Polsce Zbrojnej* właściwą odprawę — Józewski, który już wisiał wtedy na jednej nitce, bał się dalszych zadrażnień z wojskiem.

Pamiętam dobrze cotygodniowe posiedzenia komitetu redakcyjnego *Wołynia*. Brał w nich niezmiennie udział Józewski, nominalny redaktor Janisławski, stary Podolak, Joachim Wołoszynowski, były wicewojewoda Śleszyński, paru zaufanych urzędników z województwa i, naturalnie, niżej podpisany. Za każdym razem głowiono się, czy któraś z pozycji zakwalifikowanych do druku nie wywoła zbyt ostrej reakcji wojskowych. Stawałem dęba, ale rzadko kiedy udawało mi się przeforsować bardziej zdecydowane wystąpienie.

Artykuł *Polski Zbrojnej* (co do autorstwa Sadowskiego nie jestem pewny) był właściwie czymś w rodzaju reprimendy. Że niby, my wojskowi, doskonale znamy rekrutów z Wołynia, cenimy ich jako żołnierzy i wiemy, że w każdym wypadku dochowają wierności Rzeczypospolitej. Cóż było na to odpowiedzieć? Że żyją panowie w sferze słodkich złudzeń? Obawiam się, że pułkownik Ostrowski, kiedy pisał swoją „Prawdę o Hrynkach”, tkwił nadal w złudzeniach. Po tym wszystkim, co działo się na Wołyniu w latach 1942-45, po Dermaniu, po Janowej Dolinie!

Wspomnienia Ostrowskiego, ograniczone w czasie do jednego roku, przechodzą następnie w polemikę z Władysławem Pobogiem-Malinowskim, przy czym dostało się przy tej okazji i mnie, ponieważ to, co kiedyś o Hrynkach napisałem, pokryło się z relacją Malinowskiego, w tomie drugim „Najnowszej Historii Politycznej Polski”. A oto główne tezy Ostrowskiego.

Rewindykacja przeprowadzana była dobrowolnie i dotyczyła wyłącznie chłopów polskiego pochodzenia, niegdyś zmuszonych lub namówionych podstępnie do przejścia na prawosławie. Nieprawdą jest, jakoby ludność Hrynek powróciła potem gromadnie na prawosławie. Wojewoda Józewski prowadził politykę szkodliwą dla Polski i składał kłamliwe raporty, w wyniku których został wkrótce z Wołynia usunięty. Wszystkie zarzuty przeciwników rewindykacji pod adresem wojska oparte były na fałszach.

Oto dłuższy cytat zawierający charakterystykę działalności wojewody Henryka Józewskiego:

„Zaraz po objęciu mej funkcji, stwierdziłem z głębokim zdziwieniem, że

społeczeństwo polskie na Wołyniu czuło się mocno przygnębione, rozgoryczone i nawet zastraszone polityczną działalnością wojewody wołyńskiego, Henryka Józefskiego. Nastrojowi temu ulegały nie tylko poszczególne osoby, lecz i całe zespoły, jak duchowieństwo rzymsko-katolickie, Macierz Szkolna, Związek Oficerów Rezerwy, Związek Podoficerów Rezerwy, Związek Osadników i pozostałe polskie organizacje społeczne. Nie lepiej czuły się zarówno podległe wojewodzie, jak i niezależne od niego władze i urzędy administracyjne państwowe, czy komunalne na terenie Wołynia. Niezgodzących się z jego szowinistyczną, a prowadzoną z wielkim fanatyzmem, zaciekleścią i tupetem politykę ukrajinizacji Wołynia, wojewoda usuwał, względnie stawił wnioski do przełożonych w Warszawie o ich usunięcie z terenu. Używał przy tym różnych pretekstów, nie mających nic wspólnego z istotą sprawy. W środowiskach polskich świecił nieobecnością, za to brał pilny udział w zebraniach i obchodach ukraińskich. Aby założyć „Proswitę”, czy teatr ukraiński, sprowadzał działaczy i aktorów z Małopolski Wschodniej, wobec braku takich na miejscowym terenie. Nie chciał nigdzie dopuścić Polaków, a nie mając odpowiednich kandydatów, Ukraińców lokalnych, sprowadzał emigrantów-Ukraińców zza kordonu i przekorsowywał ich jako posłów z Wołynia do Sejmu Polskiego...”

To są jedyne argumenty na rzecz oskarżenia wojewody Józefskiego o „ukrajinizację Wołynia”. Nieco dalej autor powtórzył te same zarzuty, pisząc o „zakładaniu filii ‘Proswity’, teatrów, chórów, bibliotek” i tak dalej.

„A jak nazwać” — zapytuje Ostrowski — „umiejętność Józefskiego wprowadzenia do Sejmu w Warszawie, jako posłów z Wołynia, Ukraińców, emigrantów z Wielkiej Ukrainy, z czołową postacią Skrypnika na czele?”

Jak widzimy, repertuar zarzutów raczej ubogi. Ktoś, kto zna wieś wołyńską i w ogóle ukraińską, uśmiechnie się mimowoli, że potrzeba było dopiero inicjatywy Józefskiego, by zaczęły powstawać... chóry! Toż w każdej najmniejszej wsi istniał chór: za Drugiej Rzeczypospolitej, pod zaborem rosyjskim — zawsze! Szkoda, że autor cytowanego tekstu nie podał nazwisk tych działaczy sprowadzanych rzekomo z Małopolski i zza kordonu. W rzeczywistości była ich garstka.

Oczywista, Józefski żadnych chórów, teatrów i organizacji ukraińskich nie zakładał, natomiast prawdą jest, że ich powstawaniu nie przeciwstawił się, i o to właśnie poszło. W Łucku parę razy w miesiącu występował teatr ukraiński, w trzech czwartych amatorski. To już był kamień obrazy. Wojewoda zaprosił Marię Dąbrowską do „Ridnoj Chaty” na ludowe przedstawienie — skandal! Wojewoda rozmawia z Wołyńiakami po ukraińsku — niewątpliwa zdrada narodowa! Pułkownik Ostrowski najwidoczniej wpadł od razu w środowisko szowinistyczne, które odpowiednio go nastawiło. A co tu dużo gadać — urzędnicza inteligencja polska w Łucku, Równem i gdzie indziej w znacznej większości tworzyła nacjonalistyczne getto, bez żadnego kontaktu

z terenem. Józewskiego nienawidziła — i nie mogło być inaczej.

Co do elementu napływowego — jak napisał Ostrowski — „z Małopolski i Wielkiej Ukrainy”, jakże łatwo ten zarzut odwrócić! A Polacy — w administracji, sądownictwie, władzach miejskich, policji, nauczycielstwie — ilu wśród nich było rodowitych wołyniaków? Czemuż więc stosować taką podwójną miarę?! A może samo mianowanie Józewskiego wojewodą wołyńskim stanowiło bezprawie? On przecież także był przybyszem z Wielkiej Ukrainy, podobnie jak poseł Stepan Skrypnyk!

Pułkownik Ostrowski napisał, że Józewski został na wiosnę 1938 roku przeniesiony z Wołynia do Łodzi na skutek nieprawdziwego raportu o sprawie Hrynek i całej akcji rewindykacyjnej. To niezupełnie tak. Hryniki tylko dolały oliwy do ognia, przyczyny tkwiły gdzie indziej. Dopóki żył Piłsudski, Józewski był „żelaznym wojewodą” i trudno było przeciw niemu występować. Wkrótce po śmierci Marszałka zaczęła się nagonka, która coraz to przybierała na sile, aby dojść do apogeum w zimie z 1937 na 1938. Ostrowski w ogóle o tej nagonce nie wspomniał, choć przecież przez cały rok swego pobytu na Wołyniu z bliska ją obserwował. Nic nie wie o istnieniu tygodnika *Kurier Wołyński*, specjalnie założonego w Łucku dla zwalczania i szkalowania Józewskiego. Pewien podoficer w stanie spoczynku, nazwiskiem Witczak, a kawaler *Virtuti Militari*, wystąpił z listem otwartym oskarżając wojewodę, jako również odznaczonego tym samym krzyżem, o zwykłe nadużycie. Sprawa poszła do Kapituły orderu, która oczyściła Józewskiego z zarzutów, co nie przeszkodziło *Kurierowi Wołyńskiemu* do ich podtrzymywania w dalszym ciągu. I wtedy zaczęła się krzepiąca na duchu kołomyjka: województwo konfiskowało *Kurier*, zaś sąd łucki, wrogo ustosunkowany do wojewody, za każdym razem uchylał konfiskatę. Józewski do Sławoja — co robić? — Sławoj: konfiskować w dalszym ciągu! Wzruszający i niezwykle praworządny wyścig kompetencji! Czyżby o tym wszystkim pułkownik Ostrowski nie wiedział? A może zapomniał, gdy pisał swoje wspomnienia?

Co uderza w dwudziestostronicowym tekście, to minimalna ilość zacytowanych nazwisk i niedokładna chronologia. Nawet nazwisko J ó z e f s k i — *f* zamiast *w*! Co prawda sam autor zastrzeża się, że żadnymi notatkami nie rozporządzał i pisał po kilkunastu latach. To brzmi przekonywująco, ale gdy się nie ma pełnego zaufania do własnej pamięci, lepiej unikać kategorycznych twierdzeń.

Tu parę słów *pro domo sua*. Ostrowski wspominał o mnie dwukrotnie, ale nie w związku z moim pobytom na Wołyniu w tym samym okresie. A jednak byłem w *Wołyniu spiritus movens*

w walce z *Kurierem Wołyńskim* i napsułem wrogom wojewody sporo krwi. W Łucku ludzie czekali z tygodnia na tydzień, co też *Kurier Wołyński* napisze o Józewskim i co na to odpowie Łobodowski. Poza tym namówiłem wojewodę na założenie miesięcznego dodatku literacko-artystycznego, który miał jednak swoje małe znaczenie i podniósł poziom pisma.

Ostrowski wymienił mnie dwukrotnie w swojej pracy, ale z innych powodów. Wspominając o „Najnowszej Historii Politycznej Polski” Pobóg-Malinowskiego, napisał co następuje:

„Co prawda już wcześniej ukazał się w londyńskich *Wiadomościach* artykuł, krytykujący akcję rewindykacyjną na Wołyniu, pióra p. Łobodowskiego, który jeszcze do dziś pobąkuje z przekąsem o tej akcji. Początkowo warunki emigracyjne nie pozwoliły mi odpowiednio zareagować; potem wyperswadowałem sobie replikę, gdyż artykuł ten nie wnosił nic ponad zarzuty, stawiane swego czasu przez posłów ukraińskich na komisji sejmowej, zbadane i odrzucone przez rząd jako nie polegające na prawdzie i wręcz kłamliwe. Artykuł ten świadczy, że p. J. Łobodowski, wywodzący swój ród od kozackiego atamana i, chociaż już nie komunista, ale pisarz polski, który 'wybrał wolność' po przekonaniu się (zdaje się na własnej skórze) czym była i jest wroga Polsce propaganda, nie otrząsnął się ze swej niedawnej przeszłości i w dalszym ciągu pozostaje tej wrogiej propagandy echem...”

Jak wynika z tego tekstu, pułkownik Ostrowski nie orientował się że „wolności nie wybierałem”, bo jej nie straciłem, i że ta moja przeszłość, rzekomo „niedawna”, skończyła się na parę lat przed zapoznaniem się z rzeczywistością wołyńską.

Gorzej, gdy autor w swojej polemice z Pobóg-Malinowskim, popełnia następujący lapsus:

„Nie słyszałem, aby Józefski był zwalczany przez komunistów. Sądząc po stanowisku byłego komunisty, p. Łobodowskiego, który będąc w Polsce, ustosunkowywał się do rewindykacji na Wołyniu podobnie jak czyni to i obecnie na emigracji, to polityka Józefskiego, osłabiająca Polskę przez pogłębianie obcej irredenty na jej terenie, była przez komunistów, działających na rozkaz Moskwy, przyjmowana raczej z uznaniem”.

Ano, insynuacja całkiem wyraźna i niedwuznaczna. Józewski działał na korzyść komunistów i Moskwy, więc „był komunistą”. Łobodowski, chwalił go i chwali po dziś dzień. Więc może wcale nie taki b y ł y ?

To jedno wystarczy, by stwierdzić, jak bardzo zmarły pułkownik nie orientował się w wołyńskiej rzeczywistości i jakich nierzetelnych miał informatorów. Józewski był zniechęcony przez komunistów, ponieważ pod wieloma względami wytrącał im argumenty typu, powiedzmy, „narodowego komunizmu”, streszczające się w hasło: „Niech żyje Wolna Ukraina pod ręką ojca Stalina!”. Gdzieś koło roku 1930, czy też nieco później, wyszła w Sowietach

książka, której tytułu dokładnie nie pamiętam; coś w rodzaju: „Imperialistyczni panowie i ich psy łańcuchowe”.

Kilkadziesiąt sylwetek najwybitniejszych polityków, głównie europejskich i amerykańskich, ale był także Czang Kaj-szek, bodajże Kemal Pasza, cesarz japoński i tak dalej. Polskę reprezentowali jako „psy łańcuchowe kapitalizmu i imperializmu” marszałek Piłsudski i właśnie... Henryk Józewski. Do tego odpowiednie karykatury. Józewski był przedstawiony jako okrutny prześladowca chłopów wołyńskich, a przede wszystkim jako kat i oprawca komunistów. Pamiętam, że wojewoda był bardzo dumny z tego wyróżnienia.

Najwidoczniej pułkownik Ostrowski nie słyszał, że podczas okupacji Józewski, który w podziemiu prowadził żywą działalność, padł ofiarą zamachu i wyszedł z niego ciężko poraniony; zamachu tego dokonali komuniści. Gdyby o tym wiedział, może nie napisałby słów powyżej zacytowanych.

Polemizując z Pobóg-Malinowskim, Ostrowski kilkakrotnie z oburzeniem pisze o szkalowaniu wojska, w czym miał brać udział również wojewoda Józewski. Jego stosunki z wojskiem były od początku raczej niedobre, z biegiem czasu coraz gorsze. Rewindykacja dokonała reszty. Tu konieczna jest mała dygresja. Zawodowi wojskowi byli w Polsce wyjątkowo wyczuleni. Z zasady przyjmowali krytykę jednego z nich jako atak na wojsko w ogóle. Ta postawa przetrwała do pewnego stopnia i na emigracji. Jest to osobny temat, którego nie zamierzam tu wyczerpać. Ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że z chwilą, gdy do Józewskiego przyłgnęła opinia „tępiciele polskości” i „ukrainizatora”, wojsko wypowiedziało mu bezpardonową walkę. Nieliczne wyjątki nie zmieniały ogólnego obrazu.

Pułkownik Ostrowski, zdaje się, nie wiedział, że na decyzji odwołania Józewskiego najbardziej zaważył ówczesny dowódca O.K. Lublin, do którego należał Wołyń, generał Mieczysław Smorawiński. Gdy zgłosiła się do niego delegacja oficerów, meldując, że nie odpowiadają za siebie, jeżeli Józewski nie zostanie odwołany, Smorawiński, zamiast posłać ich na odwach, złożył odpowiedni raport ministrowi Kasprzyckiemu, a ten z kolei poszedł do Sławoja.

„Albo zabierzecie Józewskiego z Łucka, albo go zastrzelimy” — taki był sens tej interwencji. W tym samym czasie *Kurier Wołyński* zamieszczał artykuły, historycznie bijące na alarm: „Pięć minut przed dwunastą”, „Miara cierpliwości przebrała się...”.

Czytelnik, nie orientujący się w sytuacji, mógł łatwo dojść do wniosku, że polskość na Wołyniu grozi całkowita zagłada, że jesz-

cze kilka dni, a społeczeństwo, z wojskiem na czele, zrewoltuje się przeciw „zbrodniczemu” wojewodzie.

Czy wśród polskich oficerów nie było ludzi ograniczonych, tępych, a nawet zupełnych kretynów? Byli głupcy i kretyni wśród administratorów, prawników, lekarzy, dziennikarzy, literatów, księży, we wszystkich zawodach! — wśród zawodowych wojskowych być ich nie mogło, taka opinia byłaby równoznaczna z obrazą munduru! Wojewoda Józewski miał z wojskiem mnóstwo przykrości, często zupełnie nie związanych z jego polityką na tym trudnym terenie. Przytoczę dwa wypadki jakby żywcem wyjęte z humorystycznej anegdoty.

Pułkownik Ostrowski wymienił w swoich wspomnieniach podpułkownika Gąsiorka, dowódcę baonu „Dederkały”, który odegrał niemałą rolę w „nawróceniu” Hrynek. Parę lat przedtem Gąsiorek, ówczesnie jeszcze w randze majora, wszedł w konflikt z konserwatorem wojewódzkim, Józefem Dutkiewiczem. Dutkiewicz, którego poznałem tuż przed wojną w Lublinie, nie miał nic wspólnego z żadną polityką. Architekt z zawodu, historyk z zamiłowania, dbał tylko o to, by gmachy objęte uchwałą o ochronie zabytków, nie były niszczone ani przerabiane w niewłaściwy sposób. Bolał nad stopniowym niszczeniem zamku Lubarta w Łucku; nawet na jego zabezpieczenie, cóż dopiero restaurację, nie miał żadnych funduszy; roczna dotacja była śmiesznie niska.

Jak mi opowiadano, z majorem Gąsiorkiem doszło do awantury w związku z inicjatywą odrestaurowania nieczynnych organów w kościele w Dederkałach. Organy były zabytkowe, z epoki baroku, Dutkiewicz przeciwstawił się zbyt oryginalnemu planowi ich przeróbki. Chodziło o ułożenie rur organowych w kształcie orła z rozpostartymi skrzydłami. Awantura! Wojewoda poparł Dutkiewicza. Trudno o lepszy dowód antypolskiej działalności! Nie chcieli mieć w kościele godła Rzeczpospolitej!!!

Dutkiewicz miał tego dość i po pewnym czasie postarał się o przeniesienie do Lublina, gdzie na krótko przed wybuchem wojny udało mu się przywrócić do pierwotnego, pięknego stanu Stary Rynek wraz z przylegającymi uliczkami. Mówiąc nawiasem, jeśli na Wołyniu oskarżono go o ukrajinofilizm i polakożerstwo, w Lublinie uzyskał miano antysemitę. Powyrzucał sklepiki i warsztaty ze sklepionych bram starych domów. Ukrajinofil i antysemita — jak to pięknie się łączy!

Druga historyjka wypadła jeszcze zabawniej. Jej biernym bohaterem stał się wójt z Otyki. Był nim popularny na Wołyniu Edmund książę Radziwiłł, syn księcia Janusza. Oskarżono go przed wojewodą Józewskim o niewłaściwe traktowanie żon oficerskich. Książę, witając się, ścisnął piękne, białe dłonie, ale nie

składał na nich pocałunków. Obraza! Wojewoda odmówił interwencji w tej sprawie, ergo stał się moralnym współnikiem niegrzecznego księcia. A kto nie szanuje żon oficerskich, wiadomo...

To nie są zmyślane anegdoty. Tak było! I te historyjki, żywcem wyrwane z surrealistycznej farsy, przyczyniały się do utwierdzenia zbiorowej psychozy dokoła rzekomo antypolskiej i ukraińskiej akcji Józewskiego. Żałuję bardzo, że śp. pułkownik Ostrowski padł bezbronną ofiarą tej psychozy.

Wkrótce po przyjeździe do Łucka byłem na odczycie, wygłoszonym przez miejscowego adwokata, bardzo dynamicznego członka Stronnictwa Narodowego. Temat odczytu: przeszłość i teraźniejszość Wołynia. Duża sala kinowa, nabita do ostatniego miejsca. Urzędnicy państwowi, sporo młodych oficerów, przedstawiciele palestry, redakcja i współpracownicy *Kuriera Wołyńskiego in corpore*. Odczyt miał charakter raczej wiecowego przemówienia, demagogiczny, rojący się od historycznych błędów i fałszów. Wymowny przykład: drugi rozbiór nie objął zachodniego Wołynia, ponieważ caryca Katarzyna wiedziała, że większość jego ludności była polska. Znakomity mecenas w ogóle nie orientował się, że największe skupienia Polaków znajdowały się właśnie na Wołyniu wschodnim, w Żytomierszczyźnie. I cały odczyt był na tym samym poziomie.

Nazwisko Józewskiego nie padło ani razu, ale wszyscy obecni dobrze wiedzieli, przeciw komu skierowane są najbardziej gwałtowne zarzuty, i reagowała na nie frenetycznymi oklaskami. Trzeba jeszcze raz powtórzyć: zbiorowa szowinistyczna psychoza, pogłębiona okolicznością, że to polskie inteligenckie getto nie miało żadnego kontaktu z szerokimi masami ludności. Znana to rzecz, że atmosfera każdego getta najbardziej sprzyja powstawaniu wszelkiego rodzaju psychicznych epidemii.

Ale już czas oddać głos pułkownikowi Ostrowskiemu w sprawie, która go obchodziła najbardziej: przejście mieszkańców wsi Hrynki na katolicyzm, co miało być jednoznaczne z re-polonizacją.

„Studia nad zagadnieniem narodowościowym” — czytamy w tekście Ostrowskiego — „doprowadziły mnie do wniosku, że na Wołyniu winno się było znajdować co najmniej około 350 do 400 tysięcy ludności polskiej lub pochodzenia polskiego ponad liczbę Polaków oficjalnie zarejestrowanych przez nasze statystyki urzędowe; a więc drugie tyle, nie 16,6 procent, lecz około 32 procent ogółu ludności Wołynia”.

Niestety, czytelnik musi to przyjmować na wiarę, gdyż autor nie podał jakich metod badawczych używał w tych „studiach narodowościowych”. Dodatkową nieufność budzi okoliczność, że doszedł do takich rewelacyjnych wniosków w zaiste rekordowym

czasie: wystarczyło mu parę miesięcy poruszania się po terenie. Zresztą on sam zdał sobie sprawy, że twierdzenie wypadło gołosłownie, bo natychmiast dodaje:

„Dziś, gdy piszę z pamięci, bez posiadania jakichkolwiek podręczników czy notatek, trudno mi dokładnie uzasadnić te moje ówczesne kalkulacje. W owym czasie pokrywały się one z danymi, do jakich doszedł w swych badaniach — niezależnie ode mnie — szef wydziału narodowościowego w Ministerstwie Spraw Wojskowych, pułkownik dyplomowany Sadowski. Pracował on pod kierownictwem generała Janusza Głuchowskiego, który z ramienia Ministra Spraw Wojskowych, generała Kasprzyckiego sprawował nadzór nad mniejszościami narodowymi na wschodnich terenach Polski...”

Nie wiem, na czym polegały badania pułkownika Sadowskiego. Uzasadnienie tezy, że na Wołyniu było kilkaset tysięcy ludności pochodzenia polskiego, nie wykrytej przez oficjalną statystykę, wymagałoby co najmniej kilku lat żmudnej pracy, prowadzonej przez liczne i wykwalifikowane ekipy. Nikt takich prac nie przeprowadzał. Nie posądzam ani Ostrowskiego, ani Sadowskiego, ani innych wojskowych o złą wolę, ale chyba wolno stwierdzić, że najlepsza nawet wola nie mogła zastąpić specjalistów od historii, etnografii i statystyki. Wróćmy jednak do Hrynek.

„Wieś Hrynki” — czytamy w pracy pułkownika Ostrowskiego — „w pierwszej połowie XIX wieku małe osiedle, nie przekraczające stu mieszkańców, w roku 1829, a więc w przeszło trzydzieści lat po pierwszych carskich ukazach, liczyła jeszcze wówczas ponad czterdzieści 'dusz' katolickich, dawniej tam osiadłych. Mimo że później sprowadzono do niej wielu chłopów-osadników z piotrkowskiego, to do naszych czasów zachowała się we wsi jedna tylko rodzina rzymsko-katolicka, o nazwisku Zalewskich. Niezależnie od moich badań, powszechnie było wiadome, że wieś Hrynki liczy sporo mieszkańców pochodzenia polskiego. Mieszkańcy wsi brali chętnie i licznie udział we wszystkich uroczystościach i obchodach narodowych polskich, oraz zabawach, urządzanych przez miejscowy oddział KOP-u. W parafii rzymsko-katolickiej Łanowce, odległej o trzy kilometry, zachowały się stare metryki parafialne z Hrynek, przeniesione tam podczas likwidowania przez Moskali kościoła w Hrynkach. Wertując te metryki, okazało się, że większość ludności Hrynek to potomkowie Polaków”.

Z dalszego opisu tych wydarzeń, w wersji pułkownika Ostrowskiego, wynika, że nie było „jakichś specjalnej agitacji, aby wieś przywrócić do polskości”. Ot, zwyczajne kontakty między oficerami KOP-u i mieszkańcami wsi. „Utworzyli oni komitet — czytamy we wspomnieniach — i zwrócili się do księdza w Łanowcach z prośbą o przyjęcie w poczet Kościoła rzymsko-katolickiego”. Prośba została przyjęta. Pułkownik Ostrowski był obecny na uroczystości przejścia na katolicyzm. Podaje, że na 750 osób 480 przyjęło wiarę rzymsko-katolicką. Mieli to być potomkowie Polaków, którzy kiedyś zruszczyli się i przyjęli prawosławie. Niestety, nie

rozporządzałem spisem imiennym tych konwertytów, jak nie rozporządzał nim pułkownik Ostrowski, gdy przed wieloma laty pisał swoją pracę w dalekiej Argentynie.

Jedno nazwisko utkwiło mi jednak w pamięci po dziś dzień. Achtiachtiarow — były żandarm rosyjski, który po upadku carskiego imperium osiedlił się w Hrynkach i ożenił ze starszą wdową, Ukrainką. On również poczuł się nagle Polakiem i przeszedł na katolicyzm. Ostrowski opisał uroczystość w sposób dość wzruszający.

„Obserwowałem twarze uduchowione, rozradowane i uśmiechnięte, cieszyli się jak dzieci. Gdy ich pytałem, dlaczego tak długo zwlekali z przyjęciem katolicyzmu, odpowiadali, że gdy Polska „zmartwychwstała”, oczekiwali, że wyjdzie 'ukaz' powrotu ich do polskości; tymczasem takie rozporządzenie się nie ukazało, a ponieważ nikt do tej pory nie zwracał się do nich w tej sprawie, więc myśleli, że Polska ich nie potrzebuje i nie chce...”

„Gdy w kilka miesięcy później” — uzupełnia Ostrowski te informacje — „odwiedziłem Hrynki, ludność wsi, ku memu zażenowaniu, witała mnie przy bramie triumfalnej. Ponieważ w międzyczasie ukazały się wzmianki w prasie, jakoby większość nawróconych wróciła z powrotem do kościoła prawosławnego, pytałem o ile ta pogłoska polega na prawdzie. Odpowiedzieli, że na prawosławie nikt z nowonawróconych nie wrócił; natomiast ze śmiechem opowiadali o tym jak miejscowy żebrak-pijak kajał się publicznie przez kilka niedziel z rządu, a ksiądz prawosławny pokrapiał go przy tym wodą święconą; wobec Polaków zaś usprawiedliwiał się: „Cóż mam robić? Jestem biedny i muszę z czegoś żyć!”

Pułkownik jeździł do Hrynek kiedy chciał. Byli jednak tacy, którzy bardzo chcieli, a jednak w żaden sposób dostać się tam nie mogli. Prawosławny biskup, który usiłował jeszcze przed masowym nawróceniem pojechać do Hrynek (należały do jego diecezji), został zatrzymany w drodze przez posterunek KOP-u i zawrócony do Łucka; nie miał przepustki koniecznej w terenie pogranicznym.

Dziennikarze z tegoż Łucka, dziwnym trafem, nie zostali na uroczystość zaproszeni. Gdybym, jako faktyczny redaktor *Wołyńia* znalazł się tego dnia w Hrynkach, napisałbym całą prawdę i może także uległbym wzruszeniu na widok „uduchowionych” konwertytów. Odebrano mi tę okazję. Tak się jakoś składało, że na tereny pograniczne było niezmiernie trudno otrzymać przepustkę, a już zwłaszcza po rozpoczęciu akcji rewindykacyjnej. Dlaczego?

Wojewoda Józewski odbierał meldunki od podległych mu władz, a przede wszystkim od policji; brzmiały one nieco mniej pogodnie i różowo, niż relacja pułkownika Ostrowskiego. Wspominał on o wzmiankach w prasie, jakoby większość nawróconych wróciła do prawosławia. Oświadczył, że sprawdzał te pogłoski na miejscu, gdzie zaprzeczono im kategorycznie. Rzekomo chodziło

tylko o jednego żebraka-pijaka. Powstaje logiczne chyba pytanie: dlaczego zainteresowani nie sprostowali prasowych informacji o powrocie Hrynek do prawosławia? Ta część prasy, która zachłystywała się zachwytem na wiadomość o uroczystym przejściu na katolicyzm, potem nabrała wody do ust i już do tej sprawy nie powracała. Pułkownik Ostrowski stwierdził lakonicznie, że „piórem się nie parał”, ale chyba mógł napisać list do tej czy innej redakcji (do *Polski Zbrojnej* na przykład), zaprzeczając pogłoskom, które uznał za nieprawdziwe. Żałuję, ale nigdzie żadnych sprostowań nie spotkałem. O Hrynkach przestano pisać — i tyle!

Wspomniałem uprzednio, że spora część pracy Ostrowskiego jest poświęcona polemice z Pobóg-Malinowskim. Obydwaj adwersarze nie żyją od lat. Jak mogło dojść między nimi do tak jaskrawej kontrowersji? Pobóg-Malinowski napisał w drugim tomie „Najnowszej Historii Politycznej Polski”, że Hrynki zostały sterroryzowane; Ostrowski kategorycznie temu zaprzeczył, a nawet wysiał tę wersję. Nawet kolejność wypadków uległa zasadniczemu przetasowaniu. Ostrowski podał, że ołtarz polowy został zbeszczeszczony już po powzięciu decyzji przejścia na katolicyzm; Malinowski, zgodnie z tym, co wówczas słyszałem, napisał, że akt świętokradczy stał się punktem wyjścia dla akcji rewindykacyjnej.

Jestem najdalej od przypisywania pułkownikowi Ostrowskiemu świadomego przeinaczania faktów. W wielu wypadkach zawiodła go po tylu latach pamięć, ale to wszystkiego nie wyjaśnia. Przypuszczam, że był wprowadzany w błąd przez swoich podkomendnych i przez szowinistyczne otoczenie. O tym jak „przygotowywano” Hrynki do konwersji, mógł nie wiedzieć. Najwidoczniej grzeszył naiwnością, skoro brama triumfalna wzbudziła w nim tylko „zażenowanie”, a żadnych podejrzeń. Nie pomyślał, nie zdał sobie sprawy, że w owej chwili szybował nad wołyńską wsią nieśmiertelny duch potiomkinowski!

Nie brakuje też w jego wspomnieniach poważnych, wykluczających się nawzajem sprzeczności. Zacytowałem już uprzednio opinię Ostrowskiego, że „miejscowa ludność zachowywała się spokojnie, do państwa ustosunkowywała się lojalnie”. Nieco dalej trafiamy na następujące zdanie:

„Moja działalność repolonizacyjna wpływała również z włożonego na mnie obowiązku zabezpieczenia granicy, zwłaszcza przeciw penetracji komunistyczno-szpiegowskiej, bardziej bowiem mogłem polegać na lojalności ludności polskiej, niż na najbardziej rzekomo lojalnej (podkreślenie moje — J.Ł.) ludności obcej...”

Więc ostatecznie jak? Była ta ludność lojalna, czy tylko „rzekomo lojalna”?

„Uważałem” — zapewnia autor — „że Ukraińcy w Polsce

mieli prawo do swobodnego rozwijania się i kultywowania swej narodowości...”. W takim razie dlaczego oburza się na Józewskiego, że tolerował „Proświtę”, teatr, chóry i tak dalej? Mówiąc nawiasem istnienie tych instytucji i organizacji było zagwarantowane konstytucją i obowiązującymi w Rzeczypospolitej prawami. Nie ma więc w tym, co pułkownik Ostrowski napisał, nawet elementarnej konsekwencji.

Wspomniałem uprzednio o odczycie Włodzimierza Bączkowskiego, wygłoszonym w Równem, gdzieś na początku roku 1938. Na sali siedział świeżo upieczony generał, nazwiskiem bodajże Korytowski (nie jestem pewny). Potem doszło do rozmowy w ograniczonym gronie osób. Generał słuchał argumentów Bączkowskiego i moich z dużym zainteresowaniem, ale trochę tak jakby chodziło o bajkę o żelaznym wilku. Widać było, że jednocześnie wywołują w nim zdziwienie, bo nigdy z takim postawieniem sprawy nie spotkał się, i stopniowo trafiają do przekonania. Jaka szkoda, że pułkownik Ostrowski nie wziął udziału w owej rozmowie!

Józewskiego oskarżono o ukrainizację Wołynia. A właściwie co miał oznaczać sam termin „ukrainizacja”? Czy można „ukrainizować” Ukraińców, czy można „polonizować” Polaków? Nonsense w założeniu! Natomiast można budzić uśpioną świadomość narodową, albo sztucznie ją tłumić, czy też opóźniać naturalne procesy. Można więc było starać się jak najdłużej dzielić Wołyniaków na „Rusinów” i „tutejszych”, zaś określenie Ukraińcy w ogóle wykreślić ze słownika. I w gruncie rzeczy o to właśnie poszło. Henryk Józewski rozumiał, że „tutejszość” i „rusińskość” to już anachronizmy, których utrzymać się nie da nawet siłą. Poza tym widział sprawę ukraińską w szerszej perspektywie, nie kończyła się ona dla niego na granicznych szlabanach.

Nic dziwnego, że ci wszyscy, którzy uważali, że należy spolonizować możliwie największą ilość „Rusinów”, zaś resztę „trzymać za mordę”, uznali wojewodę za zdrajcę sprawy polskiej. Miałem w podchorążówce rówieńskie koleżę o nazwisku Smółko. Był prawosławny, pochodził z Ostroga. Zapytany o narodowość oświadczył: — Jestem Ukraińcem! — i usłyszał w odpowiedzi: — Jesteście gówniarzem, a nie Ukraińcem! Gdzie ta wasza Ukraina?!

Zakładam, że pułkownik Ostrowski był człowiekiem zbyt kulturalnym, by zdobyć się na takie „zupackie” wystąpienie wobec żołnierza przyznającego się do narodowości ukraińskiej. Ale nie chodzi o takie czy inne formy, chodzi o mentalność, niedopuszczającą myśli, aby chłop, który, powiedzmy, w roku 1914 uważał się za „tutejszego”, nagle mógł stać się Ukraińcem. Sam fakt, że wojewoda Józewski odważył się uznawać Wołyniaków za Ukraińców

doprowadzał do wściekłości. Nie tylko wojskowych. I tak doszło do wspólnego frontu, dość jak na polskie stosunki polityczne oryginalnego: Stronnictwo Narodowe i „Strzelec”, ksiądz prałat Tokarzewski z Kowla i Sąd Okręgowy w Łucku, wojsko i palestra, a nawet poszczególni starostowie, naczelnicy bezpieczeństwa, pomniejsi urzędnicy, część policji.

Tej potężnej koalicji nie mogły skutecznie przeciwstawić się inne, mniej wpływowe czynniki, jak światlejsze nauczycielstwo, ośrodek krzemieniecki, co rozsądniejsi ziemianie, mimo że nie przebijająca w środkach nagonka przeciw Józewskiemu zaczynała wśród ludzi kulturalnych budzić coraz większe obrzydzenie. Ale na kontr-akcję było już za późno.

„Na Józefskiego” — napisał Ostrowski, jak gdyby odgradzając się od tej nagonki — „nie złożyłem żadnego meldunku, ani ustnego ani pisemnego; w prasie go nie szkalowałem”. Chętnie przyjmuję to oświadczenie. Ale pułkownik Ostrowski nie mógł nie wiedzieć, że swoją postawą i działalnością udziela automatycznie moralnego poparcia tym wszystkim, którzy wojewodę otwarcie zwalczali i szkalowali. I jeszcze jedno jest pewne: o istocie i ciężarze gatunkowym zagadnienia ukraińskiego Ostrowski nie wiedział absolutnie n i c. Ani w Polsce przed wojną, ani na emigracji. Według jego obliczeń, akcja rewindykacyjna na Wołyniu dała co najmniej dziesięć tysięcy konwertytów. Już w kilka lat później nikogo z nich nie zostało. Natomiast zostało nienawistne wspomnienie, jeszcze jedna cegiełka w murze bratobójczej wrogości, dzielącym dwa sąsiedzkie narody.



Wyrównanie polsko-ukraińskich stosunków jest historycznym nakazem, zgodnie z interesami obydwu narodów. Nigdy do tego nie doprowadzimy, jeżeli nie będziemy mówili i pisali całej prawdy, choćby najbardziej bolesnej. To jest zasadnicza racja, dla której zająłem się polemicznymi wspomnieniami śp. pułkownika Ostrowskiego i przeciwstawiłem im własne racje, w przekonaniu, że moja znajomość tamtych spraw sprzed przeszło trzydziestu lat o wiele bardziej odpowiada rzeczywistości.

I był jeszcze inny powód, częściowo osobisty. W owym najgorętszym okresie przebywałem w Łucku, współpracowałem z Józewskim, obcowałem z nim prawie na co dzień. Były wojewoda wołyński żyje, ale z wiadomych powodów nie jest w stanie brać udziału w naszych polemikach, ani wystąpić w obronie swego imienia. Uważałem więc za swój obowiązek wyręczyć nieobecnego.

Józef ŁOBODOWSKI

Temu tytułowi, jako „Uwagi i Przyczynki do Księgi 50-lecia Wyższej Szkoły Wojennej”, poświęcił gen. dyw. Dr Marian Kukiela dwa artykuły w *Wiadomościach* Nr 1251/52 z dn. 22/29 marca i Nr 1254 z dn. 12 kwietnia 1970 r.

Powołany na 3 i pół miesięczny Wojenny Kurs Sztabu Generalnego w 1920 r., z zapartym oddechem słuchałem porywających wykładów gen. Kukiela z dziedziny historii wojskowości i wojen. Nieświadomie i bezwiednie, pod jego wpływem, przygotowywałem się do przyszłej mej działalności wykładowcy WSW. Był dla mnie wzorem ścisłości w analizie i głębokości w ujmowaniu syntezy.

Dzisiaj, podziwiam jego żywność i lotność umysłu, erudycję historyczną, świetne pióro, niespożytą pracowitość. Ponadto, jego bezstronność historyka w nakreślaniu sylwetek mężów stanu i wodzów. W ostatnio wydanej książce „Generał Sikorski”, z całkowitą bezstronnością przedstawił nam jego wielkość jako „Żołnierza i Męża Stanu Polski Walczącej”; lecz równocześnie, z tą samą zadziwiającą bezstronnością, wolną od osobistych jakże głębokich wewnętrznych uczuć przyjaźni, ujawnił jego słabość — uleganie wpływom przyjaciół, którzy w rzeczywistości okazali się jego wrogami.

Te dwa, wyżej wspomniane artykuły, tworzą dwie części różnej wartości.

Część pierwsza, to wspaniała synteza przeszłości naszej myśli wojskowej. Poprzez Szkołę Aplikacyjną Królestwa Polskiego, Rok 1831, romantyczność rewolucyjną Roku 1963, sięgnął w głąb wnętrza Wodza-Wskrzesciciela Państwa, do ewolucji Jego twórczej myśli i pracy, przed i w czasie Pierwszej Wojny Światowej.

Część druga, poświęcona wpływowi francuskiemu i ustosunkowaniu się najwyższych władz wojskowych polskich do kształtowania doktryny i wychowanków WSW, odbiega od głębokości części pierwszej, staje się polemiczną. Brak w niej, w szczególności w części końcowej, bezstronności.

Obydwie te części tworzą studium, lecz również recenzję. Oczekiwałem, w końcowej syntezie, oceny wkładu pracy wychowanków WSW w przygotowanie i wykonanie wojny. Czy, w tej pracy wojennej, okazali się godnymi włożonych w nich wysiłków, czy odpowiedzieli pokładanym w nich nadziejom tej, która ich kształciła i wychowywała. Czy, krwią tak obficie zroszoną polską i obcą

* Artykuł poniższy przesłałem do *Wiadomości* z prośbą o wydrukowanie, jako odpowiedź na artykuły gen. dyw. Dr. M. Kukiela. Redaktor *Wiadomości*, listem z dn. 19 czerwca 1970 r., odmówił mi jego wydrukowania, z powodu „nadmiaru materiałów czekających długo na swą kolej”.

Redaktorowi Instytutu Literackiego, Panu J. Giedroycowi bardzo uprzejmie dziękuję za jego przyjęcie do druku w *Zeszytach Historycznych*.

ziemię, użyźnią glebę przyszłych pokoleń sztabowych. Czy dobrze zasłużyli się Wyższej Szkole Wojennej, a przez nią Armii Polskiej.

Wychowankowie WSW takiej oceny wydać nie mogli. I sądzą, nie mogą jej wydać — pełnej, ich dowódcy czy przełożeni. Wydać ją mogą jedynie historycy. Wychowankowie wnieśli „materiał i przyczynki historyczne dla przyszłego bezstronnego dziejopisarza wojskowego”, jak pisze w postawieniu redaktor książki, nieodżałowanej pamięci śp. płk dypl. Wacław Chocianowicz.

Zamiast, chociażby tylko pobieżnej takiej oceny, znalazłem postawione zarzuty — prawie oskarżenia, skierowane przeciw Sztabowi Głównemu w osobie jego szefa, gen. Wacława Stachewicza.

Streszczenie wyводу zarzutów gen. Kukiela.

Po śmierci marszałka Piłsudskiego Inspektorat Generalny Sił Zbrojnych przeszedł w ręce marsz. Rydz-Śmigłego. Sztab odzyskał normalne atrybucje. Prac nad planem „Zachód” nie podjęto. Odpowiedzialnym za to był nowy szef sztabu, który czekał na podjęcie tych prac jeszcze nadal po wydarzeniach roku poprzedniego (1938), gwarancji brytyjskich oraz instrukcji min. Becka.

Autor kończy wnioskiem: „Znakomita rozprawa gen. Stachewicza nasuwa znaki zapytania. Jak można było czekać z planem „Zachód” cztery lata, ryzykować zarządzenia wojskowe, które musiały Hitlera rozjuszyć, wysuwać wojska do „korytarza”, zdając sobie sprawę, że grozi im to odcięciem i zaturą i to wszystko przy takiej dysproporcji sił i niegotowości własnej, jakiej rażące dowody znajdujemy w tej księdze”.

Zarzuty te wstrząsnęły mną. Wywołały psychiczny ból oficera, który przez 4-y lata pracy w sztabie głównym patrzył na najpełniejsze samozaparcie swego bezpośredniego szefa, na jego wprost gigantyczny wysiłek celem podniesienia wartości wojennych armii dla przyszłych zmagania, który poświęcił tę część swego życia, bez żadnej reszty, dla jej unowocześnienia, a przyświecał mu jedyny cel — uczynienia jej jak najwięcej zdolną, w naszych niezmiernie skromnych możliwościach, do odparcia uderzenia dwóch zagrażających nam wrogów.

Świadomość, że czas gra na naszą niekorzyść, podniecała jego entuzjazm pracy, rozwijała jego młodzieńczą energię, aby każdy dzień stał się krokiem w przód. Ten entuzjazm i wiara w owocność wysiłków udzielała się, porywała jego podkomendnych. Był szefem wyjątkowo wymagającym, lecz świecił przykładem bezwzględności w stosunku do samego siebie.

Uważam za moje prawo, więcej obowiązek, nie podejmowania obrony, gdyż gen. Stachewicz jej nie potrzebuje, lecz jako ten, który dotykał sprężyn kierowniczego wojny aparatu, dorzucenia moich uwag, udzielenia wyjaśnień na „znaki zapytania”, celem poszukiwania prawdy.

Rzadko, chyba nigdy, najdoskonalszy uczeń dorówna mistrzowi. Sztuka to dar naturalny, z którym człowiek przychodzi na

świat, aby w dojrzałym wieku ją rozwijać i pogłębiać. Piłsudski urodził się wodzem. Mimo całego wewnętrznego romantyzmu, w zagadnieniach wojennych przeprowadzał najściślejszy rachunek sił, przestrzeni i czasu. Ujawniał to nam, którzy dostąpiliśmy zaszczytu powoływania na jego indywidualne gry wojenne.

Stworzył system planowania i dowodzenia wojennego na miarę wielkich wodzów. W czasie wojny pobierał samodzielnie twórcze, przełomowe decyzje. Niemniej doceniał rolę sztabu i jego szefa, skoro w okresie wyprawy kijowskiej powołał płk. St. Hallera, w sierpniu 1920 r., gen. Tad. Rozwadowskiego, na szefów sztabu. Dwóch najwybitniejszych oficerów gen. sztabu austriackiego. Lecz, nie dopuszczał ich do zasadniczych koncepcji operacyjnych. W czasie pokoju, skoncentrował wszystkie atrybucje, zarówno operacyjne jak i org.-mob. w Generalnym Inspektoracie.

Rydz-Śmigły starał się kroczyć jego śladami. Łączyły go z Piłsudskim dwie wspólne cechy:

Pierwsza, dla obydwóch sztab stał się wyłącznie czynnikiem wykonawczym, jakkolwiek odmiennej wartości. Rydz-Śmigły pozostawiał szefowi sztabu rozległą inicjatywę we wszystkich domenach, prócz operacyjnej.

Druga, obydwaj marszałkowie brali niepodzielną odpowiedzialność za swoje decyzje wojenne.

W rozwoju przysłych działań, mogących wynikać z początkowego rozwinięcia (plan „Wschód”), Piłsudski wtajemniczał Inspektorów Armii w swoje przewidywania. Upoważnia mnie do tego twierdzenia moja funkcja w latach 1927-29, 1-szego of. sztabu Insp. Armii „Wołyń”, gen. Romera. Brałem udział we wszystkich jego indywidualnych odprawach z Piłsudskim. Natomiast Rydz-Śmigły omawiał z Insp. Armii jedynie tylko pierwsze rozwinięcie, w ramach poszczególnych armii, bez wprowadzania ich w przewidywania dalszego rozwoju.

Jakie elementy kierowały marsz. Rydz-Śmigłym w jego decyzji planowania wojny z Niemcami — nie wiem. W czasie mej 4-roletniej pracy nie zostałem nigdy wezwany do niego w sprawach operacyjnych. Uważałem to za naturalne. Zbyt wielki istniał dystans między przyszłym Nacz. Wodzem i szefem III Oddziału, a w ostatnich miesiącach przed wojną z-cą oper. szefa sztabu. Decyzję planu początkowego rozwinięcia otrzymałem z rąk Szefa Sztabu, dn. 26 lutego 1939 r., w formie odręcznego szkicu marsz. Rydz-Śmigłego, do rozpracowania. Na szkicu tym umiejscowione były wszystkie armie w ich przyszłych rejonach operacyjnych, z dokładną ilością Wlk. Jednostek prócz numerów, które zależały od możliwości mob.-transportowych. Do tajemnicy wolno mi było dopuścić jedynie, przynajmniej chwilowo, ppłk. dypl. Mareckiego dla celów operacyjnych i mjr. dypl. Nowosińskiego dla celów transportowych.

Studiując szkic, wspólnie z Mareckim doszliśmy do wniosku, że odwód główny Nacz. Wodza, zwany początkowo „Warszawa”, następnie „Prusy”, znajduje się zbyt wysoko na północy, osłania

jąc wprawdzie Warszawę od zachodu, lecz zbyt odległy od położenia centralnego, z którego mógłby działać na korzyść armii „Kraków” i „Łódź”. Proponowaliśmy więc przesunięcie go na południe i ściśnięcie w przód, w kierunku styku tych dwóch armii — na Częstochowę, grupy oper. jako straży przedniej.

Szef Sztabu wyraził zgodę na przedstawienie marszałkowi tej sugestii. Marszałek wysłuchał mojej argumentacji i krótko odpowiedział, że się z nią nie zgadza. Sądząc, że okazałem się za mało przekonywujący, podjąłem nowe argumenty. Marszałek przerwał mi ostrym tonem — referat uznał za skończony.

Nie zachowałem najmniejszej urazy do Nacz. Wodza. Przeciwnie, wyszedłem umocniony w przekonaniu, że Nacz. Wódz wierzy w plan swego działania i na nim opiera swoje decyzje. Lecz równocześnie rozumiałem dramat Szefa Sztabu. Nie mógł wnieść swego intelektu w operacyjne przygotowanie wojny.

Podaję ten przykład, jeden z wielu, celem przedstawienia indywidualności Nacz. Wodza w pracy planowania i dowodzenia.

Całkowicie godzę się z niedomówioną opinią gen. Kukiela, jeżeli ją dobrze rozumiałem, że w planowaniu, niejednokrotnie w dowodzeniu rola „sztabowca” powinna podlegać współodpowiedzialności. W zasadzie — jeżeli d-ca i szef sztabu tworzą nierozdzielalną, harmonijną całość. Ta współodpowiedzialność istniała w armii niemieckiej przed Hitlerem, podobnie również w armii austriackiej. W systemie polskim, obydwaj marszałkowie tej współodpowiedzialności nie dopuszczali. Szef Sztabu był, *toutes proportions gardées*, Berthier'em w udoskonalonym wydaniu, nie było w nim również miejsca na Prądzyńskiego.

Za czyny wojenne względnie ich następstwa, winić może przełożony, wyjątkowo podkomendny, zawsze historyk oparty na źródłach. Źródłem dokumentarnym, który stał się przyczyną zarzutów, jest artykuł gen. Stachiewicza w księdze 50-lecia WSW pt. „Naczelne Władze Wojskowe i Wyższa Szkoła Wojenna”.

Przez 30 lat czekaliśmy na wypowiedzenie się gen. Stachiewicza. Z przyczyn, które aż nadto rozumiem, milczał. Uchylił rąbka tajemnicy na temat kompetencji i pracy sztabu głównego, a więc i jego kompetencji. I to jest źródło, które paradoksalnie, wywołało zarzuty przeciwko niemu skierowane, gdy było tylko stwierdzeniem istniejącego podziału kompetencji.

W artykule swym gen. Stachiewicz obszernie rozwija, zaznając czytelników z nową organizacją Naczelnych Władz Wojskowych, stworzoną przez Piłsudskiego w 1926 r. Podzielił on pracę wojskową na „tor wojenny” i „tor pokojowy”. Utworzył Instytucję Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych (GISZ), w której, pod jego kierownictwem, przyszłego Nacz. Wodza, pracowali Inspektorowie Armii, przyszli D-cy Armii. GISZ'owi wyznaczył rolę „toru wojennego”, MSWojsk. rolę „toru pokojowego”. W rękach GISZ'u skupił studia strategiczne, operacyjne planowanie koncep-

cji wojny. W ten sposób GISZ stał się źródłem twórczym, „mózgiem wojska” — rolą, którą w innych armiach spełniają sztaby generalne. Sztabowi Głównemu wyznaczył rolę organu pomocniczego, ściśle wykonawczego — dostarczanie elementów i rozpracowanie koncepcji wojny, stworzonej przez GISZ, w formę początkowego rozwinięcia i wynikających z niego instrukcji dla poszczególnych armii.

Po śmierci Piłsudskiego i objęciu GISZ'u przez Rydz-Śmigłego, organizacja nie uległa zasadniczym zmianom. Rola Sztabu została rozszerzona na przygotowania ogólnopaństwowe. W przygotowaniach wojennych przypadła mu rozległa inicjatywa we wszystkich zagadnieniach org., mob., dozbrojenia i rozbudowy armii, natomiast planowanie operacyjne pozostało wyłącznie w GISZ'u. Sztab Główny pozostał nadal organem pomocniczo-wykonawczym.

Oto błyskawiczny skrót, dotyczący tylko, omówionych w artykule, kompetencji.

Analiza postawionych zarzutów.

1. — „sztab główny odzyskał swe normalne atrybucje”.

Do normalnych atrybucji sztabu należy planowanie koncepcji operacyjnej wojny. Gen. Stachiewicz stwierdza (str. 60): „Zasadniczą myśl operacyjną, koncepcję planów operacyjnych formułował generalny inspektor na podstawie studiów własnych i inspektorów armii; do sztabu zaś należało rozpracowanie otrzymanych wytycznych i decyzji w formie sztabowego planu wstępnego rozwinięcia sił”.

Gdzież znajdujemy odzyskanie przez sztab normalnych atrybucji, skoro Gen. Inspektor wyraźnie rozgraniczył kompetencje, a więc i zakres odpowiedzialności między GISZ'em a sztabem?

2. — „prac nad planem 'Zachód' nie podjęto — czekały na zakończenie prac nad planem 'Wschód'... Odpowiedzialnym za to był już nowy szef sztabu głównego...”

Autor stawia zarzut wyjątkowego znaczenia. Decyzja tak zasadniczej wagi dla Polski, jakim było ustalenie bliższego w czasie zagrożenia, a w związku z nim danie pierwszeństwa dla przygotowań do wojny i opracowania planu „Wschód” względnie „Zachód”, wyrastała ponad zagadnienie natury wojskowej, stała się natury państwowej. Decyzja taka mogła być powzięta tylko na najwyższym szczeblu państwowym. Szef sztabu, ograniczony w swych kompetencjach do organu pomocniczego, do którego nie należały nawet zasadnicze decyzje wojskowe, a tym mniej państwowe, nie może być, w żadnym wypadku, obarczany odpowiedzialnością za tak niezmierną wagę decyzję.

Gen. Inspektor zdecydował (1936 r.) rozpracowanie sztabowe w pierwszej kolejności planu „Wschód” (v. St. str. 61 i 71). Niezależnie od powyższego ustalił wytyczne prowizorycznego planu „Zachód”. Ponadto polecił zachodnim Inspektorom armii (każdemu odrębnie) opracowanie koncepcji działań na całości frontu, aby „Tą drogą uzyskać gruntowne i wszechstronne naświetlenie

niezmiernie trudnego zagadnienia strategicznego, jakie przedstawiała obrona przed Niemcami". (str. 71-72). Omawiam ten plan poniżej, pkt. 5 a.

3. — „akcja zaolziańska”.

Zgodny jestem z gen. Kukielem, że po zajęciu Sudetów i Zaolzia, sztab mógł rozpocząć opracowanie „Zachodu”, o ile taka byłaby decyzja Gen. Inspektora i jego wytyczne, wynikające z nowej sytuacji na południu. W tym wypadku, musiałyby być rozpracowane dwie ewentualności: zatrzymanie się Hitlera na Sudetach i przewidywanie zajęcia przez niego Czechosłowacji. To „czekanie” po Zaolziu w niczym nie przeszkodziło rozpracowaniu właściwego planu w 1939 r. Dzięki niewymiernej pracy sztabu plan został ukończony, w ramach otrzymanych wytycznych, w drugiej połowie lipca 1939 r.

4. — oczekiwanie „gwarancji brytyjskich”.

Zasadnicza decyzja marsz. Rydz-Śmigłego i rozpoczęcie jej rozpracowania przez sztab nastąpiło 26 lutego 1939 r. Kiedy dn. 13 marca płk dypl. St. Kopański objął funkcje szefa Oddz. III, prace nad planem „Zachód” były już poważnie posunięte. Gen. Kopański stwierdza (v. jego Wspomnienia „Moja Służba w Wojsku Polskim 1917-1939”, str. 266-269), że dyrektywy operacyjne dla przyszłych d-ców armii zostały podpisane przez Gen. Inspektora dn. 23 marca. Odrzucenie przez Polskę żądań niemieckich nastąpiło 26 marca. Gwarancja brytyjska ogłoszona została przez Chamberlain'a w Izbie Gmin dn. 30 marca.

Tak więc, ani Gen. Inspektor ani Szef Sztabu nie czekali na gwarancje brytyjskie, lecz prawie na miesiąc przed zajęciem Czechosłowacji, dokładnie na miesiąc przed odrzuceniem żądań niemieckich i gwarancją brytyjską, decyzja planu została powzięta i praca nad jej wykonaniem rozpoczęta.

5. — Gen. Kukiel wyciąga wniosek: „Znakomita rozprawa gen. Stachewicza nasuwa znaki zapytania”.

a) — czekanie „z planem 'Zachód' cztery lata”.

Pod względem operacyjnym. Sytuacja polityczna w 1936 r., nawet już po zajęciu Nadrenii (marzec 1936 r.), nie dawała żadnych podstaw do przewidywań zajęcia Sudetów (wrzesień 1938) i Czechosłowacji (marzec 1939). Tak więc GISZ i Sztab mógł przejść do opracowania planu, zastosowanego w 1939 r., najwcześniej w listopadzie 1938 r.

W pierwszej połowie 1936 r. Gen. Inspektor ustalił, na podstawie „Studium Niemiec”, opracowanego przez sztab, zasadnicze wytyczne prowizorycznego planu „Zachód” (manewr po liniach wewnętrznych), które zostały rozpracowane pod względem myśli manewru, O. de B. i zadań dla wszystkich armii. (v. St. str. 67-68). Plan ten nie miał być na razie rozpracowany w sztabowy plan operacyjny. Miał on służyć za podstawę dalszych prac przygotowawczych. Gen. Inspektor pragnął najpierw pogłębić studia Insp. Armii, zanim poweźmie własną koncepcję, ponadto, prace sztabowe „Zachód” nie mogły kolidować z pracami „Wschód”, otrzy-

mującego pierwszeństwo. Wreszcie, względy techniczne uniemożliwiały wykonanie równocześnie 2 planów transp.-konc. Plan ten obowiązywał do czasu zajęcia Sudetów. Pozwolił on sztabowi na rozpracowanie zaplecza strategicznego. (v. St. str. 67-69 i P.S.Z. t. I., cz. 1sza, str. 122-125).

Zasady tego planu przedstawił marsz. Rydz-Śmigły gen. Garmelin'owi w czasie jego wizyty w Warszawie, który uznał celowość uzyskania polskiego (v. *Servir* t. II, str. 227-229).

Pod względem rozbudowy potencjału wojennego. W ciągu tych czterech lat „czekania”, pod kierownictwem Szefa Sztabu, sztab wykonał pracę wydawałoby się przechodzącą jego możliwości. Przedstawia ją szczegółowo wydawnictwo P.S.Z. cz. 1-sza, str. 167-228 oraz studium gen. Stachiewicza str. 47-60. Z ogromu wysiłku, wykonanego przez sztab w latach 1935-39, w zakresie opracowania planu mob., rozbudowy i dobrojenia wojsk, może sobie zdać sprawę jedynie badacz, porównując pod tym względem stan naszej armii w 1934 ze stanem w 1939 r.

b) — „ryzykować zarządzenia wojskowe, które musiały Hitlera rozjuszyć”.

Nie zrozumiałem tego zarzutu. Czyż mieliśmy się pokłonić pokornie Hitlerowi po jego ultimatum, oddać mu Gdańsk, czekać na dalsze jego żądania Pomorza, Poznańskiego i Górnego Śląska?

c) — „wysuwać wojska do 'korytarza'”.

Zgodny jestem pod tym względem z gen. Kukielem. Nastąpiło to w ostatniej dekadzie sierpnia 1939 r., podobno dlatego, że nasza polityka zagraniczna nie mogła wytrzymać oczekiwania w wypadku puczu w Gdańsku. Riposta musiałaby być natychmiastowa.

Obawiam się, czy autor tych zarzutów w ocenie wkładu gen. Stachiewicza w przygotowanie planu jak i we wzmocnienie zdolności wojennych armii, okazał się bezstronny.

Na temat Kampanii Wrześniowej narosła w ciągu 30 lat olbrzymia literatura historyczna, wspomnieniowa i publicystyczna, zarówno na obczyźnie jak i w Kraju. WIH w Warszawie zapowiada nowe kilkutomowe wydawnictwo, mające objąć również Kampanię Wrześniową.

Lecz najgłębsza prawda, istota pracy Generalnego Inspektora — Nacz. Wodza w planowaniu i prowadzeniu wojny, nie została dotychczas rozpoznana.

Gen. Stachiewicz uchylił rąbka zagadnień, dotychczas nie omawianych. Spotkała go ze strony najpoważniejszego i najwięcej autoratywnego historyka wojskowego krzywda — niezasłużona. Głęboko ją odczułem. W moim przekonaniu, równie głęboko odczuwają ją ci moi koledzy, którzy bezpośrednio pracowali pod kierownictwem gen. Stachiewicza, w latach 1935-1939.

Józef JAKLICZ

RECENZJE

Stanisław SĘP-SZARZYŃSKI

Z DZIEJÓW POLSKIEGO LOTNICTWA

Franciszek Kalinowski, ppłk dypl., były lotnik z kartą bojową i były dyrektor nauk w Wyższej Szkole Lotniczej w Wielkiej Brytanii, zdobył się na pracę niemałą, dzięki której leży oto przede mną wydany przez Instytut Literacki w Paryżu tom, liczący stron 372 — tytuł: *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii*.

Przyjdzie mi, w imię prawdy historycznej, nie oszczędzić Autorowi spostrzeżeń krytycznych, ale nim je poczynię wyrażę szczery podziw, że samotnie i bez pomocy pokusił się na pracę, która od dawna powinna być zrobiona w oparciu o znawców poszczególnych zagadnień, zaś finansowana przez Stowarzyszenie Lotników Polskich.

Moim zdaniem, F. Kalinowski swoją pracę zaplanował bardzo dobrze. Obejmuje ona z grubsza wszystko na temat określony tytułem, a co można zmieścić w ramach takiej jak ta książki. Mimo naładowania bogactwem danych, zestawień, nazwisk, nazw, osiągnięć bojowych — nie wyłączając indywidualnych, jeśli chodzi o asów myśliwskich — czyta się tę książkę łatwo ba, niekiedy urzeka ona autentyzmem dramatycznych przeżyć, a to dzięki umiejętnemu wyzyskaniu kronik dywizjonów bojowych.

Słowem książka, na pierwszy rzut oka, bardzo dobra. Niestety zaczyna ona budzić zastrzeżenia gdy się nieco wniknie w szczegóły. W granicach tego z czym się stykałem bezpośrednio, znajdują nie tylko niewinne pomyłki, ale i takie, które prowadzą czytelnika do fałszywych wniosków. Do niewinnych zaliczyłbym np. to co Autor powiada na str. 55 o samolotach Wellington, w które przebrojono nasze dywizjony bombowe w roku 1940 — „z przodu i z tyłu samolot miał wieżyczki strzeleckie Frazer Nash, w ognie były

cztery karabiny maszynowe z przodu dwa. Wieżyczki były uruchamiane elektrycznie”. Nie. Tak z tyłu jak i z przodu było po dwa k.m., zaś ówczesne wieżyczki Frazer Nash w odróżnieniu od poruszanych elektrycznie wieżyczek Boulton & Paul, były poruszane ciśnieniem oleju¹. Dalej idzie błąd korektorski, że to Wellington brał 9 bomb po 5.000 funtów każda! Oczywiście powinno być po 500 funtów, ale wagę bomb lepiej podawać ogólnie skoro się przecież wozi bomby różnej wagi. Prawda, że używaliśmy przeważnie po 500 funtów, ale bywało, że po 250 lub po 1.000. Nie będę się tu zajmował błędami tego rodzaju, niech się nimi zajmie redakcja *Skrzydła* — które to pismo, mówiąc nawiasem, narodziło się w Blackpool w r. 1941, nie zaś w Eastchurch w r. 1940 jak to podaje F. Kalinowski na str. 323².

Niestety obok błędów niewinnych trafiły się Autorowi i takie, które nieco deformują historyczny obraz tego co było. Ot np. na str. 160 znajduje: „Wiele załóg skończyło pierwszą turę lotów (która wynosiła początkowo 30, później zaś 25 lotów)”. Ta liczba 25 występuje też i gdzie indziej. Owóz, początkowo tura wynosiła 30 lotów, tak jak podaje Autor. W roku 1942 zmieniono turę na 200 godzin bojowych, zaś dla dyw. 304, który odszedł od obrony wybrzeża, na godzin 600. Na podstawie przeliczenia z mojego Log Book widzę, że średnia czasu wypadająca wtedy na lot bojowy w naszych dywizjonach bombowych, wynosiła około pięć i pół godziny. W poszczególnych wypadkach mógł ktoś zrobić te 200 godzin w 32 lotach, zaś kto inny w 35, ale przeciętnie owa zmiana oznaczała zwiększenie tury o co najmniej 10 %.

F. Kalinowski powiada o wielkich stratach dywizjonów bombowych. Pisząc, że turę obniżono z 30 na 25 lotów, prowadzi czytelnika do logicznego wniosku, że wobec wielkich strat zmniejszono załogom stawiane wymagania. Było wręcz przeciwnie. Wymagania podniesiono. Teraz zrobię Autorowi wymówkę za istny popis nieścisłości, który znajduje na str. 345/6 „... mjr obs. Stanisław Michowski zameldował płk. Makowskiemu, że nie pójdzie

1. Gęstnienie oliwy w niskich temperaturach i wynikające z tego powodu kłopoty, stały się powodem zrobienia (przez Nash-Thompson) wieżyczki Frezer Nash poruszanej elektrycznie. Te wieżyczki były dopiero w Wellingtonach, które dostarczono w r. 1943 do dyw. bomb. 300, 305 i dyw. Obrony Wybrzeża, 304. Niezależnie od k.m. w wieżyczkach, Wellingtony miały po bokach kadłuba po jednym k.m. na ręcznie poruszanych lawetkach. Tyłne wieżyczki elektryczne miały 4 k.m.

2. W Eastchurch powstało codzienne pismo dla żołnierzy lotnictwa robione na powielaczu pt. *Wiadomości ze świata*. Przeniesione wraz z naszymi lotnikami do Blackpool, wychodziło tam aż do założenia w r. 1941 dwutygodnika *Skrzydła*, który to dwutygodnik przejął w podtytułe nazwę „Wiadomości ze świata”.

na dekorację, gdyż podpisał list do Prezydenta R.P. i nie mógłby podać ręki Inspektorowi P.S.P.

„Gen. Ujejski, któremu płk Makowski zameldował o meldunku, nie wyciągnął żadnych konsekwencji w stosunku do mjr. Michowskiego.

„Gdy Gen. Sosnkowski został Naczelnym Wodzem, jednym z pierwszych jego zarządzeń było zwolnienie oficerów lotników z karnego obozu, a kara nałożona przez poprzedniego N.W. nie przeszkodziła oficerom w awansowaniu i zajęciu stanowisk odpowiednich do ich kwalifikacji”.

W *Kulturze* z września roku 1959 pisałem o tej sprawie, tedy, nie wdając się w szczegóły, zauważę tylko, że wbrew temu co zacytowałem, mjr Michowski został oddany pod sąd polowy.

Na nikogo z oficerów, o których tu mowa, nie nałożył kary gen. Sikorski lecz zawyrokował ją Sąd Polowy Nr 8 w sierpniu r. 1943, a więc w czasie gdy Naczelnym Wodzem był gen. Sosnkowski. Obozu karnego dla oficerów zgoła nie było, więc też nieprawda.

Czy to znaczy, że Autor po prostu to wszystko sobie zmyślił? Boże broń, bo owszem było, ale inaczej. Zbyttno zaufał pamięci i nie zadbał o dokładność słowa. Niemniej myślę, że w pierwszych wydaniach tego rodzaju opracowań jakieś błędy zawsze się znajdują i dopiero wydanie drugie, poprawione i uzupełnione, daje ich pełną miarę.

Co do uzupełnień, choć ich nigdy nie zawiele, przecież nawet bardzo drobne wyszłyby na korzyść omawianej tu pracy. Znowu przykładowo niektóre wskażę.

Autor pominął całkiem osobę Wierusz-Kowalskiego, choć ten był wybitnym szefem Wydziału Kultury i Oświaty w D-twie P.S.P. przed kwietniem r. 1944, a dopiero od tego czasu opracowanie pomija personalia naszej „góry”.

To co Wierusz-Kowalski uczynił Prezydentowi R.P. nie uzasadnia gubienia jego nazwiska kosztem dokładności opracowania historycznego. Myślę, że choć w danym razie przeoczenie wygląda nieładnie, jest po prostu jednym z niezamierzonych braków.

Autor pominął nominację mjr. obs. Bujalskiego na ważne stanowisko oficera sztabowego do zleceń w gabinecie N.W. Ten oficer, mając za sobą pracę w Wydziale Studiów, był, obok szefa gabinetu N.W. płk. pil. Bohuszewicza, drugim specem od pomocy lotniczej dla Kraju, ustawionym w najbliższym otoczeniu gen. Sosnkowskiego już na początku r. 1944.

Okoliczność, że przy gen. Sosnkowskim było dwóch wymienionych oficerów stawia pod znakiem zapytania zarzuty Autora dotyczące kompetencji na szczeblu N.W. w sprawach lotniczych, a szczególnie w sprawach zrzutów. O ile mi wiadomo, problem tzw. „węzła warszawskiego” Wydział Studiów miał przepracowany gruntownie.

Inna rzecz, że stawiając żądania wydatnej pomocy R.A.F. w okresie powstania, lepiej było żądać ponad możliwość, by osiągnąć choć tyle co się osiągnęło.

Autor pominął reakcję polskich lotników na żądanie od nich przysięgi na rzecz mocarstwa dla nich obcego. Dotyczy to lotników, których pierwsza partia przybyła do Anglii przed końcem roku 1939, zaś reszta w roku 1940, ale przed upadkiem Francji.

Jak Autor pisze, tzw. pierwsza umowa lotnicza polsko-brytyjska została podpisana po długich wahaniach gen. Sikorskiego dopiero w czerwcu roku 1940. Umowa ta zawierała m.in. warunek przysięgi objętych umową lotników polskich na rzecz Wielkiej Brytanii. O ile mi wiadomo, o warunku przysięgi wiedziano wśród naszych lotników jeszcze przed jej podpisaniem. Niektórzy mieli oświadczyć, że przysięgi nie złożą. Miano z tego powodu grupę podchorążych odesłać do Francji. Jest to, zdaniem moim, szczególnie ważny dla przyszłych historyków, szczególnie wart wyświeślenia i utrwalenia w druku.

Poprzestaną na tych trzech przykładach, jeśli chodzi o różne braki.

Chyba najbardziej kontrwersyjne dla wielu b. lotników lub ich rodzin będą poglądy Autora dotyczące odznaczeń bojowych uzyskanych w naszym lotnictwie, a w szczególności dotyczy to lotników bombowych. Bowiem dla nikogo nie jest miłe, jeśli się mu powiada, choćby bardzo oględnie, że krzyże zdobył zbyt tanio, albo nie tak jak trzeba było.

Jak zrozumiałem, Autor wyznaje pogląd, że odznaczenia winny być dawane wedle ocen przełożonych, nie zaś norm jednakich dla wszystkich. Ta piękna zasada w zastosowaniu praktycznym staje się, jak wiemy, aż nazbyt często popisem różnych „widzi mi się” przełożonych, tudzież znaczenia pleców przy wielkim ołtarzu. Jeśli można stosować oceny obiektywne, to stosować je należy; taką zasadę przyjęto u nas w lotnictwie, zaś problem sprowadza się do tego czy oceny były ustalone sprawiedliwie.

Nie ulega wątpliwości, że podobnie jak lotnikom niemieckim tak i nam odznaczeń nie żałowano. Niemcom wprędce zbrakło

zwykłych Żelaznych Krzyży, więc zaczęły powstawać te krzyże z różnymi dodatkami. Podobnie u nas nie było już czym odznaczać posiadaczy srebrnego krzyża *Virtuti Militari* i czterech Krzyży Walecznych, nadano więc 7 złotych Krzyży *Virtuti Militari*, co zresztą nie jest wiele.

Krzyży można nadawać mniej lub więcej, można tworzyć nowe, a to zależy od tego czy chcemy traktować dane odznaczenie jako zachętę działającą w szerokim zakresie, czy jako środek chlubnego wyróżnienia najlepszych z najlepszych. Zdaniem moim, powinny być krzyże i takie i takie. W istocie rzeczy złoty krzyż *Virtuti Militari* w pełni zachował wartość wyróżniającą zaszczycone nim nieliczne jednostki.

Czym się kierowano ustalając normy odnaczeniowe? Ważnością zadania i „ceną życia”, inaczej mówiąc stopniem narażenia skóry.

Oto co powiada Autor na str. 163 o nadawaniu myśliwcom odznaczeń za zwycięstwa w powietrzu: „Za każde zwycięstwo w powietrzu nadawano pilotowi Krzyż Walecznych, a po trzech lub więcej zwycięstwach Srebrny Krzyż Orderu *Virtuti Militari* klasy V”.

Na str. 164 dowiadujemy się o zasadach odznaczania bombowców: „Do pierwszego Krzyża Walecznych podawano załogi po wykonaniu 10 lotów bojowych, do drugiego K.W. po 20 lotach, a do V.M. i 3-go K.W. po wykonaniu całej tury lotów bojowych...”.

Pominąwszy to, że takie zasady nie zawsze były stosowane, zaś w poszczególnych wypadkach nadawano odznaczenia niezależnie od jakichkolwiek norm (o czym nam zresztą Autor powiada) warto zobaczyć jak owe normy wyglądały wedle „ceny życia” płaconej przez naszych lotników za spełnianie bojowych zadań. Bywało oczywiście z tym różnie, ale np. w czasie *Battle of Britain* „cena życia” płacona przez naszych myśliwców za jedno zestrzelenie pewne, niewiele przekraczała 16 %, zaś licząc razem zestrzelenia pewne i prawdopodobne, niecałe 14 %. Jak mi właśnie mówił jeden z b. dowódców dyw. 303, nie stosował on norm dla uzasadniania wniosków odnaczeniowych, ani z wytycznymi w tej sprawie się nie spotkał. Nie wyklucza jednak, że przy nadawaniu odznaczeń uważano zwycięstwo w powietrzu za wystarczający powód do nagrodzenia pilota krzyżem. Jak wyglądała cena życia lotu bojowego bombowców? Również bywało z tym bardzo różnie, ale nie bierzmy pod uwagę lotów szczególnie łatwych, lub tak trudnych jak z zasobnikami do powstańczej Warszawy, ale coś

normalnego, ot np. to, co nam Autor pisze na str. 137³, gdyż nie było jeszcze wtedy w personelu latającym naszych dywizjonów bombowych Brytyjczyków⁴, których późniejsza obecność utrudni obliczanie polskich strat w stosunku do zadań. Owóż, jak wyliczyć sobie możemy, „cena życia” jednego lotu bojowego przekraczała wtedy 3 %.

Była ona większa od „ceny życia” udziału w bitwie pod Narwikiem, bo ta nie przekraczała dwóch i pół procent. Tylko w roku 1942 nasze 4 dywizjony bombowe straciły 100 % członków załóg, o czym również się dowiadujemy od F. Kalinowskiego, zaś tu zauważę, że straty byłyby większe gdyby już wiosną nie zabrano dywizjonu 304 do obrony wybrzeża, gdzie tury lotów były trzykrotnie dłuższe, ale straty odpowiednio mniejsze.

Prawdę powiada Autor, że u nas traktowano wszystkich członków załogi za jednako zasługujących na odznaczenia. W praktyce oznaczało to zrównanie pod tym względem oficerów i szeregowych. Zdecydowała o tym przede wszystkim okoliczność, że strzelcy byli członkami załogi najbardziej wystawionymi na ogień nieprzyjaciela. Ponadto ich zadaniem było przede wszystkim ostrzec bombowca od ogniowego spotkania z myśliwcem, w którym szanse bombowca były zgoła mizerne. Obawiano się, że gdyby odznaczanie strzelców uzależnić od zestrzeleń, jak to robili zwykle Brytyjczycy, to w takim razie nasi strzelcy, w odróżnieniu od brytyjskich, dążyliby często do spotkań.

Myślę, że tych kilka spostrzeżeń warto zanotować na marginesie tego co nam Autor pisze o odznaczeniach nadawanych w naszym lotnictwie.

Teraz inna rzecz drażliwa. Nikt nie powinien oczekiwać bezstronności od dziejopisa czasów, które przeżywał. Jednak to przecież razi, że Autor, nie mając słowa krytyki dla Sikorskiego, gdy ten we Francji podpisał niesławnej pamięci polsko-brytyjską umowę lotniczą, nie szczędzi uszczypliwości Sosnkowskiemu, gdy ów, domagając się pomocy lotniczej dla powstania w Warszawie, pono

3. Str. 137, F. Kalinowski: „W lutym (dot. r. 1942, mój przyp.) cztery polskie dywizjony wykonały 177 samoloto-zadań, w marcu 197, a w kwietniu 352. Straty wzrastały mniej więcej proporcjonalnie. W kwietniu wynosiły one: 300 dywizjon — 3 załogi, 301 dywizjon — 3 załogi, 304 dywizjon — 6 załóg, 305 dywizjon — 1 załoga. (Z tych 13 załóg dwie statystycznie należałyby odjąć na niewolę — mój przyp.).

4. Jedynym wyjątkiem w tym czasie był, o ile dobrze pamiętam, Eryk Newman, zwany Benio od Ben Hura, student, ochotnik, strzelec tylny, którego babka była polską Żydówką. Odznaczony krzyżem V.M. i Krzyżami Walecznych, ranny, wyskoczył, niewolę przeżył.

przeceniał możliwości lotnictwa Sprzymierzonych, zaś polskim lotnikom stawiał żądania ponad siły. Myślę, że co jak co, ale przesada w żądaniach pomocy dla Warszawy ginącej na barykadach, najmniej się nadaje jako sposobność do dania upustu swojej do kogós niechęci. Wielka szkoda, że Autor o tym nie pomyślał, pisząc przecież dla polskich czytelników.

Co się tyczy lotniczej pomocy dla Warszawy, zgodzić się trzeba, że wymagała ona lądowania samolotów po sowieckiej stronie frontu. Bardzo ciekawa w omawianej książce jest ocena rezultatów i poniesionych strat, z jednej strony lotników polskich i grupy pld. afrykańskiej (Dywizjon Obróńców Warszawy i 5 Grupa Pld. Afrykańska) zaś z drugiej, wielkiej wyprawy dziennej amerykańskich Fortec. Brało w niej udział 107 samolotów, z czego tylko jeden został zestrzelony. Wykonało zadanie 97 % samolotów, zaś 30 % wyrzuconych zasobników trafiło do rąk powstańców.

O ile to jest dla mnie jasne, to niezbyt jasne jest to co czytamy o nocnych lotach z Włoch do Warszawy załóg polskich i pld. afrykańskich, których ceną były 34 stracone samoloty. Oto co nam Autor o tym m.in. pisze:

„W nocnych działaniach brało udział 213 samolotów (nie 213 samolotów, lecz podjęto 213 samoloto-zadań — mój przypisek); nie doleciało do Warszawy 78 czyli więcej niż jedna trzecia. Z doświadczeń wiadomo, że z nocnych zrzutów w najlepszym wypadku tylko połowa dostawała się do rąk powstańców, można zatem przyjąć, że z ogólnej ilości 101 samolotów, które doleciały do Warszawy, tylko 50 wykonało dobrze swoje zadanie. Widzimy więc, że ostateczny rezultat nocnych zrzutów był taki, że *zaledwie jedna czwarta* wysłanych zasobników dostawała się w ręce powstańców”.

Wyznaję, że ja tego nie widzę. 213 mniej 78 to nie 101 lecz 135. Gdybym od tego odjął 34 samoloty, które stracono, to rzeczywiście mi wyjdzie 101. Ba, ale przecież nie mam prawa odjąć tych 34, skoro właśnie na skutek ognia nad celem i z innych przyczyn, ale w drodze powrotnej, większość z tych samolotów przepada. Ile z nich zrzuciło zasobniki trafnie, tego nie wiemy, zaś między jedną czwartą a 30 % różnica jest zbyt mała by niewiadoma różnicy nie zacierać. Oczywiście tak czy siak, zestawienie strat i osiągnięć, przemawia za wielkim sukcesem Amerykanów, ale obliczenie Autora jest przeprowadzone, że tak powiem, z odważnym zastosowaniem *licentia aviatica*, zaś tak czynić nie wypada. Nie wypada też nie dbać o ścisłość w przedstawieniu faktów, jak to widzimy w zacytowanym fragmencie.

Gdyby praca F. Kalinowskiego miała się doczekać drugiego wydania — do czego wróćę — Autor winien wyplenić z niej nawet drobne niejasności, mając wzgląd na przyszłych czytelników,

którzy o realiach naszej wojny niewiele będą wiedzieli. Zresztą dokładność, choć bywa zła macochą sztuki, jest dobrą matką wiedzy, powiada mędrzec i zaiste ma rację.

Sukces amerykańskich Fortec prowadzi Autora do wniosku, że również R.A.F. mógłby pomagać Warszawie wyprawami dziennymi, gdyby te mogły lądować po sowieckiej stronie frontu, jak to raz jeden mogli wtedy zrobić Amerykanie (18 września pod Połtawą). Choć to jest zagadnienie czysto teoretyczne — skoro Stalin lądowań wzbronił — ale nie jest pozbawione znaczenia dla historii lotnictwa. Owóż, jak nam F. Kalinowski mówi, d-two P.S.P. zwróciło się w początkach sierpnia do R.A.F. z inicjatywą wypraw dziennych. Inicjatywa ta spotkała się z wymówką, że R.A.F. nie ma w sektorze śródziemnomorskim myśliwców dalekiego zasięgu. Zauważyć można, że technicznie rzecz biorąc, przelot myśliwców dalekiego zasięgu z Anglii na lotniska włoskie, by z Włoch startować do osłony, nie przedstawiał wielkiego problemu. Wreszcie mogli dać osłonę Amerykanie, co leżało w ramach normalnej współpracy lotnictw sprzymierzonych. Natomiast osłona na tak dalekiej trasie nastroczała wielkie trudności. Nie wchodząc w szczegóły powiedzieć można, że sprawić mogła całkowity zawód, zaś ciężkie bombowce brytyjskie nie były dostatecznie uzbrojone do samoobrony w dzień, nie mówiąc już o odpowiednim wyszkoleniu załóg w ogniu kierowanym zespołowo.

Po spostrzeżeniach krytycznych, wróć do tego co mi się w książce podoba. Jak już to powiedziałem innymi słowami na początku, książka ma w sobie życie, a to jest zaleta niemała.

Dzieje dywizjonów bojowych łącznie tworzą wyraźny i barwny obraz jak to ta nasza wojna wyglądała. No i co tu gadać — widzi się, że tę książkę pisał lotnik z prawdziwego zdarzenia, który lotnictwo czuje, ciągle żyje myślami o nim, choć to wnet ćwierć wieku minie od tych dni gdy zaczęły milknąć tarabany i surmy naszych samolotów, głoszące światu, że ta wolna jeszcze nie całkiem zginęła. Jak się tylko rzekło — surmy i tarabany, jawią się zaraz pan Kmicic i Cedro i pod szerniałym ryngrafem szabla szwoleżera. Nie, nie można zakończyć tych moich spostrzeżeń tak całkiem bez tego. Weźmy z tej książki drobiazg, pozornie bez znaczenia, a jakże on nam wiele powie o prawdzie historycznej, której nie wyrażą liczby i sprawozdania. Oto Autor nie pominął tego zestrzelonego Junkersa, którego był tropił setkami mil wśród niskich chmur nad mrocznym Atlantykiem. Nie pominął, więc samochcąc wystawił się na zarzut samochwalstwa. No tak, ale cóż tam może znaczyć taki zarzut dla kogoś, kto tam wtedy ucieleśnił swój sen o szpadzie. Jak można było tego nie utrwalić pisząc

tę książkę? W danym razie sen o szpadzie ucieleśnił się z wyglądu całkiem inaczej niż to ongiś innym bywało, ale przecież nie inaczej w głębinach człowieczego świata. Osobiste światy nas, Polaków, walczących w drugiej wojnie światowej, to światy zaczarowane legendą heroiczną i kultem oręża. Tedy oficerowie dyplomowani, naukowcy, technicy, ba nawet i kleryka nie zbrakło⁵, w bojowych samolotach. Tylko to się wtedy wysoko u nas cenilo. Byłoby wielką niczym nie powetowaną krzywdą, kazać komuś, by wbrew nakazowi wewnętrznemu odszedł do sztabu, książek, rysownicy, dopóki nie ucieleśni się jego sen o szpadzie.

Byliśmy pokoleniem zaczarowanym i znamiona tego zaczarowania są i w tej książce.

Teraz na zakończenie. Jak ją zaszufłdkować?

W pewnej mierze wyręcza mnie w odpowiedzi na to pytanie sam Autor powiadając we wstępie, że będzie korzystał w całej pełni z opracowania Olgierda Tuszkiewicza⁶, jak też i to, że dzieje polskiego lotnictwa na obczyźnie oczekują na archiwalne a wyczerpujące opracowanie.

Rzeczywiście F. Kalinowski włączył do swojej książki niemałe partie z Tuszkiewicza — może byłoby lepiej je uwidocznic niezależnie od zapowiedzi zużytkowania. W każdym razie dobrze się stało, że to jest, bo wymienione opracowanie należy już dziś nieomal do białych kruków.

Zestawienie bibliografii obejmuje wprawdzie tylko 17 pozycji, ale Autor nie wymienił wszystkich, z których korzystał, jak się np. dowiadujemy z odnośnika, dla opisów samolotów posłużył się Greenem⁷. To doprawdy bardzo mało jak na potrzeby takiej jak ta książki, więc i nie dziwota, że trafiają się błędne zastosowania danych.

Co do wykorzystania archiwów, które Autor wymienia, to obawiać się trzeba, że nie zostały one przejrzane choćby fragmentarycznie, ale dokładnie i stąd zapewne braki w zestawieniach osobowych. Powiem jednak, że zestawienia osobowe jak też różne nazwiska i wiadomości wydobyte z archiwów, choć są niekompletne, nie pozwalają na traktowanie pracy F. Kalinowskiego tylko jako kompilacji. Stanowi ona niewątpliwie pewien wkład w wie-

5. Z Francji. Strzelec tylny w dyw. 300. Nim się o nim dowiedział biskup połowy i z wieżyczki go wysiadał, z lotu bojowego nie wrócił.

6. *Polskie Siły Powietrzne na obczyźnie*, opracowanie Komisji Historycznej Inspektoratu PLKPR, pod redakcją płk. dypl. mgr. Olgierda Tuszkiewicza. Londyn 1947.

7. William Green: *Famous Fighters of the Second World War* i *Famous Bombers of the Second World War*.

dzę historyczną, choć powiedzmy szczerze, że niewielki. Tak, ale niewiele dla wiedzy, to dla oceny książki przecież dużo. Zważywszy jej zalety, które już podkreśliłem, musiałbym powiedzieć brawo! gdyby nie zbyt liczne błędy w szczegółach...

Książka zyskałaby wiele, gdyby zostało opracowane sprostowanie jej nieściśłości, wydrukowane i udostępnione nabywcom.

Jest to jednak rozwiązanie tymczasowe, bo ta książka stanowi dobrą podstawę do drugiego wydania poprawionego, uzupełnionego i rozszerzonego tak, by tom obejmował całość dziejów polskiego lotnictwa na obczyźnie.

P.S. Wiem, że Stowarzyszenie Lotników Polskich od dawna nosiło się z zamiarem wydatkowania odpowiedniej sumy na opracowanie i wydanie czegoś takiego, z tym, że nie bardzo było wiadomo czy ma to być pies czy wydra, to znaczy czy historia czy dla dzieci pamiątka. Nigdy z tych zamiarów nic nie wychodziło i teraz już nie wyjdzie. Tymczasem jest naszym niespełnionym obowiązkiem wobec kraju, żeby dzieje naszego lotnictwa na Zachodzie zostały gruntownie opracowane i wydane. Praca F. Kalinowskiego daje nam sposobność by to wreszcie nastąpiło, bo oto jest co prostować, uzupełniać i rozbudować. Wreszcie powiem i to, że za lat 50 nawet ta książka, w której przed chwilą niejedno zgaśnie, będzie dla Polski więcej warta niż wszystkie domy, kluby i fundusze naszego Stowarzyszenia, bo te pochłonie obczyzna.

Jeśli umożliwimy F. Kalinowskiemu zrobienie drugiego wydania Jego książki, takiego o jakim myślę, wydania przygotowanego w oparciu o archiwa i zespół znawców poszczególnych zagadnień, będziemy mieli to, czego potrzeba. Tego nie można odkładać, bo nie jesteśmy wieczni. Gdy zbraknie świadków, jak i co naprawdę było, zostaną tylko papierki, choć i te może nie będą w całości. Stać nas choćby na kosztowny dar dla tych, którzy w Polsce będą żyli jutro i tych co za lat sto. Niech im coś od nas i o nas zostanie.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

Z okazji omówienia książki ppłk. F. Kalinowskiego, pragnę odnotować szczegóły dotyczące pracy tegoż autora w nrze 3 *Zeszytów Historycznych*. Jest tam zarzut krzywdzący tych oficerów naszego lotnictwa, którzy podpisali list do Prezydenta R.P. i tego nie ujawnili gdy kilku ich kolegów zostało za podpisanie tego listu pociągniętych do odpowiedzialności.

Stwierdzam, że wedle postanowienia inicjatorów wystosowania tego zbiorowego listu, ujawniać się miano tylko w wypadkach zapytania ze strony przełożonych. Poszczególni koledzy byli proszeni o zastosowanie się do tego postanowienia.

Stanisław SEP-SZARZYŃSKI

Anna CIENCIAŁA

STOSUNKI POLSKO-SOWIECKIE — FEDERALIZM — POLITYKA POLSKA — 1914-1921

Rok 1969 wniósł bogaty plon historiograficzny w postaci trzech opracowań z dziejów zarania Drugiej Rzeczypospolitej. Profesor Piotr S. Wandycz, z uniwersytetu w Yale, napisał świetne studium o stosunkach polsko-sowieckich w latach 1917-1921 (*Soviet-Polish Relations, 1917-1921*, Harvard, 1969). Profesor M. K. Dziewanowski, z uniwersytetu w Bostonie, przedstawił pracę o myśli i polityce federacyjnej Józefa Piłsudskiego (*Joseph Piłsudski. A European Federalist, 1918-1922*, Hoover, 1969). Dr Tadeusz Piszczkowski napisał ciekawą książkę pt. *Odbudowanie Polski, 1914-1921. Historia i Polityka*, (Orbis, Londyn, 1969). Z tych trzech pozycji, praca Wandycza stanowi kościec dla uzupełniającej ją książki Profesora Dziewanowskiego. Obie są solidnie oparte o materiały archiwalne. Książka Piszczkowskiego, pisana na podstawie prac i dokumentów opublikowanych, winna właściwie nosić podtytuł: „Rozważania o Polityce i Historii”, i właśnie z tego punktu widzenia zasługuje na uwagę.

Praca prof. Wandycza powinna nareszcie podważyć legendę, tak szeroko rozpowszechnioną w literaturze zachodniej, o „imperializmie polskim” w stosunku do Rosji Sowieckiej. Legenda ta, powstała na tle wypowiedzi premiera angielskiego Lloyd George’a (1916-22) oraz propagandy Rosji tak Białej jak i Czerwonej, korzenie swe zapuściła głęboko w świadomości zachodniej, głównie z powodu ignorancji oraz, w rezultacie tego, z braku rzeczywistego obrazu zagadnienia stosunków polsko-sowieckich. Była to legenda, rzecz jasna, równie wygodna dla polityków zachodnich w latach 1919-45, jak i dla polskiej ideologii komunistycznej. W innej nieco formie, choć zbliżonej do pierwszej, legenda ta wrosła korzeniami w antagonizm między „Piłsudczykami” a „Endecją”, w drodze wzajemnych wypominań o „krótkowzroczność” z jednej strony, a „komiwojażerstwo” i „awanturniczość” z drugiej. Historycy Polski Ludowej nie mieli wielkich trudności w zespoleniu różnych postaci tej legendy w jeden mit historyczny w celu właściwego wychowania politycznego.

Istota rzeczy, przedstawiona przez prof. Wandycza, wygląda zgoła inaczej. Wykazuje on, na podstawie wnikliwej analizy archiwaliów oraz opublikowanych dokumentów sowieckich, że przywódcy partii bolszewickiej dążyli do podporządkowania Moskwie krajów bałtyckich, Białorusi i Ukrainy aby potem, z tej

bazy wypadowej, dopic do „konfederacji” z Republik Rad, „sowieckich” pastw peryferyjnych i sowieckich Niemiec. „Samostanowienie” tzw. republiki białoruskiej, potem białorusko-litewskiej (Litbel), było zaprzeczeniem i kpini tej zasady. Rzdziły tam „partie komunistyczne” obsadzone wiernymi poplecznikami Lenina — których, *nota-bene*, Lenin musiał usilnie przekonywa o potrzebie wykonania tej caej maskarady. W rzeczywistości, partie te posiadały status organizacji prowincjonalnych pod rozkazami Komitetu Centralnego w Moskwie. Z materiaów przytoczonych przez prof. Wandycza, program Lenina wyania si tak wyraźnie, że nie trzeba czeka z jego ustaleniem na otwarcie archiwów sowieckich — co równa si w kadym razie, historycznemu „czekaniu na Godota”.

Autor wykazuje równie, że zabiegi sowieckie o pok w 1919 roku, podyktowane były walk z Białymi oraz potrzeb „nabrania oddechu” (*peredyszki*). Taki charakter miały propozycje wysuwane przez Juliana Marchlewskiego, np. zgoda Moskwy na „plebiscyt” w Białorusi. Marchlewski nie przywiywał wagi do granicy poniewa sdził, że włączenie Białorusi do Rosji Sowieckiej jest tylko kwestię czasu. Poza tym zakładał, że włączenie tymczasowe tych teren w granice Polski, przyczyni si tylko do jej osabienia. W tym wypadku my jego biegła zgodnie z myl Dmowskiego. Propozycje za ze stycznia 1920 r., które dawały Polsce bardzo dogodn granic wschodni, dżyły do zyskania na czasie, a zatem do osabienia Polski, która nie mogła trzyma wojska pod broni w nieskoczono, oraz do efektu propagandowego.

Czy doszoby do wojny akurat w 1920 r. bez programu Pisudskiego i jego kierowniczej roli w Państwie, nie wiadomo. Pewne jest jednak, że Lenin liczył na obalenie Polski „obszarniczoburzuazyjnej” od wewntrz a poniewa był przekonany, że rewolucja rosyjska nie moe utrzyma si bez jednoczesnej rewolucji w Niemczech, tj. w kraju uprzemysłowionym — naley przypuszcza, że wojna i tak miaaby miejsce. Czas grał na korzyc Rosji. Z tego faktu Pisudski zdawał sobie świetnie spraw a w zwizku z nim widział kluczow rol Ukrainy jako czynnika decydujcego w ustaleniu przyszłej równowagi sił w Europie Wschodniej. Słusznie przytacza w swej ksizce prof. Dziewanowski gębokie przekonanie Pisudskiego, że podzi Ukrainy w 1667 roku zaznaczył pocztek upadku Polski i wzrost Rosji do stanowiska potęgi wschodnioeuropejskiej.

Zawarcie pokoju na pocztku 1920 r. doprowadzioby nieuchronnie do demobilizacji wojska polskiego bez realnych gwarancji na demobilizacj Armii Czerwonej. Pok taki, rozumował wic Pisudski, nieufny do gębi wobec Rosji, byby zgubny dla Kraju, chyba że Rosja zgodziaby si jednoczenie na jego program utworzenia niepodległej Ukrainy oraz federacji Polsko-Litewskiej z włączeniem w ni Białorusi. Wobec odmowy so-

wieckiej, Piłsudski powziął decyzję wojny. Nie doceniał on, jak twierdzą zgodnie profesorowie Wandycz i Dziewanowski, sił sowieckich oraz braku świadomości narodowej na Ukrainie — gdzie liczył na powstanie. Można się jednak zastanowić, czy nawet pełna świadomość tych czynników doprowadziłaby Piłsudskiego do zaniechania jego programu. W ustanowieniu niepodległej Ukrainy oraz federacji z Litwą widział *jedyną* rękojmnię zabezpieczenia na dłuższą metę niepodległości Polski. Postawił więc wszystko na jedną kartę i choć nie mógł przeprowadzić swego programu, to jednak końcowy rezultat wpłynął zasadniczo na losy Europy Wschodniej, odraczając na dwadzieścia kilka lat hegemonię sowiecką. Program Piłsudskiego rozbił się głównie o zmęczenie Kraju. Pokój ryski nie stanowił prawdziwego kompromisu lecz, jak wskazuje prof. Wandycz, był rezultatem wyliczenia obu stron, które z kolei przekreśliło maksymalne cele tak Piłsudskiego jak Lenina.

Prof. Wandycz nie wgłębia się zbyt w program federacyjny Piłsudskiego, przedstawiając go jako fragment głównego zagadnienia, tj. stosunków polsko-sowieckich. Prof. Dziewanowski natomiast przedstawia rozwój programu federacyjnego szkicując tylko tło na którym się rozwijał. W ten sposób więc prace te uzupełniają się wzajemnie. Brak było dotychczas poważnego opracowania na ten temat, nie tylko w języku angielskim ale też w polskim. Książka pisana jest z werwą i w stylu łatwo dostępnym. Autor przedstawia nareszcie ten ważny wycinek polskiej myśli politycznej w należytych świetle. Dochodzi on do tego samego wniosku co prof. Wandycz, tzn., że pokój ryski przekreślał szeroko zakreślone plany tak Lenina jak i Piłsudskiego. Trzeba zaznaczyć, że Wandycz poświęca więcej miejsca naświetleniu pertraktacji w Rydze oraz polityce delegacji polskiej. Prawdą jest, że zagadnienie Ukrainy łączyło się tylko pośrednio z planami federacyjnymi Piłsudskiego, ponieważ chodziło mu o ścisły sojusz a nie federację z Ukrainą. Tym niemniej, autor przytacza zdanie płk. Miedzińskiego, że wedle Piłsudskiego, rozwiązanie zagadnienia litewskiego mogło nastąpić tylko po ustanowieniu niepodległej Ukrainy (str. 217, 261). Można się więc zastanowić, czy autor nie powinien był poświęcić trochę więcej miejsca zagadnieniu Ukrainy, tym bardziej, że na ten temat nie ma jeszcze poważnego opracowania. Chodziłoby w tym wypadku o szersze potraktowanie polityki Petlury oraz działania antypolskiego na konferencji paryskiej tzw. delegacji ukraińskiej. Można by też szerzej potraktować politykę Anglii w stosunku do Ukrainy, a szczególnie w sprawie Galicji Wschodniej. Materiały Foreign Office za okres 1914-21, zostały udostępnione badaczom w 1966 r. Wreszcie, szata graficzna i użytek przypisów nie stoją na poziomie treści. Znaki diakrytyczne wykonane są ręcznie, razi więc w nich brak jednolitości. Uderza przeładowanie przypisami, które są podane zarówno pod koniec każdego rozdziału jak i u dołu prawie każdej strony, stwarzając wrażenie, że autor dodawał je przy każdej

kolejnej rewizji książki. Praca poza tym zawiera błędy, które można by chyba było sprostować w ostatecznej korekcie, jak np. przypis u dołu str. 319, gdzie autor powołuje się na książkę Senn'a, *The Great Powers and the Vilna Question*, gdy winno być *The Emergence of Modern Lithuania*. Tłumaczenie listu Piłsudskiego do Generała Szeptyckiego przytoczone u dołu str. 143, winno być „impotent”, a nie „impatient” (*spectators*). Sejm ustawodawczy tłumaczy się jako „Constituent Assembly”, a nie „Diet”. Uważne przeczytanie raportu MacNutt'a na str. 114, wskazuje raczej na stosunek Gabrysa do propozycji francuskiej, federacji Litwy z Rosją, a nie jak twierdzi autor, do propozycji Piłsudskiego, federacji Polsko-Litewskiej. Tego rodzaju usterki nie umniejszają wagi pracy, odbijają jednak od doskonale przedstawionej treści.

W odróżnieniu od prac Wandycza i Dziewanowskiego, książka Dra Piszczkowskiego nie wnosi nowych informacji a stanowi raczej „rozważania” nad historią i polityką polską lat 1914-21. Autor posiada świetne pióro i dar syntezy. Z tego też powodu żałować należy, że książka jego ukazała się równocześnie z pracami omówionymi powyżej, a nie trochę później co by mu dało okazję do skorzystania z materiałów w wielkiej mierze mu niedostępnych. Poza tym, obraz polityki brytyjskiej w tym okresie powinien ulec wyjaśnieniu i pewnym uzupełnieniom w świetle dostępnych teraz w Londynie dokumentów Foreign Office oraz papierów Lloyd George'a. Należy przypuszczać również, że materiały te mogą rzucić trochę światła na politykę Piłsudskiego w okresie pierwszej wojny światowej. Tak np., w memoriale Admiralicji angielskiej z 25. VI. 1918 r., jest wzmianka o tym, że na samym początku wojny August Zaleski złożył w Ministerstwie Wojny dokument przekazany oficjalnie przez „Legiony Polskie”, w którym wyrażano sympatię dla państw Ententy (F.O. 371.3279. f. 3361. pc. 16976). Był to prawdopodobnie dokument przywieziony przez Patka, który we wrześniu i październiku 1914 r. bawił w Londynie i w Paryżu (patrz: M. Sokolnicki, *Rok Czternasty*, Londyn, 1961, str. 332). Według listu z dn. 25. VI. 1915, poseł belgijski w Londynie, Vandervelde, prosił Lloyd George'a, wówczas Ministra Zbrojeń, o przyjęcie Patka i Zaleskiego. (*Lloyd George Papers*, D/19/1/1, Beaverbrook Library, Londyn). Kontakty Piłsudskiego z mocarstwami Ententy istniały więc od początku wojny.

Jeśli chodzi o plan Piłsudskiego wywołania powstania w Królestwie w sierpniu 1914 r., nie należy wyolbrzymiać potencjalnych jego rezultatów w razie gdyby ono rzeczywiście było nastąpiło. Wiemy teraz, że plan ten nie miał żadnych widoków powodzenia. Czy warto więc rozmyślać nad tym „co by było gdyby” a zarazem przeceniać wkład wojsk rosyjskich w zwycięstwo Ententy nad Marną w 1914 r.? Według analizy stratega i historyka wojskowego, Liddell Hart'a, rozpęd niemiecki załamał się nad Marną zarówno z powodu zmian, jakim uległ plan Schlieffena jak

i nieliczenia się w planie oryginalnym z możliwościami transportowymi sieci kolejowej oraz jej przerwania przez działania wojenne. W ten sposób wojska niemieckie dotarły wprawdzie nad Marnę ale w stanie wycieńczenia, spotęgowanego przy tym przedwczesnym manewrem von Klucka które odsłoniło flankę jego 13-tu dywizji 27-miu dywizjom anglo-francuskim. (Liddell Hart, *Strategy*, Praeger, Nowy Jork, 1954, str. 169-72). Z frontu zachodniego wydzielono tylko cztery dywizje do Prus Wschodnich, co nie stanowiło czynnika decydującego nad Marną. Wreszcie, nawet bez powstania w Królestwie, armie rosyjskie zostały pobite na łeb i na szyję w Prusach Wschodnich.

W świetle dokumentów Foreign Office z okresu Konferencji Pokojowej, nie można wywnioskować, jak to czyni dr Piszczkowski, że dyplomacja Dmowskiego i Paderewskiego zaważyła pozytywnie na rozwiązaniu roszczeń polskich do Kresów i Galicji Wschodniej. Sprawy te zostały rozwiązane dopiero po zwycięstwie Piłsudskiego w 1920 r. Można też wątpić, czy wojna z 1920 r. zaważyła na Konwencji Paryskiej z listopada 1920 r., która ustaliła ze wszech miar dla Polski niekorzystny statut Wolnego Miasta Gdańska. W Gdańsku stacjonowało od stycznia 1920 r. wojsko brytyjskie wsparte marynarką wojenną. Choć siła wojskowa była nikła, tym niemniej stanowiła ona czynnik który usunąć by można było tylko drogą dyplomatyczną, tj. z poparciem Francji. Nie było możliwości przeprowadzenia tej sprawy wobec upartej polityki Lloyd George'a który w Wolnym Mieście upatrywał kartę do dobrych stosunków z Niemcami. Plebiscyt na Warmii i Mazurach, wyznaczony na lipiec 1920 r., wypadłby tak samo i bez wojny, ponieważ pozostała tam administracja niemiecka, a świadomość narodowa ludności nie była rozwinięta. Plebiscyt na Śląsku nie przesądził o granicy, którą wreszcie ustaliła Liga Narodów, tym razem wbrew polityce Lloyd George'a. Do ustalenia tej granicy przyczyniły się walnie Powstania Śląskie.

W rozdziale o Konferencji Pokojowej jest też mowa o antypolskich wpływach żydowskich. Z udokumentowaniem tych wpływów jest ciągle słabo. St. Kozicki naszkicował w swej pracy rzekomy „program żydowski”, dążący do małej i słabej Polski. Brak dokumentów na poparcie tej tezy tłumaczył Kozicki tym „że Żydzi starannie ukrywają istnienie takiego programu” (*Sprawa Granic Polski na Konferencji Pokojowej w Paryżu*, Warszawa, 1921, str. 57). Program ten zresztą dotąd nigdzie nie został ujawniony. W rzeczywistości czynniki żydowskie wywarły wpływ na Traktaty Mniejszościowe wtenczas gdy opór wobec roszczeń polskich pochodził od Lloyd George'a. On to właśnie dążył do małej i słabej Polski licząc — jak autor słusznie zauważył — na zrównoważenie Niemiec i Rosji w Europie Wschodniej. Rola Namiera w tej polityce była zupełnie podrzędna i ograniczała się do podawania wygodnych argumentów propagandowych. Polityka angielska wobec Polski, wpływała bowiem z popierania tradycyjnych interesów brytyjskich w Europie oraz ze stosunku do Niemiec.

(Patrz: Anna M. Cienciąła, „Polityka brytyjska wobec Odrodzenia Polski, 1914-1918”, *Zeszyty Historyczne*, nr 16, 1969, str. 67-94).

Wreszcie sprawa nieudanych prób w kierunku stworzenia rządu koalicyjnego w Polsce pod koniec 1918 r., jest też zagadnieniem które ciągle wymaga wyjaśnienia. Dr Piszczkowski zaznacza, że Piłsudski nie chciał dzielić władzy z ludźmi silnego charakteru. Z lektury o Dmowskim i o jego prowadzeniu Komitetu Narodowego można by z powodzeniem wyciągnąć ten sam wniosek. Faktem jest, że w odróżnieniu od Czechosłowacji, gdzie nikt nie kwestionował autorytetu Tomasza Masaryka, polityka polska była od samego początku rozszczepiona sporem dwóch genialnych mężów stanu o model silnej Polski. Do pewnego czasu uzupełniali się oni nawzajem — i okres tego wzajemnego uzupełniania cofnąć można aż do 1914 r., gdy reprezentowali dwa możliwe warianty rozwiązania sprawy polskiej. W obliczu tych dwu różnych koncepcji Polski, oraz siły stronnictw prawicowych i centrowych — które popierały pogląd Dmowskiego przeciw Piłsudskiemu — brak wzajemnej sympatii w 1918 r. nie odgrywał wielkiej roli. Spór na temat tych koncepcji może jeszcze potrwać długo. Tym niemniej, w trybie doraźnym należy się raczej zastanowić czy niektóre elementy tych koncepcji przystosować można do wymogów niedalekiej przyszłości.

Czy, na przykład, program Piłsudskiego w 1920 r. stanowi, jak twierdzi prof. Dziewanowski, „rozdział zamknięty w historii Europy Wschodniej”, i czy dzieje tego programu zawierają tylko wskazówki do analizy problemów nowopowstałych państw w Afryce i w Azji? Czy też należy się zastanawiać — jak to czyni w swych uwagach końcowych dr Piszczkowski — nad wyborem kierunku Piłsudskiego, tj. walki przeciw Rosji wspólnie z innymi narodami ZSSR, lub kierunku Dmowskiego, tj. cierpliwego dążenia do porozumienia z Rosją na zasadzie wspólnych żywotnych interesów?

Wybór przyszłego kierunku polityki polskiej zależeć będzie najprawdopodobniej od zmian w sytuacji międzynarodowej, głównie zaś od tego czy osłabnie siła mocarstwowa Rosji. Jeśli zaś Rosja osłabnie, wówczas od rozmiarów tego osłabienia, jak również od zdolności krajów wschodnioeuropejskich do współpracy między sobą, będą zależały możliwości polityczne Polski. Jeśli zaś chodzi o możliwość przyszłej współpracy z narodami zachodniego ZSSR, przypuszczać należy, że będzie ona zależna od całkowitego rozprzężenia aparatu partyjno-rządowego Moskwy. W każdym bądź razie, rozważania o przyszłości nie powinny ani uważać przeszłości za rozdział zamknięty, ani też za jedyne źródło koncepcji politycznych. Myśl o przyszłych kierunkach polityki polskiej uwzględniać winna tak przeszłość jak i stały proces ewolucji który cechuje wszystkie dziedziny życia politycznego.

Anna CIENCIAŁA

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

SZKODLIWA KSIĄŻKA

Mieliśmy już sporo głosów z utyskiwaniami i oskarżeniami o najrozmaitsze prawdziwe i domniemane przewinienia i błędy popełnione podczas ostatniej wojny. Doczekaliśmy się wreszcie książki, wyrażającej pochwałę i zadośćuczynienie pamięci jednej z ofiar niesprawiedliwości.

Intencją autora jest danie świadectwa prawdzie i rehabilitowanie ofiary intrygi zarzuconej przez wywiad polski. Intrygi tym bardziej zasługującej na potępienie, że ofiara jej służyła bezinteresownie i lojalnie polskiej sprawie.

Zamiar sam w sobie szlachetny, byłby tym godniejszy uznania, bo staje w obronie dobrego imienia człowieka, który już sam nie może zabrać głosu; zginął bez mała 30 lat temu; gdyby...

W książce wydanej w języku francuskim pt. „Operation Haifa”¹ Władysław Michniewicz opisuje przygody i śmierć Samsona Mikicińskiego. Autor pisze o sobie, że był oficerem polskiego wywiadu na Bliskim Wschodzie i przydził ten ułatwił mu wgląd w dokumenty, na których oparł swą książkę.

Po takiej zapowiedzi można oczekiwać, że opis wydarzeń będzie z nimi w zgodzie. Spotyka nas zawód. Autor obrał inną drogę. Rzeczywistość poprzeplatał gęsto fantazją. Poza czterema rzeczywistymi aktorami wypadków, nazwanymi ich własnymi nazwiskami (Mikiciński, Szarkiewicz, Nobis, Briones-Luco) wszystkich innych wprowadził pod przybranymi. Występują też osoby zgoła wyimaginowane, odgrywające w fabule główne role.

W tok opowiadania wplata autor epizody z najnowszej historii poczynając od rewolucji rosyjskiej i wojny domowej w Rosji. Rozwodzi się nad najrozmaitszymi wydarzeniami politycznymi na arenie międzynarodowej, nadając im własną, często naiwną interpretację. Omawia też sprawy operacyjne na frontach bojowych. Sypie jak z rękawa nazwiskami polityków, premierów, ministrów, finansistów i generałów, przytacza ich wypowiedzi, a wszystko to nic wspólnego nie ma z fabułą. Wplecione jest ni przypiętą ni przyłatał, tak dla okraszy.

Wiele jest w tym zagadek.

Mimo zapowiedzi, że twierdzenia swe opiera na dokumentach, jednak ich nie przytacza. Albo więc nie dołożył starań, by do

1. *Operation Haifa*. Ladislas Michniewicz. Adaptation de Jacques Helle. Imprimé en Belgique par Casterman, S.A., Tournai, 1969.

nich dotrzeć, albo też woli ich nie cytować, bo przemawiają przeciwko jego tezie obronnej.

Lojalność i ofiarność

Według wersji Michniewicza Samson (w książce „Sanson”) Mikiciński, oficer armii rosyjskiej z 1-ej wojny światowej, zaprzyjaźnił się — służąc razem u Denikina — z oficerem rosyjskim pochodzenia niemieckiego, Wagnerem. Po przeniesieniu się Wagnera po wojnie do Niemiec, gdzie został przydzielony do Abwehry, Mikiciński — już wówczas też na Zachodzie — utrzymywał z nim zażyłe stosunki i korzystał z jego usług. Drugą bliską Mikicińskiemu osobą był chilijski ambasador w Brukseli, Hector Briones-Luco, z którym Mikiciński prowadził różne interesy handlowe.

Na kilka miesięcy przed wojną Mikiciński zostaje — dzięki stosunkom z Briones'em — urzędnikiem poselstwa chilijskiego w Warszawie. W pierwszych dniach wojny przez Kowno-Ryge-Sztokholm-Kopenhagę-Brukselę przyjeżdża do Paryża. Wykorzystując stosunki z polską arystokracją nawiązuje kontakty z oficjalnymi sferami polskimi, m.in. z premierem i ministrem Kuwalskim (pod tym nazwiskiem ukrywa autor min. Stanisława Kota). Dyplomatyczny paszport, możliwość i gotowość do wyjazdu do Polski Mikicińskiego staje się niezwykłą okazją do nawiązania kontaktu z polskim podziemiem w kraju. Podróż z Paryża do Warszawy kurierów konspiracyjnych trwała długo i była niebezpieczna, a Mikiciński mógł ją odbyć w obie strony w kilka dni. Jego paszport dyplomatyczny pozwalał na przewiezienie walut na robotę podziemną w Polsce, na czym władzom polskim bardzo zależało. W okupowanej Polsce — nad tym polskim „emisariuszem” — miał roztoczyć opiekę Wagner. Był on wmieszany, podobnie jak wielu oficerów Abwehry, w spisek przeciwhitlerowski, co dawało zabezpieczenie robocie — chociaż polskiej — ale wymierzonej przeciwko Hitlerowi.

Między listopadem 1939 a lutym 1940 Mikiciński odbył samochodem przez Belgię i Niemcy trzy podróże do Warszawy, przewiózł tam kilka milionów złotych polskich; stamtąd przywoził min. Kuwalskiemu informacje i korespondencję konspiracyjną.

Podróże te budziły w polskich komórkach bezpieczeństwa, zarówno w Paryżu jak i w Warszawie, podejrzenia i zastrzeżenia. Min. Kuwalski wiedział jednak, że Wagner czuwał nad polską pocztą konspiracyjną i nad walutą przewożoną na polską robotę podziemną. Można było nawet sądzić, że Wagner był rad z tego, że może służyć robocie wymierzonej przeciwko planom Hitlera. Toteż min. Kuwalski był spokojny i zadowolony, że w Mikicińskim zdobył tak niezawodnego i solidnego współpracownika.

Gdy w Paryżu, po trzech wysyłkach do Warszawy, wyczerpano polską walutę, min. Kuwalski wysłał w lutym 1940 Mikicińskiego

do Bukaresztu, gdzie w ambasadzie było jeszcze kilkanaście milionów złotych polskich. Podróż z Bukaresztu do Warszawy nie była jednak tak bezpieczna jak z Paryża. Trzeba było uciec się do pomocy wypróbowanego anioła stróża — Wagnera. Wezwany, przybył do Bukaresztu wraz ze swym pomocnikiem kapitanem Abwehry Erikiem Nobisem.

Waluta w 10 zaplombowanych workach, jako specjalna przesyłka Abwehry, pod eskortą kpt. Nobisa została dostarczona samolotem do Warszawy, gdzie odebrał ją Mikiciński. Tak oto przeznaczona do zwalczania przeciwników Rzeszy Abwehra służyła polskiemu podziemiu — stwierdza z tryumfem autor. Była to zasługa lojalności, ofiarności i zręczności Mikicińskiego. I tak oto ocenia ten proceder Michniewicz — będąc sam oficerem wywiadu i znając się na chwytach stosowanych przez tę służbę.

Latem 1940 Mikiciński przeniósł się do Stambułu i objął tam stanowisko w poselstwie chilijskim. Działalność Mikicińskiego jako „emisariusza” do Polski znana była polskiej placówce wywiadowczej w Stambule. Była ona w porozumieniu z wywiadem brytyjskim, który oskarżał Mikicińskiego o kolportaż na Bliskim Wschodzie — dostarczanej przez Niemców — fałszywej waluty brytyjskiej. Uzgodniono współdziałanie między brytyjską i polską placówką i powierzono por. Edwardowi Szarkiewiczowi opracowanie planu pochycenia Mikicińskiego i uprowadzenie na teren będący pod władaniem Sprzymierzonych.

O Szarkiewicz, oficerze polskiej placówki wywiadowczej, pisze Michniewicz, że był on tępym, chytrym, zajadłym i chorobliwie podejrzliwym brudasem i niechlujem.

Pod koniec stycznia 1941 Szarkiewicz wykonał powierzone mu zadanie. Po wciągnięciu Mikicińskiego w zasadzkę uprowadził go samolotem ze Stambułu do Palestyny. Uprowadzonego uwięziono w Haifie i rozpoczęto przesłuchania.

Gdy wiadomość o tym dotarła do Londynu, za sprawą min. Kuwalskiego wysłano ze sztabu N.W. do Palestyny oficera sztabowego z zadaniem spowodowania zwolnienia Mikicińskiego. Misja ta nie powiodła się. Wyślanik Londynu zabrał tylko ustne i pisemne sprawozdanie względnie oświadczenie Mikicińskiego, które miało przekonać o jego nie tylko niewinności ale o poświęceniu i ofiarności przez narażanie się wobec Gestapo podczas podróży do Polski. Oskarżenia były dla Mikicińskiego tym bardziej zaskakujące, że — jak twierdził — miał dwukrotne propozycje służenia właśnie wywiadowi polskiemu. Musiał więc być osobą godną zaufania. Dlaczego go aresztowano i uwięziono?

Po spaleniu na panewce własnej misji min. Kuwalski spowodował w Haifie interwencję władz brytyjskich, ale i ta droga nie dała rezultatu.

Po kilkutygodniowych przesłuchaniach podczas spaceru Mikiciński, biegnąc za przejeżdżającą ciężarówką, podjął próbę uciecz-

ki. Zginął ugodzony kilku pociskami z broni eskortujących go strażników.

Oto wersja podana przez Michniewicza zapewniającego, że oparta jest o dokumentację. Mikiciński lojalny wykonawca zleceń min. Kuwalskiego, pracując ofiarnie dla polskiego podziemia, padł ofiarą tępego i zajadłego przedstawiciela polskiego wywiadu. Ujawnienie prawdy ma zadośćuczynić krzywdzie i niesprawiedliwości; oczyścić imię niewinnego.

Mityczna postać

Analiza zarówno wersji autora jak i studium dotyczących dokumentów daje taki oto obraz:

W misternie, ale nie przekonywująco zbudowanej lojalnej działalności Mikicińskiego w roli emisariusza do Polski, trzonem konstrukcji książki jest postać Wagnera. Bez jego pomocy Mikiciński nie mógłby nic zdziałać. Autor podmurowuje i fryzuje Wagnera, by przez odpowiednie ustawienie stworzyć warunki dla skutecznej pomocy Mikicińskiemu. Zdradę wobec własnego państwa ma złagodzić udział Wagnera w spisku przeciwhitlerowskim. Łatwość działania i zabezpieczenie przed podejrzliwością groźnego Gestapo ma usprawiedliwić przydział Wagnera do Abwehry.

W świetle dokumentów okazuje się, że Wagner jest postacią zmyśloną. Zarówno nazwisko jak i osoba, odpowiadająca w wersji autora postaci Wagnera, nigdy w życiu Mikicińskiego nie odegrała żadnej roli.

W protokołach przesłuchania Mikicińskiego, w których przyznaje się do znajomości i rodzaju stosunków, łączących go z dziesiątkami osób różnych narodowości — nie ma żadnej, która odpowiadałaby nawet w przybliżeniu sylwetce Wagnera nakreślonej przez autora.

Również w pisemnym sprawozdaniu wzgl. oświadczeniu Mikicińskiego, które zabrał z więzienia w Haifie dla min. Kuwalskiego oficer wysłany ze sztabu N.W. z Londynu — nie ma najmniejszego śladu osoby, odpowiadającej sylwetce Wagnera. W bardzo obszernym oświadczeniu będącym czymś w rodzaju spowiedzi Mikicińskiego, mającej spowodować jego zwolnienie, nie ma żadnej wzmianki o przyjacielu ze wspólnej służby u Denikina, o żadnym przyjacielu w Abwehrze, który ułatwiłby mu docieranie do Polski.

Gdyby Wagner rzeczywiście istniał i odegrał przypisywaną mu przez autora rolę, byłby doskonałą maską i Mikiciński w swym oświadczeniu byłby argument ten wykorzystał. Przecież to mogłoby otworzyć mu bramy więzienia. Nie mógł jednak powołać się na Wagnera, gdyż taka osoba nie istniała. Powstała ona w wyobraźni autora.

Prawda o Abwehrze

Niemniej Mikiciński miał zacieśnione stosunki z Abwehrą, ale zgoła w innym charakterze, bynajmniej nie ideologicznym jak to autor opisuje.

Podczas przesłuchania w więzieniu w Haifie Mikiciński zeznaje, że na przełomie 1938/39, za pośrednictwem agenta niemieckiego wywiadu Fiodora Bobajewskiego, Rosjanina zamieszkałego w Pradze czeskiej, poznał tam w hotelu Alcron Niemca Scholtza, wyższego oficera Abwehry z 8 Okręgu Wojskowego we Wrocławiu.

W kwietniu lub w maju 1939 spotkał się Mikiciński z Scholtzem we Wrocławiu „w jakimś specjalnym mieszkaniu, przeznaczonym na spotkania” przy Post Str. Poznał tam sekretarkę Scholtza „Elsę”, która zawsze towarzyszyła przy następnych spotkaniach.

Podczas każdego przejazdu przez Wrocław z Paryża do Warszawy i w drodze powrotnej w misjach od min. Kuwalskiego wstępował Mikiciński do Wrocławia i spotykał się z Scholtzem.

W czasie pierwszego przejazdu przez Wrocław w zimie 1939 Scholtz przydzielił Mikicińskiemu do pomocy „Artura”, który swoim samochodem odwiózł go do Warszawy i z powrotem. Podczas następnych wyjazdów do Warszawy towarzyszyli Mikicińskiemu dwaj pomocnicy Scholtza „Artur” i „Fritz”. Podczas jednego z pobytów w Warszawie przyjechał tam Nobis, którego Mikiciński poznał jeszcze wcześniej w Berlinie.

Zeznanie Mikicińskiego w tym protokole o dostarczeniu samolotem 10 worków z walutą z Bukaresztu do Warszawy przez kapitana Abwehry Nobisa jest na ogół zgodne z opisem Michniewicza w jego książce.

Podczas przesłuchania 14 lutego 1941 Mikiciński zeznaje o czym z Scholtzem „rozmawiali” podczas spotkań we Wrocławiu. Oto słowa Mikicińskiego:

„... [Scholtz] miał większe zainteresowanie dla spraw francuskich aniżeli polskich z terenu okupacji. Natomiast dla spraw polskich z terenu Francji wykazywał duże zainteresowanie. Interesował się np. tym czy dużo jest wojska polskiego we Francji! W sprawach politycznych wykazywał również duże zainteresowanie. Pytał mnie się np. czy nie ma rozdźwięku w łonie Rządu Polskiego we Francji”... „Scholtzowi zależało na uzyskaniu informacji o stosunkach politycznych wewnątrzpolskich we Francji, a w szczególności o ustosunkowaniu się poszczególnych grup politycznych do siebie wzajemnie, do Gen. Sikorskiego oraz do b. sanacji”... „Co się tyczy spraw francuskich to pytany był na tematy: 1) Braki żywnościowe we Francji? 2) Stosunek ludności francuskiej do wojny? 3) Stosunki francusko-angielskie? 4) Stosunki francusko-polskie? 5) Życie we Francji?”.

„Dobrzy” Niemcy

Zastosowanie kryteriów Michniewicza do stosunków Mikicińskiego z wrocławską Abwehrą — w świetle przytoczonych dokumentów — wskazuje, że jedną z jej trosk była opieka i ochrona

przed Gestapo łączności konspiracyjnej min. Kuwalskiego z krajem. I chociaż Wagner jest postacią wymaginowaną, ale inni „dobrzy” Niemcy, Scholtz, Nobis, „Artur”, „Fritz” i „Elsa”, prześcigali się w świadczeniach dla Mikicińskiego. I tak też było, ale nie z przyjaźni do niego. W zamian za robione Mikicińskiemu świadczenia szef jego Scholtz otrzymywał od swego „podopiecznego” informacje o interesujących go zagadnieniach zarówno z polskiego jak francuskiego życia politycznego i wojskowego we Francji. W potocznym języku podobnych „podopiecznych” placówek wywiadowczych nazywa się agentami.

Troska o bezpieczeństwo przesyłek waluty do Polski opłacała się Abwehrze, bo wprowadzała Mikicińskiego głęboko w stosunki polskie i była dla niego maską. Była ona skuteczna do czasu. Kroplą, która przeważyła szalę był kolportaż — dostarczanej Mikicińskiemu przez Niemców — fałszywej waluty brytyjskiej. Spowodowało to udzielenie placówce polskiej pomocy, bez której nie byłaby w stanie przeprowadzić uprowadzenia własnymi siłami.

Dwie opinie

Po rozpoznaniu roli Mikicińskiego cieszył się on zaufaniem bo-daj tylko min. Kuwalskiego. Inną nieco opinię miała natomiast komenda Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), mająca swe miejsce postoju w Paryżu i w Angers. Komendant jej, gen. Kazimierz Sosnkowski, w instrukcji z 16 lutego 1940 r. L.dz. 1380/40. t.jn. ostrzegał Komendanta ZWZ na okupację niemiecką płk. Stefana Roweckiego, „Rakonia”, pisząc w punkcie 4-ym tej instrukcji:

„Konsul chilijski Mikiciński notowany przez dwójkę jako podejrzany”.

Bezinteresowność i lojalność Mikicińskiego charakteryzują meldunki nadsyłane z kraju do Paryża. Jego działalność i sposób załatwiania otrzymanych zleceń były w kraju obserwowane. W meldunku L.dz. 216/R wysłanym z Warszawy między 19. I. a 8 II. 1940 płk „Rakoń” melduje:

„... niejaki p. Mik.[iciński] postać na tym terenie bardzo podejrzana, typ Żyda-kombinatora, przywiózł 6 i pół miliona zł i ma je komuś doręczyć. Jak się okazało ten p. Mik. od szeregu dni rozpowiadał w Warszawie, gdzie się dało, że przywiózł od Rządu miliony na robotę. W Warszawie był u Śliwińskiego, Nebelskiego, Młynarskiego i wielu innych, dekonspirując całkowicie swoją osobę i rolę. Po długich tarapatkach udało się od niego teoretycznie wydobyć 2 7/10 miliona, które *nota-bene* były przeznaczone jakoby na cele charytatywne (!!) do księdza Merk. Z tych 2 7/10 milionów, nie mających zresztą już właściwego kursu, zabrał sobie Mik. 90 tysięcy zł za 'zrobienie' jakiegos paszportu, oraz 100 tysięcy zł za fatygę i prowizję przy częściowej wymianie pieniędzy; ponad 300 tys. rozdano na cele charytatywne, 450 tys. rozdał Mik. agentom Żydom do wymiany (25 % prowizji) i ta kwota zdaje się przepadnie... Równocześnie podobno Mik. przekazał znaczne kwoty na inne adresy i na różne cele...”.

Wynik ekspertyzy

Tezę obrony jest twierdzenie, że wywiad polski musiał mieć do Mikicińskiego zaufanie skoro dwukrotnie proponował mu współpracę. Było natomiast całkiem odwrotnie. Kierując się wyraźnymi skłonnościami wywiadowczo-agenturalnymi Mikicińskiego sam zgłosił te propozycje, pierwszy raz jeszcze przed wojną w Polsce, drugi raz podczas wojny w Paryżu. Obie oferty zostały odrzucone.

W ekspertyzie sprawy Mikicińskiego przeprowadzonej z polecenia szefa Oddziału II. Sztabu N.W. w czerwcu 1941 r. zanotowana jest następująca ocena:

„... jeszcze wówczas kiedy w Polsce prowadził on [Mikiciński] własne przedsiębiorstwo handlowe importowo-exportowe, zgłosił on Oddz. II propozycję wykorzystania jego stosunków z sow. przedstawicielstwem handlowym. Była to bardzo podejrzana propozycja pracy inspiracyjnej (udzielania aparatowi sowiekiemu kontrolowanych informacji), co miało Mikicińskiego uchronić przed represjami prawnymi ze strony tego przedstawicielstwa, za niedociągnięcia w wykonywaniu umowy z nim zawartej. Przez pewien czas istniał nawet zamiar wykorzystania oferty Mikicińskiego. Okazało się jednak bardzo rychło, że Mikiciński nie zasługuje na całkowite zaufanie, niezbędny warunek do prowadzenia afery inspiracyjnej, wyłamuje się bowiem z nakazanej mu linii postępowania, co bardzo łatwo mogłoby prowadzić do dwustronnej gry szpiegowskiej z jego strony. Oferta Mikicińskiego w świetle tego nabierała cech asekurowania się z jego strony wobec władz polskich przed konsekwencjami karnymi za już przez niego podjętą pracę szpiegowską na rzecz Rosji. W związku z tym Mikicińskiemu zakazano wszelkiej dalszej akcji typu inspiracyjnego w stosunku do tego przedsiębiorstwa. Jednocześnie został on wciągnięty do rejestru osób podejrzanych, które winne być w dalszym ciągu kontrwywiadowczo rozpracowywane... Należy podkreślić to, że już w tym fragmencie swej kariery na odcinku afer szpiegowskich Mikiciński wykazał duże otrzaskanie się z techniką intrygi pracy dwustronnej, azefowski wprost talent prowokacji.

Trzeba więc przyjąć, że w momencie przystąpienia przez niego do akcji w 1939 r. był on już całkowicie technicznie przygotowany do opracowania nawet bardzo koronkowej gierki tego typu”.

Ostateczna ocena tej ekspertyzy brzmi:

„Niemożliwą do przyjęcia jest w świetle znanych dokumentów sprawy teza obrończa Mikicińskiego, że aż do ostatniej podróży do Polski nie był on wywiadowczo związany z Niemcami, natomiast wykorzystywał osobiste stosunki łączące go z oficerem wywiadu niemieckiego Scholtzem.

Wszystko przemawia za tym, że w chwili kiedy Mikiciński pojawił się we Francji, był on już w kontakcie wywiadowczym z Niemcami, być może, że chwilowo przerwanym na skutek biegu operacji wojennych. Kontakt ten jednak został przez niego natychmiast ponownie podjęty przy pierwszej bytności na terenie Niemiec. Z przebiegu sprawy widać, że Mikiciński był przez wywiadowczy aparat niemiecki stale kontrolowany, nie miał pełnego zaufania, toteż możliwości jego pracy poza plecami niemieckimi były bardzo ograniczone”.

Zastanawiające jest, że własne gniazdo, tj. wywiad polski, z którego się wywodzi i, do którego się przyznaje autor, przedstawia w ciemnych kolorach i nie szczędzi mu złośliwości. Nawet Niemcy wyglądają w jego interpretacji znacznie przyzwoiciej.

Opinia wydana przez autora o głównych bohaterach wydarzeń wymaga sprostowania. Konsekwencją podjęcia przez autora obrony Mikicińskiego jest ukrywanie jego słabych stron, a wydobywanie dodatnich. Robi z niego człowieka wielkiego interesu, obracającego się w sferach przemysłowo-finansowych. Ażeby zamaskować wygląd Mikicińskiego, o którym znająca go osoba wyraża się, że był „odrażający”, obwoluta książki ukazuje wyidealizowaną twarz młodego, przystojnego mężczyzny. Ponadto osoba Mikicińskiego w ujęciu autora przez przyjaźń z „ambasadorem” chilijskim Briones'em Luco zyskała, natomiast stracił na tym autor. Nie sprawdził bowiem, że Hector Briones Luco za życia Mikicińskiego w żadnym okresie swej kariery dyplomatycznej nie był ambasadorem chilijskim ani w Belgii, ani w żadnym innym kraju. W Belgii był radcą handlowym, a w Warszawie i w Ankarze był sekretarzem poselstwa chilijskiego”.

O wielkich interesach Mikicińskiego tak zapisano w protokole jego przesłuchań w więzieniu w Haifie:

„W Berlinie w r. 1920 nabyłem częściowo zbankrutowaną niem. firmę przy pomocy kredytu banku ros. Właściciel firmy (gazowe i wodne armatury) Otto Schmidt wyprocesował w sporze sądowym resztę udziałów ode mnie w 1923 r. i stał się sam właścicielem. Od tego czasu spekulowałem na giełdzie do roku 1925/26. W Paryżu nie robiłem nic. Wobec braku pracy i pieniędzy otrzymywałem co miesiąc od mej matki \$ 100. Matka moja znajduje się w Nowym Jorku... Następnie w Belgii również żyłem z subsydiów matki. Pieniądze otrzymywałem przez bank. W 1928 lub 1929 r. przybyłem do Polski i zamieszkałem w Łodzi. I tam jeszcze otrzymywałem pieniądze z Ameryki. Następnie zacząłem pracować w firmie wujów, Bracia Klemcy (przemysł włókienniczy)... Na tle stosunków handlowych z „Sowpoltorgiem” i przedstawicielstwem handlowym ZSSR zaistniał proces sądowy. Wówczas byłem zatrzymany przez policję w Warszawie przez okres 5-6 dni, następnie decyzją prokuratora zwolniony. W Paryżu miałem, o ile sobie przypominam, w r. 1926 sprawę sądową z powodu wystawienia czeku bez pokrycia. Ukarany zostałem dwutygodniowym aresztem z zawieszeniem. Do 1938 r. od likwidacji „Klemika”, firmy nie posiadałem, natomiast w 1937 r. zacząłem pracować jako urzędnik w firmie „Argos” w Warszawie, ... Gaża wynosiła około 300-400 zł, lecz wraz z procentami dochodziła do 1.500 zł miesięcznie”.

Tak wygląda przeszłość Mikicińskiego w jego własnej relacji. Jego przeciwnik Szarkiewicz jest przedstawiony przez Michniewicza jako tpy nieuk, niechluj, jednym słowem zajadły „łaps”. To też ma służyć dla poniżenia autorytetu polskiego wywiadu.

Rzeczywiście dwaj bohaterze książki, osoby rzeczywiste Mikiciński i Szarkiewicz, byli typami krańcowo różnymi. Jaki cel przyświecał autorowi by cechy posiadane przez jednego przypisywać drugiemu i na odwrót — nie trudno zgadnąć.

Obaj bohaterowie są już od lat błogostawionej pamięci. Jeśli któremuś z nich należy się rehabilitacja — to po książce „Operation Haifa” — przede wszystkim Szarkiewiczowi (rodowe nazwisko Szapiro).

Szarkiewicz był człowiekiem o wielkiej przedsiębiorczości, z uniwersyteckim wykształceniem, ambitnym, zarozumiałym, nie pozbawionym egocentryzmu o żywej i szerokiej inteligencji. Odznaczał się dbałością o wygląd zewnętrzny, był zaprzeczeniem niechlujstwa. To on był wielkim finansistą, zaangażowany przed wojną w handel bronią na rynkach międzynarodowych. Ponadto był wyłącznym właścicielem małego teatru kinowego w Londynie, na Willesden. Był on niezależny finansowo, pracował w wywiadzie bezinteresownie. Miał pasję ścigania przestępstw. Urowadzenie Mikicińskiego wymagało drobiazgowego planowania, sprawności wykonania planu, odwagi i determinacji. Tymi wszystkimi zaletami odznaczał się Szarkiewicz. Akt uprowadzenia był jakby wyczynem sportowym, który oczywiście miał swe podłoże moralne. I za to należy się Szarkiewiczowi uznanie.

Zdumiewające jest co skłoniło autora do przedstawienia tej, ciekawej zresztą afery w tak nieprawdopodobnej karykaturze. Mamy już dosyć głosów nam nieprzychylnych w świecie, które starają się nas zozydzić. Po cóż my sami i to jeszcze w obcym języku przedstawiać mamy naszą niedawną przeszłość w krzywym zwierciadle?

Cui bono?

Kazimierz IRANEK-OSMECKI

Józef ŁOBODOWSKI

„W POLSCE ZA DRUTAMI”

W trzech kolejnych numerach ukraińskiego miesięcznika „Na szlaku wyzwolenia” („Wyzwolnyj szlach”, czerwiec-wrzesień 1968), ukazały się wspomnienia W. Simiancewa pod tytułem „W Polsce za drutami”. Wspomnienia obejmują trzy lata — od późnej jesieni 1920 roku do jesieni roku 1923, gdy autor przedostał się przez „zieloną granicę” do Czechosłowacji.

Był on wtedy młodziutkim podoficerem kawaleryjskiego pułku armii Petlury i po zawarciu rozejmu z Rosją Sowiecką, został jak i cała armia internowany na terenie Polski. Simiancew sam stwierdza, że pisał te wspomnienia po wielu latach, wiele szczegółów więc zatarało się w pamięci, ale widocznie służy ona autorowi i po blisko półwieczu, bo niektóre fragmenty czyta się tak, jak gdyby były pisane pod zupełnie świeżym wrażeniem. Być może

zresztą, rozporządzał on dawnymi notatkami. Czytelników *Kultury* zainteresuje przede wszystkim to, co Simiancew ma do powiedzenia na temat Polski, pobytu w kilku obozach dla internowanych, stosunku władz polskich i tak dalej.

Wspomnienia zawierają mnóstwo materiału anegdotycznego i to podanego w sposób nieco chaotyczny. Moje zadanie polegało na ogólnym streszczeniu przeszło czterdziestu stron bitego druku i na podaniu niektórych urywków *in extenso*, w przekładzie na polski.

Stosunek autora do Polski i Polaków jest co najmniej niechętny, często wrogi. Kilkakrotnie podkreśla, że uważał — podobnie jak jego koledzy — Polaków za zdrajców, gdyż zawarli pokój z Sowiecami, pozostawiając Ukraińców własnemu losowi; słowo polscy „sprzymierzeńcy” bierze zawsze w ironiczny cudzysłów. Nie zaniebduje też żadnej okazji by Polaków ośmieszyć.

Już na samym wstępie opisuje scenę, która wydaje się raczej wątpliwa. Piszze, że po przejściu Zbrucza przez konny pułk, „znaleźliśmy się pod obstrzałem karabinów maszynowych i zatrzymaliśmy się na miejscu wyznaczonym dla złożenia broni. Ale Polaków tam nie było, pouciekali, kule lecące zza Zbrucza przepędziły ich, jakby to było na froncie, więc drogę mieliśmy wolną. Zatrzymaliśmy się na jakimś majdanie, gdzie skoncentrowała się nasza kawaleria. Zostaliśmy tam do wieczora, a może nawet przez całą noc...”.

Pierwszym etapem była jakaś wieś, nazwy której autor nie pamięta, w pobliżu Tarnopola. Dopiero tam ukraińscy żołnierze musieli złożyć białą broń, którą po przejściu granicy na razie im zostawiono. Koni nie rekwirowano, pozwolono je sprzedać.

Przez cały czas autor narzeka na złe jedzenie. „Polacy — pisze — 'odżywiali' nas (szkoda używać tego słowa) nawet nie zupą z ryby, lecz po prostu jakimiś rzadkimi pomyjami. W chlebie mnóstwo łusek, widocznie, specjalnie dla nas wypiekano go na połowę z plewami...”.

Po jakimś czasie oddział został przeniesiony do miejscowości Pikulicze pod Przemyślem. Tu już był podwójny rząd kolczastych drutów, utworzonym korytarzem chodziły zbrojne warty, na rogach stały karabiny maszynowe. „Tak nas pilnowali — zauważa autor ironicznie — nasi 'sojusznicy'”.

W nieopalanych barakach panowało zimno; najgorzej było w nocy, gdyż trzeba było spać na gołych narach, bez żadnych sienników. Obok, również za drutami, ale odseparowani od Ukraińców, siedzieli jeńcy z Czerwonej Armii. Gdy ich prowadzono wzdłuż drutów ukraińskiego obozu, obydwie strony obrzucały się wymysłami.

Autor miał już od jakiegoś czasu rupturę i postanowił zgłosić się do szpitala na operację. Dano mu skierowanie do szpitala w Przemyślu. I tu, jak się zdaje, Simiancewa poniosła nieco fantazja.

„W szpitalu — opowiada — zastałem wielu swojaków. I oni także traktowali Polaków 'z góry', jako tych, co nas zdradzili. Przyczyniła się do tego również lektura Gogola, jak i wszystkich naszych pisarzy, co pisali o Zaporozcach i Polakach. Wiedzieliśmy już, z kogo mamy brać przykład i kogo naśladować. Nasi Kozacy nawet nie zgadzali się na narkozę: tnij, powiadali, na żywca. Nikt się nie bał, ani niecierpliwiał, a już, broń Boże, żeby który zajączał albo poskarżył się — każdy pragnął zachować się jak Ostap Bulba...”

„Na naszej sali była starsza pielęgniarka: czarna, ładniutka, wesoła i skłonna do żartów. Mówiono o niej, że to Żydoweczka. Ale jej 'żarty' nie przypadały kozakom do smaku, ciągle nam dokuczała, wytykając, że jesteśmy Ukraińcami...”

Któregoś dnia między ową pielęgniarką a Simiancewym nastąpiło przykre zjście. Od tego czasu jej stosunek do niego stał się wyraźnie wrogi.

„A mogła — pisze autor — stać się niebezpieczną, bo nie było na nią żadnej władzy. U samego pułkownika, dyrektora czy komendanta szpitala, miała wielkie 'przywileje', po prostu — jak opowiadano — była jego kochanką”

„Nie pamiętam: pięć albo sześć razy pielęgniarka kazała przygotować mnie do operacji. A to znaczyło, że nie dostanę kolacji, wstawią mi lewatywę i ogolą. Może nie wybierano tępej brzytwy specjalnie dla mnie, bo inni pacjenci, których ogolono tylko raz, nie mogli jej zapomnieć. A mnie golono kilka razy... Pociągnie brzytwą, a jej śladem występują kropelki krwi. A ja milczę — męcz, Lachu, bo nie innego zrobić mi nie możesz!”

Morał: nie należało zadzierać z Żydoweczką, która akurat była kochanką komendanta szpitala!

Simiancew wyszedł ze szpitalu w Przemyślu „gdzieś przy końcu wiosny”. W międzyczasie Zaporoska dywizja została przeniesiona do Wadowic. W nowym obozie zaczęło się od zajścia z wartownikiem. Simiancew, nie orientując się w miejscowych porządkach, poszedł do zakazanej зоны, wartownik go zatrzymał, doszło do szarpaniny. Wynik — miesiąc „paki”.

Tego miesiąca autor nie odsiedział. Po tygodniu, z okazji przyjazdu do obozu Naczelnego Atamana, Symona Petlury, została ogłoszona amnestia i Simiancew wyszedł z aresztu, a nawet zdążył wziąć udział w defiladzie.

Jeszcze przed jego przybyciem do wadowickiego obozu na skutek skarg na żywność (zgniła konina) zjechała polska komisja, która stwierdziła, że skargi internowanych były całkowicie uzasadnione.

„Możliwe — pisze autor — że gdzieś 'na górze' Polacy nie byli tak okrutni, jak miejscowe władze, najniższe ale najbliższe nas stojące, które wciąż wynajdywały różne matactwa, żebyśmy długo pamiętali nasz pobyt 'za drutami...”

Nie wszystkie wspomnienia są równie ponure. Simiancew opowiada o obozowym teatrze, w którym główne role kobiece grała żona generała Omeljanowycza-Pawłenki.

„Była w obozie IMCA, prowadząca różne kursy. Zgłosiłem się i ukończyłem, już w Kaliszu, kurs ogrodnictwa. Nawet z tego tytułu miałem prawo wstępu do lokalu IMCI. Był to czyściutki barak, w nim stoły i przybory do pisania. W nagrodę za te studia dostawałem filiżankę kakao, butkę i parę papierosów, i to codziennie...”

Zajść z Polakami Simiancewowi nie brakowało, ale też ze wspomnień wynika, że często umyślnie ich prowokował. Sam przyznaje, że był w owych latach nastawiony awanturniczo.

„Nie ukrywaliśmy — powiada — swojej pogardy do Polaków, uważając ich za zdrajców. A ci ze swojej strony, gdzie tylko mogli, pokazywali nam swoją 'gościńność'. Przy takim wzajemnym nastawieniu każde najmniejsze starcie między nami przekształcało się w ostry konflikt...”

Przy końcu lata 1921 roku Simiancew został przeniesiony do obozu w Kaliszu i wstąpił do podchorążówki. Wierzone jeszcze wtedy, że przegrana o niepodległość Ukrainy nie jest ostateczna i szykowano się do dalszej walki. Autor nie podaje, czy była jakaś oficjalna umowa z polskimi władzami, ale ze wspomnień jasno wynika, że z tej strony żadnych przeszkód nie było. Wykłady i ćwiczenia rozwijały się w obozie kaliskim jakby to było normalne wojsko.

Nieliczni, między nimi Simiancew, wykradali się z obozu, by wynająć się do pracy na sąsiednich folwarkach. Warunki otrzymywali takie same jak polscy robotnicy rolni.

Skargom na niedostateczne wyżywienie i brak opału w zimie autor poświęca wiele stron.

„Produktów wydawano bardzo mało, do tego słabych kalorycznie; nędzne ilości mięsa, margaryny i cukru. Za to pęcakiem można było udusić się. Długi czas po wyjściu z Kalisza utożsamiałem z pęcakiem wszystko, co nieuniknione, niezmienne, co przyklejało się do człowieka jak symbol biedy i smutku”.

Autor opowiada również o swoistym „czarnym rynku”, jaki powstał w obozie kaliskim. Internowani mieli swoich pośredników, którzy z kolei zdobywali chody wśród Polaków. Gdy któregoś dnia kolejna transakcja wyszła na jaw, polski sierżant, pracujący w zaopatrzeniu obozu, poszedł na dłuższe „medytacje” do kryminału... Autor wymienia majora Sztepańskiego (zapewne Szczepański), komendanta obozu, pisząc o nim, że był „porządnym i uczciwym człowiekiem”. Powszechna opinia twierdziła, że „jeżeli w Kaliszu jest dobrze — w zestawieniu z innymi obozami — dzieje się tak dzięki majorowi Sztepańskiemu”.

Nie brakowało prób sowieckiej propagandy. Do obozów internowanych przenikali tajni agenci, a potem zjawiały się oficjalne misje bolszewickie. Władze polskie dopuszczały je, wcześniej zawiadamiając o dniu przybycia. Bolszewicy propagandyści, „chowając się za plecami polskich żołnierzy, zapraszali nas do powro-

tu do domu, obiecywali nam przebaczenie wszystkich naszych 'grzechów'..."

Z podchorążówki nikt się nie zgłosił, ale wśród żołnierzy były wypadki, że ten i ów wracał.

„Był między nami — opowiada Simiancew — jeden z moich komilitonów, zresztą, żaden bolszewik. Po prostu chciał wrócić do domu, sądząc, że na miejscu zdziała więcej dla ojczyzny, niż tu, za drutami. Rozmawiałem z nim, ale nie dał się przekonać, twierdził, że wszyscy powrócimy. Przy pożegnaniu prosiłem go, żeby odwiedził moich rodziców i przekazał im moje pozdrowienie...”

Simiancew nigdy nie dowiedział się, co stało się z owym komilitonem. W każdym razie jego rodziców nie odwiedził i ślad po nim przepadł.

W roku 1922 starszy brat autora, Ołeks, który przebywał w obozie koło Aleksandrowa Kujawskiego, przedostał się do Czechosłowacji i napisał list, namawiając brata, by poszedł za jego przykładem. Decyzja dojrzała w roku następnym i Simiancew zaczął przygotowywać się do wyjazdu.

Czekać na więź nie było sensu, gdyż trwałoby to zbyt długo. „Wiedziałem — pisze autor — że na kolejkę czekało wielu innych, bardziej zasłużonych ode mnie”. Pozostawała „zielona granica”, zresztą mocno już wydeptana.

I tu autor natrafił na trudności ze strony własnych, ukraińskich władz obozowych. Nie tylko nie chciały go wypuścić, ale ponadto odgrażały się, że w razie ucieczki uczynią wszystko, by go złapać. Simiancew powiada, że nie wie, skąd się wzięła taka postawa. Być może, z biegiem tylu lat zapomniał. Może wpłynął na to zbyt gwałtowny charakter.

Tak czy inaczej, udało mu się wydostać z kaliskiego obozu i w towarzystwie przyjaciela dostać do Nowego Sącza. Dlaczego właśnie tam, skoro mieli przechodzić granicę przez Babią Górę, pozostaje tajemnicą geograficznego rozeznania. Ostatecznie, po wielu przygodach na granicy, co prawda bezbolesnych, Simiancew dotarł do Pragi Czeskiej i w ten sposób rozpoczął się nowy etap jego emigracyjnego żywota.



Czy rzeczywiście w obozach internowanych ukraińskich żołnierzy było aż tak źle, aż tak głodno i chłodno? Miałem okazję, jeszcze przed drugą wojną światową, rozmawiać na ten temat z niejednym Ukraińcem i relacje nie wypadły aż tak źle. Przez obóz kaliski przeszedł znakomity poeta, Jewhen Małaniuk, nie słyszałem od niego skarg tak daleko idących. Może nie chciał wyrządzać przykrości — nie mnie sądzić.

Różnie z tym bywa. Niekiedy z odległości czasu — w tym wypadku ponad czterdzieści lat, skoro swoje wspomnienia Simiancew napisał we wrześniu 1965 roku — przykre doświadczenia

tracą na swojej wyrazistości, kiedy indziej stają się bardziej intensywne. Chyba jednak to „polskie okrucieństwo” nie było tak wielkie. Sam Simiancew opowiada, że zatrzymany przez wartownika, chwycił za karabin i szarpnął się z żołnierzem, zanim nadbiegli inni wartownicy. Gdy go prowadzili na odwach, usłyszał wiele wymysłów, ale przyznaje, że go nie bili. Już nie mówiąc o Rosji Sowieckiej, ani o Niemcach hitlerowskich, chciałbym wiedzieć, co by się stało we francuskim obozie dla internowanych za próbę rozbrojenia wartownika.

Młodziutki kawalerzysta ukraiński mógł sobie wtedy nie zdawać z tego wszystkiego sprawy, ale po przeszło czterdziestu latach, gdy junacka zadziorność już przeminęła, należałoby spodziewać się bardziej dojrzałej refleksji.

Jedno jest pewne i tu wina polska nie ulega wątpliwości: internowanie trwało zbyt długo. Należało te obozy w ten czy inny sposób rozładować znacznie wcześniej. Tarnopol, Pikulicze, Wadowice, Kalisz — Simiancew przesiedział prawie trzy lata w kolejnych obozach. A był przecież czas pokoju, nie wojny. Na początku roku 1921 sami Ukraińcy prawdopodobnie opieraliby się demobilizacji — wówczas jeszcze żywiono nadzieje, że dojdzie do ponownej wyprawy na wschód, że zawieszenie broni z Sowietami jest tylko chwilowe.

Po zawarciu pokoju ryzykiego jedynie niepoprawni optymiści mogli żywić podobne nadzieje. I wtedy był najwyższy czas, aby załatwić sytuację byłych sprzymierzeńców. Umożliwić wyjazd zagranicę tym, którzy nie chcieli zostać, zapewnić pracę i godziwy byt całej reszcie. Przedłużanie wegetacji w obozach było aktem politycznej bezmyślności i w konsekwencji niezamierzonym okrucieństwem.

Napisałem to sprawozdanie ze wspomnień Simiancewa z prawdziwą przykrością. Z chwilą, gdy skończyła się wojna polsko-sowiecka, internowanie armii petlurowskiej stało się smutną koniecznością. Ale mogło i powinno być odbyte inaczej. Że Simiancew przeczernia w swoich wspomnieniach, nie ulega dla mnie wątpliwości. Ale i bez przeczerniania cała sprawa nie wyglądała najlepiej i zaszczytu Polsce nie przyniosła.

Czy warto te rzeczy przypominać? Skoro Ukraińcy je przypominają, a dotyczą nas, Polaków, to *nolens volens*, nie możemy od nich uciec. Jeśli ma kiedyś dojść do polsko-ukraińskiego porozumienia, to tylko po dokładnym wyjaśnieniu wszystkich spraw, które kiedykolwiek nas dzieliły i nadal dzielą. I nawet takich oskarżeń, co do których żyjemy podejrzenie, że są jednostronne i przesadzone, nie możemy pozostawiać bez uwagi.

I to właściwie jedyna racja, dla której podjąłem się przedstawić czytelnikom *Kultury* dość prymitywne wspomnienia pana Simiancewa.

Streścił i fragmenty przełożył z ukraińskiego

Józef ŁOBODOWSKI

LISTY DO REDAKCJI

New York, 9 września 1969.

Szanowny Panie!

Opowiadanie A. Smolana pt. „Chryzantemy” w nrze 16 *Z. H.* wymaga komentarza, gdyż jest to historia przekręcona, mniejsza o to, czy przez autora, czy przez tych którzy pomagają sowieckim autorom pisać i tworzyć.

Napis nad bramą koszar: „Trzeci pułk strzelców konnych imienia hetmana Stefana Czarnieckiego” znajdował się w Wołkowysku, a nie w Zbarażu lub Kowlu. Również w Wołkowysku komuniści usiłowali objąć władzę w poniedziałek 18 września 1939 r. Ale żeby tego dokonać trzeba było się uzbroić i ujawnić. Z uzbrojeniem wypadło marnie, więc się nie ośmielili ujawnić i wynikło fiasko. Ale, że policja i władze administracyjne opuściły miasto już w niedzielę 17-go, więc komuniści mogli się chełpić później przed Rosjanami, którzy zajęli miasto 19 września rano, że sprawowali władzę konspiracyjną już dnia poprzedniego.

Koszary w Wołkowysku były, z wyjątkiem ujeżdżalni, zbudowane za czasów carskich i był tam jedynie skromny areszt przy drugiej bramie. Tam z pewnością więziono wziętych do niewoli polskich oficerów. Długi korytarz karnych cel jest wymysłem autora. A więc autor lub narrator „Chryzantem” odbył kampanię 1939 r. nie na Zachodniej Ukrainie ale na Zachodniej Białorusi, zwanej także ziemią nowogródzką i grodzieńską. Dlaczego po zajęciu Wołkowyska bohaterowie „Chryzantem” znaleźli się nagle na pierwszej linii, choć poprzednio byli na tyłach pochodu? Wydaje mi się, że z Wołkowyska zostali wysłani nie na Białystok-Łomżę ale skierowani na północ, przez Brzostowicę na Grodno — gdyż doszło właśnie do walk (obronnych) o to miasto, jedyny ośrodek oporu w tym rejonie. Pierwsza stacja w kierunku na Brzostowicę to Andrzejowice i stąd pewnie pochodzi nazwa zruszczona: Andrzejewka. Na drodze od Stołpiec (nie Szepietówki) przez Baranowicze, Słonim, Wołkowysk, Brzostowicę, do Grodna nie było żadnej budowli mogącej uchodzić za zamek średniowieczny lub jego ruiny, z wyjątkiem zamku Batorego w Grodnie. Mogli krasnoarmiejcy widzieć po drodze wiele splądrowanych dworów (np. Masalany pod Brzostowicą) ale stary zamek na górze i nowszy zamek niżej położony, a do tego sceny batalistyczne, mogą to być jedynie reminiscencje z sowieckiego natarcia na Grodno od strony południowo-wschodniej.

Najwyraźniej autor i jego opiekunowie woleli opisywać wyzwalanie Zach. Ukrainy i całą akcję celowo przerzucili na południe od Prypeci. Incydent z nauczycielką jest nieprawdopodobny, gdyż szkoły we wrześniu 1939 r. były zamknięte i ulotki na lekcji przeczytać nie mogła. Książę nie mógł jej uwięzić 18 września i karmić śledziami, gdyż jeśli chciał uciec do Rumunii musiał już być od dobrego tygodnia w drodze. Jeżeli skorygujemy całe

to geograficzno-etnograficzne opowiadania to być może wypadnie, że scenę, jakże „duszoszczypatielną” z dziewczętami i chryzantemami autor umieścił na podwórzu starostwa grodzieńskiego (Nowego Zamku!). Jedwabie, aksamity, dziewczęta, chryzantemy, nawet wczesny wschód księżycy wszystko to zostało wymyślone w 30 lat później. Tę samą drogę w przeciwnym kierunku odbył w kilka dni później Sergiusz Piasecki i opisał w książce pt.: „Człowiek przemieniony w wilka”. Książka zaczyna się w momencie gdy autor wychodzi na szosę Białystok-Wołkowysk pod Brzostowicą i podróżuje do Baranowicz-Nowojelni.

Z poważaniem,

A. KOSIŃSKI

27 grudnia 1969.

Szanowny Panie Redaktorze!

Po niewczasie, bo po wysłaniu Panu mych wspomnień z okresu pobytu i internowania w Rumunii płk. Becka, a również na skutek wymiany korespondencji z Panem, musiałem przyznać że w mych notatkach brak szczegółów o Polakach z jakimi płk Beck się wówczas stykał. Problem to trudny dla mnie i z uwagi na lata dzielące nas od tych czasów, i z uwagi na to że nie mógłbym pominąć spraw niemiłych. Wielu Polaków znalazło się w sposób bardzo przyzwoity w stosunku do płk. Becka w owym czasie, bez względu na zapatrywania polityczne, ale były też wypadki przykre. Byli i tacy, którzy się załamali w czasie tych długich lat. Moje osobiste kontakty, szczególnie na początku, były nikłe, gdyż przeważnie znajomi przechodzili na drugą stronę ulicy widząc mnie z daleka. Niemniej zasługują chyba w pierwszym rzędzie na to by ich wymienić ci, którzy pozostali do ostatka, nie zmieniając swego stosunku wobec internowanego. Do nich należą szofer min. Becka, Władysław Lisowski, hardy Mazur, i płk Tadeusz Schaetzel, niczym nie złamany. A także młody wówczas człowiek, Eugeniusz Chlipalski, z którym opuściliśmy Rumunię by przez czerwoną już wtedy Bułgarię, w październiku 1944 r., udać się do Turcji.

Więcej o Polakach mogłoby się znaleźć we wspomnieniach osobistych — o ile je kiedyś napiszę — potraktowanych po kronikarsku i będących opowiadaniem przeżyć z tego okresu.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Doman ROGOYSKI

Stanford, Calif., dn. 23 czerwca 1970.

Drogi Panie Redaktorze!

We wstępie do Memoriału Michała Romera z 1915 roku, wydrukowanego w 17-tym *Zeszycie* Historycznym, jest powiedziane, że dziś trudno ustalić kim był „niejaki p. Wiśłowski”, w którego zbiorach, sprzedanych instytucji Hoovera znalazł się oryginał memoriału.

Tak napisałem przed kilku laty, przygotowując memoriał do druku. Ostatnio jednak doszedłem do wniosku, że „niejaki p. Wiśłowski” w ogóle nie istniał. Brak o nim jakichkolwiek śladów w materiałach z okresu I wojny światowej. Natomiast spotyka się tam nazwisko Włodzimierza WISKOW-

SKIEGO, który przed 1914 był jednym z organizatorów Związków Strzelców w Szwajcarii i, po wybuchu wojny i mobilizacji strzelców, był oskarżony o pogwałcenie jej neutralności.

W Legionach Wiskowski nie poszedł do służby liniowej, lecz został jednym z tzw. „Komisarzy Wojskowych NKN” i jego podobiznę można znaleźć w *Niepodległości*, Nr 2 (34) z 1936. Po zajęciu Warszawy w 1915, Wiskowski został przydzielony do utworzonego tam przez NKN Biura Prasowego, o czym wspomina St. Thugutt w artykule „Z dziejów tajnej prasy w Warszawie (1914-1918)” w *Niepodległości*, Nr 3 (32), 1935, str. 419. W Biurze tym Wiskowski pozostawał do 1918 r.; pisał do NKN raporty polityczne i był ostatnim jego kierownikiem.

W związku z powyższym nie mam wątpliwości, że to właśnie Włodzimierz Wiskowski, jako „człowiek bardzo stary i potrzebujący pieniędzy”, w 1927 r. sprzedał Amerykanom pozostałe w jego posiadaniu archiwum Biura Prasowego NKN w Warszawie i że to archiwum od przeszło 40 lat figuruje w zbiorach *Hoover Library* jako „Wisłowski Collection”.

Zwróciłem na to uwagę kierownictwa Instytucji Hooverowskiej i mam nadzieję, że wynikała z błędnego odczytania przez Amerykanów nazwiska sprzedawcy omyłka zostanie poprawiona.

Łączę najlepsze wyrazy,

Wiktor SUKIENICKI

SPIS TREŚCI

| | |
|--|----|
| S. Popkiewicz: <i>Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim</i> | 3 |
| Stanisław Żochowski: <i>O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej</i> | 23 |
| Józef Garliński: <i>Oświęcim walczący</i> | 59 |
| Piotr Wandycz: <i>Jeszcze o misji Jerzego Potockiego w 1933 roku</i> | 81 |

WSPOMNIENIA

| | |
|---|-----|
| Doman Rogoyski: <i>Pułk Józef Beck więźniem w Rumunii</i> | 84 |
| Stanisław Kirkor: <i>Urywek wspomnień</i> | 99 |
| A. B.: <i>Kronika Zastępu „Dębów”</i> | 108 |
| Józef Lewandowski: <i>Pamięci Michała Szulmana</i> | 130 |
| Tadeusz Długoszowski — <i>urywki wspomnień</i> | 132 |

NA 25-LECIE P.R.L.

| | |
|---|-----|
| <i>Słowniczek Polityczny dla Żołnierzy</i> | 134 |
| <i>Do wszystkich członków Polskich Sił Zbrojnych</i> | 137 |
| <i>Sposób traktowania żołnierzy P.S.Zbr. powracających do kraju</i> | 138 |

W ZSSR O POWSTANIU WARSZAWSKIM

| | |
|--|-----|
| K. K. Rokossowski: <i>Warszawa (Fragmenty)</i> | 141 |
| J. Niemczyński: <i>Warszawa w ogniu</i> | 148 |

POLEMIKI

| | |
|---|-----|
| Włodzimierz Onacewicz: <i>Komentarze do książki Leona Mitkiewicza „Z Generałem Sikorskim na obczyźnie”</i> .. | 154 |
| Józef Łobodowski: <i>Sprawa rewindykacji — ponownie ..</i> | 184 |
| Józef Jaklicz: <i>„Mózg Armii”</i> | 198 |

RECENZJE

| | |
|---|-----|
| Stanisław Sęp-Szarzyński: <i>Z dziejów polskiego lotnictwa ..</i> | 205 |
| Anna Cienciąła: <i>Stosunki polsko-sowieckie — Federalizm — Polityka Polska — 1914-1921</i> | 215 |
| Kazimierz Iranek-Osmecki: <i>Szkodliwa książka</i> | 221 |
| Józef Łobodowski: <i>„W Polsce za drutami”</i> | 229 |

LISTY DO REDAKCJI

| | |
|--------------------------|-----|
| A. Kosiński | 235 |
| Doman Rogoyski | 236 |
| Wiktor Sukiennicki | 236 |

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 AOUT 1970
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (XVIII^e)**

Dépôt légal : 3^e trim. 1970

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: *Kontra* (7 F)
Tadeusz Katelbach: *Rok złych wróżb* (8 F)
Stanisław Kot: *Jerzy Niemiryż* (7 F)
Paweł Zaremba: *Historia Polski, Tom I* (20 F)
Józef Czapski: *Na nieludzkiej ziemi* (wydanie drugie)
(wyczerpane)
Bernard Singer: *Od Witosa do Sławka* (18 F)
Milovan Dzilas: *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
Jerzy Mond: *6 Lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (wyczerpane)
Maria Czapska: *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia (wyczerpane)
Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
Stanisław Mackiewicz: *Polityka Becka* (12 F)
Wincenty Witos: *Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III*
(87 F)
Wiktor Sukiennicki: *Biała Księga* (wyczerpane)
Gustaw Henling-Grudziński: *Inny świat* (wyczerpane)
Borys Lewickij: *Terror i rewolucja* (15 F)
January Grzedziński: *Maj 1926* (9 F)
Wacław Lędnicki: *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905* (9 F)
Wiktor Sukiennicki: *Legenda i rzeczywistość* (9 F)
Leon Mitkiewicz: *Z gen. Sikorskim na obczyźnie*
(23 F)
Julian Kulski: *Stefan Starzyński w mojej pamięci*
(12 F)
Eugenio Reale: *Raporty. Polska 1945-1946.* (18,50 F)